

PRZEGLĄD
POWSZECHNY



SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

PRZEGLĄD POWSZECHNY



„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO“.

Ps. 143.

ROK XL.

Tom 157.

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1923



KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

O odkażenie naszej atmosfery politycznej.

Mieszania się do polityki bieżącej starannie unikamy. Przyszedł jednak moment, kiedy i Przeglądowi Powszechnemu wypada zabrać głos w sprawie politycznej. Do głównych swych zadań zalicza on przypominanie zasad etyki chrześcijańskiej, — a oto w życiu politycznem Polski nagromadziło się tyle objawów, które mocno muszą niepokoić uczucie moralne chrześcijanina, że trzeba i z tych łamów głośno przemówić w imię zapozdawanych zasad do sumień ludzi polityki.

Głos nasz, jak tyle innych głosów prasy, jest oddźwiękiem na strzał szesnastego grudnia. Czy chcemy tu silić się na wyrazy grozy na widok zbrodni, jaka po raz pierwszy splamiła kartę naszej historii? Czy gromy potępienia zamierzamy ciskać na głowę człowieka, z którego ręki padł ś. p. Gabryel Narutowicz? Czy załamywać z rozpaczny ręce i chować oczy ze wstydu przed światem, że coś podobnego, jak zamach w warszawskiej Zachęcie, mogło zajść na naszej ziemi?

To wszystko już uczynili inni. Winowajcą zajęła się sprawiedliwość; grozę i oburzenie wypowiedzieli ci, co reprezentują myśl, uczucie i godność narodu: książęta Kościoła, marszałkowie obu Izb, kaznodzieje żałobni, manifesty stronnictw politycznych, pióra publicystów wszelkich kierunków. Jeśli dosłyszano w tej harmonji jakiś zgrzyt, pokryto go nowym głosem potępienia. Wiemy już dobrze, co o czynie Niewiadomskiego sądzi Polska, Kościół, świat cywilizowany.

Co się tyczy świata „cywilizowanego“, zagranicy, możemy w pierwszej chwili zbyt obawiali się jego sądu, drżąc na myśl, że wyrok potępienia spadnie na Polskę. Zapomnieliśmy o tem, że choćby nawet wolno było w Eligjuszu

Niewiadomskim dopatrzyć się uosobienia Polski, to jeszcze nikt z obcych nie miał prawa być względem niej surowym sędzią. Choćby Polska okazała się tu grzesznicą biblijną, winną sprzeniewierzenia się humanitaryzmowi i cywilizacji, to jeszcze do wszystkich jej sąsiadów możnaby odezwać się: „Kto z was bez grzechu, niech rzuci na nią pierwszy kamień”. Polityczne zamachy, dokonane i chybione, to, niestety, powszechne zjawisko w historii narodów, a ostatnie lata bynajmniej nie są niewinniejszemi pod tym względem od czasów dawniejszych. Może nawet dziw, czy szczególna łaska Boża, że w Polsce zamach warszawski był pierwszym zamachem na życie politycznego dostojnika (strzału ukraińskiego we Lwowie na rachunek polski nie wolno przyjmować!), pierwszym zamachem w ciągu czterolecia budowania Polski, budowania w takich nadzwyczajnych warunkach, przy takim rozbiciu dzielnicowym i nierozumieniu się wzajemnem, przy takiej interesów rozbieżności! Jeszcze to chyba nie świadczy o krwawych instynktach narodu, czy też kulturze prymitywnej, w której porachunki wzajemne zwalczających się grup dokonują się z reguły przy pomocy noża czy rewolweru. Nienawiści i u nas dużo, ale wylewa się ona raczej w potokach słów i strugach atramentu, — krwawy oręż mieliśmy tylko na zewnętrznego wroga. O wstępie naszym do widoku krwi bratniej świadczy ten właśnie zgodny chór potępienia, jakim rozbrzmiała Polska po strzale Niewiadomskiego. To jest niejaka ulga i zapewnieniem, że pierwszy polityczny mord w Polsce odrodzonej będzie, da Bóg, ostatnim.

Nie chciała więc Polska, nie chciało w niej żadne stronnictwo tego, co się stało. Spisku żadnego na życie Gabrjela Narutowicza nie było; formalnych współników Eligjusz Niewiadomski nie miał. Sam też ponosi następstwa swego czynu i nikt obok niego przed kratkami sądu nie stanie.

Czy atoli wolno uspokajać sumienie narodu, że nikt nie przyczynił się do strzału Niewiadomskiego nawet nieświadomie i zdaleka? Czy odpowiedzialność cała — nie jurydyczna tylko, ale moralna, da się rozłożyć bez reszty na napięte nerwy i swoistą logikę warszawskiego malarza?

Otóż tu mamy confitentem reum. Ten sam głos powszechny, który wyparł się solidarności z zamachem, przyznał,

że w suchym trzasku rewolweru w gmachu Zachęty Sztuk pięknych wyładowało się to napięcie wysokie, jakie od dłuższego czasu przesysało naszą polityczną atmosferę, że wyjątkowa hyperestezja polityczna i szczególna konsekwencja Niewiadomskiego, każąca mu skierować lufę morderczego narzędzia w serce człowieka, któremu jeszcze nie umiał zarzucić prawie nic ponad to, że był „symbolem” pewnego politycznego systemu, mogła ujawnić się tylko na tle ogólnej psychozy partyjnictwa naszego. W tem znaczeniu można mówić o współnikach zamachu, współnikach, którzy ową psychozę wytworzyli, i do nich właśnie trzeba zwrócić się z wezwaniem, jeśli nie do żalu za zbrodnię świadomą, to do uznania błędów własnych, które zogniskowane w sumieniu i logice może nie zupełnie zdrowej jednostki spowodowały nieszczęście.

Tych współników było daleko więcej, niż pospolicie się chce przyznać. Mówi się popularnie o „zaciekłości partyjnej”. Błędem wszakże byłoby chcieć składać winę na zaciekłość jednej partji, czy też jednej połowy naszego politycznego świata. Z ręki zacierzewanego partyjnika padł Narutowicz, wybraniec lewicy; czy wszakże ktoś zaręczyłby, że w tej atmosferze, jaka się wytworzyła w okresie wyborów prezydenta, nie padłby z ręki innego partyjnika Zamojski, albo Trąpczyński, gdyby wyszedł z urny? Narutowicz padł nie jako osobisty winowajca czegoś złego w Polsce, ale jako „symbol” pewnego systemu. Kto zaręczy, że nie podniosłaby się żadna ręka na innego człowieka, w którymby upatrzono inny „symbol”, symbol prawdziwej czy urojonej reakcji? Odpowiedzialność opętania politycznego należy nie na jeden legion szatanów, ale na kilka rozłożyć. W szczególności naszej skrajnej lewicy nie wypada udawać świętych i nie do twarzy jej rola jedynych stróżów ładu i praworządności, obrońców każdej legalnej władzy, bez względu na partyjne pochodzenie jej przedstawicieli. Doktryna, w której zasadniczym dogmatem jest walka klas i rewolucja, a źródłem prawa materialna siła, jest złą szkołą uszanowania majestatu władzy państwowej. I trzeba chyba dość obłądy, albo zarozumiałości, by zapewniać, że w tej szkole nie mógłby się wykształcić żaden Niewiadomski. Dość przypomnieć do-

gmaty marksyzmu i różne programowe partyjne enuncjacje, na jakich wielki odłam lewicy urabia swe obywatelskie sumienie, dość czytać przez parę tygodni takie dzienniki, jak Robotnik, który kształtuje psychikę tłumów, by stać się sceptykiem pod tym względem. Jeśli na każdej stronie powracają po kilkadziesiąt razy wyrazy „chjena“, „reakcja“ i t. p. i w każdy z tych wyrazów wlewa się coraz bardziej potęgujący się akcent nienawiści, jeżeli z jakimś eschatologicznym podnieceniem śpiewa się wciąż hymny „rozprawy“ z mniemanymi wrogami „ludu“, to kto ośmieli się zapewnić, że taka szkoła jednak nie wyda fanatyka, któryby wyciągnął przy sposobności krwawą z lekcji konsekwencję i od deklamacji przeszedł do czynu?

Nie o to nam jednak chodzi, by oskarżać jednych, a uniewinniać drugich. Czem więcej ludzi przyzna się do błędów, tem łatwiejszem okaże się tych błędów naprawienie. Kto będzie nadal szukał moralnych winowajców strzału Niewiadomskiego wyłącznie w obozie przeciwnym, ten zdradzi tylko swą małą duszę, bo tylko ludzie moralnie mali, nie zdolni są do uderzenia się w piersi, do powiedzenia: mea culpa.

Żyjemy wszyscy w przesyconej elektrycznością atmosferze. Albo, jeśli wolicie, w atmosferze pełnej miazmatów, zatruwających nasze polityczne sumienia. Odkazanie więc tej atmosfery narzuca się Polsce, jako najpierwszy patriotyczny obowiązek. Jest to o tyle łatwe, że łatwo jest określić naturę tych mikrobów, które w powietrzu naszym się unoszą.

Wskażmy przynajmniej na niektóre z nich. Pierwszym rodzajem mikroba, zarażającego nasze powietrze polityczne jest nieustępliwość w walkach partyjnych. Nie same walki partyjne, jako takie, ale ich nieustępliwość, fanatyzm. Bez ścierania się, a więc bez pewnej walki stronnictw trudno wyobrazić sobie życie polityczne w demokratycznym ustroju. Trudno bowiem, aby sprzeczności interesów klasowych lub lokalnych, aby rozbieżne ideały przyszłości nie wytwarzały stronnictw, albo, aby te stronnictwa zrezygnowały z dążeń do urzeczywistnienia swych programów. Nie o to chodzi. Stronnictwa są wszędzie, gdzie jest większe skupienie ludzi myślących i dążących do pewnych celów; dopiero w osiągnięciu

absolutnej Prawdy i absolutnego Dobra w wieczności zostanie osiągnięta między ludźmi zupełna jednomysłność. U nas, jeśli na co należy się uskarżać, to na zbytnią mnogość partyj: widać, że u nas skupiają się ludzie nie naokoło wielkich zasad, których przecież jest mniej, lecz naokoło małych ludzi, których nigdzie nie brak. Więcej posiadamy kandydatów na przywódców, niż wzniosłych celów do osiągnięcia. Walka partyjna wszędzie jest i być musi, a więc będzie i w Polsce; nadto w Polsce, dla naszej niedojrzałości politycznej, więcej w tej walce będzie chaosu, niż gdzieindziej; ale co z tej walki winno być najpierw usunięte, to nieustępliwość, która ponad wszystko, nawet ponad pokój Rzeczypospolitej, stawia zwycięstwo własnego programu i własnych ludzi. Potępiamy walki religijne średniowiecza i czasów Reformacji; dziwimy się tej psychice, która, niezdolna do kompromisu, wytwarzała je pomiędzy rozmaicie myślącymi. Ale czyż nasze walki polityczne nie przedstawiają większej psychologicznej zagadki? Tam ludzie walczyli o dogmaty, to jest o to co uważali, prawdziwie czy mylnie, za absolutną prawdę i za warunek zbawienia wiecznego. Tu chodzi o rzecz — przyznajemy że wielką, o szczęście, ale bądź co bądź o szczęście tylko doczesne, a w dodatku czy w naszych walkach partyjnych istnieje, choćby tylko subiektywnie, taka pewność, że nasz ideał społecznego czy państwowego dobra jest absolutnie najlepszy i że droga do jego osiągnięcia prowadzi jedynie poprzez program naszego stronnictwa? I dlatego fanatyzm klasowy czyli polityczny, nie umiejący zdobyć się na żaden kompromis, na żadne zawieszenie broni z przeciwnikiem, jest stokroć gorszym i stokroć mniej usprawiedliwionym niż wszystkie fanatyzmy religijne.

Takiego fanatyzmu przykłady rzucają się nam w oczy codziennie, gdy obserwujemy nasze polityczne życie. Weźmy ostatnią dobę. Strzał Niewiadomskiego spowodował bez wątpienia pewne otrzeźwienie. Czego Gabrjel Narutowicz nie byłby osiągnął, gdyby żył i trwał na swem stanowisku, osiągnął złożony do trumny. Nie nastąpiła jeszcze zgoda powszechna u jego katafalku, bądź co bądź przycichły nieco wybuchy nienawiści. I następca jego, choć tąż samą do Belwederu wjeżdżał drogą, nie widział już na niej tych wro-

gich tłumów, które witały Narutowicza. Niestety, nieustępliwość naszych stronnictw nie pozwoliła im dotąd wyzyskać tego sprzyjającego momentu dla osiągnięcia jakiegoś takiego porozumienia, któreby dawało możność utworzenia stałego rządu z jakąś rękojmią trwałości. Ze wszystkich stron słyszymy o gotowości do zgody, a zgody dotąd niema. To jedno, to drugie stronnictwo oświadcza gotowość do „stworzenia polskiej parlamentarnej większości“, ale każde z nich oświadcza, że stać się to nie może kosztem ustępstwa z jego programu. Chcemy dobra Polski — mówią jeden przez drugiego — gotowiśmy wszystkich dopuścić do współpracy, ale my chcemy stanowić ośrodek krystalizacyjny. Niech wszyscy zrozumieją, że Polska to przedewszystkiem nasze stronnictwo, że jej zbawienie to przedewszystkiem realizacja naszego partyjnego programu. Bagatela! można być pewnym, że przy takiej „gotowości do zgody“ nie tylko zgoda, ale żadna wogóle współpraca stronnictw nie nastąpi nigdy.

Drugi gatunek naszego politycznego mikroba to metoda zwalczania przeciwników, polegająca przedewszystkiem na napaściach na osoby, na wyszukiwaniu ich prawdziwych czy zmyślonych grzechów, na odmawianiu im patriotyzmu i nicowaniu ich pobudek. Pono nawet rzadziej się u nas zwalcza zasady przeciwnika, wykazując ich utopijność czy szkodliwość dla kraju, — częściej zaś używa się broni łatwiejszej, popularniejszej wśród bezkrytycznych mas — walenia wroga po głowie maczugą oskarżeń o zdradę interesów narodu czy państwa. Gdyby o patriotyzmie, moralnej wartości i czystości pobudek osobistości, stojących u nas na wybitnych stanowiskach, lub dążących do nich miało się sądzić według tego, co o nich mówią i piszą ich polityczni przeciwnicy, gdyby na przykład policzyło się te kubły pomyj, jakie nawzajem wylewano sobie na głowy w okresie przedwyborczym, trzebaby chyba zwątpić, czy wogóle w Polsce, zarówno na prawicy, jak na lewicy, znajdują się jeszcze jacyś prawi obywatele, jacyś uczciwi i czysti ludzie. Szczęściem dla Polski ludzie są w niej naogół dużo lepsi, niż o nich głoszą ich przeciwnicy, gorszem natomiast od rzeczywistości jest tylko jej odbicie w prasowej i wiccowej deklamacji.

Trzecim wreszcie już czysto polskim i to powojennym mikroblem jest wyrzucanie sobie wzajemne „orientacyj“, ja-kiemi się kierowano podczas wojny światowej. To często ostatnia kolubryna, jaką się wytacza przeciwko przeciwnikowi, kiedy inne zawiodły i nie powaliły wroga. Stąd wielu się zdaje, że jeśli wytknie się komuś, iż podczas wojny spodziewał się dla Polski dobra od mocarstw centralnych, to zabije się go niechybnie w oczach społeczeństwa całego i zagranicy, to się dowiedzie, że i w przyszłości nie będzie on zdolny do żadnej politycznej służby Ojczyźnie. Jeżeli taki człowiek mimo wszystko zajął jakieś odpowiedzialne stanowisko, to za obowiązek patriotyzmu uważa się przypominać co chwila jego miniony błąd, dyskredytując go zwłaszcza wobec zaprzyjaźnionej zagranicy, jakby się szukało w niej sojusznika do walki z własnym obywatelem. Oczywiście strona druga, według możliwości, odpłaca się pięknem za nadobne, wytykając swoim przeciwnikom, że i ich „orientacja“ nie była tak obiecująca, tak dla narodu korzystna, tak nieustępliwa, jakby się to mogło zdawać z faktycznego wyniku światowych zmagkań. Słowem walczy się nie o orientację obecną polityki zagranicznej Polski, bo ta, dzięki Bogu, jest już właściwie tylko jedna, ale o to, co już utonęło w morzu przeszłości. To wzajemne klucie się w oczy dawnymi „orientacjami“ często stawia we wrogich obozach ludzi jednakowo dziś myślących, a u patrzących na tę waśń bezprzedmiotową wywołuje wprost uczucie niesmaku i obrzydzenia.

Wyniszczenie wyliczonych trzech rodzajów mikroblów jakżeby oczyściło naszą polityczną atmosferę! A przy pewnej dozie dobrej woli dałaby się osiągnąć taka sanacja. Trzeba mieć tylko odwagę do głębokiego zastanowienia się i pewną dozę dobrej woli do pójścia za głosem sumienia, nie namiętności.

Zacznijmy od końca. Zaniechania walki o przeszłe orientacje domaga się zarówno prawda i sprawiedliwość co do przeszłości, jak i wzgląd na pożytek Ojczyzny w chwili obecnej. Prawdą jest, którą, da Bóg, wyświefli lepiej historia, że w początkach światowej zawieruchy istniała w gruncie rzeczy we wszystkich głowach i sercach polskich jedna jedyna orientacja — polska. Wszyscyśmy zrozumieli, że pomimo woli

sprawców wojny światowej rozgrywać się będą w niej także losy Polski. I wtedy żywiej zabiło każde polskie serce i każdy z nas rad był przyłożyć rękę do wielkiego dzieła odwalenia wieka od trumny Matki-Ojczyzny. Tragizm położenia naszego wszakże polegał na tem, żeśmy nie byli zdolni przewidzieć tego końca zmagañ światowych, na jaki z wyżyn wieczności patrzył wszechwiedzący Bóg. Najlepszy prorok — jeśliśmy wogóle mieli wtedy proroków — nie był zdolny co innego zapowiedzieć, jak to, że którakolwiek strona weźmie górę, w każdym razie wygra jeden z naszych ciemzczów, który może pozwoli nam urządzić się znośnie, jeśliśmy go popierali, a biada nam, jeśliśmy wszyscy podczas wojny stali po stronie jego przeciwników. I wtedy w jednym dążeniu do dobra Polski rozeszły się nasze drogi. Orientacje nasze nie potworzyły się dzięki podzielonej miłości ku naszym zaborcom, ale dzięki temu, żeśmy przeceniali jedni potęgę i szanse wygranej jednej strony, a drudzy — drugiej. Bo i ta z naszych orientacyj, która kierowała się w stronę „ententy“, budowała swe nadzieje przedewszystkiem nie na dalekiej Anglii, lecz na bliskiej gniożącej nas swym butem Rosji i nie z miłości ku niej — broń Boże, ale z większego zahypnotyzowania jej potęgą i widokami zwycięstwa, jak i orientacja przeciwna nie z miłości ku pedagogom z Wrześni i intrygantom z nad Dunaju oświadczała się po ich stronie, ale z większej nienawiści ku „Moskalowi“ i z przeceniania siły germanizmu. Psychologicznie i moralnie były wtedy usprawiedliwione orientacje obie, i dopuszcza się krzyczącej niesprawiedliwości, kto dziś kuje z którejkolwiek z nich zarzut zdrady interesów Ojczyzny. Do takiego zarzutu nie upoważnia nawet to, że zwolennicy danej orientacji zrzekali się w imię Polski tej lub owej z jej dawnych dzielnic, a nawet może i pełnej suwerenności; czyniła to zarówno „orientacja“ jedna, jak druga, jedna godząc się na okrojenie naszego wschodu, druga zachodu. Miejmy odwagę uznać, że żadna nie czyniła tego z lekkim sercem, a więc żadna nie frymarczyła niegodnie dobrem Ojczyzny, ale każda swoją ofiarę uważała za dziejącą konieczność. Jeżeli się w dodatku pamięta o naszym przymusówem rozbiciu na dzielnice, o niemożliwości wzajemnego porozumienia się, to niedziwnem się wyda, że właści-

wie powstały w narodzie aż dwa „aktywizmy” i dwa „pasywizmy”, co już zależało od tego, w którym zaborze kogo zaskoczyły wypadki i jak względem zaborców reagowała jego psychika. Jeżeli przechylał się na stronę Niemiec, to nie z miłości ku nim, ale że więcej nad nie nienawidził caratu, jeśli godził się z caratem, to znowu nie dlatego, by lgnął do niego sercem, ale że żywiej odczuwał krzywdy, jakie Polsce zadał germanizm.

Dziękować Bogu, pomyliły się obie orientacje i ręka Boża wymierzyła nam pełną sprawiedliwość, jakiej nie ośmielaliśmy się spodziewać. Wojnę przegrali wszyscy nasi zborcy, a wygrała Polska. Wobec tej wielkiej łaski Niebios nie popełniamy niesprawiedliwości na naszych braciach, odsądzając ich od miana dobrych Polaków. Zwłaszcza czas już zaprzestać denuncjować o to współobywateli wobec zagranicy. Pominąwszy, że niesprawiedliwość wtedy jest złośliwsza, nie osiąga ona nawet celu, jaki sobie stawiają ci, co się jej dopuszczają. Czego u nas zrozumieć się nie chce, to dawno już zrozumiała zagranica, nawet rządy najbardziej z nami zaprzyjaźnionych państw: wszak chyba mieliśmy w ostatnich paru latach dosyć przykładów, że w Paryżu czy w Londynie spotkał się z wielkiem uznaniem i życzliwością niejeden z tych, których tam skompromitować usiłowano, przypominając ich „centralną” podczas wojny politykę czy sympatje. Zaniechania reminiscencyj wojennych domaga się wreszcie względ na obecny pożytek kraju, czyż bowiem mamy zbyt wielu ludzi, byśmy całe ich zastępy chcieli skazać na bezczynność, gdy tyle potrzeba pracy przy budowaniu Ojczyzny? Chwila, w której do wspólnego dzieła podadzą sobie dłonie dawni „aktywiści” z „pasywistami”, „moskalofile” z „germanofilami”, zaiste będzie chwilą uzdrowienia serc polskich z najbardziej nierozumnej niesnaski. *Sanabiles fecit Deus nationes* — powiada Pismo św. Ufajmy, że i z tej choroby wyleczymy się.

Wyniszczyć trzeba następnie drugiego mikroba, zapewne uporzeczyszego niż pierwszy, mikroba nieustępliwości partyjnej. Sztuka robienia kompromisów, gdy tego wymaga dobro ogólne, to podobno abecadło polityki. Prawda, że są kompromisy i kompromisy. Niemoralne są wtedy, kiedy się je zawiera dla wzajemnego poparcia się paru stronnictw ze

szkodą całości narodu. Ale nie tylko godziwym lecz wprost koniecznym staje się kompromis, jeśli chodzi właśnie o ratowanie ogólnego dobra i całości Rzeczypospolitej. Takiego szlachetnego kompromisu była widownią Polska, kiedy wróg zbliżał się pod mury stolicy. Takiego kompromisu domaga się także ojczyzna w chwili obecnej, kiedy stoi nad przepaścią anarchji i finansowej ruiny. Nieustępliwości żadne stronnictwo nie może usprawiedliwiać obowiązkiem wierności własnym przekonaniom i własnemu sztandarowi. Taktyczny bowiem kompromis, odłożenie na później realizacji własnych ideałów społecznych czy politycznych, a pryncypialne wyparcie się ich to dwie różne rzeczy. Można współpracować z politycznym przeciwnikiem nad tem, co możliwe jest do osiągnięcia taką współpracą, a jednocześnie zyskiwać przez uczciwą propagandę własnych przekonań coraz większe szeregi zwolenników. Kto wierzy w „prawdę” tych swoich przekonań, niech jeszcze zdobędzie się na ufność, że prawda zwycięży i stanie się własnością ogółu. Jeżeli w naszej walce partyjnej jest tyle zaciekłości, to może właśnie dlatego, że zamało wierzymy w zwycięską moc prawdy, więcej ufając sile bezwzględności i gwałtu.

Kompromis, ustepliwość możliwa jest bez sprzeniewierzenia się własnym ideałom i programom. Dużo łatwiej atoli da się osiągnąć przy pewnej dozie sceptycyzmu co do wartości tychże. W osnowie ich leży raz doktryna Marxa, to znowu ideologja nacjonalizmu, to znowu klasowego chłopskiego interesu. Czy jesteśmy bezwzględnie pewni, że te doktryny są absolutnie prawdziwe, że interesa klasy naszej pokrywają się z dobrem całego społeczeństwa? Przedewszystkiem, czy ponad „naukowemi” wywodami ekonomistów i filozofów nie stoi już żadna wyższa prawda, żadne absolutne prawo, do których, jako do normy swej ostatecznej, wszystko stosować się winno? Albo czy jesteśmy pewni, że nasze programy w niczem od tej normy nie odchylają się?

Taka norma istnieje w rzeczywistości, — odwieczne prawo Boże, może łatwo zacierające się w sumieniach ludzkich, ale wyraźnie czytelne z kart ewangelji Chrystusowej. O istnieniu tego wyższego prawa trzeba wciąż głośno przypominać, choćby się miało podzielić los „wołającego na puszczy”. Tu-

szymy sobie wszakże, że w katolickiej Polsce — i to w licznych jej stronnictwach — znajdzie się jeszcze wielu polityków, posłów, publicystów, którzy pozwolą zapukać do swych sumień w imię Chrystusowe. Do nich przeto się zwracamy.

Że zasady ewangelji winny przepoić całe życie zbiorowe, w szczególności politykę, to w teorii często się uznaje, nawet w kołach niechrześcijańskich. My, Polacy, w szczególności winszujemy sobie, żeśmy się tej prawdy domyślili; za chlubę narodu poczytujemy tych wielkich synów naszej Ojczyzny, którzy ją głośno wypowiedzieli; chwilę, w której ta zasada urzeczywistni się, gotowiśmy uważać za początek nowej epoki w życiu ludzkości. Jeżeli te teoretyczne uznania nie mają być obłudą, nie zapominajmy ich zastosować w praktyce, poczynając od swego własnego obozu i narodu. Może być, że wszelkiej czci godnymi wydają się nam nasi teoretycy partyjni, uznajmy wszakże, że nad nimi wszystkimi stoi Chrystus. Jesteśmy jego wyznawcami? A więc ponad nasze wszystkie interesa klasowe, ponad wszystkie manifesty partyjne postawmy Jego prawo, prawo powszechnej sprawiedliwości i braterstwa ludzi i narodów. A więc nie o to wszelką bronią walczymy, byśmy zwyciężyli my, by zwyciężył Pankracy, czy Henryk; niech zwycięża Galilejczyk! Wzruszanie ramion z politowaniem nad takim „romantyzmem“, kiedy nadarza się sposobność do wyznawstwa chrześcijańskiej zasady, to zaprzęstwo prawdziwe. I nie łudźmy się, że wtedy nasza polityka jest trzeźwym „realizmem“, bo nie może być realnem to, co zapoznaje rzecz najrealniejszą, bo absolutne prawa, ogłoszone przez Zbawcę i Prawodawcę świata.

Jak tępić ów trzeci zarazek naszej polityki — niemoralne metody walki z przeciwnikami — zdaje się, że nad tem nie długo potrzeba się rozwodzić. Ósme przykazanie dekalogu obowiązuje wszystkich, nawet w polityce, w walce partyjnej czy narodowościowej. Domaga się tego prosta ludzka uczciwość. Jeżeli zaś chodzi o polityków chrześcijańskich, to pozwolimy sobie podać im na zakończenie jeden praktyczny a niezawodny środek. Środkiem tym jest zwyczajna praktyka dobrych chrześcijan — codzienny rachunek sumienia, tylko zastosowany do własnych działań w dziedzinie politycznej. Czy Chrystus postąpiłby tak, jak ja, w tej sprawie?

Czy wygłosiłby taką mowę? użył takich argumentów? czy żywiłby takie uczucia względem politycznych przeciwników? Może samo wystawienie Chrystusa w roli polityka wydaje mi się bluźnierstwem; czy to nie dlatego, że moja polityka rzadko chadza drogami, jakie On nakreślił sumieniom ludzkim? Czy przynajmniej pochwaliłby to moje przemówienie z trybuny, ten mój zabieg w kuluarach, ten artykuł w dzienniku partyjnym, to moje uczucie względem politycznego wroga?

O „muzykach” rosyjskich powiadają, że kiedy chcą wyprawić wesołą zabawę, zdejmują obrazy święte ze ścian, lub przynajmniej zakrywają je, by oczy świętych nie patrzyły na to, co czynią. Zdaje się, że jeśli trafiają się politycy, usty wyznający Chrystusa, a mimo to zapominający o Jego zasadach i Jego duchu w polityce, to chyba zasłonili żywe oblicze Chrystusa w duszach swoich.

Pokłonić się temu Chrystusowi „w duchu i prawdzie” — to ostatnie słowo i ostatnia recepta na uzdrowienie naszej atmosfery politycznej. Uznać Chrystusa za najwyższego prawodawcę i wzór postępowania we wszystkim to znaczy położyć najmocniejszy fundament pod budowę Ojczyzny.

„Bo innego fundamentu nie można położyć, jeno ten, który jest położon — Jezus Chrystus”.

KS. JAN URBAN.

Improwizacja Konrada jako oda filozoficzna.

Dzięki prof. Kallenbachowi, który zbadał dokładnie kopię „Dziadów drezdeńskich“, pisaną ręką samego poety, wiemy dziś z całą pewnością, że pierwszą komórką, z której się rozrósł organizm arcypoematu, była Improwizacja Gustawa-Konrada. Wyrosła ona, jak wiadomo, na gruncie, przygotowanym w Rzymie (w grudniu 1829 r.) pod tragedję o Prometeuszu - chrześcijańskim, tragedję nigdy nie napisaną, ale poczętą już w duszy poety. Wiedział to już rzymski towarzysz Mickiewicza, Odyniec, gdy pisał: „Przekonany jestem najmocniej, że scena Improwizacji z III-ciej części „Dziadów“ jest zabytkiem tylko i odbiciem głównej treści tego dramatu, który głęboko tkwił w duszy autora“. Przeżycia Mickiewicza z trzech lat po powzięciu i zaniechaniu planu rzymskiego sprawiły, że jego Prometeusz znowu się — spaganizował i przejął nieboburczą pychę Prometeusza Goethego. Te echa Goethego i innych poetów już dość starannie wyłowiono z Improwizacji. Nie zadano sobie jednak jeszcze pytania, do jakiego gatunku poezji zaliczyć ten dramatyczny monolog, pisany w pierwszej chwili jako całość samodzielna, bez względu na to, co przed nim i po nim będzie w dramacie. Czy to jest tak zwany „monodram“, czy „psychodram“ to jest monolog, streszczający w sobie cały dramat? Tego gatunku literackiego, wykształconego dopiero przez Ryszarda Meerheimb'a¹⁾ (1825—1896), Mickiewicz jeszcze nie znał. Więc fragment zamierzonego dramatu? Tak, ale ten fragment ujęty został w pewną formę, której określenie ma być zadaniem niniejszych uwag.

¹⁾Psychodramen. Redams Universalbibliothek 2410, 2604.

Ze wszystkich form linowych najbardziej się skonwencjonalizowała z początkiem XIX wieku — oda. Jeśli śmieszny parwenjusz fredrowski, pan Geldhab wzywa swą córkę Florę („poetyczkę”), by powiedziała „odę — na przykład na ten czarny stolik lub komodę”, to wymienia ową nazwę dlatego, że była ona popularnym wykładnikiem wszelkiej twórczości poetyckiej. „Pisać ody” znaczyło za księstwa warszawskiego i w pierwszym dziesięcioleciu kongresówki tyle, co „pisać wiersze”. Może nawet w hyperboli Geldhaba, że przed odą Flory może się schować „Nelson z Kopernikiem” porbrzmiewa echo rozgłosu, jaki w r. 1806 wywołała Osińskiego „Oda na Kopernika”. Otóż ta najbardziej zbanalizowana forma liryczna zawierała elementy, które z niej czyniły najodpowiedniejsze naczynie dla natchnienia — romantycznego. Wystarczy przypomnieć takie zdanie z poetyki Euzejusza Słowackiego (Dzieła II 74): „Dusza poety jest... wyłącznie i zupełnie przedmiotowi swemu oddana; wszystko, co z uczuciem jego nie ma związku, znika z jego oczu; zdaje się być sam na świecie z imaginacją i zapałem swoim: stąd wynikają wyniosłe i nadzwyczajnie żywe myśli, górne obrazy, nagłe wzruszenia, które lirycznym uniesieniem nazwać można... (a) przesuwanie w imaginacji rozmaitych obrazów nie dozwala poecie dawać uwagi na porządek i logiczne następstwo wyobrażeń, a stąd powstaje to, co lirycznym nieładem czyli zamieszaniem nazwać można”. Pseudo-klasycy, z L. Osińskim i K. Koźmianem na czele, wypełniali ody udaniem, robionem natchnieniem, uniesieniem, entuzjazmem. Ale gdy Mickiewicz poczuł w sobie szczerzy entuzjazm, wyładował go także w formie tradycyjnej ody, zwróconej do młodości.

Fakt, że strumień jego natchnienia popłynął tu w łóżysku tradycyjnej ody pseudo-klasycznej i że zabrał ze sobą dużo jej elementów, zmieszanych z naleciałościami Schielerowskimi i Pindarowskimi, tłumaczy się między innymi tem, że „Oda do młodości” pisana była rzeczywiście w chwili egzaltacji, natchnienia. A jakżeż takie natchnienie wpływa na twórczość literacką w jej fazie ostatecznej t.j. przy redagowaniu, spisywaniu utworu? „Ilekroć — powiada na podstawie samo-
obserwacji K. Irzykowski w Pałubie (str. 526) — twórca w chwili, gdy pisze, ogarnia wzruszenie, natchnienie, szaf

twórczy, poczucie rozmachu, harmonja sfer, tylekroć może być pewny, że jest w pobliżu jakiejś banalności, jakiegoś wyuczonego stanu nieokreślonych reminiscencyj, które pokryjomu dopraszają się życia". Paradoksalna na pozór sentencja Irzykowskiego mieści w sobie tę prawdę psychologiczną, że im krótszy czas dzieli koncepcję od redakcji utworu, tem mniej do głosu przychodzi namysł, autokrytyka, tem silniej działa nieświadome, któreby można porównać z afawistycznym instynktem. Jak instynkt bez wiedzy człowieka odchyła kierunek jego świadomych postanowień i postępów, tak nieuświadomione tradycje literackie nastroczają gotowe formy i motywy w chwili, gdy ich twórca nie szuka, bo on spisuje tylko to, co mu dyktuje natchnienie. A natchnienie czerpie swą treść właśnie z pod progu świadomości, gdzie drzemia tradycje.

Przypuściliśmy, że forma „Ody do młodości“ nasunęła się Mickiewiczowi sama dlatego właśnie, że jej nie szukał, a była najtradycjonalnijszem naczyniem natchnienia. Ale choćby był zastanawiał się nad wyborem formy dla wyrażenia swych haseł filomackich i filareckich, nie byłby znalazł innej. Posłuchajmy, co pisze w przedmowie do swych *Odes* (1822) Wiktor Hugo: Obrął on dla swych natchnień formę ody, „bo w tej właśnie formie inspiracje najpierwszych poetów pojawiały się niegdyś u najpierwszych narodów“. Wprawdzie oda francuska, oskarżana ogólnie o chłód i monotonię, wydawała się niezbyt odpowiednią do wyrażenia tego, co ostatnie trzydzieści lat historii francuskiej przyniosły wzruszającego i strasznego, ponurego i porywającego, potwornego i cudownego, ale autor, rozważając tę przeszkodę, odkrył, jak sądził, że ów chłód nie tkwił w istocie ody, lecz jedynie w formie, którą jej dotąd nadawali poeci liryczni. Wydało mu się, że przyczyna owej monotoni leżała w nadużywaniu apostrof, wykrzykników, prosopopei i innych gwałtownych figur, które mrozą, gdy są zbyt liczne, i oszałamiają zamiast wzruszać. Myślał więc, że jeżeliby się ruch ody umieściło raczej w myślach niż w słowach i jeżeliby się raczej oparło kompozycję o jakąkolwiek myśl przewodnią, stosowną do przedmiotu, której rozwinięcie we wszystkich częściach odpowiadałoby

rozwojowi opowiadanego zdarzenia; jeżeliby się wreszcie zużyte i fałszywe barwy mitologii pogańskiej zastąpiło nowymi, prawdziwymi barwami teogonii chrześcijańskiej, toby można odzie nadać jakiś dramatyczny interes i kazać jej mówić tym językiem surowym, poważnym i pocieszającym, którego potrzebuje stara społeczność, wychodząca zachwiana z saturnaliów ateizmu i anarchji... W przedmowie do drugiego wydania „Od“ (1824) starał się W. Hugo pośredniczyć między klasykami a romantykami, a w r. 1826, łącząc stare ody z nowymi *Balladami*, wykazywał względność pojęć klasyczności i romantyczności, podobnie jak Mickiewicz w przedmowie do pierwszego tomiku *Poezyj* z r. 1822. Tomik ten nie zawierał (ze względów cenzuralnych) Ody do młodości, a jedynie hymn na Zwiastowanie N. P. M. reprezentował w nim ten gatunek literacki. Ale gdyby Mickiewicz napisał był więcej ód, byłby w jakiejś innej przedmowie mógł bronić tej formy klasycznej argumentami — W. Hugo. Wszak oda nadawała się bardzo do tego, by służyć za pomost między starą a nową szkołą i była ona jedyną formą klasyczną do wyrażania egzaltacji i entuzjazmu, dla których romantycy domagali się głosu; ona wyłamywała się jedynie z pod praw konwenansu, przynajmniej w teorii, bo w praktyce stała się najkonwencjonalniejszym rodzajem lirycznym. Z chwilą, gdy romantykom udało się oczyścić ją z przypadłości konwenansu i „przywrócić jej właściwą naturę“, jakby powiedział Arystoteles, stała się znów najodpowiedniejszym rydwanem do najwyższych wzlotów. Sam Mickiewicz czuł, że najwyższym jego wzlotem jest *Improwizacja Konrada*. Przy improwizacji dusza, ogarnięta jakimś potężnem uczuciem, wyrzuca swą treść z błyskawiczną szybkością w gófowej formie. Improwizatorzy niechętnie pozwalają na notowanie tych wylewów, tem mniej na ich wydawanie. Inna rzecz, jeżeli zaród pewnego utworu przez całe miesiące, a nawet lata kielkuje w duszy twórcy, niepokoi ją, przyswaja sobie wszystko, co z nim ma pewne powinowactwo chemiczne — czy to z rozmów, czy z lektury, aż nadejdzie chwila, w której twórca prawie odruchowo wyrzuca z siebie pewien gniojący go ciężar. *Improwizacja* pisana, niezależna od rozmaitych zewnętrznych względów, krępujących zwykle improwizatora

ustnego, jest więc tylko spotęgowanym i przyspieszonym procesem normalnego tworzenia. A że rzucony na papier pierwszy koncept pozostaje w rękach poety, ten może poddać go autokrytyce i stosownie do jej sądu zmienić. I nie ulega wątpliwości, że Mickiewicz zmienił niejedno w pierwszym rzucie Improwizacji Konrada, napisanym, według wiarygodnych świadectw, jednej nocy, jak przedtem porzuc inne koncepty. Bo że już przedtem próbował ująć w wiersz kompleks myśli i uczuć, które potem wyraził w Improwizacji, dowodem na to „urywek“, zaczynający się od słów: „Broń mię przed sobą samym“, wydany po raz pierwszy z autografu paryskiego przez prof. J. Kallenbacha (Przegląd Polski, 1889 ze stycznia). Bóg ma bronić poetę przed nim samym, jeśli ma dość potęgi.¹⁾ Są bowiem chwile, w których poeta nawskróś widzi księgi Boże, jak słońce przeziiera przez mgłę, która je zaćmiewa. Człowiek, większy nad słońce, wie, że złota mgła, zasłaniająca słońce, jest tylko tworem jego oka. To też poeta spogląda Bogu oko w oko, chwyta się go rękami za obie ręce²⁾ i krzyczy cały głos: „Wydaj tajemnicę! — Dowiedz, żeś jest mocniejszy, lub wyznaj, że tyle — tylko, ile ja, możesz w mądrości i sile...“ Tu poeta uzasadnia identyczność Boga z człowiekiem: Bóg niema swego początku, a i plemię ludzkie, nie wie, od jakiego czasu spadło na ziemię (z niebieskiej ojczyzny); Bóg „bawi się“ badaniem samego siebie, rodzaj ludzki „grzebie się“ w swych dziejach; mądrość Boża niedociecze samego Boga, a i ludzie sami się nie znają. I Bóg i ludzie mają nieśmiertelność, i On i oni znają się i nie znają, nie znają przynajmniej swego końca. Jak Bóg, tak i ludzie dzielą się i łączą, jak On różny, tak oni zawsze myślą rozróżnieni, jak On jeden, tak oni zawsze połączeni sercem. Bóg włada na niebiosach, ludzie tam śledzą gwiazdy, On wielki w morzach, oni jeżdżą po nich i zwiedzają ich głębi... Czemże więc Bóg, co świecąc nie zna wschodu i zachodu, różni się od ludzi? On toczy walkę z szatanem w niebie i na ziemi;

¹⁾ „Za obie prawice“ pisze Mickiewicz, uniesiony rymem do „żrenice“.

²⁾ Tak odczytał autograf prof. S. Pigoń (Przegl. warsz. II 12, wrzesień 1922, str. 317; pierwszy wydawca czytał: „Muszę dojść potęgi“).

ludzie walczą w sobie, z własnymi chęciami. Bóg wziął raz na siebie postać człowieka, ale czy jej nie miał od wieków?

Na tem kończy się ta synkrysis Boga z człowiekiem, oparta, jak twierdzi prof. Kallenbach, na jakiejś myśli St. Martina, której mi się nie udało znaleźć. Ale źródło to jest obojętne wobec faktu, że ten sam tok myśli wraca w Improwizacji Konradowej: Konrad czuje nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzy w swej pieśni, a i Bóg nie mógł zrobić nic większego (w. 54 nn). Bóg „czuje na niebie, a Konrad ma taką potęgę, że potrafił tam przybyć (w. 100 nn). Myśl jego (myśl ludzka) wydarła niebiosom gromy, śledziła chór planet, rozwarła głąb morza (116 nn), a więc wydarła Bogu Jego tajemnice. Siły Konrada przyszły stamtąd, co i siły Boskie i jak Bóg, nie boi się ich stracić (128 nn). W imię tej równości z Bogiem żąda Konrad rządu dusz. Dotąd nie spotkał na ziemi wyższych od siebie (178), więc staje przed Najwyższym na niebiosach: „Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję“. Odpowiada to dwuwierszowi urywka: „Dowiedź, żeś jest mocniejszy, lub wyznaj, że tyle — tylko, ile ja możesz, w mądrości i sile...“

W urywku jest to mierzenie się z Bogiem tylko pokusą, przed którą Bóg ma bronić poetę, jeśli ma dość siły; w Improwizacji pokusa przeszła w czyn. Z tego względu nie można przypuścić, by urywek powstał po Improwizacji, ale trzeba go uważać za pierwszy jej rzut, za pierwsze wyjawienie tych uczuć i myśli, które poetę powiodły przed Boga już nie po jego tajemnicę, ale po rząd dusz.

Takich urywków przed Improwizacją może było więcej. Spisawszy ostatecznie Improwizację, poeta, jak wspomnieliśmy, z pewnością ją jeszcze zmieniał. Ale te zmiany dotyczyły co najwyżej poszczególnych obrazów i wyrazów. Obce materiały były już tak przyswojone przez uczucie i umysł autora, że weszły w organiczny skład jego myśli i przyjęły jego indywidualny charakter. To też wydzielając je znów z organizmu Improwizacji, próbujemy tylko odtworzyć podniety, którym ulegała fantazja Mickiewicza, nim skryształizowała się w Improwizacji Konradowej.

Jak w „Odzie do młodości“ od martwego świata, tak w Improwizacji oddala się poeta od ludzi. Nie potrzebni mu

oni jako słuchacze, bo pieśni jego nie rozumieją. Jest to motyw, znany choćby z Horacego (c. III 1, 1): *Odi profanum vulgus et arceo*. Rozprowadził go F. Morawski w „Odzie na powrót wojska 1814 r.”, odpędzając panegirystów zbrodni w słowach: *Precz stąd, wieszczami nazwana niegodnie, — spodłonego Parnasu tłuszczo najemnicza, — co laurem cnoty czarne stroisz zbrodnie, — precz z mężnych oblicza*” itd. Mickiewicz, ulegając melancholji samotności, stłumił wyniosłe *odi profanum vulgus* odoğrafów i zastąpił je zrezygnowanem pytaniem: „Cóż po ludziach?” Akompaniowała mu przytem melodia „Muzy” Kochanowskiego: „Sobie śpiewam a muzom, bo kto jest na ziemi, — ktoby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?” Jest to taki sam hołd, choć może mimowolny, dla śpiewaka z Czarnolasu, jak parafraza jego piosnki o zdrowiu („Szlachetne zdrowie, — nikt się nie dowie, — jako smakujesz, — aż się zepsujesz”), umieszczona w początkowych wierszach „Pana Tadeusza”.

Po zrezygnowaniu z ludzkiego audytorjum i uzasadnieniu tej rezygnacji, następuje apostrofa do pieśni. Poeta nazywa ją „gwiazdą za granicą świata”, sądzi, że oko ludzkie, nawet zbrojne w lunetę („choć szklane weźmie skrzydła”) jej nie dosięgnie. Ale też tej pieśni ludzkie oczy, uszy nie potrzebne. Godnymi jej słuchaczami są tylko: Bóg i Natura. — A więc motyw odsuwania słuchaczy ludzkich snuje się dalej. Poeta podejmuje obraz ziemi, drżącej nad półkniętą, niewidzialną rzeką (w 8 nn) i każe pieśniom płynąć w wnętrznościach swej duszy, jak owa niewidzialna rzeka. Ale skąd obraz w świeceniu pieśni na wysokościach duszy (jej w. 23), skąd nazwanie jej gwiazdą? Poeta ma zamiar wzlecieć na skrzydłach pieśni poza naturę aż do samego Boga. Ten zamiar, później skuteczniejszy, już od początku nadaje kierunek jego wyobraźni i wywołuje obrazy astronomiczne. Nie mniej można i tu widzieć pewną tradycję odograficzną.

Przypomnijmy sobie, jak L. Osiński (oda na cześć Kopernika), zabierając się do opiewania astronomicznego odkrycia Kopernika, wzywa Uranję do wspomagania jego zbyt śmiałego lotu, i jakby już uzyskał jej pomoc, przebiega przestworza niebieskie:

Po jego śladach, wolen ziemskiej trwogi,
odwiedzam ciała niebieskich nieomylnie drogi,
mierzę wielkość natury; w przestrzeni wiszące,
ręką Stwórcy rzucone, śledzę bryły tysiące,
jak się unoszą, toczą, przyciągają, krążą
i do jednego celu zgodnym biegiem dążą.

Tam wreszcie dojdą, gdzie potężne Bóstwo,
wszystko na swojej utrzymując straży,
niezliczone światów mnóstwo
na łonie wszechmocności piastuje i waży.

Ponieważ już w zakończeniu „ody do młodości“, można wykazać echa czwartej strofy tej ody Osińskiego, wolno twierdzić, że przytoczona jej strofa druga przeformowała Konradowe wzloty między gwiazdy i skryształizowała się w w. 91 i nast.

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —
Potrzeba mi lotu!

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dojdę, gdzie graniczą stwórca i natura...

Jeśli przedtem (w. 57 nn) słowa. Mickiewicza „lecą, — rozsypują się po niebie, — toczą się, grają i świecą“, — to naśladują one tysiączne bryły Osińskiego (w. 13), które „się unoszą, toczą, przyciągają, krążą“.

Osińskiego zaniósł między gwiazdy sam przedmiot ody. Ale i konwenans wchodzi tu w rachubę. Odoğrafowie nie umieli inaczej wyrazić najwyższego wzlotu lirycznego, jak przez latanie po niebie. Tak już Kniaźnin w Pindarycznej odzie do Boga (z pośm. rękop. I 24), dotknięty tchnieniem bóstwa „lata po niebie“, widzi lazur, słońce, szuka gwiazd, poblasków w jego blasku. Fr. Wężyk w Odzie do Poezji (z r. 1808), sławi poezję. „której gwiazdami promieniste skronie — otacza w całym blasku świetność majestatu“ i na jej skrzydłach unosi się

aż tam, gdzie tkwiły utworów zarody,
dosięga okiem ducha tajemnej zasłony,
i widzi, jak z rąk Stwórcy świat wychodzi młody.

W odzie „Z okoliczności ogłoszenia Polski 28 czerwca 1812 r.“ woła: „niech świat w milczeniu głosu mego słucha“ a potem wzlatuje ku niebu:

Wzbiły nad czasów i wieków potęgę,
pomijam górne obłoki:

Przyszłość otwiera mi księgę,
niecofne czytam wyroki.

Tak improwizował Konrad wśród towarzyszków:

Wznoszę się, lecę tam, na szczyt opoki...
skąd ja przyszłości brudne obłoki
rozcinam moją żrenicą... mgły jej rozdieram:
Już widno, jasno! Z góry na ludy spozieram:
Tam Księga Sybillińska przyszłych losów świata.

Wreszcie Fr. Morawski (Na powrót wojska 1814 r.) zamierza za orłem Pindara „samego słońca dosięgnąć — i tam wstawiając braci swoich dzielność, — dla nich, dla siebie zdobyć nieśmiertelność“. Nic go nie wstrzyma w drodze, póki zwycięzcą nie stanie u góry:

Z odgłosem gromów lutnię moją zgodzę
i przez ryczące przebiwszy się ciemury,
w pośród miliona światów,
przy starem Lecha imieniu,
na wielkiem niebios sklepieniu,
zapiszę czyny Sarmatów...

I Wężyk i Morawski szli w swych zuchwałych lotach za tradycją odograficzną, za której przedstawiciela możemy uważać Lebruna¹⁾. Jego Enthousiasme, typową ode do poezji (pełną ech Pindarowej Pyth. I) ogłosił w przekładzie polskim J. Szydłowski w Dzienniku Wileńskim 1821 I str. 73 nn. p. t.: „Natchnienie“. Przytaczamy z niej ustęp zawierający motyw latania po niebie:

Orle, co czcicielów Feba
wznosisz przed tron bogów złoty;
natchnienie, w przepaściach nieba
zbląkały mię twe poloty:
Gubię z oczu kulę ziemną,
drobinę błota nikczemną,
gorszy cel pychy mocarza:
gwiazdy idąc, przed mem okiem
mijają milczącym tokiem,
a głos mój Olimp powtarza...

¹⁾ Ody jego zebrał w 4 tomach dopiero po śmierci autora (1807) Guingnené i wydał w Paryżu w r. 1811, ale i przedtem znane one były z wydań osobnych, tak że i Wężyk i Morawski i Osiński mogli byli czytać wiele z nich przed r. 1811.

Sam motyw latania po przestworzach wszechświata na skrzydłach fantazji wystarczył Schillerowi do wypełnienia krótkiego dytyrambu p. t.: *Die Grösse der Welt*:

Die der schaffende Geist einst aus dem Chaos schlug
Durch die schwebende Welt flieg'ich des Windes Flug,

Bis am Strande

Ihrer Wogen ich lande,

Anker werf,' wo kein Hauch mehr weht,

Und der Markstein der Schöpfung steht

Anzufeuern den Flug weiter zum Reich des Nichts,

Siehr' ich mutiger fort, nehme den Flug des Lichts,

Neblicht trüber

Himmel an mir vorüber,

Weltsysteme, Fluten im Bach,

Strudeln dem Sonnenwanderer nach.

Zatrzymuje go tam jakiś pielgrzym, ostrzegając, że przed nim — nieskończoność, a więc brak celu: „I za mną nieskończoność“, woła poeta, ale każe orleji myśli złożyć skrzydła i śmiałej żeglarce, fantazji, zarzucić zniechęconą kotwicę...

Podkreślony wiersz o granicznym kamieniu stworzenia powtarza się dwa razy. Czy jego echem nie jest kres lotu Konrada:

Tam dojdę, gdzie graniczą słońce i natura?

To wszystko chyba wystarcza na stwierdzenie, że pierwsza część Improwizacji aż do rozprawy z Bogiem (do w. 169) porusza się w sferze motywów właściwych odom. A że i swobodna forma całości, nie ujętej w regularne strofy, lecz zbudowanej z wierszy o rozmaitej długości i rytmie odpowiada formie dytyrambu, najluźniejszemu gatunkowi ody, nie możemy znaleźć dla niej innego pojęcia gatunkowego i innej nazwy, jak nazwę ody i to ody filozoficznej. Improwizacja Konradowa jest królową wszystkich ód świata.

Także jej problem nie jest pozbawiony przesłanek z tradycji odograficznej. Trzęsienie ziemi, które w r. 1755 zniszczyło Lizbonę i pozbawiło życia dziesiątki tysięcy ludzi, odbiło się gromkiem echem w twórczości europejskiej, stawiając poetów przed pytaniem, jak taką katastrofę pogodzić z dobrocią i sprawiedliwością Boga. Najsławniejszy w tym zakresie był poemat Woltera p. t. *Désastre de Lisbonne* (1756), tłumaczony między innymi przez Staszica i wydany

razem z jego Iliadą w r. 1815. Staszic, wyrzucając za Wolterem Stwórcy zgubę niewinnych dzieci i matek w Lizbonie, myślał niewątpliwie o świeżych nieszczęściach własnej ojczyzny i w jej imię „procesował się“ z Panem Bogiem:

Czemuż nędzni tyle cierpim pod Bogiem sprawiedliwym?
Oto trudności, które rozwiązać wprzód trzeba było.

Mała to pociecha, że zło jednych bywa dobrem drugich. Tak, ciała nasze posłużą za pokarm robactwu! Bo „wszystkie na tym świecie jestestwa trapią się, jęczą; rodzą się, aby cierpieć; mrają, aby drugim stały się karmią“. Ale ze zmian nieszczęść jednostek trudno złożyć szczęście ogółu. Złe na ziemi jest jawne, przyczyny jego ukryte. Czy pochodzi ono od dobrego Stwórcy? czy od złego Arymana lub Tyfona? Ale „jakże pojąć, aby Bóg, w swej dobroci nieskończony, dzieci, które ukochał, tylu opatrzył dobrodziejstw, — aby ten sam je skazał na wszechnieszczęść, cierpień okrucieństwo? Czy nie mógł ich ocalić? Czy nie chciał? Czy tylko winnych ukarał?

A może Bóg włada wszechświatem „bez litości, gniewu, na wszystko obojętny, spokojny“, wypełniając „przyrodzenia pierwsze przedwieczne ustawy“? A może życie śmiertelne jest tylko przykrem przejściem, któremu kres położy dobroczynna śmierć, by nas wprowadzić w życie wieczne? Lecz któż z nas pewien, że tam będziemy szczęśliwi? Natury próżno o to pytać; ona zostaje niema i głucha. „Przemówienia Boga trzeba do rodzaju ludzkiego“. Niestety, i Bóg milczy — a filozofowie (jak Leibnitz, Platon, Epikur) nie umieją objaśnić zła, widocznego w świecie. Poeta zwrócił się więc po wyjaśnienie do Bailla:

On, trzymając w ręku wagę, wątpić, ważyć uczy,
sam z siebie mędrzec wielki, mędrzec u świata zawołany,
nie potrzebuje żadnych systemów, wszystkie wstrząsł, zwał;
nakoniec sam się zbijał; co wyrzekł, to sam zniweczył

i leży pod gruzami własnych wątpliwości, jak Samson pod gruzami.

Jakąż w tem wszystkim może być rozum człowieka pomocą?
Nie nie może. Przed nami skrytości księga zamknięta...
Człowiek sam sobie obcy, nie znanym jest sam od siebie,
nie wie, czym jest, gdzie jest, skąd się tu wziął ani dokąd idzie
Proch nikczemny, proch miotany po blocka kuli.

Ale ten proch — myśli. Jego myślą kierowany
 wzrok niezmierności przepaść przebiega i niebo mierzy.
 Proch, który siebie widzieć i nie mogąc siebie poznać,
 Chce nieskończoność widzieć: w nią rzuca się i chce ją poznać.

Napróżno. Jedyną pociechą w nieszczęściach życia może być tylko nadzieja, że „przyjdzie kiedyś taki czas, w którym wszystko będzie dobrem; w którym prawdziwą, niczem niezmienną szczęśliwość osiągniem“. — Staszic w to wierzył; Wolter nie bardzo.

Streściliśmy poemat Woltera jako typowy przykład „procesu z Bogiem“ o nieszczęścia spadające na ludzi. Mickiewicz, młodyciany tłumacz „Darczanki“ i przerabiacz „moralnych“ historjek Woltera na polskie (Mieszko, Aniela z r. 1817, przeróbki z *L' éducation d' un prince* i *Gertrude ou l' éducation d' une fille*) może i czytał kiedy *Désastre de Lisbonne*, ale przy pisaniu Improwizacji z pewnością już o tem nie pamiętał. Prędzej mogła mu utkwąć w pamięci oda Lebruna na ten sam temat, ogłoszona w przekładzie polskim Stanisława Rosołowskiego w Dzienniku Wileńskim 1821 I str. 442 nn, p. t. „Oda na zapadnienie Lisbony w r. 1755.“ Francuski Pindar uwydatnia w niej marność człowieka i jego duszy wobec Boga, „co stworzeń wątek — jednym słowem wyprowadził“, co „idzie z strzaskiem i łoskotem — wśród wścieklej burzy hałasów“,

on sam tylko niewzruszony
 patrzy na kolejne zgony
 królów, narodów i czasów,

karci ludzi i mści się nad nimi... Obraz to podobny c Mickiewiczowego: „a ty mądrze i wesoło, — zawsze rządzisz, — zawsze sądzisz — i mówią, że ty nie błądzisz“. Równie pesymistycznie patrzy Lebrun na wojny, nekające ludzkość po owym trzęsieniu ziemi w „Odzie do Słońca“, ogłoszonej w przekładzie tegoż Rosołowskiego w Dzienniku Wileńskim 1822 II str. 71 nn. — Ody te przytaczamy jako dowód, że straszne nieszczęścia, trapiące ludzkość, były przedmiotem ód filozoficznych i nasuwały odoğrafom wątpliwości w teodiceę. Improwizacja Konrada i pod względem przedmiotu miała więc tradycje w odach.

Podstawową jej myślą jest pytanie, jak nieszczęścia narodu pogodzić z opatrnością i miłością Stwórcy. Niemo-

zliwość tego pogodzenia prowadzi Konrada do buntu przeciw Bogu, jak tylu Prometydów. Jednym z pierwszych był biblijny Job, którego postać wprowadził do objaśnienia Improwizacji już Stanisław Tarnowski (w Hist. lit. pol.). Brak odpowiedzi na pytanie, dlaczego na świecie sprawiedliwy cierpi, a grzesznik triumfuje, prowadzi go do negacji wszelkiego moralnego związku między Stwórcą a stworzeniem i do okrzyku: „A choć zgrzeszyłem, cóż tobie uczynilem — tyranie ludzi (nozer ha adam VII 20). Mickiewicz nie czytał tekstu hebrajskiego, a Wulgata ma tylko *custos hominum*, a polski przekład „stróżu ludzi“. Ale warto zauważyć zbieżność dwóch Prometydów w strasznym bluznierstwie.

Job zaczął prawie od tego, na czym Konrad chciał skończyć. Przyjaciele jego podnoszą rozmaite argumenty na objaśnienie istnienia zła i niesprawiedliwości na świecie; on im przyznaje tylko tyle, że istotnie między Stwórcą a stworzeniem zachodzi ogromna różnica, wobec której nie może być mowy o jakimś sporze między stronami tak niewspółmiernymi. Różnicę tę akcentuje jeszcze silniej rozwiązujący sprawę *Deus — ex machina*, który pojawia się jakby dla odparcia zarzutu Joba, dlaczego on sam nie wykazuje prawa swego rządu. Bóg odpowiada — pytaniami, uświadamiającemi nicość człowieka i jego rozumu wobec wszechmocy Stwórcy wszechświata. Otóż te pytania ma już Konrad i uprzedza je stwierdzeniem potęgi rozumu ludzkiego i swej identyczności z Bogiem: Rozum ludzki wydał już tajemnice nieba tak pilnie strzeżone przez Boga Jobowego. Jak myśl Epikura wyłamała zapory natury i posunęła się po za płonące mury świata, skąd przyniosła ludziom odpowiedź o tajemnicach stworzenia (Lucretius I 72 nn), tak myśl Konrada wylatuje po za gwiazdy, po za granicę natury. A jak Manilius (j. w.) pozwolił człowiekowi gwiazdami oczyma patrzeć z blizka na Olimp i poddawać badaniu Jowisza, do czego uprawniała go tożsamość obojga, tak Konrad wobec epilogu Joba powołuje się na potęgę myśli ludzkiej i tożsamość ducha ludzkiego z boskim.

Konrad, żądający od Boga sprawy z rządów, znajduje się w podobnej sytuacji jak — Faust, który odważył się

zwrócić z pytaniami o istotę istnienia do — Ducha ziemi. Słowa, które od niego zasłyszał: „Równyś duchowi, którego pojmujesz, nie mnie“, nie były dla Konrada dostatecznem ostrzeżeniem, chociaż on nie wziął swej mowy „z ksiąg, ani opowiadań... ani z czarodziejskich badań“, jak Faust z księgi Nostradamusa. Tu Konrad wyraźnie zaznacza swą różnicę z Faustem, który napróżno pytał o tajniki stworzenia Ducha ziemi. Ale poza tem łączy go z Faustem wstępny monolog pogarda dla zapylonych ksiąg, szkielek, retort, instrumentów, z których pomocą można naturze wydzierać tylko cząsteczki potęgi; obaj pragnęli całości, choć w rozmaitych sferach, jakkolwiek i Faust prócz intelektualnych miał także aspiracje socjalne: „Ich fühle Mut mich in die Welt zu wagen, — der Erde weh, der Erde Glück zu tragen“. U wstępu do rozmowy ducha z duchem czuł Faust koło siebie i w sobie dziwną jasność; widział, jak w czarodziejskim znaku księgi objawiały swą działalność siły niebieskie, jak wszystko przenikały harmonijnem brzmieniem: była to ta sama harmonja sfer, którą archaniołowie opiewali w niebieskim prologu:

Die Sonne tönt nach alter Weise
in Brüdersphären Weltgesang...

Ale na tem nie kończą się analogje między „Faustem“ a „Dziadami“. Faust po słownym monologu, prowadzącym go do zuchwałego interpelowania samego „ducha natury“, przekonywa się o ograniczoności ducha ludzkiego, chwytając „z pogodnem postanowieniem“ flaszeczkę z trucizną i przykłada ją do ust, — gdy nagle dochodzi do niego dźwięk dzwonów i śpiew chóralny, sławiący w poranek wielkanocny Zmartwychwstałego: Faust wstrzymuje rękę, słucha. Fala delikatnych wspomnień dziecinnych i młodzieńczych, połączona z świętą nastrojem wielkanocnym, zmogła go — to też wyznaje: „Łza się toczy, ziemia ma mię znowu“ i pozostaje na stanowisku, by dalej walczyć o życie.

Mickiewicz połączył wspomnienia dziecinne z czarem wigilijnym. Jego więzień znajduje się w celi bazylińskiego klasztoru przy ulicy Ostrobramskiej. Wiemy z inwokacji „Pana Tadeusza“ o cudzie, spełnionym nad niemowlęciem za sprawą Matki Boskiej z Nowogródka. Jego wspomnienie,

obudzone sąsiedztwem cudownego obrazu Ostrobramskiego, łączy się ze wspomnieniem zmarłej matki, która go poleciła Aniołowi Stróżowi i ciągle modli się za synem. Wprowadzenie tego Anioła Stróża i innych duchów dobrych i złych przemienia scenę więzienną na Faustowski czy Hiobowy prolog w niebie, na walkę, rozgrywającą się o duszę człowieka między duchami dobrymi i złymi. Jak Hioba i Fausta sam Bóg oddaje na próbę w ręce wroga—szatana, tak o Konradzie śpiewa Anioł: „My uprosiliśmy Boga, — by cię oddał w ręce wroga“. Wrogiem jest tu — Moskal. Uwięziwszy Konrada, daje on mu sposobność dumania o swoim przeznaczeniu w samotności, która jest mistrzynią mędrców. W tej samotności Gustaw zamienia się w Konrada. Walka o jego duszę ma już pod koniec Improwizacji zakończyć się klęską duchów dobrych, gdy Ksiądz Piotr ratuje duszę bluźniercy. Wtedy w bliskim kościele za ścianą zaczynają śpiewać pieśń Bożego Narodzenia. Ta pieśń i dalsze chóry odpowiadają nie tylko pieśni wielkanocnej z końca nocy Faustowskiej, ale także poniekąd owym pieśniami, którymi na końcu tragedji anioły i archanioły towarzyszą wznoszeniu się duszy bohatera do coraz wyższych stref nieba.

Tak najogólniejsze kontury Improwizacji przypominają pierwszy monolog Fausta, wyzywającego ducha ziemi w nocy, zakończonej chórami aniołów, a echa poematu Goethego rozbrzmiewają, jak widzieliśmy, i w innych ustępach Działów drezdeńskich. Ale Fausta bronią jest rozum, który przez swój pęd naprzód, w górę, pozwala mu zawsze zachować świadomość „prawej drogi“ i uratować lepszą część: Konrad walczy uczuciem, którego najwyższe napięcie wyładowało się w Improwizacji w formie ody filozoficznej.

TADEUSZ SINKO.

Dzieje „Tantum ergo“ w Polsce.



Najświętszy Sakrament — to najwspanialszy dar Boga dla ludzkości, zespół największych cudów Jego miłości, w Nim wysila się niejako niezmierna Jego dobroć i dosięga swego szczytu, bo większego daru nawet sam Stwórca wszechpoteężny udzielić nam nie zdoła. To też nie dziw, że od początku swego istnienia Kościół święty otaczał tę Bożą tajemnicę najwyższą czią i miłością, ona była środkiem i metą całego kultu religijnego. Cześć ta wzmagala się stale i znalazła wreszcie zewnątrzny swój wyraz w uroczystem święcie Bożego Ciała. W r. 1264 papież Urban IV. w sławnej bulli „Transiturus“ ustanawia to święto dla całego Kościoła, polecając równocześnie św. Tomaszowi z Akwinu, aby ułożył odpowiednie pieśni dla mszału i brewiarza. Św. teolog, przejęty żarem miłości Bożej i pełen czi dla N. Sakramentu, tworzy precudne pieśni a między niemi i sławne „Pange lingua gloriosi“ którego dwie ostatnie zwrotki, jako t. zw. „Tantum ergo“ śpiewa po całej ziemi Kościół św. przy wystawieniu N. Sakramentu.

Jestto prawdziwie jedna z najuroczystszych chwil kultu chrześcijańskiego, gdy przed Bogiem, pod postacią kruszyny chleba utajonym, upada na kolana lud wdzięczny i schylając twarze, wylewa uczucia radosnego triumfu w pełnych prostoty, nieśmiertelnych strofach anielskiego Doktora. To też nie dziw, że wszystkie kulturalne narody chrześcijańskie starały się przyswoić sobie i na własny język przełożyć pieśń tak podniosłą, ażeby lud, rozumiejąc, co śpiewa, chwalił Pana nie usty tylko, ale i sercem. Dzieje tych wysiłków na naszej niwie Polskiej od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej, stanowić będą przedmiot niniejszej rozprawki. Dziś we

wskrzeszonej Polsce, która do rubaszości wieków dawnych nie wróci już nigdy, gdy na każdym polu staramy się nieudolne przeżytki usuwać, gdy sami Księża Biskupi podejmują starania nad ustaleniem poprawnych tekstów polskich w obrzędach, zapewne i ten szkic historyczno-porównawczy obudzi zainteresowanie wszystkich, którym na sercu leży piękno kultu N. Sakramentu.

Uderzającym zjawiskiem w naszej literaturze jest dziwna obojętność wybitnych literatów i poetów polskich na piękno i poezję hymnów kościelnych. Księżę naszych poetów, Jan z Czarnolesia, który tyle zapału i talentu włożył w przekład psalmów, nie poświęcił swego pióra ani jednemu przekładowi hymnów kościelnych w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Dopiero w wieku XVIII i XIX poeci tacy, jak Karpiński, Zaleski i Faleński zwracają uwagę na hymny i niektóre z nich przekładają. Przekładu „Tantum ergo“ i oni nam nie dali. Przez cztery wieki pracują w Polsce nad przekładem tym jedynie ludzie, dla których poezja jest raczej krótkiem wytchnieniem po pracy apostolskiej. Mimo to „Tantum ergo“ poczyną powoli wyłaniać się z kształtów niemowlęcych i coraz to sprawniejszą przybiera postać.

Z końcem XVI wieku i na początku w. XVII płodny pisarz, ks. Stanisław Grochowski podaje nam jedną z pierwszych prób tłumaczenia „Tantum ergo“. Podajemy tu przekład, wyjęty z IV wydania książeczki jego p. t. Hymny kościelne. Kraków r. 1611.

Dla tegoż w tym Sakramencie cześć Panu swemu dajmy,
A zwyczajem starych ofiar zgoła też nie pogardzajmy,
A czego oko nie widzi, wiarą tylko sięgajmy.

Wiekuiście niechaj będzie Ojcu cześć niezmiennemu,
Synowi równie rozliczna chwała jednorodzonemu,
Niemieli Duchowi Świętemu, od NICH pochodzącemu.

(Hymn LVIII str. 61).

Odczytując ten hymn widzimy, że przekład to jeszcze zupełnie niemowlęcy. Forma oryginału zupełnie znikła z obawy przed trudnością rymu, treść oddana tylko w przybliżeniu, albo zupełnie fałszywie (wiersz II).

Jeżeli jednak zważymy, że pierwsze dwa wydania tego hymnu wyszły już na schyłku XVI wieku, kiedy język nasz bardzo trudno nagiął się do subtelniejszego przekładu, to i te

próby uczonego altarysty warszawskiego powitać musimy z uznaniem. Lepsze znacznie tłumaczenie w pół wieku po nim przynosi nam dawny rycerz z pod Chocima, późniejszy sekretarz Władysława IV i Jana Kazimierza, ks. Jan Białobocki (Nasza Encyklopedia X. Nowodworskiego t. II str. 276 mylnie go Białobłockim nazywa). W r. 1648 wydał on w Krakowie: „Hymny i prozy polskie“. Książka, drukowana gotykiem na str. 131 przynosi nam następujący przekład „Tantum ergo“:

Przeto Świętość tak dostojna
Czcijmy w uniżoności,
A naukę Starozakonną
Dać nowej chwalebności,
Wetując wiarą gruntowną
Zmysłów tępych słabości.
Ojcu i Jednorodzonemu
Chwała i wdzięczne pienie:
Żywot, możność i cześć k'temu
Bądź i błogosławienie:
Z obudwu (!) pochodzącemu
Bądź zarówno chwalenie! Amen.

Porównując przekład ten z poprzedzającym, spostrzegamy dwa postępy: Jest tu przedewszystkiem zachowana zewnętrzna forma oryginału łacińskiego w rymach, albo assonansach, treść również zbliża się więcej do treści hymnu pierwotnego. Nawet rytm zaczyna się zgadzać z rytmem łacińskim. Oczywiście z powodu nieudolnego jeszcze stylu, pieśń do użytku kościelnego nadawać się nie mogła. Sam tłumacz czuł braki swych przekładów i dlatego ogromnie długi i pełen erudycji wstęp swój kończy słowami:

Dlatego się po krajach znaki poczyniło,
Aby sobie przeczytał kto chce, co mu miło...
str. 63.

Wiek XVIII przynosi nam bardzo niedokładny przekład „Tantum ergo“ niewiadomego autora w książce do nabożeństwa p. t. „Heroina chrześcijańska“, wydanej w Częstochowie w r. 1794, jako przedruk z dawniejszego dziełka. Jak rozpowszechnioną była ta książeczka w ówczesnym społeczeństwie świadczy fakt, że wspomina o niej Krasicki w swoich „Przypadkach Doświadczyńskiego“. Przekład, a raczej

pewne naśladowanie hymnu „Tantum ergo“ brzmi tam następująco:

Czczijmy wielce takie dary,
Niech ustąpi zwyczaj stary,
Czego rozum nie pojmuje,
To się wiarą niech przyjmuje.
Boгу Ojcu i Synowi
Cześć powinna oddajmy,
Spólnie Świętemu Duchowi
Dobroć, miłość wychwalajmy. Amen.

Tłumacz opuszcza poprostu dwa środkowe rzędkie oryginału i stąd otrzymuje zwrotki 4 wierszowe, dosyć wprawdzie gładko brzmiące, ale oczywiście, jako przekład wcale nie wytrzymujące krytyki.

Na schyłku tego samego wieku wychodzi nowy przekład „Tantum ergo“ w „Hymnach z brewiarza rzymskiego“ ks. Wacława Sierakowskiego, kanonika krakowskiego (Kraków, 1799, str. 69). Brzmi jak następuje:

Tak więc wielki Sakrament bądź nader uczczony,
Nowemu obrządkowi schodźcie dawne cienie:
Wiara niech nas zapewni, a słabość upłynie.
Ojcu tudzież Synowi chwała i pokłony,
Honor, cnota, cześć, pokłon i błogosławienie:
Idącemu od Obu równa cześć niech płynie! Amen.

Przekład ten, choć co do treści dosyć wierny, ustępuje tłumaczeniu ks. Białobockiego i znacznie słabszy jest pod względem ścisłości, gdy chodzi o formę oryginału. Wiersze rymują się w nim dość dziwnie, odmiennie od tekstu łacińskiego, rytm też zupełnie dowolny, w niczem pierwotnego nie przypomina.

W wieku XIX nie ustają próby spolszczenia hymnu św. Tomasza na sposób nowy. Tak w książce p. t. „Wielki i święty Tydzień“, wydanej we Wilnie w r. 1835 na str. 242 znajdujemy następujący przekład niewiadomego autora:

Najtak przedziwny patrząc Sakrament
Padajmy ozółem, niech duch Zbawcę sławi,
Manna, przez stary wskazana Testament
Rzeczywistości niech miejsce zostawi:
Niechaj dopełni wiara duszy żywa
To, na czem zmysłom w przekonaniu zbywa
Chwała Ojcowi (!) cześć i Zrodzonemu,
Sława, radość Pana wychwalenie,

Mądrość, zbawienie, moc Boga naszemu
 Niechajże będzie i błogosławienie,
 Wspólnie i z Duchem świętym, który wiecznie
 Z Obu pochodzi, niech cześć trwa statecznie! Amen.

Jak widzimy, za cenę rozwlekłości osiąga tłumacz dość znaczne zbliżenie do treści oryginału. Po raz pierwszy spotykamy tu pomysł rymowania dwóch ostatnich wierszy każdej zwrotki pomiędzy sobą, co jak zobaczymy później i w próbach XX wieku znajdzie zastosowanie.

Nie długo potem daje nam nowy przekład „Tantum ergo“ ks. Ignacy Hołowiński, arcybiskup mohylowski (1800—1855). Niezmordowany pisarz i wytrawny literat, tłumacz Petrarki i Szekspira, aczkolwiek uszczypliwie potraktowany przez Słowackiego w „Beniowskim“, odznacza się Hołowiński znaczną potoczystością stylu i wiernością przekładu. Jego „Hymny kościelne“ wyszły po śmierci tłumacza w Krakowie, w r. 1857. W tłumaczenie „Tantum ergo“ nie włożył przecież czcigodny arcybiskup tylu starań, ile rzecz wymagała. Oto tekst przekładu (na str. 117):

Przed tak wielkim Sakramentem.
 Padać na twarz, cześć i sława:
 Niech ustąpią z Testamentem
 Starym dla nowego prawa:
 Wiara będzie fundamentem
 Gdy pojęcia zmysł ustawa.
 Chwała Ojcu i Synowi
 Radość, moc, błogosławienie:
 Wiek niech podaje wiekowi
 I temu, co pochodzenie
 Bierze od Obu, Duchowi
 Równa chwała nieskończenie! Amen.

Porównawszy tekst przekładu z oryginałem łacińskim, widzimy, że Hołowiński przewyższył wszystkich swych poprzedników pięknnością stylu, wiernością treści i zbliżeniem się do formy. Tylko rytm niezupełnie zgadza się z łacińskim. Brak artystycznego wykończenia i pobieżność pracy sprawiły że przekład ten nie nadaje się do użytku w śpiewie. Tłumacze hymnów nawet w tym czasie zgóry już rezygnowali z większych sukcesów w swoich przekładach. Oto, co pisze we wstępie swoich hymnów współczesny Hołowińskiemu, ks. Bonifacy Ostrzykowski, który przecież „Tantum ergo“ nie

odważył się tłumaczyć: „Jeżeli — mówi — bierzemy się do przepolszczenia takowych płodów (hymnów) nie mamy tu na pamięci, abyśmy ucho ludzkie, lub wyobraźnię pieścili, ale raczej, abyśmy pomniki starożytne wiary naszej rodakom przyswoili, aby przez powagę szanownych autorów, sam czasem niesmak, mający na celu uwielbienie P. Boga, dla świętości przedmiotu był nam zawsze drogi“. (Pisma t. II. Kraków 1854. str. 45). Obok przekładu Hołowińskiego pojawił się przekład, w I zwrotce bardzo podobny do niego, przekład ten rozszerzył się w całej Polsce i do dziś dnia prawie się utrzymuje. Tekst jego ogólnie jest znany. przytaczamy go przecież dla zestawienia z innemi:

Przed tak wielkim Sakramentem
Upadajmy na twarz:
Niech ustąpią z testamentem
Nowym sprawom już starzy:
Wiara będzie suplementem (!!)
Co się zmysłom nie zdarzy.
Ojciec z Synem niech to sprawi,
By mu dzięki zabrzmiała,
Niech Duch święty błogosławi,
By się Jego moc stała,
Niech nas nasza wiara stawi,
Gdzie jest wieczna cześć, chwała! Amen,

Nie mogłem odkryć, kto jest autorem przekładu tego i w jakim czasie on powstał. Znaczna potoczystość i wyrobienie stylowe zdaje się wskazywać na początek XIX wieku, co potwierdzać się zdaje ta okoliczność, że ani w „Heroinie chrześcijańskiej“ w r. 1794, ani w książce do nabożeństwa we Wilnie drukowanej już w r. 1835 ten tekst nie jest jeszcze zamieszczony, z drugiej strony ludzie starzy nie pamiętają innego przekładu, jako obecnie śpiewany, a nadto zwrot „co się zmysłom nie zdarzy“ wskazuje na czas nie zbyt późny. Uderza wielkie podobieństwo pierwszej zwrotki do tekstu ks. Hołowińskiego. Albo więc jestto przeróbka przekładu Hołowińskiego w celu usunięcia niejasnych jego zwrotów (padać na twarz cześć i sława (!!)) starym dla nowego prawa (!!)) albo też ks. Hołowiński, uderzony bałamuctwem i niejasnością II zwrotki, usiłuje ją poprawić. W każdym razie przekład ten, ze względu na obecne rozpowszechnienie, zasługuje na

szczególniejszą uwagę. Przewyższając Hołowińskiego potocznością stylu, ustępuje mu znacznie co do wierności. Cała druga zwrotka nie jest poprostu tłumaczeniem tekstu św. Tomasza, ale dowolną kombinacją nieznanego autora, co nasuwa wątpliwość, czy tłumacz znał wogóle język łaciński dostatecznie i czy nie mamy tu do czynienia z elaboratem jakiegoś organisty, który nie poradził się nawe w pracy swej miejscowego bakałarza. Wyrażenia same w sobie, nie biorąc już żadnego względu na tekst łaciński, który jest zupełnie inny, są bałamutne i niejasne: Ojciec z Synem ma dopiero sprawić, by mu (komu?) dzięki zabrzmiała, Duch św. ma błogosławić (!!) by się jego (kogo?) cześć stała, nasza wiara ma nas stawić, gdzie jest wieczna cześć, chwała (czyja?). Jeżeli jako tako mógłby lud zrozumieć „fundament“ Hołowińskiego w zwrotce pierwszej, to już, choćby nie wiem jak długo myślał, nie potrafi zgadnąć, co oznacza „suplement“, który nawet w makaronicznej polszczyźnie zgoła nie jest używany, a tutaj użyty został jedynie z rozpaczy, ażeby trzeci rym jako tako „dopasować“. „Upadać na twarzy“ także się nie mówi, jeżeli zaś jak niektóre wersje chcą, czyta się „upadajmy na twarze“, to już zupełnie znika rym, boć przecie „twarze“ do „starzy“ albo „zdarzy“ nawet za czasów ojca naszej poezji, Reja, nie uchodziło za rymy prawowite.

Nadto przekład ten razem z przekładem ks. Hołowińskiego ma odmienny od łaciny rytm w wierszu 2, 4, 6 itd., co w śpiewie fatalnie odbija fałszywymi zgoła akcentami. Uważnie słuchający śpiewów tego hymnu, słyszy wyraźnie akcent taki: „Upadajmy ná twarzy“ zamiast „na twárzy“.

Nic więc dziwnego, że mimo rozpowszechnienia przekładu, który lud śpiewa nie rozumiejąc go, a często w dalszym ciągu przekręcając (np. „stawi“ na „sławi“), nie można było przekładu tego uważać za ostateczny i że tak powiem narodowy. Naród buntował się przeciw zdaniu ks. Ostrzykowskiego, iżby sam „niesmak“ dla niedołążności przekładu miał mu być drogim dla „świętej treści“, odczuwając instynktowo, że właśnie święta i podniosła treść wymaga co najmniej zrozumiałego i logicznego, jeśli już nie pięknego przekładu. Na nic tutaj nie przyda się okrzyk skrajnych konserwatystów, nie chcących zrozumieć hasła Krasickiego:

„trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!“, na nic okrzyki, że należy trzymać się tekstu, który prababki nasze śpiewały, choćby on był asnym, jak tabaka w rogu, bo, właśnie starałem się wykazać, nawet ów śpiew „prababek“ bardzo jest problematycznym. Dziś, kiedy nawet księgi Mickiewicza „zblądziły pod strzechy“, prosty pastuszek chce już rozumieć, co każą mu śpiewać i gdyby nowy król Stan. August chciał bić medale „sapere auso“, to z pewnością medal ten więcej, by go kosztował, niż za czasów „Heroiny chrześcijańskiej“.

Nic więc dziwnego, że niezadowolenie z tekstu, tak bardzo nieudolnego musiało znaleźć swój wyraz w dalszych próbach.

W r. 1912 śp. ks. Aleksander Piątkiewicz w swoim „Śpiewniku kościelnym“, wydanym w Chyrowie, (str. 61), zostawiając nietkniętą drugą zwrotkę powyższego przekładu odważył się na trafne poprawki w pierwszej. Oto jego tekst:

Przed tak wielkim Sakramentem
Upadajmy w pokorze:
Dla nas zawsze prawem świętem
Nowy Zakon Twój, Boże:
Co dla zmysłów niepojętem
Wiara uznać pomoże!

W ten sposób niezrozumiały dla ludu „suplement“, niby kamień nie na swoim miejscu wmurowany, utracony został. Mniej szczęśliwe było zastąpienie „cernui“ przez „w pokorze“ a nadto inwokacja „Boże“ zbyteczna, bo niema jej w oryginale. Środkowe dwa wiersze nie wyrażają też myśli oryginału „ażeby stary Zakon ustąpił przed nowym Obrzędem“.

W kilka lat później autor niniejszej rozprawki, zachęcany przez znajomych, zabrał się do tłumaczenia „Tantum ergo“. Przekład mój pierwszy pojawił się w „Intencji miesięcznej Apostolstwa modlitwy“ (pisemku dość poważnem ze względu na ogromną ilość prenumeratorów) na styczeń r. 1916 str. 15) Przekład ten, jak każda pierwsza próba dosyć jeszcze nieudolny, brzmiał następująco:

Przed tak wielkim Sakramentem
Upadajmy w proch na twarz;
Dawną Mannę niech ze szczętem
Nowy Chleb usuwa nasz:

W tem, co zmysłem niepojętem

Wiaro żywa pomoc dasz!

Ojcu z Synem, chyląc czołem,

Hołd radosnej nieśmy czci:

Pieniem dzięki niech wesołem

Moc Im sława, triumf brzmi:

Pochodzący z Obu społem

Równa z nimi chwała Ci! Amen.

Pomimo braków swoich przekład ten miał tę wyższość nad poprzednimi, że pierwszy zachowywał dokładnie rytm łacińskiego oryginału, wprowadzając w parzystych rzędkach rymy męskie. Ulepszenie to nie pozostało bez echa: Już w dwa miesiące później pisały te same Intencje: (W zeszytce na na Marzec. str. 79.) „Przekład hymnu „Tantum ergo“ obudził zainteresowanie wśród czytelników, dowodem tego jest następujące piękne tłumaczenie”: Tu podaje pisemko nowy przekład ks. biskupa Piotra Mańkowskiego, który przytaczamy w całości:

Więc przed wielkim Sakramentem

Upadajmy wszyscy wraz:

Dziś przy nowem prawie świętem

Już starego minął czas:

Co zmysłami nieobjętem

To dopełni wiara w nas.

Niech tak Ojcu, jak Synowi

Brzmi podzięka, chwała, cześć:

Hołd pokorny niech stanowi

Naszej pieśni wdzięczną treść:

I Świętemu też Duchowi

Spieszmy równe hołdy nieść! Amen,

Przekład ten, jak widzimy, zastosował uzgodnienie rytmu, które znalazł w moim przekładzie, od ks. Piątkiewicza wziął słowo „niepojętem“ zlekka je przemieniwszy, ale wdziękiem i gładkością wystowienia przewyższył oba poprzednie tłumaczenia. Mimo to posiada on liczne braki: I tak: samo „upadajmy“ nie wyraża dobrze czci, złączonej ze skłonieniem oblicza (veneremur cernui). Dwa następne rzędkie nie oddają też dobrze myśli oryginału, który wyraża okrzyk radosnego życzenia i triumfu. Najlepszym jest koniec pierwszej zwrotki, niemal bez zarzutu, jedynie słowo „w nas“ jest tutaj zbędnem, co jednak postulat rymu zupełnie usprawiedliwia. Druga

zwrotka pieśni znacznie jest słabsza. Styl w dwóch jej środkowych rzędkach zbyt wyszukany i skomplikowany, a już słowo „treść“ wprost niemożliwe w pieśni. Słowo „też“ nie licuje z majestatem Ducha św. i razi nieco, „śpieszmy nieść“ także nie osobiliwe. Mimo tych usterek przekład czcigodnego autora tylu poważnych dzieł stanowi znaczny etap w rozwoju procesu przepolszczenia hymnu: „Tantum ergo“.

Niedługo potem, zachęcony temi próbami zabrał się do tłumaczenia „Tantum ergo“ zasłużony tłumacz listów św. Pawła, ks. Arcybiskup Franciszek Albin Symon. Nie będąc poetą, odznaczał się on wielką dobitnością we wyrażeniach i jasnością stylu, połączoną ze zwięzłością, a zarazem zrozumieniem ducha poezji religijnej. Dlatego stworzył rzecz, przewyższającą znacznie ogólnie niemal śpiewany hymn: „Przed tak wielkim Sakramentem“; prostotą wyrażen i tężyzną wystąpienia wzbija się arcybiskup Symon nawet ponad wykwintny przekład ks. biskupa Mańkowskiego. Podajemy go w całości:

Przed tak wielkim Sakramentem
 Bijmy czołem w pokorze,
 Przed Twym nowym Testamentem
 Stary gaśnie, o Boże!
 Niech nam wiara sił dodaje,
 Gdzie moc zmysłów ustaje!
 Bogu Ojcu i Synowi,
 Co się wiecznie zeń rodzi
 I świętemu też Duchowi,
 Co z nich Obu pochodzi
 Bądź moc sława, dzięki trwała,
 Równa wszystkim cześć, chwała. Amen.

Przekład ten zrobił pierwszy wyłom we wszechwładnym dotąd panowaniu nieudolnego tłumaczenia „Tantum ergo“, które powszechnie dotąd i wyłącznie było używanem w Polsce. W Notyfikacjach Książęco - Biskupiej Kurji Krakowskiej z maja 1917 r., Npw. Książę Biskup Sapieha pierwszy usunął w swej diecezji wadliwy tekst starego przekładu, zalecając wprowadzić w użycie nową wersję ks. arcybiskupa Symona. Oto jego słowa:

„Psallite sapienter. (Ps. 46. 8). Nietylko kapłani, ale i lud wierny winien rozumieć modlitwy, które odmawia

i pieśni, które z taką gorącością śpiewa, a tak wszyscyby składali Bogu „rationabile obsequium“ (Rzym. 12. 1). Tymczasem tego zrozumienia często u ludu brak, bo nie tylko, że zdarzają się wypadki przekręcania przez niego aż do śmieszności tekstów pieśni, lecz niektóre z tych tekstów są tak niefortunnie ułożone, iż lud ich znaczenia pojąć nie zdoła. Powtarza je więc pokolenie za pokoleniem, rzec można bezmyślnie z niemłą szkodą dla życia religijnego.

Do takich tekstów, niedostępnych dla zrozumienia ludu należą niestety dwa tak rozpowszechnione hymny na cześć Przenajśw. Sakramentu. W każdym razie w używanym dotychczas przekładzie nie są należycie uwydatnione wzniosłe dogmatyczne myśli, które w nich wyraził autor, św. Tomasz z Akwinu. Łatwo się o tem przekonać, gdy się obok siebie zestawia tekst łaciński i polski. Warto się zastanowić, czy lud wierny przy śpiewaniu słów: „Niech ustąpią z Testamentem nowym prawom już starzy, wiara będzie suple (i) mentem, co się zmysłom nie zdarzy“ myśli o tem, co chciał powiedzieć św. Tomasz pisząc: „Et antiquum documentum novo cedat ritui, praestet fides supplementum sensuum defectui“. Zdaje się nawet, że lud nie jest w stanie myśleć cokolwiek przy tych słowach. A przecie szkoda tych głębokich prawd, które w tak cudownie zwiezły sposób wyraził Doktor Anielski.

Następnie zaleca Ksiązę Biskup wprowadzić tekst ks. Symona do użytku ludu w diecezji krakowskiej.

Usunięcie nieudolnego starego przekładu wraz z nie-szczęsnym „suplementem“ i zalecenie przekładu nowego dla diecezji krakowskiej nie rozwiązało przecież problemu „Tantum ergo“ dla całej Polski. Pomijając już fakt, który zaznacza ks. Dr. Pechnik (*Gazeta Kościelna*, Lwów 1. lipca 1922 str. 347), że w samej diecezji krakowskiej nie wszędzie nowy przekład się przyjął, żadna z innych diecezji nie wprowadziła go do swego użytku. Czy powodem tego było ślepe przywiązanie do tradycyjnego a tak bardzo ciemnego i nieudolnego tekstu, jakim jest powszechnie śpiewany przekład? Sądźmy, że nie! Odczucie piękna mówiło przeciwnikom zmiany, że chociaż przekład ks. arc. Symona niewątpliwie lepszy jest i jaśniejszy od starego, to przecież posiada braki

które sprawiają, że jako tekst powszechny wprowadzić go nie można.

Dlatego, dalecy od krytykowania zaleceń Kurji, która w danym wypadku najlepszy tekst z podówczas istniejących obrała i zadawszy pierwszy cios nieudolnemu tłumaczeniu, niepospolitą ma zasługę, zastanówmy się z punktu literackiego nad wadami przekładu, które obok jego zalet, silnie rzucają się w oczy.

Porównując przekład ks. Symona z oryginałem łacińskim i poprzednimi tłumaczeniami, widzimy, że początek zgadza się z tekstem ks. Hołowińskiego, słowa „w pokorze“ i „o Boże“ wzięte są z przekładu ks. Piątkiewicza, w oryginale łacińskim ich nie ma, słowa „też Duchowi“ wzięte są z przekładu ks. biskupa Mańkowskiego.

Główną i zasadniczą wadą przekładu jest zmiana formy łacińskiej co do sposobu rymowania, co czyni z przekładu jakby inną zgołą pieśń, niepodobną na zewnątrz do oryginału. Św. Tomasz rymuje, jak następuje:

a
b
a
b
a
b

Ks. Arc. Symon ma rymy odmienne:

a
b
a
b
c
c

Słowo „stary“ bez dodatku nasuwa u ludu znaczenie starego człowieka, rymy „dodaje — ustaje“ są nadzwyczaj słabe i zgoła nie do przyjęcia, „w pokorze i o Boże“, wsadzone dla rymu, razi zmysł estetyczny — zresztą pierwszy i drugi rząd pierwszej zwrotki podobnie, jak u ks. Piątkiewicza nie dosyć oddaje znaczenie oryginału, który wymaga „optatiwu“. Słowo „też Duchowi“ i „wszystkim“ odnośnie do Osób Boskich nie licuje z Majestatem Trójcy św. Zachowanie rytmu przekładu starego w rzędkach parzystych, jak już wyżej zaznaczyliśmy, odbiega od rytmu łacińskiego i musi

odbić się na śpiewie fałszywym akcentem na ostatniej zgłosce: Akcent w śpiewie tak będzie się przedstawiał:

Bijmy czołem w pókorze —
Stary gąśnie ó Boże —

Zresztą i rymy drugiej zwrotki „Synowi — Duchowi“ „rodzi — pochodzi“ są na nasze czasy stanowczo zasłabe nawet na pieśń ludową, a cóż dopiero na podniosły hymn kościelny!

Z tego widać, że chociaż przekład czcigodnego Arcypasterza znacznie przewyższa wszystkie uprzednie tłumaczenia, nie dochodzi przecież do miary, któraby czyniła zeń przekład istotnie narodowy, odpowiadający smakowi artystycznemu wszystkich warstw społeczeństwa, którego uczucia oddawać się winno w taki sposób, iżby każdy odnajdywał słowa ze wnętrza swego serca się wyrrywające.

Pracując nad przekładami hymnów kościelnych od pierwszych lat kapłaństwa, nie przestałem tymczasem ulepszać mego tekstu, który poniósł porażkę w pierwszym starciu z przekładami obu czcigodnych Arcypasterzy.

Pomijając słabsze próby, drukowane w książeczce Meschlera „Na przyjęcie Pana“ i Hymnach kościelnych św. Tomasza (Kraków 1916), wzorując się obecnie na zdobyczach mych poprzedników, wydałem nowy przekład „Tantum ergo“ we Wilnie w zbioru p. t. „Celniejsze hymny kościelne“, Wilno 1922, nakładem księgarni Józefa Zawadzkiego. (Jest to ta sama firma, która sto lat temu drukowała pierwsze tomiki A. Mickiewicza). Oto jego tekst:

Przed tak wielkim Sakramentem
Kornie głowy skłońmy wraz:
Niech przed nowym Testamentem
Starych praw ustąpi czas:
Co dla zmysłów niepojętem.
Niech dopełni wiara w nas.

Ojcu z Synem, chyląc czołem,
Hołd po wszystkie nieśmy dni:
W pieniu wdzięcznem i wesołem
Moc i sława niech Im brzmi:
Pochodzący z Obu społem

W równej niechaj będzie cześć! Amen.

„Celniejsze hymny kościelne“ przyjęła krytyka życzliwie. Świąteczny N. „Czasu“ (N. 88.) poświęcił książeczce

cały fejleton, z uznaniem wyraziła się o niej Rzeczpospolita wileńska (Maj 1922) i Gazeta Kościelna we Lwowie (N. 13). Przegląd Powszechny (Październik 1922) mówi, że „Tantum ergo“ zmienione zostało na lepsze (str. 259), recenzent z „Głosu Narodu“ przynosi ocenę: „Tantum ergo“ uważam za najlepsze ze wszystkich znanych mi tłumaczeń (N. 150).

Najwięcej przecież uradowała mnie recenzja „Kroniki Diecezji Sandomierskiej“ za październik 1922 r. (N. 10 na str. 165), która tak się wyraża o wileńskim zbiorze: „Tłumaczenie to oddaje wiernie treść, rytm i ducha hymnów kościelnych, język i wierszowanie są poprawne, hymny w tłumaczeniu nie tracą nic z siły, polotu i namaszczenia oryginału. Dla przykładu umieszczamy tłumaczenie hymnu „O salutaris“ i „Tantum ergo“, które po kościołach naszych bywają śpiewane w bardzo lichem, makaronicznym, niezrozumiałym dla ludu tłumaczeniu“. Następnie przytoczywszy teksty mego przekładu „O salutaris“ i „Tantum ergo“ dodaje te słowa: Na Synodzie diecezjalnym dobrzeby było rozpatrzyć, czy wprowadzenie nowego tekstu powyższej pieśni nie byłoby pożytecznem i wskazaniem“.

Obok tak pochlebnej oceny nie zbrakło przecież i zarzutów, które słyszałem osobiście od krytyków i recenzentów krakowskich. Ganiono szczególnie słowa „wraz“ i „czas“, których niema w oryginale. Odzywały się nawet głosy, czyby nie lepiej dostosować rytm raczej do znanego tekstu powszechnie śpiewanego, poprawiając tylko słowa, jak to czynili ks. Piątkiewicz i arc. Symon. W guście tych krytyków, żądających przede wszystkim prostoty ułożyłem nową próbę przekładu, który podaję tylko dla ciekawości czytelnika, bo zmiany rytmu łacińskiego w myśl starych moich zasad, nawet we własnym przekładzie aprobeować nie mogę. Ów przekład „ludowy“ brzmi następująco:

Przed tak wielkim Sakramentem
Upadajmy na twarz:
Niech przed nowym Testamentem
Stare gasną ołtarze:
Co dla zmysłów niepojętem
Niech nam wiara okaże!
Bogu Ojcu i Synowi
Hołd, radosne serc pienia:

Cześć Ich sławę, moc niech wznowi
 Głośny hymn dziękczynienia:
 Równa chwała bądź Duchowi,
 Co pochodzi z Ich tchnienia, Amen.

Przekład ten, ratując rym oryginału i usuwając wtręty niepotrzebne „w pokorze, o Boże“ będzie się może podobał krytykom, stawiającym prostotę przed innymi wszystkimi zaletami, wykwinniejszego jednak umysłu artystycznego zapewne nie zadowolili.

Chcąc podać ogółowi przekład wierny, stojący na pewnej wyżynie sztuki, a przecież zrozumiały, zabrałem się do dalszej pracy nad ulepszeniem pierwotnego swego tłumaczenia. Zauważywszy, że słowa „Przed“ niema w oryginale łacińskim, odważyłem się zmienić sam początkowy rządęk przekładu, utrzymujący się w kraju lat przeszło sto, a przez to uzyskałem po raz pierwszy lepsze rymy w czołowej zwrotce hymnu. Pracę moją wydrukował pierwszy Posłaniec Serca Jezusowego na styczeń 1923 r. (na str. 6.) Brzmi on jak następuje:

Ten Sakrament, cud bez miary
 Chyląc twarze, ludu sław:
 Niech ustąpi Zakon stary
 Obrządkowi nowych praw:
 Niech dopełni światło wiary
 Nieudolny zmysłów jaw.
 Bogu Ojcu bijmy czołem,
 Niech Synowi chwała brzmi:
 W pieniu wdzięcznem i wesołem
 Moc Im, hołd po wszystkie dni:
 Pochodzący z Obu społem
 W równej niechaj będzie cześć! Amen.

Przekład ten zgadza się w rymie i rytmie najzupełniej z oryginałem łacińskim, stawiając „Sakrament“ w 4 przypadku i tłumacząc dosłownie „novo cedat ritui“, odpowiada lepiej swemu celowi, usuwa ciężkie na końcu rymy „Sakramentem — Testamentem, niepojętem“ i niepotrzebne wtręty np. wraz, czas, w nas. Wogóle mówiąc ścisłość tłumaczenia jest duża. Druga zwrotka mało się różni od wydania wileńskiego, usuwa nieudolne jego „chyląc czołem“ i przedstawia niektóre słowa. Moznaby w niej bardziej dosłownie wyrazić „Genitori, genitoque“ w ten sposób:

Rodzicowi bijmy czołem,
Zrodzonemu hymn niech brzmi:

W tym czasie, kiedy tak zmagiałem się z tekstem łacińskim, próby innych tłumaczy nie pojawiały się w prasie. Tylko w „Głosie Eucharystycznym“ na miesiąc październik 1922 N. 10 str. 6, ukazała się pierwsza zwrotka „Tantum ergo“ w nowym przekładzie, który do czterech dość udanych, ale nieco skomplikowanych wierszy, najfatalniej przyczepia najsłabszy dwuwiersz ks. arc. Symona, poprawiając nieregularność jego rytmu. Przekład ten brzmi następująco:

Wielki przeto ten Sakrament
Padłszy na twarz czcimy szczerze:
Dawnych figur zgąś testament,
Nową dał nam Pan. wieczerzę:
Niech nam wiara sił dodaje
Tam, gdzie zmysłów moc ustaje.

Zaletą tej zwrotki jest dążność do wyswobodzenia się od utartej formuły: „Przed tak wielkim Sakramentem“ i stawienia słowa „Sakrament“ w 4 przypadku. Znamioną cechą przekładu jest też dążność do oddania słowa „ergo“ — przez „przeto“. Nasuwa to myśl, czy nie mamy tu do czynienia z nową próbą pomysłu ks. biskupa Mańkowskiego... Zresztą nie naszym jest zadaniem odgadywać tłumacza, który pragnie zostać ukryty. O samym przekładzie tylko można powiedzieć, że mimo śmiałych zamierzeń, pisany jest dorywczo i powtarzając błąd ks. arc. Symona w zmianie formy wiersza łacińskiego, nie nadaje się do użytku. Nadto słowa: „zgąś“ — i „wieczerzę“ zbyt odchodzą od treści oryginału, dwa razy powtarzające się słowo „nam“ (w 4 i 5 wierszu) również razi zmysł estetyczny.

Przekład mój, drukowany w „Posłańcu Serca Jezusowego“ przyjęty został przychylnie. Niektórym niepodobało się słowo „jaw“ w nowem użyciu, w drugiej zwrotce raziło nieco wyrażenie „bijmy czołem“, którego niema w oryginale. Po namyśle przerobiłem znowu I zwrotkę i całą doxologję wobec czego najbardziej wykończony mój przekład tak się przedstawia:

*Ten Sakrament, cud bez miary
Sławmy, chyląc twarz ze cziq.
Niech ustąpi Zakon stary,*

*Nowy znak nam nieba ślą;
 Niech dopełni światło wiary
 Zmysłów niemoc — mocą swą.
 Bogu Ojcu i Synowi
 Hołd i radość w każdy czas:
 Cześć Ich, sławę, moc niech wznosi
 Hymn dziękczynny wszystkim nas:
 Równa chwała bądź Duchowi,
 Co pochodzi z Obu wraz!
 Amen.*

Sądzymy, że przekład ten najwięcej ze wszystkich zbliża się do oryginału łacińskiej pieśni, tak co do treści, jak też i formy. Usuwa on słowo „ludu“, którego w oryginale nie ma, usuwa „jaw“, który niektórych razi i niemiłe brzmiące wyrażenie: „bijmy czołem“. Nadto lepiej zostało w nim oddane słowo: „iubilatio“ i „benedictio“, które w poprzedniej wersji prawie, że zanikało, zachowany został dativus słowa: „procedenti - Duchowi, co pochodzi“. Akcenty przypadają zupełnie, jak w łacinie:

Tantum ergo Sacramentum
 Veneremur cernui itd.

— — — — —
 — — — — —

Jak nieudolną zaś pod tym względem są powszechnie śpiewane po polsku przekłady, widzimy najlepiej, gdy przedstawimy graficznie schemat ich akcentów i porównamy go z powyższym. Jest on taki:

— — — — —
 Przed tak wiel - kim Sa - kra - men - tem

— — — — —
 U - pa - daj - my na twa - rze.

Bij - my czo - łem w po - ko - rze.

Zamiast „zmysłów niemoc“ możnaby też powiedzieć „zmysły słabe“ albo „zmysłów słabość“, co nie zmienia treści.

Podając tak wiele warjantów mamy na celu zostawić wybór najlepszych członów czcigodnym Arcypasterzom, którzy na Synodzie Biskupów Polski zechcą się może łaskawie zastanowić nad ustaleniem możliwie najlepszego przekładu w miejsce tak nieudolnej i ciemnej gadaniny, jaką jest obecnie śpiewany przekład, którego tekst u ks. Symona, sam dosyć słaby, wyrugować z całej Polski nie zdołał.

Nie potrzebujemy dodawać, że przekład pieśni „Tantum ergo“, ze względu na swą 3 rymową postać bardzo jest trudny, co widać choćby z tych kilkuwiekowych zmagających się z formą oryginału, któreśmy w rozprawie obecnej opisali.

Wynika stąd, że pewna pobłażliwość krytyki dla przekładów możliwych z natury rzeczy jest konieczną, przy wielkiej bowiem wierności tłumaczenia dochodzi się niemal do kresu kombinacji możliwych.

Autor tej rozprawki cieszyłby się, gdyby który z jego przekładów znalazł zastosowanie w śpiewie kościelnym ludu polskiego; poddając prace swe pod łaskawą ocenę czynników miarodajnych sądzi, że mózół jego, jeśli nie uzyska palmy zwycięstwa, to przynajmniej pchnie naprzód problem estetycznego spolszczenia podniosłej i tak często używanej pieśni liturgicznej, jaką jest „Tantum ergo“, a w ten sposób przybliży przynajmniej tę chwilę, w której niedołączny tekst polski starego przekładu przestanie psuć nastrój religijny w chwili tak uroczystej, jaką jest wystawienie N. Sakramentu. Na chwilę bowiem nie wątpimy, że w odrodzonej Polsce, ta chwila prędzej, czy później nadejść musi. A, gdyby nawet tekst tak bałamutny, wieki jeszcze miał być powtarzanym przez usta nierozumiejących go — milionów ludzi, niechże sama nieskuteczna próba obalenia go przyczyni się głosem swojego protestu do uwielbienia najdroższego daru niebios, onego cudu bez miary, który jest jakby streszczeniem wszystkich cudów, a zarazem rozradowaniem naszym i mocą w mozolnej wędrówce do wiekuistej Ojczyzny.

KS. TADEUSZ KARYŁOWSKI.

Święty Kazimierz w dziejach.

I. Przed wyprawą węgierską.

Przychodzi na świat w czasie, kiedy porządek tegoż w podstawach jest wzruszony. Powaga papieży przez koncyliaryzm, cesarska przez elektorów i książąt Rzeszy, z których jeden jest królem Czechów, są podminowane. W Węgrzech i Czechach panują królowie narodowi, z wyboru wyszli i wcale nie z krwi królewskiej pochodzący. Europa zagrożona przez Azję, chrześcijaństwo przez wyznawców Mahometa. Papieże starają się pogodzić w Europie książąt, dźwignąć ich i własną powagę, zażrzewając ich do podjęcia krucjaty przeciwko wzmagającej się już w Europie potędze Turczyna, podbijającego królestwa i państwa na Bałkanie i wyspy na Egejskim morzu. Usiłowania papieży nie osiągają celu, rozluźnia się łączność książąt i królów w Europie, a natomiast wzrasta potęga wdzierców azjatyckich, kosztem niepodległości i terytoriów chrześcijańskich. Rozdrobione osłabione państwa szukają ratunku w zmianach ustroju swego w kierunku parlamentaryzmu, w nacjonalizmie, przez rozwijanie zasad polityki starożytnego Rzymu, lub też wręcz pogańskich zasad rządzenia przy pomocy obłudy i fałszu.

W taki sposób powstaje zamęt tak co do sposobu rządzenia ludami, jak i co do dotychczasowego sposobu zachowania zgody i przyjaźni pomiędzy książętami chrześcijaństwa, którzy współzawodnicząc z sobą podają rękę tak odłączającym się od gminy chrześcijańskiej ludom, jak np. Czechom hუსyckim i Moskwie w schizmie trwającej — jakoteż i Turkom, a podżegając poddanych przeciwko ich królom i wzniecając powstania, burzą podstawy budowy dotychczasowej katolickiej Europy. Wszędzie idea narodowa odnosi triumf nad uniwersalizmem średniowiecznym, popieranym jedynie przez

Rzym organizowanemi bezustannie lecz bezskutecznie wyprawami całego chrześcijaństwa przeciwko Turkom. Narody jednak, zagrożone przez tych ostatnich, woła ginać na Kosowym polu, pod Warną, na wyspach Egejskiego morza, aniżeli solidarnie poprzeć usiłowania papieży. Co prawda Jagiellonowie dostarczają zagrożonym narodom królów i wodzów i wojsk, jak owego Władysława Warneńczyka, popartego przez papieża i przez polskie rycerstwo celem stawienia zapory barbarzyńskim zdobywcom. Jeżeli chowają Jagiellonowie na swym dworze zasadę legitymizmu, to pewno przyświeca im myśl, by objąwszy na jej podstawie sąsiednie trony Czech i Węgier, stanąć otwarcie a wspólnie do walki z przemożną już Turcją. Chętnie poparliby papież ten legitymizm Jagiellonów, chętnie widzieliby ich na tronach czeskim i węgierskim, podnoszących wspólnie chorągiew przeciwko Turczyom, ale trudności z powodu praw i roszczeń do tych tronów ze strony innych potężnych współzawodników lub królów z wyborów pochodzących, nie pozwalały im otwarcie stanąć po stronie Jagiellonów.

Ci zaś, w chwili, gdy Jerzyk czeski zamykał oczy, pozostawiając rozdzielone w sobie królestwo czeskie, stanowili dom z dwoma kandydatami do tronów, z przeznaczonym na tron czeski 15-letnim Władysławem i 13-letnim Kazimierzem, którego niewielu niezadowolonych z rządów Macieja Korwina węgierskich biskupów i magnatów z Janem arcyb. ostrzychomskim na czele powoływało na tron węgierski.

Ponieważ Maciej był królem czeskim z ramienia katolickiej ligi panów czeskich, silnie popieranej przez papieża, obie kandydatury Jagiellończyków wносиły nowy ferment, a stawały w poprzek dążeniom imperjalizmu, reprezentowanym przez cesarza, jakoteż usiłowaniom papieskim celem zorganizowania krucjaty przeciwko Turkom. Jeżeli zaś zważymy, że starszy Jagiellończyk liczył wprawdzie na silne poparcie narodowych stronnictw w Czechach, ale głównie kalikstynów i innych nieprzyjaznych Kościołowi stronnictw, że i młodszy miał wprawdzie poparcie dwóch biskupów i garstki możliwych węgierskich, ale wystąpieniem swem burzył spokój zagrożonego przez Turcję a bronionego przez bohaterskiego Macieja Korwina państwa, łatwo dostrzeżemy, że zachodnie

państwa niespokojnem okiem powitały to wmięszanie się Polski w sprawy czeskie i węgierskie i że tem samem zadanie młodzieńców królewskich nie było łatwe.

Któż byli owi młodzieńcy, o których Aleksander biskup forlieński, legat pap., wyrażał się, że jeszcze nie widział młodzieńców tak dobrze wychowanych i wykształconych? O starszym trafnie mówił historyk Czech, że od kolebki wychowany był starannie jako przeznaczony na tron z łaski Bożej, że był dobrodusznym, bez chęci wyniesienia, niezdolnym wyrządzić komuś krzywdę, atoli bez energii i wyższego polotu ducha, a pozbawiony doświadczenia, nie umiał hamować rozkiełznanych namiętności poddanych, ani odrzucać natrętnych ich prośb, ani też liczyć i gospodarzyć. Charakter słaby, mała przezorność, miękie serce, słaba wola, stąd bierność i nieczynność, którą wielce szkodził swym późniejszym dwom królestwom; zwłaszcza Węgrom. Nie można tych rysów charakteru przypisać młodszemu bratu, Kazimierzowi, bystrzejszemu, zdolniejszemu młodzieniaszkowi, o woli silniejszej i hartowniejszym charakterze od brata. I on wychowany był w zasadach legitymizmu, uważał się za króla Węgier z łaski Bożej, jako syn dziedziczki Węgier i królewskiego jej brata, jej dziada i stryja swego, królów węgierskich prawy następca; Korwina Macieja uważał za wdziecę, przywłasciciela korony Św. Szczepana, który podstępem i tyranią uzyskał węgierską koronę i sąsiednie czeskie państwa przywłaszczyć sobie usiłuje. Wyprawa królewicza na Węgry ma na celu zatwierdzenie praw i przywilejów Węgrów, utrwalenie ich wolności, a to wzorem królów przodków, których był spadkobiercą, a bronić pragnął królestwa, jako przystoi przyrodzonemu panu.

Że te przekonania głęboko nosił w młodzieńczem sercu, dowodzi mowa, którą wypowiedział przy powitaniu legata Sykstusa IV, kardynała Marka, wysłanego celem uczynienia zgody pomiędzy królem Maciejem a Jagiellończykami. Wita bowiem legata młodzieńczy Kazimierz po nieszczęsnej swej wyprawie węgierskiej, jako pozbawiony dziedzictwa węgierskiego król legimistyczny Węgier, jako dziedzic korony Zygmunta Luxemburczyka i Albrechta i Władysława Pogrobowca Habsburga; co bardziej, on podziwia sprawiedliwość

papieża w przyznaniu zasług dziadowi swemu, Władysławowi Jagielle, za chrzest Litwy, a Warneńczykowi za krew, przełaną w obronie chrześcijaństwa, Zygmuntowi za zasługi w zniesieniu schizmy kościelnej na soborze w Konstancji, Albrechtowi za wierną obronę chrześcijaństwa. Dziękuje papieżowi, że sprawy Jagiellończyków nie spuszcza z oka i jako sprawiedliwy ojciec wysyła w obronie praw królewiczów legatą, jako gwiazdę mającą zajaśnieć na polskim horyzoncie, gościa pożądanego w królestwie, wystawionem na ataki barbarzyńców, będącem tarczą przeciwko Turkom i Tatarom, by w niem zgodę i pokój od sąsiadów ubezpieczyć, a zapewnić królewiczom należącą im sukcesję w Czechach i Węgrzech. W przyjaźni legata wita wzrost wiary i katolicyzmu, chwałę boską i ludzką, widzi w niem łaskę papieską, spływającą na Polskę, wzrost katolicyzmu a wykorzenienie schizmy i herezji. ¹⁾

Widocznym na tej mowie młodzieniaszka jest wpływ matki, niewiasty silnego charakteru, uważającej siebie i dzieci za dziedziców koron czeskiej i węgierskiej, a którą przed laty zachęcali legaci, by się stała Esterą, pomściła śmierć Władysława brata i by małżonka swego, króla Polski, skłoniła do objęcia korony czeskiej. Mowa królewicza zawierała program dążeń Jagiellońskich, nie tylko objęcia na podstawie legitymizmu tronów sąsiednich, ale i cel wyższy — wzrostu wiary, wykorzenienia herezji przez państwo, będące tarczą Europy od barbarzyńców. Rzym rozumie te zadania, skoro przez legatą usiłuje pokojem utorować drogę do rozwiązania tych zadań jagiellońskich, a młody królewicz przypomina legatowi swoją pochwałą i uszanowaniem obowiązek popierania szlachetnych polskich usiłowań przez Rzym w chwili, kiedy papież przechylił swe względy, na stronę Macieja Korwina.

Zważając, że ochmistrem, wychowawcą, nauczycielem królewiczów był Długosz, przyjąć można, że i na charakter młodzieńczego Kazimierza wpływ główny po rodzicach wywierał historyk polski, również jak i rodzice pragnący swych uczniów widzieć na tronach państw sąsiednich. Ten, który pragnął dożyć chwili powrotu Śląska na łono ojczyzny, a na

¹⁾ Cod. op. I, II. p. 142—3.

Śląsku pracował celem przysporzenia zwolenników tego powrotu i z zapastrywań swych rzymskich - papieskich był znanym w całej Polsce, musiał duży wpływ wywrzeć na charakter Kazimierza. Surowy w przestrzeganiu obowiązków swych uczniów, niezawodnie wpoił on w młodzieńczy umysł głębsze pojmowanie biegu wypadków, zaszczerpił wielkie przywiązanie do Rzymu i ofiarność i poświęcenie dla trudnego zadania, jakie spełnić mieli, pierworodny w Czechach a Kazimierz na Węgrzech. Podobnie jak uczniowie jego, i on nie znosił Macieja Korwina, stojącego na drodze wyniesieniu uczniów, lecz jako biegły oceniacz charakterów i historycznych zdarzeń, umiał uznać zasługi, podziwiać bohaterstwo króla węgierskiego, którego czescy panowie katolicy obrali swym protektorem, królem Czech. Podziwu dla króla wdziercy podzielać nie mogli Jagiellończycy, jego królewscy uczniowie narówni ze swym mistrzem, natomiast ganiłi z nim razem Korwina jako tyrana korony węgierskiej, nie biorąc względu na pytanie, czy chcąc uratować Węgry od Turczyzny można było łagodnością i wyrozumiałością cel osiągnąć. Władysławowi towarzyszył Długosz w podróży do Pragi li tylko celem zapobieżenia, by wystąpienie króla nie nosiło charakteru kacerskiego; ofiarowanego mu przez króla i Czechów arcybiskupstwa czeskiego nie przyjmuje, nie uwzględniając nawet prośb panów czeskich i wszyscy wiedzą, że historyk polski nie przyjąłby nigdy biskupstwa z rąk innych jak tylko z papieskich. Utrzymujący z uczonymi humanistami stosunki, szczepił Długosz w umyśle i sercu swych uczniów także i nowe poglądy, świeże zachodnie zapastrywania i jak Władysławowi dawał do czytania Poggia Braccioliniego: *De varietate fortunae*, *De miseria conditionis humanae* i niezawodnie i młodszy Kazimierz zaczerpnął z takich źródeł poważniejszych zapastrywań na życie, z tem wszystkiem i ten ostatni jednak w niczem nie zmienił swych przekonań legitymistycznych i podobnie jak matka królowa nie cierpiał Korwina. Zapewne i Kalimach, humanistyczny poeta i włoski wygnaniec, na dworze krakowskim gościny doznający, wpływał na te przekonania Kazimierza co do węgierskiego bohatera... albowiem pragnął, aby nie kto inny, tylko młody Jagiellończyk, za przykładem stryja Warneńczyka, objął obronę ko-

rony Św. Szczepana od Turków. Wszakże późniejszy królewiczów nauczyciel i sekretarz królewski, mąż dużej wiedzy, poeta o polocie ówczesnych humanistów, właśnie z rozmów z królewiczem Kazimierzem zaczerpnął zachęty do napisania dziełka o wyprawie Warneńczyka. Uczeń humanisty pewno nie pochwalałby zapatrywań tegoż na legata apostolskiego Cezariniego i na przedstawienie wypadków zawartych w dziełku humanisty, lecz niezawodnie zgodnym był z tendencją oddania spraw wschodnich w ręce rodziny Jagiellonów. Prawda, że takich pochlebnych dworowi mów, jakie szerzono później w kołach humanistycznych, że gdyby król Kazimierz i syn jego, Jan Olbracht, nie byli okazali się hojnymi i łaskawymi względem Kalimacha, imię ich nie byłoby przekazane potomności, — takich kadzideł nie zniósłby skromny królewicz Kazimierz. Należał i on do podziwiających talent Włocha, zachęcał go do pióra, ale nie na chwałę dworu, lecz na pożytek całego chrześcijaństwa, wierząc, że pismem zarówno dobrze jak i orężem można walczyć przeciwko trapiącej ówczesną wschodnią Europę Turcji.

Do liczby mężów, żywiących te przekonania, należał i Piotr z Bnina, biskup włocławski i on rozmawiał przy królewiczach o wyprawie warneńskiej i cenił pamięć bohatera Władysława. Kalimach jednak tem przewyższał wpływ innych z otoczenia królewiczów, że stanął wysoko w łaskach u króla, albowiem jako biegły w piórze i wymowny, a znawca wschodnich stosunków europejskich, dał się użyć do poselstw dyplomatycznych, do Carogrodu, do sygnorji wenecjańskiej, a przede wszystkim na dwór cesarski. Wpływ przywiązanego do dworu polskiego poety dyplomaty na królewiczów już chociażby z powodu stosunku tegoż do króla musiał być niezwykle dużym, mianowicie na młodszych królewiczów: Olbrachta, Fryderyka, Aleksandra. Wszakże wylany dla Jagiellonów, dla rodziny królewskiej, ściągnął na się zazawiść otoczenia, duchowieństwa, magnatów. Ale Kazimierz królewicz zdawał sobie sprawę, że przeszłość tego podziwianego męża była podejrzana, że był wygnanym z Rzymu za udział w spisku na życie papieża, że w świetnych wywodach doradzał Polsce, która go przyjęła w gościnę, uchylić się z pod powagi rad i poleceń papieskich, utrzymując, że pa-

pieże z rozmysłu przeciwko Polsce działają, jak Pius II, Paweł II, Sykstus IV i doradzał przeciwdziałać rzekomo przeciwko Polsce zwróconym działaniom kurji. Nie dowierzając jednak Włochowi, który go świątobliwym „divus” nazywał, z powodu awanturniczej tegoż przeszłości, musiał jednak Kazimierz zdawać sobie sprawę, że zacni senatorowie, dbali o niezawisłość państwową Polski od kurji, stanęli po stronie Kalimacha, że sam arcybiskup lwowski, słynny Grzegorz z Sanoka, dał zbiegowi w domu swym schronienie, że Kalimach dzielnie się bronił, gdy przez legata zażądano wydania go Rzymowi, tem mianowicie, że papież sam przebaczył zbiegowi, wysyłając za nim do Cypru pozwolenie na powrót do Rzymu i że jest zbyt nieznacznym, aby mógł być nieprzyjacielem potężnego papieża. Z tych powodów, jakkolwiek, nie ulegał zasadom i radom mistrza, to jednak żywił Kazimierz głębokie poważanie dla jego wiedzy, talentu przywiązania do królewskiego domu.

Zresztą królewicz i z powodu wyprawy węgierskiej doświadczył, że nie znalazła ona poparcia w Rzymie i że przeto zapatrywaniom Włocha na nieprzyjazne działanie papieża przeciwko Polsce nie braknie podstawy w rzeczywistości. Co prawda taki Długosz potępiał lub omijał te zapatrywania na nieżyczliwość papieską i krytyki polityki rzymskiej, ale inni mężowie stanu popierali zdanie Kalimacha. Wszakże protegowany przez króla Jan Ostroróg, któremu Kalimach mnogo wierszy poświęcał, który myśli do reform wewnętrznych Polski rzucał i pismami uzasadniał, ten stał po stronie Włocha. Czyż mąż, pragnący uniezależnienia Polski od papieża i cesarstwa niemieckiego, wykluczenia z kościołów i z miast niemiecczyny, zerwania zależności od Magdeburga, zmiany stanowiska państwa względem Kościoła, zniesienia cechów jako hamujących żywotność państwową, reformy zniemczających klasztorów itd., czyż mąż ten nie pogłębiał w zasadzie zapatrywania Włocha? Młody Kazimierz niejedną myśl, umieszczoną przez Ostroroga w jego Monumentum, słyszał z ust autora lub Kalimacha pogłębioną a uprzystępnioną, w formie nieraz w jakiej później nieco, za tak zwanej reformacji, owe projekty obiegały pisma i aule akademickie, dwory książęce i królewskie. Przyszły król Węgier czy Polski musiał przygo-

tować się do tej roli, słuchać rad i wykładów mędrców, tak przywiązanych do przeszłości i starej formy rządów, jaka się wyrobiła za Jagiełły i wykształciła za Kazimierza, jak i tych nowych doradców króla, których Długosz młodszymi i *uniōres* nazywał, dążących do reform, chociażby drogą przewrotów i siły.

Wobec takich rozmaitych wpływów, młodzieniec pojętny, zdający sobie z rozmów i nauk sprawę, umiejący trafnie osądzić niejedną radę, niejedno pytanie, musiał przyjść do przekonania, że pierwsze wykluczają drugie, jako wręcz sobie sprzeczne. Wszelkie bezwzględne posłuszeństwo Rzymowi, które zachwalał i zalecał Długosz, życiem swoim dając przykład tego posłuszeństwa — a porady emancypacji Polski z pod wpływu papieża, to były wręcz sobie sprzeczne zasady, które pogodzić było niemożliwością. Sam ojciec, król Kazimierz, ukarał Długosza z powodu posłuchu, danego Rzymowi w sprawie obsady biskupstwa krakowskiego, z pominięciem królewskiego zarządzenia. A zapatrywanie Długosza nie było osamotnione. Podzielał je uniwersytet krakowski. Profesor tegoż uniwersytetu, Sędziwój Czechel, który uczył królewiczów¹⁾, potępiał świętokupstwo, jak nazywał owe nominacje biskupów przez króla wbrew kurji apostolskiej, zarządzane „za zapłatę” i chwalił Długosza, że nie przyjął godności wyższej, którą mu król ofiarował w gnieźnieńskiej kapitule. Kazimierz królewicz, który żył w tym wirze sprzecznych dążeń i wykluczających się zapatrywań, znajdował się jakby na rozdrożu, nie wiedząc za którym pójść zdaniem, które uważać za prawdziwe, które zaś za błędne, kto z doradców, z mężów naczelnych królestwa ma słuszość — gdzie jest prawda? Skoro sam ojciec był za umniejszeniem wpływu rzymskiego na królestwo, skoro wpływ ten paraliżował dążenia ojca, zmierzające do wzrostu państwa i do obrony Europy od nacisku barbarzyństwa, skoro i teraz papież bronił praw króla Macieja co do czeskiej jakoteż i węgierskiej korony, a nie sprzyjał Jagiellończykom, prawa te nazywającym wdzierstwem, toć przecież i ów wygnaniec rzymski Kalimach i projektowicz-reformator Ostroróg mieli w zapatrywaniach

¹⁾ Cod. ep. II p. 269.

swych na nieprzychylność Rzymu dla polityki jagiellońskiej dużo słuszności. Dlaczego przeto Długosz i profesorowie uniwersytetu krakowskiego, obsypywani względami przez Jagiellonów, bronili tej polityki papieskiej, którą potępiał własny ojciec przez dzieci swe ubóstwiany? Pytanie to musiało zaprzątnąć młodociany umysł królewicza Kazimierza. Obaczmy przeto jak ta udręka duszy objawiła się w jego życiu młodzińcem. Niefortunne wszakże współubieganie się o tron musiało wyrzeć skutki już nie tylko na charakter, na życie królewicza, ale nadto na cały bieg wypadków, z którymi ściśle było związane. Należy nam przeto poznać jak się ono na nich w skutkach swych odbiło.

DR. A. PROCHASKA.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Czy naprawdę wartości twórcze?

(Dookoła książki J. Marcinkowskiej:
„Wartości twórcze religijnej myśli polskiej“).

Jeszcze jeden objaw silnego dziś zwrotu pewnych kół polskiego społeczeństwa ku religji!

J. Marcinkowska, autorka kilku powieści, w których zagadnienia filozoficzno-religijne, może nawet ze szkodą strony artystycznej, naczelną objęły rolę, tym razem dała nam poważne, choć raczej popularne, niż naukowe studjum o wartościach religijnej myśli polskiej. Szczery idealizm, dobra wola i gorąca wiara w potrzebę przetworzenia wszystkich dziedzin współczesnego życia przez religję i w religji poddyktowały jej kilkanaście rozdziałów książki. Prawdziwe, głębokie uczucie, umiłowanie sprawy, zapał apostołski, nie mało trafnych spostrzeżeń i refleksyj, prosty a szlachetny, płynny i potoczysty styl, przechodzący czasem nawet w poetyczną, o lirycznym nastroju prozę — oto najważniejsze zalety książki.

A treść?

I ona w zasadzie jest prawdziwa.

Religia — zdaniem Autorki — musi się stać pierwszą wartością życia ludzkiego. W odżywczych religijnych nurtach mają się odrodzić schorzone ludzkie serca, w niej znaleźć „zharmonizowanie potrzeb umysłu i duszy“, znaleźć „syntezę, któraby była zdolną pobudzić wszechstronnie siły twórcze i przeobrazić życie“ (str. 14).

Wie jednak autorka, że „religia“ to słowo zbyt ogólne, zbyt abstrakcyjne, a zatem mało mówiące, wie, że jeśli się nie wskaże jakiejś konkretnej religji, to pozostanie pustym, pozbawionym treści dźwiękiem. Ogląda się przeto dookoła

siebie i wybiera między buddyzmem z wszystkimi jego formami, jakie przybrał na europejskim gruncie, nie wyłączając nawet najmodniejszej dziś teozofji, a chrystjanizmem.

Pierwszy, tj. buddyzm, po wielu w jego stronę grzecznościach i pochwałach, ostatecznie odrzuca. Widzi w nim „aspiracje szlachetne, ale wykoszlawione pod balastem sensacyjnych narośli i przybudówek“ (str. 79). Chociaż Zachodowi indyjski Wschód przyniósł — zdaniem Marcinkowskiej — „dar niezmiernie cenny“, t. j. „potężną falę powszechnego tam przeświadczenia o immanentności Boga i nieśmiertelności człowieka“, przeświadczenia nie obcego wprawdzie chrystjanizmowi, ale będącego w nim „wartością martwą“, spoczywającą w archiwach kościelnych, to jednak ostateczny sąd o buddyzmie jest ujemny. „Nie stanie się on nigdy żywą religją powszechności, uzgodnieniem indywidualizmu i obowiązków społecznych, bodźcem do czynów twórczych i przeobrażeń osięgających wyższe szczeble w ogólnym rozwoju człowieczeństwa“ (str. 85).

Buddyzm bowiem przez swój panteizm znosi osobowego Boga, przez pojęcie „Maji“, obalając obiektywność zewnętrznego świata, obraca tem samem w iluzję to, co w nim jest najważniejszego, społeczność ludzką, a wreszcie najwyższy cel i kres bytu widzi w znieruchomieniu, w powrocie do Nirwany i przez to podcina w zarodku bardzo silny w duszy ludzkiej pęd do twórczości i wiecznego, niezanikającego życia.

Inaczej chrześcijaństwo. Ono tym potrzebom najlepiej odpowiada. Ono doskonale jednoczy transcendentalizm z imanencją Boga. Nie rozprasza go z wszystkości, a zatem w nicości, zbliża go przez ojcowską ku człowiekowi miłość do ludzkich dusz, wplata w ludzkie dzieje. Nie przekreśla indywiduum na korzyść całości, a jednak obok osobistego „ja“ stawia równie rzeczywistą bratnią społeczność, aby ją miłować, stawia obiektywną zewnętrżność, nie aby jej zaprzeczać, ale by przekształcać, by nowe z niej dobywać i tworzyć wartości, tak przez pozytywne użycie, jak i przez ofiarę z niej.

„Ale prawda religijna jest jak słońce, na które spoglądamy z różnych punktów naszego globu i w rozmaitym do tego światła stosunku, odpowiednio do miejsca, godziny, dnia,

warunków atmosferycznych i — naszej własnej zdolności widzenia“ (s. 103).

Ta zdolność widzenia nie jest tylko indywidualną; może być także zbiorową, narodową. „Jednostka bardzo często nie stoi na takiej wysokości duchowej, aby właściwe jej pojmowanie religii sięgało istotnie w głąb tych zagadnień“, a tem mniej ma siłę twórczą i siłę społecznego oddziaływania, na innych ludzi. „Naród, ta wielka indywidualność zbiorowa, takie uzdolnienie twórcze ma zawsze i niewątpliwie“.

I dlatego „aczkolwiek religja w swoim istotnem znaczeniu, jako stosunek wiecznie żywy i powszechny człowieka i wszechludzkiej społeczności do Boga, nie mieści się w granicach istnienia narodowego, to jednak kwestja narodowości bynajmniej obojętną tu nie jest, ani nie powinna być przeoczana“ (s. 105).

Słusznie więc możemy się pytać, w jaki sposób i naród polski przez największych genjuszów swoich zareagował na chrześcijaństwo, co sobie z niego przedewszystkiem przyswoił, jakie prawdy odbił w sobie i jakie pierwiastki i wartości stamtąd wydobył.

Oto główny bieg myśli autorki, a zarazem zagadnienie jakie rozwiązać pragnie. Jest to jakby szkic, który jeszcze należy barwami pokryć i w kształty przyodziać. Jeśli zatem weźmiemy pod uwagę tylko te ogólne, zasadnicze rysy całości, — to nie mamy im nic do zarzucenia. Owszem, są trafnem powiązaniem kilku prawd w dość jednolitą całość.

Ale.....

Że też tak trudno u nas o książkę, omawiającą zagadnienia religijne, a napisaną przez świeckiego pisarza, przy której nie potrzebaby stawiać licznych pytańników, licznych.... ale.

I książka p. Marcinkowskiej nie jest wyjątkiem.

Już sam szkic, na który zasadniczo wyraziliśmy zgodę, zdradza pewne krzywizny i braki. Wystarczy przypomnieć, zaznaczone już wyżej, naprawdę zdumiewające przeświadczenie Autorki, że w Kościele katolickim dogmat nieśmiertelności duszy „spoczywa w archiwach kościelnych“, wydobywany od święta, „jest wartością martwą, daleką i obcą co-

dziennemu biegowi rzeczy" (s. 57). Albo wywody o reinkarnacji, o jej stosunku do katolicyzmu, zakończone takim kwiateczkiem: „w Kościele katolickim tej potrzebie (reinkarnacji — czy naprawdę potrzebie i czy tak powszechnej?) człowieka odpowiada dogmat o czyście, poprzedzającym wstęp do nieba. Pod tem określeniem czyśca rozumieć można cały cykl bytów, poprzez które duch sobie świadomość pewną wypracowuje" (s. 81). Albo jeszcze takie zapewnienia, że spory o słusność lub niesłusność prawd religijnych są trudem zawsze straconym, bo „jedyny dowód przekonywujący miewa człowiek li tylko w sobie samym" (s. 80), że mimo 2000 lat obcowania z ewangeljami, „jesteśmy dopiero u początku właściwego ich rozumienia" (s. 104).

Te wszystkie nieścisłości łatwo nam zrozumieć i przebaczyć. Tytuł pierwszego rozdziału książki: „W poszukiwaniu syntezy" jest przede wszystkim wyrazem stanu samej Autorki; jeszcze dąży do syntezy, jeszcze nie dokończyła pracy analitycznej; dzieli się z nami swemi myślami, nie żeby je uważała za ostatnie słowo swej własnej „wiary", ale żeby we wzajemnej tych myśli wymianie zbliżyć się ku syntezie.

Nie możemy jednak żadną miarą przebaczyć rozwiązania, jakie daje na postawione sobie zagadnienie; nad całą drugą, a wedle myśli Autorki, najważniejszą częścią studjum zmuszeni jesteśmy postawić jeden wielki pytańnik. To co p. M. uważa za oryginalne i twórcze wartości religijnej myśli polskiej, ani oryginalnem (przynajmniej w tym stopniu, w jakim się to wydaje Autorce), ani tem mniej twórczem nie jest.

Spróbujemy to wykazać.

Filozofja nasza — tak p. M. ujmuje rezultat swych badań nad myślą polską — „dotarła do odkrycia w człowieku zasadniczej potęgi samostwarzania się, autokreacji, zaś nieustający czynnik wieczystej ewolucji i nieskończonego postępu odkryła w miłości form coraz wyższych i doskonalszych i w dobrowolnej ofierze z wygód stanu niższego na rzecz owego doskonalenia się kształtów życiowych" (s. 121).

To ma być synteza religijnej myśli polskiej. Trzy rzeczy są tu zawarte: zasada autokracji, teoria reinkarnacji i teoria ofiary mesjanicznej.

Nie wchodząc tymczasem w kwestję, czy takie ujęcie odpowiada rzeczywistości, czy naprawdę te i tylko te trzy myśli stanowią całą i istotną treść naszej narodowej filozofji, a tem samem i polskiej myśli religijnej, nie wahamy się utrzymywać, że stanowczo nie są oryginalne, wyrosłe z głębi ducha polskiego, a więc nasze, swoiste, szczerze polskie, ani nie są twórcze, a zatem zdolne przetworzyć dusze ludzkie i całe dzisiejsze społeczeństwo, zdolne rozbudzić prawdziwą, a bujną religijność w kraju naszym pozbawionym — wedle opinji Autorki — częściowo zresztą słusznej — zupełnie życia religijnego (s. 112).

Przyczynę tak fatalnej pomyłki nie trudno odgadnąć.

Autorka w szlachetnym idealizmie, pełnym gorącego, a bardzo kobiecego uczucia, tak zapatrzyła się w wspaniałe wizje naszych filozofujących wieszczów i poetyzujących filozofów (słów tych nie używamy w ujemnem, ironicznem znaczeniu), tak zatoneła w nich całą umysłem i przede wszystkim sercem, że zaczyna sama.... tworzyć.

Raz wprawdzie (przy Hoene-Wrońskim — s. 130) budzą się wątpliwości, czy nie należy całe zagadnienie uważać za ściśle naukowe. Ale uspokaja się zaraz rozróżnieniem „życiowej, twórczej i odnowicielskiej wartości“ narodowej myśli polskiej, czyli innemi słowy rozróżnieniem praktycznej części całego zagadnienia, a teoretycznej. Pierwszą pozwala się zajmować każdemu, drugą pozostawia „filozofom zawodowym“.

W tem na pozór może słusznem rozróżnieniu widzimy źródło wszystkich nieporozumień i przeoczeń. Stanowisko Autorki, abstrahującej od ściśle naukowego rozważania kwestji, byłoby najzupełniej usprawiedliwionem, gdyby nasza filozofja narodowa była już wszechstronnie zbadana, gdybyśmy już mieli jej syntezę. Tymczasem tak nie jest. Jesteśmy właściwie dopiero u początków badań nad naszą filozoficzną myślą. Czyż można wobec tego usuwać na bok stronę zagadnienia ściśle naukową, a zajmować się praktyczną? Czyż wszystko, co się powie, nie musi zawisnąć.... w powietrzu i rozwiązać się ostatecznie dla braku podstawy? Wartości życiowe, twórcze, praktyczne zależą najściślej od myślowych, na nich się wspierają, z nich czerpią siłę swą, i moc; oder-

wane od nich, mogą nawet porywać wyobraźnię, twórczymi nie będą nigdy.

Nie chcielibyśmy p. M. posądzać o złą wolę, ale] że ona nie była najlepszą, wydaje się nam pewnem. Trudno bowiem inaczej sobie wytłumaczyć to dziwne zlekceważenie podłoża ściśle naukowego. Autorka pisała swe studjum z wyraźną tendencją rozpowszechnienia w społeczeństwie kilku teoryj, jako rzekomo zupełnie prawowiernych, chrześcijańskich i katolickich nawet, gdy tymczasem w rzeczywistości one takimi nie są. Wmawia przeto w czytelnika i to stanowczo, że daną myśl (często najzupełniejszą herezję) tak a nie inaczej rozumieć należy, że ona jest całkowicie zgodną z nauką katolicką. I to zapewnienie jest zwykle jedynym dowodem słuszności twierdzeń Autorki, ponieważ nie uznaje nawet za stosowne podać dzieła, z którego wyjmuje liczne teksty, aby czytelnik, nie znalazłszy dowodu w książce, mógł przekonać się o trafności intuicji czy interpretacji. A może sama p. M. wierzy święcie, że myśli, któremi się zachwyca, naprawdę są chrześcijańskie i katolickie... Itaka ignorancja najelementarniejszych prawd katechizmowych, nawet u piszących książki „religijne“, jest u nas możliwa.

Nic zatem dziwnego, że entuzjastyczne zachwyty Autorki nad oryginalnością filozofji polskiej, liczne superlatywy i wyrażenia w rodzaju: pierwszy odkrył, ukazał nowość, niepospolitość i największą zbawienność koncepcji, itd. muszą wydać się bardzo naiwne każdemu, kto choćby tylko pobieżnie zna historję filozofji, zwłaszcza 19 w.

Bo weźmy pod uwagę pierwszą „twórczą wartość“ religijnej myśli polskiej: autokrację Wrońskiego, a filozofję czynu Cieszkowskiego! Czy ona rzeczywiście jest tak oryginalna, tak istotnie polska, jak się p. M. wydaje? Nie przeczymy, że u Wrońskiego teoria samostwarzania stanowi jakby oś całego systemu, że u wielu naszych myślicieli (nie u wszystkich jednak) gra naczelną rolę, jest ostatniem słowem, syntezą ich poglądów. To tak silne akcentowanie potrzeby czynu, jak zarówno i sympatje myśli polskiej dla reinkarnacji i mesjanizmu ofiarniczego, doskonale i bardzo psychologicznie tłumaczą się niedolą narodową. Ogromna miłość ojczyzny i gorąca wiara w jej zmartwychwstanie kazały im szukać

w całości kształcie myśli ludzkiej, a zwłaszcza współczesnej, takich pierwiastków, któreby niosły pociechę i nadzieję, a równocześnie zawierały w sobie praktyczne wartości urzeczywistniania tych pragnień. Nie daremnie szukali.

Polska nie istnieje jako państwo — rozumowano — ale jest siła, która może jej przywrócić byt polityczny. Tą siłą — to moc autokreacji, to potęga czynu tak jednostek, jak i narodu. Cała atmosfera umysłowa pierwszej połowy 19 w. była właśnie przesycona wiarą, czy przeświadczeniem o sile autokreacji człowieka. Nawiasem dodajemy, że nie było to i wtedy żadną nowością! W dziejach myśli ludzkiej nie trudno spostrzec pod tym względem jakby falowania, jakby stałego powrotu akcji i reakcji. Raz człowiek wyolbrzymia swoją siłę i wyzwała się z pod wpływu wszelkich innych czynników, to znowu w jakimś paroksyzmie rozpaczliwego determinizmu rzuca się łupiną orzecha na fale igrających nim sił obcych lub oddaje, jak oślepe, niewolne narzędzie, Bożej wszechmocy. Jeśli weźmiemy pod uwagę choćby tylko filozofję i teologję chrześcijańską, to znajdziemy także i tam dwa szczytowe kontrasty: pelagianizm emancypujący człowieka zupełnie, a protestantyzm, w rozumieniu jego twórców, odejmujący woli ludzkiej prawie wszelką możność twórczości na terenie moralnym.

Otóż rozwój naszej filozofji narodowej przypadł na okres, w którym przeświadczenie o sile twórczej człowieka było w stadium znacznego spotęgowania. Różne czynniki składały się na to. Mimo reakcji romantycznej, zasady deistycznego na świat poglądu tkwiły jeszcze głęboko w umysłach. Przekonanie o autonomji i emancypacji jednostki ludzkiej wzmogła jeszcze rewolucja francuska. Jak każda rewolucja, tak i ona, burząc stary porządek, a ukazując wizję nowego, musiała wpływać na twórczość ludzką podniecająco; trzeba przecież nowe myśli i plany realizować, wcielać, — szukało się zatem doktryn, któreby potrzebom chwili najlepiej odpowiadały. Dlatego też żadna epoka nie wydała zapewne tylu mesjaszów, reformatorów społecznych i utopistów, co pierwsza połowa 19 w.

To byłby jeden szereg czynników, wpływających na zwrot ku akcentowaniu twórczości ludzkiej. Do drugiego

zaliczyć należy idealizm niemiecki. Kant zburzywszy w „Krytyce czystego rozumu” obiektywność poznania, a tem samem podkopawszy rzeczywistość bytu samego w sobie, aby ratować życie, które wołało o swoje prawa, całą rzeczywistość tego życia oparł na rozumie praktycznym. Myśl Kanta rozwinął w system Fichte. Jego filozofja jest filozofją czynu.

Idealizm niemiecki wywarł bardzo silny wpływ na naszą narodową filozofję. Nie był to jednak wpływ niewolniczy, zabijający oryginalność, ale wpływ mistrza na genialnego ucznia, który czerpiąc ze skarbów jego wiedzy, rozwija je dalej samodzielnie. Myśl polska, jak ta pszczoła skrzętna i troskliwa, z rozległego łąnu idealistycznej filozofji te tylko wybierała kwiaty, które obiecywały dużo kojącej dla zgębnionych narodową niedolą dusz pociechy. Uznając zatem ten znaczny stopień oryginalności u polskich filozofów w przekształcaniu pierwiastków, zaczerpniętych ze skarbca ogólnoludzkiej myśli, nie możemy się zgodzić na bardzo przesadzone zachwyty Sz. Autorki. Nie entuzjazm, pochodzący choćby z najczystszej intencji i dobrej wiary, ale jak najbardziej krytyczne badania ukażą nam stopień oryginalności i wartość naszego narodowego dorobku.

Może p. M. słowa te uzna za jakieś obrazoburstwo narodowych świętości? I takiego zarzutu się nie przerazimy, wiemy bowiem, że przy nas prawda, a raczej my przy prawdzie. Nie jesteśmy zresztą osamotnieni w tych poglądach. Prof. I. Chrzanowski w fejletonie poświęconym książce p. M. również kwestjonuje jej zachwyty nad oryginalnością polskiej myśli religijnej (*Rzeczpospolita*, n. 262 z r. z.). A już chyba prof. Chrzanowskiego o obrazoburstwo świętości narodowych, zwłaszcza z okresu romantyzmu, żadną miarą pomówić nie można.

Wszystko, cośmy powiedzieli o oryginalności teorii autokracji, należy bez zmiany powtórzyć o dwu pozostałych „artykułach religijnej myśli polskiej”, t. j. o wędrówce dusz i teorii mesjanicznej ofiary.

Chyba nie potrzeba przypominać, że wiara w metempsychozę jest stara jak świat. Zrodziło ją silnie tkwiące w ludzkiej duszy przeświadczenie o sprawiedliwości rządzącej światem, o potrzebie sankcji. Pod wpływem tego przeświadczenia,

wobec tak wybitnej nierówności moralnej ludzi, wobec zbrodni jednych a cnoty drugich, rozum i serce zgodnym wysiłkiem szukały odpowiedzi i znalazły ją w wędrówce dusz. Życie ziemskie — to nie całość w sobie zamknięta, to tylko etap długiej drogi, albo wstępującej ku górze dla dobrych, albo zstępującej ku poprawie dla złych. Objawienie chrześcijańskie sprostowało wprawdzie tę odpowiedź; atoli błędu w niej zawartego nie zdołało raz na zawsze wykorzeń. Pozostał i płacząc się po ludzkich głowach, odradza się w coraz to innych formach i to nie tylko w zastosowaniu do życia indywidualnego, ale i do losów narodów i państw.

Jedną z takich form metempsychozy, to zasada „wieczystej ewolucji i nieskończonego postępu przez miłość form coraz wyższych i doskonalszych i przez dobrowolną ofiarę z wygód stanu niższego na rzecz owego doskonalenia się kształtów życiowych“ (str. 121). Jeśli odniesiemy tę zasadę do życia narodów, to będziemy mieli najogólniejszą definicję mesjanizmu. Bo czemże ostatecznie jest mesjanizm, jeśli nie teorią filozoficzno-religijną, która jednostce, narodom, a nawet całej ludzkości w wieczystej ewolucji przypisuje wybitną rolę?! Rola ta bywa różną. Ponieważ jednak mesjanizm budzi się najczęściej w okresach klęsk lub epok przejściowych, przeto istota roli tej polega zwykle na „ofierze z wygód stanu niższego, płynącej z miłości form coraz wyższych i doskonalszych, na rzecz owego doskonalenia się kształtów życiowych“. — Mamy przeto znowu rzecz starą jak świat... mesjanizm. Brak miejsca nie pozwala na wyczerpujące wykazanie, że mesjanizm polski w pierwszej połowie 19 w. nie był wcale zjawiskiem odosobnionem, oryginalnem. Rzecz zresztą jest najzupełniej znana. Wystarczy przypomnieć, że nasz mesjanizm rozwijał się pod wpływem mesjanizmu francuskiego i niemieckiego, a prawie równocześnie z rosyjskim. Wykazali to wyczerpująco Kleiner i Pawlikowski w swoich monografiach, pierwszy o Krasińskim (Zygmunt Krasiński — Dzieje myśli), drugi o mistyce Słowackiego. Pawlikowski tak streszcza wyniki swych badań: „środowisko współczesne uważam za kolebkę idei mesjanicznych, a nie skłonności narodowe (a tem mniej rasowe, jak chce Zdziechowski), których źródeł trzeba szukać w głębszych pokładach historii. Nie spo-

dziewam się, aby poszukiwanie w przeszłości naszej śladów mesjanizmu mogło go objaśnić; z duszy narodowej wziął może barwy, ale jest wytworem czasu i to wytworem nie specyficznie polskim, czy słowiańskim". (Pamiętnik Lit. 1908 „Źródła i pokrewieństwa towianizmu i mistyki Słowackiego", str. 574).

Nie chcemy jednak zaprzeczać — zaznaczamy jeszcze raz wyraźnie — jakoby polska myśl tak palingenezie, jak i mesjanizmowi nie nadała swoistego charakteru, jakoby nie było tam oryginalnych, a często głębokich, bardzo szlachetnych i pięknych uzupełnień, dodatków, rozwinięć. Dalekimi będąc zarówno od przekonań pozytywistów, przekreślających całą romantyczno-mesjaniczną myśl polską, jako rojenia chorych głów, jak i od ryczałtowego, bezwzględnego potępienia jej w imię prawowierności katolickiej, nie możemy mimo to p. M. przyznać racji. To co uważa za oryginalną zdobycz ducha polskiego, wcale takim nie jest, a tem mniej zawiera w sobie twórcze wartości przekształcenia życia całego narodu.

I tak najpierw co się tyczy palingenezy, to naprawdę nie możemy nawet zgadnąć w jakiby sposób mogła przyczynić się do odrodzenia dusz i ożywienia religijności? Zastosowana do jednostek, jako rozwiązanie zagadek życia zagrobowego, jest fałszem i herezją przez Kościół potępioną, dlatego dla wierzących żadnej twórczej wartości nie może przedstawiać. A zresztą biorąc rzecz z punktu widzenia czysto praktycznego, chyba nie metempsychozie, ale prawdzie katolickiej musimy przyznać pierwszeństwo. Bardziej twórczym i czynnym będzie ten, który wierzy, że jedno tylko życie jest mu danem i że jego jakoś bezwzględnie i nieodwołalnie decyduje o wieczności, aniżeli metempsychista, obiecujący sobie odrobić niezbyt może idealny żywot niniejszy w przyszłych wcieleniach.

Jeślibyśmy zaś chcieli odnieść palingenezę do życia narodowego czy państwowego, to na pierwszy już rzut oka nie ma ona tutaj żadnego sensu. Przecież nie uważamy naszej, kosztem tylu ofiar zmartwychwstałej Ojczyzny za jakieś „Saisonstaat", któreby dla poetycznej teorii, z miłości form coraz wyższych, wędrowało sobie z jednego bytu w drugi?

Czyż dzisiaj wszystkie nasze wysiłki nie zmierzają raczej ku utrwaleniu obecnego stanu, który, mimo wielu braków, wcale nie wydaje się nam niższym, skoro zawiera w sobie wartość nad wartościami: wolność. A zatem po co i na co wyciągać z lamusa filozofji stare, wytarte graty, jeśli naprawdę żadnego z nich pożytku niema. Gdyby zaś p. M. chciała na palingenezie, jako na „filozoficznej zasadzie“, oprzeć i umotywowować nią potrzebę dalszego rozwoju całego naszego życia i kultury, to jest to zupełnie zbyteczne, skoro mamy całe mnóstwo innych powodów i motywów, aby siebie i drugich zachęcać do postępu. Teoria metempsychozy jest tutaj bez wartości i podobnie jak wszystkie systemy progresyzmu społeczno-moralnego, skazana jest na bankructwo; ludzie będą pracować dla spełnienia rozkazu Bożego, z miłości Boga, dla uzyskania nagrody wiecznej, będą pracować i poświęcać się dla swej własnej korzyści i dobra swego społeczeństwa, ale jakaś tam „wieczysta ewolucja, nieskończony postęp, miłość form coraz wyższych i doskonalszych“ itd. — to wszystko ładnie i poetycznie brzmi, ale tak dla mistrzów, jak i dla milionów pracowników w warsztacie życia pozostanie na zawsze pustym dźwiękiem.

Chrześcijańskie, najgłębsze i jedynie twórcze pojęcie ofiary, umartwienia, zwyciężania samego siebie i cierpienia w przedstawieniu czy przeróbce p. M. taką przybiera formę, że znowu traci całą wartość. Wprawdzie Autorka bardzo słusznie zwalcza błędne mniemanie, jakoby istota chrześcijańskiej ofiary polegała na zupełnie biernem uleganiu wszystkiemu i wszystkiemu, mimo to jednak sama pojęciu ofiary niechrześcijański nadaje charakter. Chociaż ofiara (najogólniej pojęta) jest pewnem wyrzeczeniem się czegoś niższego na rzecz wartości doskonalszych, a tem samem poddaniem się prawu, nie jest jednak — jak chce p. M. — „poddaniem się tylko własnemu wewnętrznemu prawu, nie jest najwyższym i najdumniejszym aktem wolności“ (str. 166), ale wolnym aktem posłuszeństwa, aktem poddania się pod cudzą, zewnętrzną wolę. Rozumie się, że aby poddać się pod coś wyższego, pod prawo cudze trzeba to prawo uznać, jeżeli nie rozumem, to przynajmniej wolą, trzeba aby ono w pewnem znaczeniu było prawem naszym. Słuchając go, nie słuchamy jednak

siebie samych, nie pełnimy woli swojej, ale wolę cudzą, chociaż ona staje się naszą właśnie przez akt poddania się. Takie dopiero pojęcie ofiary i posłuszeństwa jest naprawdę twórcze, bo jednoczy wolę ludzką z najwyższą Wolą i najwyższem Prawem, z Bogiem. P. M. natomiast proste te prawdy zaciemnia, gmatwa różnemi pseudo-filozoficznemi i mistycznemi dodatkami i interpretacjami. Przyznać jednak musimy, że takie ujęcie jest w systemie (o ile o systemie mówić tu można) Autorki trochę logiczne, wpływa bowiem z teorii o autokreacji.

Autokreacja... co właściwie ma oznaczać ten termin? Autokreacja czego, czyja? — pytamy zdziwieni. Już ze stanowiska filozoficznego jest to słowo — o ile bierze się je w znaczeniu ścisłem — sprzecznością. Wprawdzie czasem używano i tego terminu o Bogu, ale tylko w sensie rozszerzonym i mocno przenośnym, o ile Stwórca wszechrzeczy nie poza sobą, ale w samym sobie ma wystarczającą rację bytu i o ile Jego istnienie nie jest wieczną jakąś martwością, jakimś oceanem bezruchu, ale nieustającym czynem twórczym. Skoro zaś abstrahujemy od tego niewłaściwego użycia słowa autokreacji, to w zastosowaniu do człowieka tak w znaczeniu metafizycznym, ontologicznem, jak i moralnem jest ono nonsensem. Nie istniejąc, nie mogliśmy sobie żadną miarą sami dać bytu, ani tego bytu odmiany. Dlatego też poetyczne fantazje Słowackiego z „Genezis z Ducha“, które tak p. M. zachwycają rzekomą oryginalnością i głębokością, pozostaną mimo tych zachwytów tem czem są, tj. fantasmagorią. Można się cieszyć, że Słowacki wyprzedził Darwina i jego następców w głoszeniu skrajnego ewolucjonizmu, aż do zatarcia wszelkiej różnicy między duchem a materją, między istotą żywą, a światem martwym, że swoim duchom dał moc boską itd., — ale przez to jeszcze nie udowadnia się prawdziwości ewolucjonizmu.

Również w odniesieniu do życia moralnego zasada autokreacji, tak jak ją pojmuje¹ p. M., jest fałszywa i bardzo niebezpieczna. Wolna wola ludzka jest naszym największym skarbem i zaszczytem, w niej nasze podobieństwo do Boga — Stwórcy występuje najsilniej, my rzeczywiście jesteśmy twórcami naszego moralnego ja, naszego charakteru i naszej

doli, ale nie jesteśmy stwórcami, bo nie jesteśmy działaczami jedynymi i niezależnymi, tworzymy, ale na materiale już istniejącym, władzami naszymi, pod wpływem licznych czynników zewnętrznych, z których najważniejszym: Bóg. Współdziała On z każdym naszym czynem, a na czyny moralne wpływa w sposób szczególny przez łaskę uczynkową. Łaska nie zniewala naszej wolnej woli; nie determinuje jej do jednego, mimo to działa rzeczywiście i skutecznie. Dlatego żaden akt nie jest możliwy zarówno bez Boga, jak i bez nas. I tutaj leży cała wielkość i siła twórcza katolickiej nauki. Św. Ignacy wyraził ją w bardzo głębokim aforyźmie: „Módl się tak, jakby wszystko od Boga zależało, a nic od ciebie, a pracuj tak, jakbyś ty był wszystkim“. — Takim jest prawdziwe, chrześcijańskie pojęcie twórczości ludzkiej. P. M. pojęcie to fałszuje; jej autokreacja nie jest niczem innym, jak tylko zamaskowaną w powodzi pięknych słów kantowską autonomją, jest głoszeniem bezwzględnej niezależności człowieka, głoszeniem etyki niezależnej, a więc tem samem i etyki (raczej niemoralności) materialistycznej, którą Autorka na początku książki tak gorąco potępiała.

W czasie czytania książki, a zwłaszcza przy rozdziale o Wrońskim, poprostu wierzyć się nie chce słowom Autorki, chciałoby się je jakoś przecie wyrozumieć i wytłumaczyć, ale nie podobna! Takie zdania jak: „Aby otrząsnąć bezwład, pod którym pleśnieje bujność życia, wszcząć należy walkę z zabójczym przesądem o zależności człowieka“ — nie mogą pozostawiać najmniejszej wątpliwości. Wolno p. M. trzymać się w prywatnem życiu zasady autokreacji i pobudzać się jej rzekomą twórczością, ale występować z takimi „wartościami“ w imię odrodzenia religijnego i narodowego... to już trochę za bardzo naiwne! Mała książeczka, nazwana katechizmem, poucza, że nie przesądem jest przeświadczenie o zależności człowieka, ale absolutnie pewną prawdą, nie przesądem jest zabójczym, ale nieodzownym warunkiem każdego ludzkiego czynu, tak przyrodzonego, jak i nadprzyrodzonego. I nic nie pomoże zapewnianie czytelnika, że siłę autokreacji wzięliśmy „z niewysłowionego Boskiego źródła bezwzględnej Wszechtwórczości“ (str. 149), bo to frazes tylko i fałsz;

Bóg człowiekowi takiej mocy nie dał, ale mu powiedział: „Bezemnie nic czynić nie możecie“ (Jan, 15, 5), albowiem Bóg jest, „który sprawuje w nas i chce i wykonać wedle dobrej woli“ (Filip. 2, 13).

Musimy przyznać, że pod względem zapatrywań na działalność i siły moralne człowieka dużo bliższym chrześcijaństwa, a nawet katolicyzmu jest Towiański, którego p. M. w książce swojej zupełnie pominęła, nie wspomniawszy o nim ani słowa. Powodu takiego przeoczenia nie trudno się domyśleć: Teoria Towiańskiego nie dała się naciągnąć do bardzo dowolnej „syntezy“ religijnej myśli polskiej, psuła jej jednolitość, więc poprostu zapomniało się o niej. Czy godzi się tak załatwiać z niewygodnymi problemami i czy taka metoda wyszła na korzyść twórczym wartościom.... można bardzo poważnie powątpiewać.

Jeśli sięgniemy jeszcze głębiej, to musimy powiedzieć, że nie tylko „wartości twórcze religijnej myśli polskiej“, głoszone przez p. M., ale cała jej książka nie przyczyni się do odrodzenia religijnego i moralnego, ponieważ ignoruje najzupełniej pierwiastki nadprzyrodzonego życia. Granice przyrodzonego i nadprzyrodzonego zatarte, a raczej nadprzyrodzoność ściągana przemocą na poziom naturalny; najgłębsze tajemnice wiary sprowadza się do dowolnych, apriorystycznych koncepcyj idealizmu niemieckiego, pojęcie objawienia i wiary całkowicie znaturalizowane, łaska z obrębu życia religijnego usunięta itd. itd.

A wszystko to dzieje się dlatego, że Autorka zesła (a może jeszcze nie weszła) z prostej, jasnej, a niezawodnej podstawy prawd katechizmowych i mówiąc ciągle o Chrystusie i chrześcijaństwie, pod wieloma względami bardzo jest niechrześcijańską. Z dziwną jakąś predylekcją wybiera z systemów naszych narodowych filozofów te myśli, w których oni najbardziej oddalili się od prawdy chrześcijańskiej, mówiąc konkretnie, katolickiej, a mimo to stale zapewnia czytelnika, że ta lub tamta filozofja „jest chrześcijańską, że się opiera na istotnem zrozumieniu chrystjanizmu“ (str. 204). Klasyczny przykład takiego wmawiania w czytelnika prawowierności mamy w rozdziale poświęconym panteistyczno - heglowskim fantasmagorjom Trentowskiego.

Nie marzenia i pomysły, choćby najgenialniejszych filozofów, ale prosta prawda, stale rozbrzmiewająca w Kościele katolickim, ignorowanym dość ostentacyjnie przez Autorkę, a czasem tylko atakowanym w dyskretnych, ale nie dwuznacznych, przytykach, prosta, katolicka prawda — powtarzamy jeszcze raz — potrafi odrodzić dusze, rozbudzić prawdziwą religijność i przetworzyć wszystkie dziedziny życia, tak prywatnego, jak i narodowego.

Naprawdę wielkiem i szczytnem jest przekonanie Autorki, że „dokąd religja nie stanie się dla każdego działającego Polaka, polityka, społecznika, wychowawcy, sprawą osobiście podstawową i dziedziną konieczną, w której trzeba zanurzyć, zbadać i osądzić własną duszę i pobudki wszelkich poczynañ, dopóty wielkie i nagłace zadanie odrodzenia narodowego ślizgać się będzie u nas li tylko po powierzchni życia“ (str. 307); szkoda jednak, że religja, którą głosi, nie jest zdolna do spełnienia celu, jaki się jej wyznacza i pod jej wpływem „odrodzenie dalej będzie musiało się ślizgać po powierzchni życia“.

Czy jednak nasz sąd ujemny o książce p. M. jest równie i potępieniem narodowej myśli? Nie! Zaznaczaliśmy to kilka razy i jeszcze raz powtarzamy, a to dla tej prostej przyczyny, że praca Autorki nie daje nam prawdziwej syntezy polskiej filozofji, nie ujmuje istotnych, naprawdę wielkich i twórczych wartości w niej zawartych.

Dotychczas zwykle kryterjum oceny polskiej filozofji ze strony katolickiej było pytanie: ile ona oddaliła się od katolicyzmu. Sądzimy jednak, że może dużo słuszniejszym i sprawiedliwszem byłoby stanowisko odwrotne: o ile nasza filozofja zbliżyła się do katolicyzmu. Że takie ujęcie jest bardziej uzasadnionem, wystarczy zwrócić uwagę na stan religijny Europy ówczesnej, a Polski w szczególności. Cała atmosfera przesiąknięta była nienawiścią, a w najlepszym razie niechęcią i przesadami względem Kościoła katolickiego. Papiestwo nie miało jeszcze tego blasku, który je wieńczy od kilkunastu lat. Kościół, jako rzekoma twierdza wstecznicstwa, lekceważony i atakowany, przechodzi ciężki kryzys zewnętrzny pod ciosami, jakie mu zadała Wielka Rewolucja i Napoleon; działalność jego zewnętrzna słabnie; nie widzimy

ani wielu świętych, ani uczonych. Nic zatem dziwnego, że umysły współczesne nie ciągną ku Kościołowi, że go nie rozumieją i nie ufają mu. Fakt ten wyda nam się jeszcze bardziej zrozumiałym, gdy zważymy, iż pokolenie, o które nam chodzi, wyrosło i wychowało się wśród wrogiej religijnej atmosfery oświecenia i idealizmu niemieckiego i wśród prawdziwej powodzi sekt nowych i wiar mistycznych. Znana przecież jest rzeczą, że większość naszych wielkich mężów stanu i bohaterów z okresu rozbiorowego i pierwszych walk o niepodległość pod względem religijnym była w najlepszym razie obojętną, a pewne sympatje ku Kościołowi miały źródło przeważnie tylko w tradycji. A jeśli romantyzm wprowadza zwrot religijny, to przewodnikami tego powrotu są idee bardzo wątpliwej wartości, choćby tylko przypomnieć pisma ks. Lamennais'ego.

Na takim dopiero tle rozpatrując naszą myśl filozoficzno-religijną, musimy ją uznać raczej za zbliżanie się do katolicyzmu, niż oddalanie się od niego. Że powrót nie jest jeszcze zupełnym, przynajmniej nie u wszystkich naszych myślicieli, nie tyle ich wina, ale raczej atmosfery i warunków, w jakich żyli. Zadaniem naszym jest oddzielić myśl zdrową, pewną i niespożytą pod względem trwałości od tego, co w ich filozofji było pozostałością po minionym okresie i nalotem czasów im współczesnych. I choćbyśmy tam nie znaleźli nic więcej, jak tylko naprawdę z wyjątkową w nowoczesnej filozofji siłą głoszoną potrzebę oparcia całego życia indywidualnego i społecznego na religji Chrystusa, to już z tej jednej racji zasługuje polska myśl narodowa na tytuł wielkiej. Nie każda nowość i oryginalność jest wielką. „Zrozumieć — to dorównać...” powiedział Rafael. W tem chwala i genialność naszej filozofji romantycznej, że pojęła i w najcudowniejsze kształty polskiego słowa przyoblekła istotną myśl Bożą względem ludzkości: „Przyjdź Królestwo Twoje”. — I o tem mówi p. M. w swojej książce, tylko że niestety te prawdziwe wartości giną wśród zachwy-
tów hymnów uwielbienia dla autokreacji, dla metempsychozy i poetyckich, myślowo bezwartościowych wizyj „Genesis z Ducha”, dla rojeń o nowej epoce dziejów i parakletyzmie, wreszcie dla zupełnie nie filozoficznych, a dogmatycz-

nie fałszywych filozofowań na temat Trójcy Przenajśw. i Słowa Odwiecznego. — Powiada na jednym miejscu Autorka, „że Chrystus niepokoi wnętrzości świata“ (str. 205). Święta to prawda, potwierdzająca się jeszcze raz książką p. M. Mamy jednak nadzieję, że niepokój ten przemieni się w słodką ciszę i pewność zdobytej i poznanej prawdy, że przyszłe jej prace nie będą już — wedle jej własnego wyrażenia (str. 205) — „wzywaniem na daremno Imienia Chrystusowego“, ale słowem, przez które święci się Imię Pańskie.

Ks. St. Bednarski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Ignacy Chrzanowski: Wśród zagadnień, książek i ludzi. Wyd. Zakładu narodowego im. Ossolińskich, 1923, str. 576.

I. Chrzanowski należy do ludzi, których się chętnie słucha i czyta. Czy na katedrze czy w książce nie jest on suchym erudytem tylko — choć erudycja jego dość rozległa — ale przedewszystkiem jest on żywym człowiekiem, któremu nic nie jest obojętnem, co jest człowiecze, a który też umie życie wlać w to, co mówi, w to, co pisze.

Książka, wydana świeżo przez „Ossolineum“, zbiera w jeden snop dużo z tych kłosów, jakie przez blisko 30 lat rozrzucił Chrzanowski na swojej literackiej niwie. Są tu poruszone poważne zagadnienia, omówione interesujące książki, uczczeni zasłużeni ludzie (może lepiej dokładnie będzie powiedzieć: nieboszczycy). Są tu rzeczy nierównej długości i wartości nierównej: od najlepszych począwszy (Idea kultury średniowiecznej, książka o Samuelu i Seklucjanie, Przedświt a prelekcje paryskie), a kończąc na drobiazgach nekrologicznych, lub pobieżnych literackich szkicach.

Ze wszystkich tych prac przemawia do nas nie tylko znawca swego przedmiotu — literatury ojczystej, ale patriota gorący, pragnący w życiu narodu wysunąć na czoło pierwiastki moralne, oparte przytem o religję. Z prawdziwą też satysfakcją podkreśla i uwypukla te właśnie pierwiastki, ilekroć je znajduje w książkach czy w życiu ludzi, o których mówi. Choć skłonny do sarkazmu i ironji, usiłuje wszakże miarkować się w nich, kiedy nastrocza mu się sposobność podkreślenia czegoś dodatniego, obok tego, co na ironję zasługuje. Tylko dla jednej grupy niemiłych ludzi czyni jakby z reguły wyjątek: Jezuitów przedkasacyjnych (o tych tylko pisze) nie oszczędzi nigdy — tak mu się wydaje ujemną całą ich działalność w przedrozbiorowej Polsce. Ma się jednak wrażenie, że wyrzuty i epitety, jakich zakonowi nie szczędzi, nie tyle są wymuszone przedmiotowem i wszechstronnem studjum ich historii, jak raczej płyną z impulsywności charakteru piszącego, a trochę nawet ze współczesnej... mody.

Jeśli chodzi o religijne poglądy Chrzanowskiego, to te często są podejrzaney prawowierności ze stanowiska katolickiego. Nie mamy zamiaru wyliczać wszystkich niedociągnięć pod tym względem. Powiemy tylko ogólnie, że zapatrywania jego religijne zbliżają się mocno do typu modernistycznego. Niektóre dogmaty wiary, jak np. dogmat kar wiecznych, zdaje się uważać za nieodwołalnie skompromitowany. Nie szczędzi też zarzutów Kościołowi, ale znowu mam wrażenie, że niejedno wyrażenie

cierpkie, a nawet wprost nie stosowne pod adresem Kościoła to tylko literackie naśladownictwo stylu Mickiewicza czy Słowackiego z okresu prelekcji paryskich i wpływów towiańszczyzny. Bynajmniej nie poczytuję za złe prof. Chrzanowskiemu, że uprzytomnił nam stosunek Mickiewicza do Kościoła („Mickiewicz wobec Kościoła w ostatnim kursie prelekcji paryskich”), mamy bowiem prawo, a nawet obowiązek poznania Mickiewicza takim, jakim był wszechstronnie, — ale w solidaryzowaniu się z zarzutami ucznia mistrza Andrzeja idzie prof. Chrzanowski zadaleko, a znowu gdy chce wytlómaczyć nieco Kościół, czyni to nie zbyt szczęśliwie: jego apologia przypomina wtedy „obronę”, jaką Boy poświęcił Jezuitom w przekładzie „Prowincjałek”. Kościół i Jezuici mogą tu westchnąć: Boże broń mnie od moich obrońców!

Animozja pewna do „mroków scholastyki” (złagodzona już w „Idei kultury średniowiecznej”) czasem się mści na prof. Chrzanowskim. Jeden przykład: Staszic określił naród jako „jedną istność moralną”. Gdyby prof. Chrzanowski wiedział, że to jest przekład scholastycznej formuły: *ens moraliter unum*, to nie wciągałby tej formuły w żaden sposób do dowodu — zresztą słusznego — że „patriotą jest jedynie człowiek moralny”.

Sumując zalety i braki książki, trzeba powiedzieć, że spełni ona dobrą rolę względem tego odłamu naszej inteligencji, która lubi odnosić się wrogo, albo choć obojętnie do wszelkiej religii i zapoznaje moralne wartości w życiu narodu. Natomiast utrwalić może niejedno nieporozumienie dotyczące Kościoła i katolicyzmu prawowiernego. Byłaby książka dużo pożyteczniejszą, gdyby w parze z niewątpliwym patriotyzmem i religijnością autora szedł życzliwszy stosunek do ducha i autentycznych tradycji tego Kościoła, który włożył najcenniejszą część w budowę naszej przeszłości.

Ks. J. Urban.

Marjan Gumowski: Biskupstwo kruszwickie w XI wieku. Poznań, 1921. Poznańskie Tow. Przyjaciół Nauk. Prace komisji historycznej T. II, zeszyt I. 80, str. 1—65.

Autor, znany i ceniony numizmatyk, ma tę niepospolitą zaletę u nas, że potrafił numizmatykę, jak nikt inny przed nim, wyzyskać jako źródło historyczne do XI wieku dziejów polskich. Już praca jego „Katedry wawelskie” 1919 r. (drukowana w „Przeglądzie Powszechnym”) wykazała niepospolite zdolności w dziedzinie tak trudnych badań, jakimi są badania z odległej mediewistyki, jego zmysł spostrzegawczy, ścisłość i sumiennosc w wyszukiwaniu źródeł i wyzyskaniu dotychczasowych badań, jego zdolności kombinowania i wysnuwania dalekich wniosków niejednokrotnie śmiałych, a nawet hazardownych choć zawsze naukowo uzasadnionych, mniej lub więcej szczęśliwie umotywowanych. Z tego też powodu prace p. Gumowskiego z XI wieku są bardzo interesujące, a co ważniejsze przynoszą dużo pewnych zdobyczy naukowych lub przynajmniej szczęśliwie skombinowanych hipotez, mających wszelkie prawdopodobieństwo za sobą. Nowa praca o Biskupstwie kruszwickiem wnosi także dużo

światła w pomrokę XI wieku, tak zagadkowego, a tak ciekawość budzącego. Przypatrzmy się pokrótce najważniejszym zdobyczom naukowym w rzeczonej pracy.

O początkach biskupstwa kruszwickiego istnieje spora literatura. Z powodu braku atoli źródeł zdania uczonych się rozchodzą. Tradycja Długosza lub katalog biskupów kujawskich z XV wieku, nie daje źródłowej pewności. Źródłowe fundamenta do istnienia biskupstwa kujawskiego w Kruświcy znalazł autor w przelicznych denarach, zwanych ongi wendyjskimi obecnie krzyżowemi od krzyża na nich wybitego t. zw. krzyżówkach, bitych wedle trafnych wywodów naszego numizmatyka w mennicach biskupów polskich XI wieku, wbrew dotychczasowej opinii niemieckich numizmatyków, w Gnieźnie, w Poznaniu, Wrocławiu a zwłaszcza Kruświcy. Kruświckie denary odznaczone są napisami: CR UXXRI czasami OTTO, SCS. PETRUS, EBERHARD. USERS i ZETECH. Że te denary pochodzą z Kruświcy, o tem świadczy imię św. Piotra, patrona pierwotnego katedry kruszwickiej. Denary te kruszwickie wybijane są przez cały wiek XI, począwszy od rządów Chrobrego, aż do upadku Sieciecha w ostatnich latach panowania Władysława Hermana, jak tego dowodzą wykopaliska pieniężne w Polsce i w Niemczech. Założycielem właściwym biskupstwa kruszwickiego był już Chrobry; ale kościół katedralny w Kruświcy, po dziś dzień jeszcze zachowany, wybudował syn jego Mieszko II, który zaślubiwszy 1012 r. Richezę, otrzymał od ojca Kujawy z Pomorzem w zarząd, a Kruświcę uczynił swoją stolicą i w niej za zgodą ojca biskupstwo stworzył i uposażył. Biskup kruszwicki został wyposażony w prawo bicia własnej monety, obejmujące zarazem zyski z mennicy, opłaty z jarmarków i z całego obrotu handlowego... — Było to wyposażenie bardzo intratne. Kruświca była przez ciąg panowania Mieszka II, stolicą Polski. Mieszko II. r. 1031 został wypędzony przez swego brata. W nauce dotąd istnieje spór czy Mieszko drugi miał dwóch braci Ottona i Bezpryma czyli też jednego Ottona - Bezpryma. P. Gumowski roztrząsa ten spór definitywnie na rzecz jednego brata Ottona - Bezpryma, na tej podstawie iż przechowały się 2 denary, pochodzenia kruszwickiego, a wybite przez Ottona - Bezpryma w czasie jego krótkich rządów w Kruświcy. Przy zdobywaniu bowiem tej stolicy w obronie Mieszka II padło dwóch biskupów: Roman kruszwicki i Lambert prawdopodobnie krakowski. Dlatego też Otto - Bezprym, opanowawszy Kruświcę, przywłaszczył sobie mennicę biskupią i kazał bić krzyżówki z podwójnym napisem Otto. Panowanie jego trwało tylko rok, a r. 1032 Mieszko po zamordowaniu uzurpatora przez własnego giermka wraca na tron. Ciekawe objaśnienie do nazwy Otto - Bezprym daje ks. Kozierowski, twierdząc, że Bezprym czy Bezprzym znaczy w języku polskim „nieprawy“. Był on synem drugiej żony Bolesława, Węgierki, której Bolesław rychło się pozbył, poślubiając Emnildę pomorską i zdaje się uważając małżeństwo z Węgierką za nieważne, syna z nią spółzalonego poczytywał za nieprawego i dlatego młodszego syna Emnildy Mieszka wyniósł ponad starszego Ottona nieprawego — Bezprzym stąd zwanego. Dlatego też jako upośledzony, Otton otrzymał tylko Mazowsze jako dzielnicę, podcza gdy za prawowitego na-

stępcę uznany Mieszko otrzymał całe państwo polskie. Mieszko wróciwszy do Kruszwicy, odnowił biskupstwo i znowu mennica biskupia bije krzyżówki - denary z napisem S C S P E T R U S, zwłaszcza za rządów biskupa Andrzeja 1056 — 81. Następca Andrzeja jest nieznany dotąd biskup Eberhard. Był zrazu kanonikiem bamberskim, Henrycyaninem i przeciwnikiem Grzegorza VII. Po upadku Bolesława Śmiałego na stolicę biskupią w Kruszwicy wyniesiony jest dzięki temu, że zwycięski bunt Sieciecha i Władysława Hermana z natury rzeczy opierał się o antygregorjańskie Czechy i Henryka IV. Bił krzyżówki w Kruszwicy ze swoim napisem. Należał on do głośnego poselstwa Władysława Hermana z r. 1085, odnoszącego do Bambergi, zabrowane tamże w czasie wojny z Niemcami Śmiałego przez rycerstwo polskie krzyże złote, a następnie niosącego bogate dary dla św. Idziego w Prowancji celem uproszenia potomka dla księżęcej pary. Na stolicę biskupią nie wrócił z tego poselstwa lecz pozostał wraz ze swoim towarzyszem Henrykiem, bs. plockim, w Bambergu jako kanonicy dlatego, że w międzyczasie nastąpił w Polsce przewrót kościelno-polityczny na korzyść prawowierne go gregorjanizmu. Dlatego też Eberhard jako schizmatyk nie został wliczony w poczet biskupów kruszwickich. Nowo mianowany biskup kruszwicki Baptysta był Gregorjaninem i dlatego przeciwnikiem Sieciecha, poplecznika polityki niemieckiej i henrycjańskiej schizmy. Biję również krzyżówki w swej mennicy z literami: E J O E T O i z chorągiewką, atrybucją św. Jana Baptysty. Biskup Baptysta popierał przeciw Sieciechowi książęcego syna Zbigniewa, udzielając mu przytułku i pomocy r. 1096. Bunt kruszwicki stłumił krwawo Sieciech, wziął Zbigniewa do niewoli, zniszczył wojsko przeciwników, zburzył miasto Kruszwicę tak, że się odtąd już nie podniosło. W wojnie tej miał zginąć zdaniem p. Gumowskiego także i biskup, a zwycięski Sieciech w nagrodę otrzymał jego biskupią mennicę i biję przez 2. lata denary krzyżowe z napisem Z E T E C H. Denary te sieciechowskie są rzadkością, mimo to świadczą wymownie o jego olbrzymim wpływie i znaczeniu na dworze Władysława Hermana. On też zdaje się odebrał biskupom prawo bicia monety, albowiem poskromienie możnych panów i biskupów było celem jego polityki. Stąd taka na niego zawziętość. Kresem jednak świetności wszechwładnego palatyńa był r. 1097 i następny. Przy konsekracji kościoła gnieźnieńskiego dnia 1 maja 1097 musiał z więzienia wypuścić książęcego syna Zbigniewa; a pod presją książęcych synów i popierającego ich możnowładztwa Sieciech mimo książęcego poparcia, w r. 1098 musiał pójść na wygnanie. Dobra jego uległy konfiskacie. I wtedy sprytna druga żona Władysława Hermana, królowa Judyta, siostra cesarza Henryka IV, nie chcąc, by te dobra były rozdrapane przez przeciwników, rozdała je na rzecz najbardziej przez Sieciecha poszkodowanych biskupstw. Wtedy to jak głoszą zapiski rocznikarskie biskupi kruszwiccy otrzymali z dóbr Sieciechowskich w Małopolsce kasztelanę wolberską nad Pilicą, kościół P. Marii w Zawichoście z kasztelaną Tagowską w Sandomierskiem, dzieśięcinę kościoła P. Marii w Sandomierzu, wreszcie probostwo św. Michała na Wawelu z należącemi doń włościami. Była to rekompensata za utracenie prawa mennicy, bo odtąd krzyżowe denary biskupie nie pojawiają

się. Wtedy także inni biskupi jako wynagrodzenie za odjęcie im prawo bicia monety otrzymali z dóbr Sieciecha, arcybiskup gnieźnieński dobra koło Opatowa i Sandomierza, biskup krakowski kasztelanę chropską, biskup płocki Kocko nad Wieprzem, a nawet opactwo tynieckie, Książnice i kilka wsi około Miechowa. Judycie zawdzięcza także arcybiskupstwo gnieźnieńskie kasztelanę żnińską skonfiskowaną wtedy Sieciechowym krewniakom na Pałukach. Sprytna a nieuczciwa królowa Judyta, przyjaciółka Sieciecha a podpora polityki niemieckiej w Polsce, w ten sposób kupiła sobie względy książąt Kościoła, oddanych przeważnie Gregorjańskiemu kierunkowi. Nie umarła 1092 r. ale twierdzi prof. Bocher, żyła jeszcze w początkach XII wieku i wyjednała przyjacielowi Sieciechowi powrót do kraju. Kruszwickie biskupstwo najwięcej uzyskało dóbr skonfiskowanych Sieciechowi, dlatego że najwięcej od Sieciecha krzywd doznało — Kruszwica jednak nie podniosła się już nigdy po zniszczeniu do dawnej świetności i dlatego biskupi kruszwiczcy przenieśli swą siedzibę do Włocławka.

Takie olśniewające wprost zdobycze naukowe przyniosły nam badania numizmatyczne p. Gumowskiego. Nie na wszystko jednak godzić się można w jego wywodach. Uległ on zbytnio w kreśleniu obrazu stosunków XI w. wpływowi stronnicych badań Gumpłowicza i Wojciechowskiego i dlatego pisze nie historycznie o ścięciu św. Stanisława, aczkolwiek czaszka św. Stanisława w relikwiarzu krakowskim wedle świadectwa samego Wojciechowskiego stwierdza, że biskup krakowski zginął od uderzenia z tyłu jakimś tępym narzędziem, toporem czy czekanem. Powtarza autor legendę urobiną od czasów Czackiego, a powtarzaną przez Stefczyka, Gumpłowicza, Wojciechowskiego, jakoby od roku 1079 szereg lat Czesi w Krakowie panowali, twierdzi bezkrytycznie i bez najmniejszych podstaw wbrew Gallowi, jakoby dopiero w r. 1086 Mieszko Bolesławowicz zdobył Kraków na Czechach, a 1089 Herman na Mieszk. Dziś najpoważniejsi uczeni jak prof. St. Zakrzewski, tę antystanisławowską bajkę odnawiają. Niepodobieństwem bowiem jest przypuścić, by Władysław Herman koligacił się z Władysławem czeskim, który mu połowę państwa odebrał. Ten monstrualny wymysł usiłowali naukowo przemycić badacze, którzy koniecznie z biskupa krakowskiego, Stanisława, chcieli uczynić zdrajcę i przelniewiercę, a nie biskupa gregorjanina stojącego w obronie chrześcijańskiego prawa i obyczaju. — P. Gumowski, przysięgając im verba magistri, t. j. historografii antystanisławowskiej, przypuszcza (str. 47) również sprzeczny ze zasadami gregorjańskimi wypadek, jakoby biskup kruszwicki Baptysta, Gregorjanin z przekonania, zginął walcząc na czele swoich diecezjan r. 1096. Mówią najpierw przeciw temu przypuszczeniu źródła, na które się autor powołuje. Długosz i inne katalogi piszą, że biskup Baptysta zmarł spokojnie na swej stolicy r. 1097. Nie wątpimy, że popierał bunt Zbigniewa, nie wątpimy, że ukarano go utratą bicia monety, ale, żeby po zabójstwie biskupa Stanisława, tak biskupów gładzono w Polsce, jak chce p. Gumowski, temu się sprzeciwia sama racja stanu. Sieciech przecież wiedział,

co spotkało króla Bolesława, gdy zabił biskupa. Czyżby odważył siebie na podobny los narażać? A teraz z zasadniczych względów przypuszczenie o gregorjańskim biskupie, ginącym na czele swych hufców, jest nie do przyjęcia. Wedle doktryny gregorjańskiej biskup i ksiądz nie miał się tykać oręża ani mu wolno było orężem się bronić lub praw swych dochodzić. Natomiast Antygregorjanie byli zwolennikami orężnych spraw i rozpraw i jako wasale królewscy orężne toczyli boje. To im Gregorjanie jako herezję zarzucali. P. Gumowski pod wpływem antykościelnej historjografji, nie znającej dokładnie ruchu gregorjańskiego, popełnił ten sam błąd, co Gumpłowicz, co Wojciechowski, co i Wyspiański w owym dramacie, że biskupa przedstawiają jako buntującego się wasala w zbroi na czele zbrojnych hufców. Św. Stanisław, będąc Gregorjaninem, miał odwagę wyklinać nawet króla, posługując się straszliwym orężem duchowym, ale jako Gregorjanin nie odważył się, nie chcąc sam ulec klątwie, chwycić się oręża i zbroi; tak samo postępował i Baptysta. Stawiając go na czele zbrojnych hufców p. Gumowski stwierdza, że tak samo, jak Stefczyk, Gumpłowicz i Wojciechowski, powtarzający fantastyczne wymysły Gumpłowicza, nie zna ducha XI wieku i zasad gregorjańskich, które duchowieństwu nakazują inną bronią zwalczać gwałty potęg świeckich, aniżeli pięścią, orężem lub zdradą. Dziś powaga naukowa Gumpłowiczów i Wojciechowskich w kwestji św. Stanisława jest zachwiana. Szkoda, że tak poważny badacz, jak p. Gumowski, jeszcze się o te zachwiane naukowo firmy w tej kwestji opiera.

Dr. K. Krotoski.

Józef Treliak: *Finis Poloniae! Historia legendy maciejowickiej i jej rozwiązanie*. Kraków, 1921 — Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

To, co przynosi książka prof. Treliaka, jest w literaturze kościuszkowskiej ostatniej doby jedną z najcenniejszych zdobyczy. Dzięki niej mamy ujętą w pewną całość i wyjaśnioną jedną z najniesprawiedliwszych plotek „kościuszkowskiej legendy“. Sumienne studjum i wielka wiedza złożyły się na to niewielkie dziełko. Dużo nowych myśli, ciekawych wniosków, śmiałych a trafnych przypuszczeń zawiera tych bogatych w treść kilkadziesiąt stron. Ustępę niektóre mogłyby stać się przedmiotem osobnego studjum — n. p. ustęp II. „Słowacki i Mickiewicz wobec Kościuszki“ — skrócenie zaś tego rozdziału, luźniej związanego z legendą maciejowicką, wpłynęłoby korzystnie na całość, dodając zwartości dziełu prof. Treliaka. Czy nie oparł się też autor zbyt bezwzględnie na Niemcewiczu? Trudno dziś kategorycznie twierdzić, czy prawda jest lub nie uśiłowane samobójstwo Kościuszki. — Argumenty prof. Treliaka przekonujące, a jednak...? Czy Kościuszko nie był zaledwie świadom tego, czem jest dla narodu, aby mógł mu rzucić samobójczą śmierć, i dowieść niejako tym czynem tego, czego nigdy nie powiedział — „Finis Poloniae“.

Wśród wielu zalet naukowego dzieła, posiada książka prof. Tretiaka i tę jedną, nieostatnią — oto czyta się ją, jak bardzo ciekawą, żywo i barwnie napisaną opowieść.

J. Sk.

H. Mościcki: Pozgonna cześć dla księcia Józefa. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 242 z 27 ilustracjami.

Najdroższym bez wątpienia zabytkiem naszej kultury, jaki zwycięska wojna z Rosją oddała w nasze ręce, jest arcydzieło Thorwaldsena, kolosalny pomnik księcia Józefa, który po wieku blisko tułaczki przybył nareszcie do Warszawy. Każdy Polak w tej podniosłej dobie chciałby dowiedzieć się bliższych szczegółów powstania i dalszych losów pomnika, co tak zrósł się z historią niedoli naszej po Listopadowem powstaniu, że stał się niejako jej symbolem. Pragnieniu temu zadosyć czyni świeżo wydana książka Mościckiego. Zasłużony popularyzator ojczyźnej historii szczegółowo a barwnie opisuje dzieje kultu Poniatowskiego w Polsce, obchody żałobne, pogrzeb w Warszawie i złożenie zwłok książęcych na Wawelu, dokładnie podaje dzieje budowy pomnika, przytaczając ciekawe szczegóły, kosztorysy i wędrowki odlanego już posągu. Prawdziwą ozdobą dziełka jest część ostatnia p. t. „Książę Józef w pieśni i legendzie”. Jestto pierwsze w Polsce dokładniejsze zestawienie kultu, jakim poezja rodziła i obca otaczała postać ukochanego bohatera. Szkoda, że ta ostatnia część nie jest kompletną. Autor widocznie dla oszczędności miejsca przytacza krótkie, przeważnie stare cytaty. W stulecie śmierci Ks. Józefa „Tygodnik ilustrowany” w Warszawie ogłosił konkurs poetycki na uczczenie pieśnią tej chwili. Więcej, jak ćwierć tysiąca nadesłanych pieśni świadczy o głębokiej miłości, jaką naród dotąd otacza swego Obrońcę. Autor książki ogranicza się na wymienieniu nazwiska laureata Zdzisława Kleszczyńskiego, a przecież przepiękną jego wizję p. t. „Książę” należałoby dać poznać szerokiej publiczności. Można było również zachować od zapomnienia i inne lepsze utwory, odznaczone i wyszczególnione w tymże konkursie.

Ks. T. Karyłowski.

Pierre Barbet: La préparation du jeune homme au mariage par la chasteté. Paris, J. Baillière, 1922, str. 69.

Skromna książeczka o kilkudziesięciu stronach, niejednen czytelnik mógłby po przerzuceniu jej powiedzieć, że nie przynosi i nie wyjaśnia nic nowego. A tymczasem niełatwo spotyka się, nawet w katolickiej literaturze wychowawczej, rzecz, któraby potrafiła podać młodzieńcowi najważniejsze prawdy w dziedzinie życia seksualnego w sposób tak podniosły. Widać, że autor nie wypisuje z książek ale z serca, że czystość zaleca, ponieważ sam ją ceni niezmiernie wysoko. Nie wystarcza do niej, jego zdaniem, zewnętrzne tylko powstrzymanie się od niewłaściwych aktów — czystą musi być przede wszystkim dusza, tam siedziba właściwa tej cnoty. Pragnąc młodzieńca zachować takim aż do chwili zawarcia małżeństwa, przedstawia mu autor nie tylko obowiązek pozostania czystym, obowiązek ze względu na siebie, rodzinę i społeczeństwo, ale także

wzniosłość i piękność tego stanu, który jest zawsze możliwy dla „chcącego” i używającego wskazanych środków. Z pośród tychże na pierwszym miejscu stoją środki moralne, inne fizyczne, są też potrzebne, ale mają znaczenie drugorzędne. Znamienna rzecz — autor jest lekarzem i z tego stanowiska głównie przemawia — pomiędzy środkami moralnymi „modlitwa i sakramenta, a nadewszystko częsta komunja św. stanowią część istotną”, czytanie książek religijnych idzie zaraz potem. Nie wystarczy uświadomienie płciowe, owszem jest ono szkodliwe, jeśli za wiele chce objaśniać fizjologiczną stronę problemu, nie wystarczy pouczanie o niebezpieczeństwie chorób wenerycznych — wolę przedewszystkiem trzeba wyrabiać, duszę podnieść. Ale też autor jest katolikiem i przyznaje się śmiało do tego, członkiem paryskiego Związku Lekarzy p. w. św. Łukasza i dlatego słusznie mógł zaznaczyć w przedmowie: „Jako lekarze i katolicy mamy możność poruszenia tej kwestji z pełnem zrozumieniem rzeczy i pod podwójnym kątem widzenia, naukowym i moralnym”.

St. Podoleński.

Z. A. Borowska: Książka Marty, myśli o małżeństwie. Księg. św. Wojciecha w Poznaniu, 1922. Str. 232.

Po wydanej cztery lata temu przez C. Plater-Zyberkówną: „Na progu małżeństwa”, mamy więc drugą tego samego rodzaju książkę, tym razem o połowę przeszło mniejszą, chociaż co do treści nie mniej może bogatą. Przeznaczona dla kobiet, mających zamiar wyjść zamaż lub żyjących już w małżeństwie, chce im wskazać drogę do osiągnięcia szczęścia w tym stanie. Rozpoczynając od najważniejszej kwestji, doboru małżonków, wyrzuca autorka słusznie kobietom, że przez lekomyślność same stają się przyczyną smutnego swego losu i udziela cennych wskazówek, którymi powinny się kierować w tej sprawie. Następnie, pragnąc zaradzić brakowi przygotowania, pochodzącemu z winy niektórych rodziców, przechodzi najważniejsze kwestje z życia małżeńskiego, jak miłość i wierność wzajemną, dzieci i ich wychowanie, troskę o dom i rzeczy zewnętrzne, stosunek do krewnych, znajomych i służby, obowiązki wobec społeczeństwa i narodu; objaśnia punkta sporne, np. posłuszeństwo małżeńskie i nierozwrotność wężła, uwzględniając zaś stosunki najnowsze, zamieszcza trafne uwagi o zajęciach zawodowych kobiety i pogodzeniu ich ze stanowiskiem żony i matki.

Jednej wszakże rzeczy należy żałować — za mało uwzględniony został czynnik religijny. Autorka pamięta o religji i widocznie suponuje ją wszędzie, ma się jednak wrażenie, jakby czasem wstydyła się wymienić imię Boga, zastępując je zwrotami: „Jakaś rozumna Istota” (str. 142) lub „Nienazwany” (str. 229), albo też bała się, że odstraszy czytelnika wzmianką o praktykach religijnych. A szkoda wielka, bo nic tak nie uszlachetnia prawdziwej miłości, jak wiara, przez nią może kobieta stać się potężnym czynnikiem odrodzenia dla męża, przez nią uświęca swe dzieci. Byłoby też wielce pożądanem, by w następnem wydaniu ten punkt, dający kobiecie szczególniejsze pole do rozwinienia darów jej ducha, znalazł wyraźniejszy i szersze uwzględnienie.

Niemniej całość przedstawia się bardzo dodatnio, pomija dość szczęśliwie pewne, raczej spekulatywne problemy, a napisana przystępnie i praktycznie, zawiera wskazówki zdrowe, wolną jest — aż zanadto — od jakichkolwiek kwestyj drażliwych i zasługuje na najszersze polecenie, jako przygotowanie dla jednych a pouczenie dla drugich.

St. Podoleński.

Ks. Józef Adamski T. J.: *Godność i pośłannictwo chrześcijańskiej niewiasty*. Kraków — Nakładem Wydawnictwa Ks. Jezuitów. 1922.

Krytycy utworów Sienkiewicza zwracali uwagę na to, że jego postacie kobiet-bohateerek, odznaczają się wszystkim wysokim idealizmem, który podnosi i uszlachetnia całe otoczenie. Z tego samego punktu widzenia wyszedł i autor omawianej broszury. Jako kapłan, patrząc okiem wiary na godność i pośłannictwo kobiety-chrześcijkanki, odnajduje w niej złożony od początku przez Boga skarb zalet serca i duszy. Skarb ten czynił z niej ogromną i niezastąpioną pomoc w życiu i pośłannictwie męzczyzny, ale po upadku został przez niego zapoznany i podeptany. U wszystkich też ludów kobietę wprost sponiewierano w jej godności. Jej położenie widziało się dosłownie opisane w księdze Rodzaju: „Rozmnożę boleści i poczęcia twoje... pod mocą się znajdziesz męża, a on będzie panował nad tobą...” Dopiero Chrystus przywraca należne kobiecie stanowisko w ludzkości, jako dziewicy, żonie i matce. To potrójne pośłannictwo kobiety w rodzinie, w społeczeństwie wogóle, a w Kościele w szczególności, szkicuje autor w kilku dalszych rozdziałach swej broszury. Z każdej stronicy przeglądu zasadnicza myśl, że gdziekolwiek swą działalność taką czy inną rozwija kobieta, wszędzie dzięki swym naturalnym uzdolnieniom może być i powinna być czynnikiem dobra i świętości, tą dobrą solą Chrystusową, która ładem, zdrowiem i szczęściem zaprawia wszystko, co znieprawione zostało. Ostatni rozdział poucza ją, że w tym celu ma urobić swą duszę, dając jej stopniowo to co dobre, lepsze i najlepsze, by uzyskawszy to sama, podnosiła i dźwigała następnie otoczenie, wśród którego postawiła ją Opatrzność.

M.

Jahrbuch der angewandten Naturwissenschaften 1920 — 1921. Herder Freiburg i Br., 1922; str. XVI + 393.

Trzeba poczytać za niemалą zasługę firmie Herderowskiej, że nie pozwoliła upaść temu cennemu i pięknemu wydawnictwu, którego 31-y tom, za rok 1920-21 ukazał przed kilku miesiącami. Nowy jego redaktor A. Schlatterer, nie zmienił nic w zasadniczym rozkładzie, dzięki czemu książka przedstawia się, podobnie jak poprzednie, pouczająco i bardzo zajmująco. Postępy nauki stosowanej nie są tu rozrzucone chaotycznie, ale planowo ugrupowane podług działów, co daje jasny pogląd na ich stan dzisiejszy. W niniejszym tomie poruszone są obszerniej: technika budowy, technologia mechaniczna i chemiczna, gospodarstwo leśne i rolne, rybołówstwo, medycyna, dentystryka, weterynaryja, żegluga powietrzna, geografia, astronomja; nadto podane są praktyczne wskazówki o patentach.

Bogaty ten materiał, zestawiony umiejętnie przez ludzi fachowych, daje człowiekowi inteligentnemu znakomitą sposobność do zapoznania się z ważniejszymi działami i wynalazkami na różnych polach, piękne zaś wydanie i liczne ilustracje uprzyjemniają lekturę pożytecznej tej książki. S.

Ekonomista. Kwartalnik poświęcony nauce i potrzebom życia. Organ Tow. Ekonomistów i Statystyków polskich. Warszawa, Rok XXII, tom IV, za kwartał czwarty 1922 r.

Treść pierwszej części zeszytu, liczącego 212 stron druku, stanowią referaty wygłoszone na nadzwyczajnym zebraniu Tow. Ekonomistów i Statystyków Polskich, poświęconem sprawie reformy skarbowej w Polsce. W słowie wstępnem prof. Kostanecki porównyując obecne położenie Polski z położeniem krajów dawnych merkantylistycznych, jako jedyne wyjście z położenia tego — widzi skuteczną reformę skarbową i walutową. P. St. Dziewulski omawia budżety państwowe Rzeczypospolitej Polskiej i poprzez szczegółową ich analizę stara się wykazać linję naszego rozwoju gospodarczego i wyjaśnić niepowodzenie naszej gospodarki państwowej. Twierdzenie swoje p. Dziewulski ilustruje odnośniami pozycjami budżetów państwowych przeliczonymi na dolary. Metoda ta daje nam dopiero właściwy realny obraz rozwoju i wzrostu tych budżetów. Prof. E. Strasburger w referacie swoim: Ocena prawa prawa skarbowego w Polsce, po rozpatrzeniu naszego bilansu handlowego stwierdza, że doprowadzenie budżetu do równowagi jest koniecznością kategoryczną. Następnie prof. Strasburger przechodzi do szczegółowej analizy i oceny naszego systemu podatkowego. Prof. Brzeski w artykule „Kwestja walutowa” rozpatruje teoretyczną stronę zagadnienia dobrego pieniądza opartego o złoto. Prof. Dmochowski w artykule „Waluta a pożyczka” po scharakteryzowaniu naszej twórczości prawodawczej w dziedzinie uregulowania waluty rozważa celowość ostatnich zarządzeń w związku z pożyczką złotą, która winna się stać doniosłym czynnikiem w uporządkowaniu naszego skarbu.

W dalszej części tomu znajdujemy pracę p. St. Kruszewskiego i M. Zdziarskiego p. t. „Przyczynki do życia pracowniczego w Polsce 1913 — 1921”. Zawierają one ciekawe materiały o budżetach robotniczych z lat 1914 — 1922. Dział kronik stanowią: kronika finansowa, zawierająca obfite informacje z dziedziny skarbowości współczesnej, oraz kronika społeczna. W Rozbiorach i sprawozdaniach znajdujemy oceny prac: I. Weinfeldta „Rocznik Polski”. E. Rosego „Bilans gospodarczy trzech lat niepodległości. Prof. R. Rybarskiego: Wartość, kapitał i dochód z ostatniej pracy Gustawa Cassel’a. Tom uzupełnia Światowa konjunktura gospodarcza opracowana przez P. W. Fabierkiewicza, Sprawozdanie Instytutu Gospodarstwa Społecznego, Przegląd kursów walut, cen ziemiopłodów w Polsce, oraz przegląd czasopism polskich za wrzesień i październik 1922 r.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Adrien Boudon S.J.: *Le Saint-Siège et la Russie. Leurs relations diplomatiques au XIX siècle, 1814 - 1847.* Paris 1922, Librairie Plon, 8^o pg. 580.

X. Wacł. Kruszką: *W 900-letnią rocznicę św. Ameryka*, str. 12.

Novà Rukovet 1923, Brno 1922, 12^o str. 257.

A. Inauen S.J.: *Das Innsbrucker Institut für scholastische Philosophie*, Innsbruck 1922, Tyrolia Verlag, 12^o str. 19.

Szym. Karski: *Kto założył zgromadzenie SS. Niepokalanek.* Księg. św. Wojciecha, 12^o str. 31.

A. Palmieri: *La missione politica et religiosa della Polonia.* Firenze 1922, Libreria editrice fiorentina. 12^o str. 41.

— *Sulle pendici del Cabrario*, dramma sacro in 3 atti, Firenze 1922, 12^o str. 115.

Ed. Edeński-Nowicki i W. Bojomir-Mileski: *Nowy Manifest.* Poznań, Instytut Ekonomji Humanistycznej, 1922, 12^o str. 131.

Z Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska”,
Warszawa 1922.

Jan Wiktor: *Przez łyzy*, 12^o str. 135.

Tad. Rittner: *Drzwi zamknięte*, romans. 12^o str. 288.

Józ. Weyssenhoff: *Cudno i ziemia cudńska*, powieść, 12^o str. 328.

Ludw. Ćwikliński: *Padwa i Polska*. 12^o str. 40.

Witold Bienikiewicz: *Stanisław Lentz*. 12^o str. 46.

Tad. Rittner: *Miedzy nocą a brzaskiem*, powieść, 12^o str. 189.

Jan Ptaśnik: *Kultura włoska wieków średnich w Polsce*, 8^o str. 224.

Artur Górski: *O zmarwychwstanie*. 12^o str. 106.

Włodz. Perzyński: *Poezje*. 12^o str. 78.

Wacław Sieroszewski: *Pisma*, t. VI. *Z fali na fale*. 12^o str. 496.

Ign. Dąbrowski: *Matki*, powieść współczesna. 12^o str. 516.

Z Towarzystwa wydawniczego „Ignis”, Warszawa 1922.

Jack London: *Na szlaku*, szkice autobiograficzne. 12^o str. 236.

Magna Charta Libertatum. (Dokumenty Historyczne) wyd.
St. Nowakowski. 12^o str. 29.

Capitulare de villis. (Dokumenty historyczne) wydał St.
Arnold. 12^o str. 19.

J. Wasowski (Widz): *Człowiek w Polsce*. 12^o str. 107.

Jan Lechoń: *Karmazynowy poemat*. 12^o str. 55.

Z serii „Książki Ignisa”:

T. I. Mickiewicz: *Pierwszy tom poezyj*, 12^o str. 156.

T. II. Cyprj. K. Norwid: *Autoportret*. 12^o str. 152.

T. III. Villiers de l'Isle-Adam: *Akedysseril*. 12^o str. 96.

T. IV. Rob. L. Stevenson: Klub Samobójców. 12^o str. 64.

T. V. Adolf Dygasiński: Łabędzia Woda. 12^o str. 126.

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków:

Karol Potkański: Pisma Pośmiertne. 8^o str. 479.

Andrzej Gawroński: Notes on the Śaundarananda critical and explanatory, second series. 8^o str. 38.

J. Rostafiński: Wpływ przeżyć chłopięcych Mickiewicza na obrazy ostatnich dwu ksiąg Pana Tadeusza oraz o święceniu ziół na Matkę Boską Zielną. 8^o str. 36.

Ad. Strzelecki: Sejm z r. 1605. 8^o str. 202.

Ks. Wł. Chotkowski: Redukcje monasterów bazylijskich w Galicji. 8^o str. 79.

Z Nakładu „Książnicy Polskiej“ Warszawa:

Henr. Mościcki: Pod znakiem Orła i Pogoni, szkice historyczne, wyd. 2 zmienione z 12 ilustracjami. 8^o str. 256.

Dr. Jul. Makarewicz: Przebudowa społeczna, 8^o str. 270.

Witold Góra: Podręcznik księgowości, III. tomy.

Kalendarzyk Książnicy Polskiej T.N.S.W. 16^o str. 80.

Z Nakładu Kasy im. Mianowskiego, Warszawa:

Fr. Bujak: Nauka a społeczeństwo, 12^o str. 20.

Rom. Minkiewicz: O polską twórczość naukową, 12^o str. 38.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła

Encyklika Piusa XI. — Konferencja w Lozannie a sprawy kościelne.

Ukazała się wreszcie długo przez świat katolicki oczekiwana Encyklika Piusa XI. Zwłokę w wydaniu orędzia, jakie poprzedni papież zywli byli ogłaszać na początku swego pontyfikatu, tłumaczy sam Ojciec Św. Wywołały ją rozliczne pilne bieżące sprawy Kościoła, które należało załatwić przed orędziem, mającem przedstawić program obecnego papieża.

Nie mamy zamiaru ani dawać przekładu choćby tylko ważniejszych ustępów Encykliki, ani nawet jej wyczerpującego streszczenia. Orędzie Ojca św. znaleźć się powinno niezadługo in extenso we wszystkich polskich dziennikach i przeczytane będzie ze wszystkich ambon. Tym sposobem treść jego całkowita dojdzie do wiadomości wszystkich katolików. Nie podobna nam tylko nie określić na tem miejscu ogólnego charakteru encykliki *Ubi arcano*, mającej być wskaźnikiem całej działalności w społeczeństwach katolickich na najbliższe lata.

Pius X wziął sobie za hasło: „*Instaurare omnia in Christo*”; programem Benedykta XV było utrwalanie w świecie pokoju, Pius XI, łącząc obydwie te hasła w jedno, stawia za cel swego pontyfikatu poświęcić wszystkie siły dla urzeczywistnienia „pokoju Chrystusowego przez królowanie Chrystusa” — *pax Christi in regno Christi*.

Ze stanowiska tej zasady naczelnej ocenia obecny Papież obecną sytuację świata: polityczną, społeczną, moralną i religijną, i stwierdza, że pomimo wysiłków naczelników narodów i dyplomatów nie udało się utrwalić prawdziwego pokoju, bo niema pokoju w sercach ludzkich, bo z życia publicznego i prywatnego usunięto prawa prawdziwego Króla ludzi i narodów, Jezusa Chrystusa. Ilustruje Papież sytuację obecną nie tylko naprężonemi stosunkami międzynarodowemi, ale rozprzężeniem władzeł społecznych, podkopaniem życia rodzinnego, spaceniem wychowania młodzieży i rozpasaniem obyczajów.

Dla uzdrowienia świata i wprowadzenia weń pokoju

prawdziwego należy przywrócić panowanie Chrystusa przedewszystkiem w duszach poszczególnych ludzi, a potem i we wszystkich stosunkach pomiędzy nimi. W ślad za swoim poprzednikiem każe Pius XI wyciąć owego „raka materializmu“, który już tak zżarł organizm społeczny, a zaszczerpić chrześcijańską naukę o nieśmiertelności duszy, będącą najlepszą szkołą obyczajów ludzkich i poczucia godności jednostki ludzkiej.

Na szczególną uwagę zasługują słowa wspólnego Ojca, dotyczące miłości ojczyzny i stosunków między narodami i państwami. Podnosząc szlachetność uczuć patriotycznych, które utrzymane w granicach prawa chrześcijańskiego, są szkołą i pobudką rozlicznych cnót i wzniosłych czynów, zwraca Pius XI uwagę na to, że miłość ojczyzny staje się źródłem rozlicznych niesprawiedliwości i niegodziwości, skoro wyzwoli się z pod wyższego prawa. Wtedy ci, którzy ulegają takiej nieporządnej miłości własnego narodu, zapominają, że wszystkie narody, jako części wielkiej rodziny ludzkiej, łączyć winno poczucie wspólnego braterstwa i że inne narodowości mają równe prawo do życia i do starania się o pomyślność; dodaje tu jeszcze Papież, że nawet korzyści, jakie może narodowi przynieść przesadny patriotyzm nie są trwałe, owszem, prowadzą naród do ruiny.

A więc nawrót na całej linii do prawa Chrystusowego w rodzinie, szkole, prawodawstwie i międzynarodowej polityce sprowadzi ten pokój błogosławiony, do którego tak tęskni cała ludzkość. Dlatego świat cały zwrócić się winien z zaufaniem do Kościoła, który ten pokój mu obwieszcza i który nad sprowadzeniem go usilnie pracuje. W uznaniu dotychczasowych zasług biskupów i kapłanów nad szerzeniem królestwa Chrystusowego, zwraca się Ojciec św. z zachętą do Episkopatu, kleru tak świeckiego jak zakonnego, różnych związków religijnych i wszystkich wiernych, wskazując każdemu stanowić, co uczynić może dla utrwalenia tegoż królestwa i Chrystusowego pokoju. Wyraża wreszcie pragnienie, aby wszystkie ludy, nawet te, które „nie są z tej owczarni“, znalazły się również w prawdziwym Kościele Chrystusowym i pracowały wspólnie nad urzeczywistnieniem królestwa Bożego na ziemi. Niejaką zapowiedź takiego uznania Kościoła widzi obecny Papież w tem oficjalnem zbliżeniu się narodów do Stolicy Apostolskiej, jakiego wyrazem są poodnawiane albo po raz pierwszy ponawiazywane stosunki dyplomatyczne z Watykanem. Boleje tylko nad tem, że jego własna ukochana ziemska ojczyzna, Włochy, dotąd nie posiada przedstawiciela przy Namiestniku Chrystusowym, i stwierdza, że ten stan, jaki Włochy stworzyły przez zabór Rzymu, nie daje dostatecznej rękojmi wolności Stolicy Św. Z naciskiem

oświadcza Papież, że nie chodzi mu o osobiście o chęć panowania doczesnego, — taka myśl wywołałaby na jego czoło rumieniec wstydu, — ale o godność i nieprzedawnione prawa Stolicy Apostolskiej, dlatego na nowo potwierdza te protesty, jakie przeciwko polityce włoskiej założyli jego poprzednicy. Zwraca jeszcze uwagę swojej ziemskiej ojczyźnie, że nie potrzebuje się obawiać niczego ze strony Stolicy Św., gdyż Papież nie myśli o niczem innem, jak o pokoju powszechnym i sprawiedliwości.

Pisząc swe orędzie do całego świata, nie zapomniał Pius XI o tym kraju, który podczas kilkuletniego w nim pobytu ukochał jakby drugą swoją ojczyznę. Wśród miejsc, z których Królowa Niebios szafuje swoją łaską i gdzie Papież błagał Ją o opiekę nad sobą i o błogosławieństwo, wymienia na pierwszym miejscu naszą Częstochowę i Ostrobramę. Ten hołd oddany Najśw. Pannie tam, gdzie Ona panuje jako Królowa Korony Polskiej, zniewala serca polskie do większej czci i większego zaufania dla obecnego Papieża. Oby Polska, Kościołowi zawsze wierna, odezwała się głębokiem zrozumieniem orędzia Piusa XI i poczęła urzeczywistniać jego program tak w prywatnem życiu swych obywateli, jak w stosunkach między klasami społecznymi, jak w prawodawstwie, wreszcie w całej polityce narodowościowej i zagranicznej.

Los nieudanych konferencji politycznych, których tyle się rozeszło bez osiągnięcia jakiegokolwiek pozytywnego rezultatu, podzieli zapewne konferencja w Lozannie. Zasługuje ona na naszą uwagę ze względu na przyszłość chrześcijan, jaka w Turcji ukształtuje się w zależności od takiego czy innego obrotu prowadzonych układów.

Jeżeli w Sèvres warunki pokoju podyktowano zwyciężonemu Turkowi jednostronnie, to do Lozanny przybył on jako zwycięzca z dumnie podniesioną głową. Po zwycięstwie nad Grekami, a pośrednio nad Anglią, w której powalił tak potężnego Lloyd George'a, chce on pokoju z Europą, ale warunki tego pokoju chce podyktować on sam. Nic dziwnego: skorzystał z lekcji, jaką mu dała przed paru laty ententa!

Ścisłej mówiąc, warunki, jakie stawia Turcja, polegają na kategorycznym odrzucaniu wszelkich warunków, które zażądałaby chciała Europa, przed czterema laty zwycięska. Turek zaś nie godzi się na żadne klejenie rozbitej kopnięciem nogi „sewrskiej porcelany“.

A jednak chodzi tu wprost o kwestję bytu albo niebytu chrześcijaństwa w nowożytniej Turcji. W Turcji sułtańskiej prawa chrześcijan były zabezpieczone przez tak zwane „kapitulacje“, przyznające przywilej opieki nad chrześcijanami

Francji. Jeszcze u schyłku średniowiecza a zwłaszcza od Franciszka I Francja w szeregu umów z Turcją zdołała uzyskać ten przywilej, za który wywdzięczała się stając niejednokrotnie po stronie Turcji w międzynarodowych jej zatargach, niekiedy wbrew reszcie chrześcijańskiego świata. Ten stosunek do Turcji pozwolił też Francji osiągnąć wielkie wpływy cywilizacyjne na Wschodzie, pokryć n. p. Małą Azję, Syrię i inne prowincje tureckie gęstą siecią szkół i stacyj misyjnych. Z wybuchem światowej wojny Turcja jednostronnie zniosła „kapitulacje“, poddając wszystkich swych obywateli-chrześcijan pod ogólne prawo i kasując wszelką ingerencję czynników zewnętrznych. W Sèvres narzucono Turcji nanowo cały szereg zastrzeżeń co do prawnego stosunku do poddanych chrześcijan. W gruncie rzeczy było to to samo, czego zażądano od Polski, Czech i innych nowopowstałych państw w traktatach „o mniejszościach narodowych“. Podyktowane warunki przyjął sułtan, jak je przyjęła Polska; nie chciało wszakże o nich słyszeć Zgromadzenie narodowe tureckie, które wypowiedziało sułtanowi posłuszeństwo, przeniosło siedzibę rządu do Angory i prowadziło dalszą walkę z Grecją o uzyskanie utraconych prowincyj i przywrócenie Turcji suwerenności. Zwycięski Mustafa Kemal pasza, po ucieczce na Małtę sułtana Mahomeda VI prawdziwy władca losów Turcji, nie chce słyszeć o żadnych warunkach i rękojmiach dla chrześcijańskiej mniejszości pod jakąkolwiek opieką. W razie zwycięstwa tej nieustępliwości los katolików w Turcji byłby w najwyższej mierze zagrożony. Już francuskie pisma donoszą o zniszczeniu zupełnem wielu placówek misyjnych i zamknięciu szkół francuskich w prowincjach odzyskanych przez oręż turecki, nie bez cichego poparcia — jak wiadomo — samej Francji. Chrześcijanie, niepewni życia, uchodzą z tych krajów masami. Kilkaset tysięcy Greków opuściło swe siedziby, popadając w skrajną nędzę. Ratownicza działalność papieża Piusa XI musiała i nimi się zająć. Niepokojni są i inni. W samym Konstantynopolu, gdzie jeszcze znajdują się zbrojne oddziały europejskie, panuje mimo to popłoch; wielu Europejczyków gotuje się do drogi, przyczem, opuszczając Turcję, muszą składać deklaracje, że więcej do niej nie wrócą; mienie ich ulega sekwestrowi.

Najbardziej pono zagrożeni są Ormianie. Masakrowano ich już tyle razy przed wojną; podczas wojny, wycięto ich nowe masy; resztę wysiedlono do innych wilajetów, tak że losy Armenji porównać chyba można z losami Żydów za czasów „przeprowadzeń“ assyryjskich i babilońskich. Pokój sevrski utworzył niezależne państewko ormiańskie; Ameryka wszakże nie chciała się podjąć powierzonego jej mandatu opieki nad tem państewkiem. Sojusz Kemala paszy z bolsze-

wicką Rosją położył kres istnieniu niezawisłej Armenji, boć ta rzekomo niezawisła republika ormiańska, pozostająca w związku z republiką sowiecką Rosji, chyba nie zasługuje na nazwę niezawisłego kraju.

Losy zarówno Ormian, jak i innych plemion chrześcijańskich w Turcji niezmierną troską napawają papieża Piusa XI. Dał jej wyraz zarówno w alocucji na konsystorzu 11 grudnia, jak i w encyklice „Ubi arcano”. Już w początkach grudnia nuncjusz papieski w Szwajcarii, Mgr Magliano, doręczył konferencji w Lozannie za pośrednictwem delegata francuskiego notę papieską, wzywającą do zabezpieczenia losu chrześcijan w Turcji. Europa rzeczywiście pragnie wymusić na Turkach konieczne rękojmie, ci jednak nie chcą o nich słyszeć. Na posiedzeniu komisji 6 stycznia, na którem poruszono sprawę Ormian, delegat turecki szorstko zaoponował przeciwko stawianiu takich żądań, oświadczając, że Ormianie są sami winni swego losu, i opuścił salę obrad. Czy Europa znajdzie dosyć siły, by uratować nieszczęsny naród od zupełnej zagłady? Może tylko uświadomi sobie, że zbiera plon z własnego posiewu, boć nieustępliwość turecka powołuje się na zasadę nieograniczonej „suwerenności” państwowej, a w gruncie rzeczy opiera się na prawie „siły”, — zasadę i prawo zbyt długo prekonizowane w Europie, by nie wolno było odwrócić ich przeciwko niej samej.

Odrzucając wszelką opiekę zagranicy nad chrześcijanami, zapowiedzieli również Turcy usunięcie z Konstantynopola patriarchatu „ekumenicznego”. Tu już może mają więcej słuszności. Przeprowadziwszy w samym islamie coś w rodzaju „oddzielenia państwa od kościoła”, proklamując Turcję jako republikę, i wybierając nowego kalifa Abdul Medjida, któremu pozostawiono zielony płaszcz Proroka bez jego miecza, Turcy nowocześni nie mogli też cierpieć obecności patriarchy, który oprócz władzy duchownej od czasów Mahomeda II (1453 r.) posiadał władzę polityczną i administracyjną nad ludnością „prawosławną”. Jeśli się nadto zważy, że rezydujący w Fanarze patriarchowie, z reguły Grecy, byli zarazem piastunami idei panhelleńskiej i nadziei odbudowy Wschodniego Cesarstwa, to nic dziwnego, że wobec bankructwa tych idei i nadziei, zachwiał się ich tron, a może i zupełnie wywrócony zostanie. Jeżeli Turcy, pomimo sprzeciwu europejskich państw i Ameryki w Lozannie, wykonają swą groźbę, to świat będzie świadkiem zupełnego rozbitcia się megalomanji owej „megale ekklesja”, która chciała w dziejach rywalizować z katedrą św. Piotra, nie mając do tego ani misji Chrystusowej ani obietnicy: „non praevallebunt”. Kto wie, czy to nie będzie punkt zwrotny w historii stosunków między Rzymem, a schizmatyckim Wschodem.

KS. J. URBAN.

Szkolnictwo w Polsce w cyfrach.

Dla czytelników, zajmujących się żywiej postępami szkolnictwa na ziemiach naszych, interesującym będzie zapoznanie się z liczebnym jego stanem w dobie obecnej. Odnośny materiał znajdujemy w zeszytach 2, 7 i 9-tym piątego tomu *Miesięcznika Statystycznego* z r. 1922, wydawanego przez Główny Urząd Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej. Nie jest oczywiście ten materiał dokładny ani wszechstronnie opracowany, zwłaszcza w dziedzinie szkół powszechnych i średnich, daje jednakże pewien pogląd, w niektórych szczegółach nawet dość przejrzysty. Na dokładniejsze dane będziemy musieli prawdopodobnie poczekać jeszcze dłużej; niedawne zmiany terytorjalne i niedomagania początkowe tłumaczą dzisiejsze braki dostatecznie.

Najściślej zestawiona została statystyka wyższych zakładów naukowych, podczas semestru zimowego 1921/22 r.; przedstawia się ona następująco.

Zakłady, Wydziały.	Profasoro i zwycz. i nad- zwyczajni	Słuchacze zwycz. i nadzw.		
		mężczyźni	kobiety	ogółem
Uniw. Jagiell. w Krakowie	119	3.556	975	4.531
Uniw. Warszawski	133	4.851	2.667	7.518
Uniw. Jana Kaz. we Lwowie	123	3.754	1.019	4.773
Uniw. Poznański	121	2.678	595	3.273
Uniw. St. Batoiego w Wilnie	119	1.077	652	1.729
Uniw. Lubelski	61	719	401	1.120
Wolna Wszechnica P. w Warszawie	43	749	750	1.499
Politechnika Lwowska	76	2.157	73	2.230
Politechnika Warszawska	68	3.924	188	4.112
Szkoła Gł. Gos. Wiejsk. w Warsz.	30	703	58	761
Akademja Górnicza w Krakowie	24	280	2	282
Akad. Sztuk Pięknych w Krakowie	16	120	35	155
Akad. Weterynarji we Lwowie	19	300	7	307
P. Instytut Dentyst. w Warszawie	3	121	379	500
Instytut Pedagog. w Warszawie	4	133	79	258 *)
Wyższa Szkoła Handl. w Warsz.	50	569	135	704
ogółem	1.009	25.691	8.015	33.752

*) O 46-ciu nadzwyczajnych nie podano pici.

Te 33.752 słuchaczy i słuchaczek szkół wyższych dzieliło się pod względem rodzaju studiów w ten sposób, że na studiach teologicznych było 353 (1⁰/₀), prawniczych 9.826 (29¹/₀), lekarskich 4.442 (13²/₀), farmaceutycznych 293 (0⁹/₀), weterynaryjnych 373 (1¹/₀), dentystycznych 500 (1⁵/₀), filozoficznych i pedagogicznych 8.908 (26⁴/₀), rolniczych 1.996 (5⁹/₀), komunikacyjnych 1.532 (4⁵/₀), architektonicznych 597 (1⁸/₀), mechanicznych 2.412 (7²/₀), chemicznych 955 (2⁸/₀), mierniczych i ogólnych technicznych 307 (0⁹/₀), górniczych 282 (0⁸/₀), wojskowych 35 (0¹/₀), sztuk pięknych 237 (0⁷/₀), handlowych 704 (2¹/₀).

Pod względem wyznaniowym statystyka tej młodzieży przedstawia się następująco: rzymsko-katolików 22.946 (68²/₀), grecko-katolików 318 (0⁹/₀), prawosławnych 420 (1²/₀), ewangelików 669 (2⁶/₀), wyz. mojżeszowego 8.426 (25 ⁰/₀); inne 694 (2¹/₀), niepodane 80.

Dość ogólnikowo zestawiony jest stan szkolnictwa średniego w r. szkolnym 1921/22. Z wykazu tego dowiadujemy się, że na obszarze Rzeczypospolitej posiadamy szkół średnich ogółem 721, z tego państwowych 231 (męskich 173, żeńskich 29, koedukacyjnych 29), prywatnych 490 (męskich 115, żeńskich 231, koeduk. 144.)

Uczniów ogółem jest 204.804, chłopców 123.154, dziewcząt 81.650. Z tego w szkołach państwowych 85.884 (chłopców 72.266, dziewcząt 13.618), a w prywatnych 118.920 (chłopców 50.888, dziewcząt 68.032).

Seminarjów nauczycielskich posiadaliśmy w r. szkolnym 1921/22 ogółem 153, męskich 70, żeńskich 77, koedukacyjnych 6. Z tego państwowych było 96 (męskich 66, żeńskich 27, koeduk. 3), prywatnych 57 (męskich 4, żeńskich 50, koeduk. 3). Internaty znajdują się przy 99-ciu szkołach, 77-u państwowych i 22-u prywatnych. Seminarjów z językiem wykładowym polskim jest 136, z niemieckim 7, z rusińskim 5, z polskim i rusińskim 5.

Nauczycieli w nich jest ogółem 2.068, w seminarjach państwowych 1.281, w prywatnych 787; nie wszystkie jednak zakłady przysłały wykazy.

Uczniów ogółem jest 20.314 (z kilku szkół brak danych); z tego w seminarjach państwowych 14.197, w prywatnych 6.117; w męskich 9.749 w żeńskich 10.067, w koedukacyjnych 498. W zakładach z językiem wykładowym polskim jest uczniów 18.357, z niemieckim 438, z rusińskim 407 z polskim i rusińskim 1.112.

Najmniej ścisłą jest statystyka szkolnictwa powszechnego w r. szkolnym 1920/21. Na całym obszarze ówczesnym Polski było ogółem szkół 24.229, z tego szkół czynnych, o wiadomej liczbie nauczycieli i uczniów, 22.328, (publicznych 21.689, prywatnych 639). Nauczycieli czynnych było ogółem 43.424, w tem mężczyzn 17.806, kobiet 25.618. Uczniów ogółem 2.542.306, w tem chłopców 1.281.356, dziewcząt 1.198.562 (przy 61.988 nie podano pici).

Jest to jednakże zestawienie „tymczasowe“, a uwaga, załączona w sprawozdaniu urzędowem, dodaje, że ogólna liczba szkół w Polsce (bez Wileńszczyzny i Górnego Śląska) wynosiła w r. 1920/21 około 25.000, nauczycieli niespełna 50.000, uczniów do 2.800.000.

Niedokładności, dość znaczne zwłaszcza w zakresie szkolnictwa powszechnego, nie pozwalają oczywiście na wysnuwanie głębiej idących wniosków, któreby upoważniały do podania pewnych konkretnych projektów, czy też krytycznych uwag. Parę z nich narzuca się jednak siłą oczywistości.

Przedewszystkiem uderza niedostateczna liczba szkół, zwłaszcza powszechnych, i sił nauczycielskich. Jakże biednie przedstawiamy się pod tym względem w porównaniu z innemi krajami, wysoko kulturalnie stojącemi! Kiedy np. w Belgji przypadało w r. 1913 na 1.000 mieszkańców trzech nauczycieli szkół powszechnych, u nas jest ich tylko 1·7. Na jedną szkołę powsz. przypada w Polsce 1·9 nauczycieli, w Belgji zaś 2·9. Tam na jednego nauczyciela przypadało 41 uczniów, u nas 59. Wreszcie spora liczba analfabetów w Polsce tłumaczy się także tem, że na 1.000 mieszkańców przypada u nas 101·6 uczniów, a w Belgji 126. (*Annuaire Statistique de la Belgique* 1920).

Potrzeba nam zatem wielu szkół nowych, przerobienia gruntownego sporej liczby obecnie istniejących, oraz lepszego uposażenia (według doniesień dzienników w niektórych szkołach dzieci same muszą sprzątać, przynosić opał i inne rekwizyta szkolne). Potrzeba gwałtownie kwalifikowanych sił nauczycielskich, zwłaszcza dla szkół średnich, obsadzonych dziś w niemałej części siłami zastępczemi, na co niejednokrotnie zwracało uwagę Tow. Naucz. Szkół Średnich i Wyższych. Potrzeba wreszcie lepszego zaopatrzenia w środki naukowe wyższych uczelni, jeżeli mają być w stanie dostarczyć krajowi ludzi, wyszkolonych według poziomu, wymaganego obecnie na Zachodzie.

Są to naturalnie olbrzymie rozmiarami postulaty, sięgające w dzisiejszych stosunkach zawrotnych cyfr, jakich żaden rząd nie może udzielić. Cierpliwości więc potrzeba będzie jeszcze przez czas dłuższy, a tymczasem prywatna inicjatywa i wysiłki społeczeństwa muszą uzupełniać braki, dopóki ogólna poprawa naszego stanu gospodarczego nie pozwoli na wydawniejszą pomoc rządu,

KS. ST. PODOLEŃSKI

Odezwa do społeczeństwa.

Znana dobrze ogółowi Kasa Im. J. Mianowskiego, założona w r. 1881 w celu popierania polskiej twórczości naukowej przez wydawanie dzieł, udzielanie zasiłków uczynom i instytucjom naukowym, przysłużyła się już nie mało krajowi, gdyż wydała dotychczas około 2.000.000 rubli na potrzeby nauki i wydrukowała przeszło 1.000 dzieł naukowych. Dziś pragnie ona rozciągnąć swą działalność na całą Rzeczpospolitą i na polskie placówki naukowe zagranicą, nie mając jednak dostatecznych środków, zwraca się z apelem do rządu i całego społeczeństwa.

Zmartwychwstanie ojczyzny i rozrósł życia narodowego — powiada odezwa — stawiają ogromne żądania nauce, domagając się od niej kiero-

wnictwa i rady we wszystkich dziedzinach życia umysłowego, gospodarczego i politycznego. Żądania te, „skierowane dziś z wielu stron ku nauce, zagrażają jej bytowi jutrzejszemu, prowadzi się bowiem teraz rabunkowa gospodarka skromnego dorobku wiedzy, jaki posiadamy, z zaniechaniem uprawiania czystej nauki, nie liczącej się z celami utylitarnymi”.

Stosunki dzisiejsze są bowiem mocno niekorzystne dla twórczości naukowej. Warunki ekonomiczne odstręczają raczej od niej przez zubożenie inteligencji, drożyznę książek i środków pomocniczych. Niewielkie grono uczonych przeciążone dziś pracą kształcenia młodych generacji, a praca ta, nagłona wymaganiami chwili, skierowaną jest w pierwszym rzędzie do dostarczenia ludzi fachowych, nie mężów nauki.

„Dlatego też na pierwszy plan wysuwa się sprawa zapobieżenia dezorganizacji nauki, utrzymania jej na pozycji, sprawa bytu elementarnego, nagle potrzeba środków zaradczych. Społeczeństwo i rząd powinny się zdobyć na wysiłek nadzwyczajny, bo tu idzie o zagrożoną przyszłość najbliższą kultury naszej”.

Twórcom naukowym, „którzy jakby instynktem samozachowawczym pokolenia kierowani, niosą ze siebie ofiarę jutrzejszemu rozwojowi życia... odrodzona Ojczyzna, dbała o pełnię i bogactwo swego życia wewnętrznego, o przyszłość swoją, winna wznosić świątynię czystej nauki, stwarzać warunki płodnej pracy naukowej, pamiętając na słowa Staszica: Naród bez nauki podobny jest ślepcu, który albo zawsze stać, albo na jednym miejscu kręcić się, albo idąc dalej, w najpierwszym dole legnąć musi.”

Warszawa, 1923 r. — Nowy Świat 72.

REDAKTOR I WYDAWCA: KS. JAN URBAN T. J.

Druk ukończono 22 stycznia 1923 r.

Nacjonalizm, jego uprawnienia i etyczne granice.

W chwili, kiedy cała prawie Europa zaczynała się krwawić ranami wielkiej wojny i płonąć pożarem wzajemnych nienawiści, podniósł się na dalekim Wschodzie, zwrócony do narodów europejskich i azjatyckich, gromki głos oskarżenia i przestrogi. Głos ten, któremu tu i ówdzie przypisywano znaczenie jakiegoś nowego objawienia, składa całą winę za wybuch dziejowej katastrofy na jedną tylko złąwrogą chorobę, której Zachód rzekomo dał się owoładnąć. Wedle Rabindranatha Tagore cała odpowiedzialność za wojnę, za jej przyczyny i następstwa spada na nacjonalizm, który stał się dziś wśród ludów „straszliwą epidemią zła, szalejącą po całym świecie i wżerającą się w sam rdzeń moralności“.

Na potępienie tego kierunku nie znajduje indyjski myśliciel dość silnych wyrażen. Wedle niego nacjonalizm jest to potwór, traktujący okaleczającą ludzkość i depczący w niej wszystkie kwiaty żywych ideałów, jest to szatan, zakuwający potomstwo Adama w okrutną niewolę absurdu i męki, jest to furja szaleńczego terroru, która zamienia narody w skowyczącą gromadę wilków, wietrzących za krwią i szczekających przeciw samemu niebu, jest to straszliwa trucizna, której skutkiem jest odczłowieczenie i zabicie w duszy ludzkiej wszystkiego, co wyższe, co idealne, co Boże.

Jedyną jego pociechą jest, że nacjonalizm musi sam się pogrzebać pod gruzami cywilizacji, którą zniweczył. „Patrzcie — woła — „kurtyna już się podniosła! W tej okropnej

wojnie Zachód stanął oko w oko z dziełem, któremu poświęcił swą duszę. Teraz winien zrozumieć, co się stało, powinien poznać, że potęga zła, której służył i wszystko naokoło siebie i samą siebie zniszczyć musi. Bo tak jest — nacjonalizm musi się spalić w ogólnym pożarze, jaki wzniecił. Agonja „nacyj” już rozpoczęła się w tej wojnie. Ich mechanizm jakby oszalał nagle i zadygotał w tańcu śmierci, ćwiartując własne członki i rozrzucając je po błocie. Twierdząc egoizmów narodowych ze strasznym hukiem zapadają się pod własnym swym ciężarem; ich sztandary rozsypują się w proch, bowiem zgasły blaski ich chwały. I radujemy się nadzieją, że „nacja” nigdy już nie wróci do tego czem była, do tyranji zębów, pazurów, macków polipich i bezbrzeżnej pustki, a ludzie przestaną być niewolnikami maszyny, która zamienia ich życie w więzienie, która żelaznemi szponami wrywa światu jego serce i nie wie sama, co czyni“.

Tagore pomylił się tak w swej diagnozie, jak w swej przepowiedni, bo wielka wojna się skończyła, a nacjonalizm nie tylko nie zginął, ale żyje i działa w świecie potężniej niż kiedykolwiek. Zauważono bowiem słusznie, że jeśli podjęły wojnę imperjalizmy państwowe, to wygrały ją tendencje nacjonalistyczne, bo cały szereg państw narodowych wydobył się na wolność z pod krępujących je więzów i sama zasada narodowości zdobyła sobie daleko szersze uznanie.

Niemniej jednak w nacjonalizmie, jakkolwiek zwycięskim, kryją się poważne problemy tak praktycznej, jak spekulatywnej natury.

Wygrał on w wielkiej mierze największą z wojen, jaką widziano kiedykolwiek na świecie, ale czy potrafi po wojnie dać ludzkości pokój i oprzeć go na trwałych podstawach? Wydzwignął on z niewoli ujarzmione narody, ale czy będzie zdolny stać się dla nich źródłem twórczej pracy i zdrowego państwowego rozwoju? Otworzył on wrota do nowego okresu dziejów kultury, ale czy nie zabraknie mu sił i światła, żeby w gmachu tej kultury harmonijnie pomieścić najwyższe i niezniszczalne ludzkości dobra?

Rzecz całkiem jasna, że te i tym podobne doniosłe pytania narzucają się najbardziej tym umysłom, którym wiara

katolicka pozwala głębiej wniknąć w filozofję dziejów i w ostateczny ich cel za światem.

Cóż bowiem sądzić o stosunku tej „siły“, jaką jest nacjonalizm do „prawa“ we wszystkich jego kierunkach i dziedzinach? Jak pogodzić właściwy mu partykularyzm z uniwersalizmem nieodłącznym od chrześcijańskich ideałów? Jak podporządkować dążenia jego, tak wybitnie ziemskie, pod wiekuiste cele człowieka i ludzkości? Czem i w jakiej mierze określić potężny instynkt narodowościowy, żeby wzorem innych nieopanowanych instynktów, nie stał się czynnikiem rozstroju, zamiast być dźwignią kulturalnego postępu?

Te i inne jeszcze zagadnienia, które zdaniem poważnego francuskiego pisarza, składają się na problem „najważniejszy ze wszystkich, jakie w obecnej chwili nasuwają się katolickiemu sumieniu“, spotykają się dotychczas z bardzo rozmaitą odpowiedzią. Jedni okazują dla nacjonalizmu niekłamana sympatię, wróżąc mu wspaniałą rolę w przyszłym rozwoju ludzkości nie tylko politycznym, ale kulturalnym i religijnym; drudzy odnoszą się doń z wyraźną niechęcią, kwestjonując samo jego uprawnienie i malując w najczarniejszych barwach domyślne jego owoce. Niechęć ta dochodzi niekiedy do takich rozmiarów, że znalazła sobie wyraz w zdaniu, rzuconem niedawno przez jedno ze znanych pism belgijskich (*Revue catholique des idées et des faits*), że „najbliższą herezją, jaka będzie potępiona przez Kościół, jest nacjonalizm“.

Żeby wśród tych krańcowych, a namiętnie dyskutowanych poglądów znaleźć właściwą drogę i potrzebne do rozsądzenia całej kwestji kryterja, wypada zacząć od określenia pojęć i to pojęć dość pierwotnych.

Nacjonalizm, jeżeli sięgniemy do ostatnich jego korzeni, należy w zasadzie do kategorii nie idei, nie doktryn, nie praw, ale popędów. W dalszych fazach swego rozwoju musi on oczywiście wypowiedzieć się w pewnych myślach i wyłonić ze siebie jakieś rzekome, czy rzeczywiste prawa, ale pierwiastkowo jest on popędem, czyli uczuciem, a ściśle rzecz biorąc, jest uczuciem najgłębszem i najsilniejszym ze wszystkich, t. j. miłością.

Cóż jest tej miłości właściwym przedmiotem?

Są tacy, co sądzą, że tym przedmiotem jest poprostu ojczyzna i że dlatego nacjonalizm z ogólnie wziętym patryjotyzmem zupełnie się pokrywa.

To jednak nie jest całkiem ściśle i nie pozwala nam dokładnie pochwycić istotnej nacjonalizmu natury. On jest niezawodnie miłością ojczyzny, ale w sposobie pojmowania tej ojczyzny odznacza się czemś szczególnem, co — przynajmniej abstrakcyjnie rzecz biorąc — nie każdej miłości ojczyzny jest właściwe. Ojczyzna bowiem jest pojęciem, które może oznaczać i oznacza przedewszystkiem dwie rzeczy, bądź to obiektywnie i rzeczowo, bądź przynajmniej formalnie różne, t. j. naród i państwo. Otóż z tych dwóch rzeczy, które pojęcie ojczyzny zawiera, nacjonalizm wysuwa na plan absolutnie pierwszy tylko jedną. Ojczyzną dla niego jest naród i przedewszystkiem naród; samo państwo jest mu o tyle tylko drogie, o ile narodowe. Naród jako taki wysuwa się na czoło wszystkich jego umiłowań; naród jest ostatnią sprężyną wszystkich jego dążeń. Nacjonalizm, jak to zresztą sama nazwa jego dobitnie wyraża, cały żyje narodem i dla narodu; pod narodowym kątem widzenia na wszystko patrzy; do dobra narodu jako takiego wszystko odnosi i przymierza i temu wysunięciu na pierwszy plan narodowego pierwiastka zawdzięcza całą swą naturę i duchową fizjognomję.

Że tak jest, na to zgadzają się wszyscy, ale i to jeszcze nie wystarcza do zrozumienia najgłębszej nacjonalizmu istoty. Cóż to bowiem znaczy naród jako taki stawiać na pierwszym miejscu? Czy stąd musi wypływać jakaś zasadnicza różnica między nacjonalizmem a innemi formami miłości ojczyzny? Czy mieści się w tem tak ważna i tak charakterystyczna nacjonalizmu cecha, żeby ona zawsze i we wszystkich warunkach nadawała mu wśród innych kierunków patryjotyzmu jakieś osobne piętno?

Tak jest — i to jest rzecz dla naszego przedmiotu bardzo doniosła. Wysunięcie na pierwszy plan narodowego pierwiastka nadaje nacjonalizmowi zupełnie odrębny charakter i tworzy wśród innych form miłości ojczyzny jakby specyficzną jego różnicę. Patryjotyzm, który w ojczyźnie nie

widzi przedewszystkiem narodu, musi z konieczności widzieć w niej przedewszystkiem państwo, miłość bowiem klasy społecznej czy jakiejś dzielnicy kraju, wogóle patriotyzmem nie jest. Otóż te dwa kierunki, z których jeden upatruje ojczyznę głównie w narodzie, drugi głównie w państwie, nie mogą rozwijać się, nie już po jednej linii, ale choćby tylko równoległe do siebie. Te kierunki będą sobie, albo diametralnie przeciwne, albo w każdym razie głęboko różne, nie tylko co do swych programów i metod, ale także co do swej ideologii i psychiki swych dążeń. Naród bowiem i państwo, na obecnym przynajmniej stopniu ewolucji dziejowej, są to rzeczy tak głęboko odmienne, że ani nie mogą być równorzędnym celem działania, tylko jedno z nich musi być pierwsze, ani nie mogą wywoływać identycznych bądź uczuć bądź myśli. Jeżeli dobrze rzecz rozważymy, przekonamy się bez trudności, że naród i państwo to są zawsze jakby dwa odrębne centra grawitacji, które biorąc dążności patriotyczne w orbitę swych wpływów, nadają im z konieczności odmienny nie tylko kierunek, lecz charakter.

Cóż to bowiem jest państwo jako takie? To jest ustrój przedewszystkiem prawny, a więc; mimo realnych sił, jakimi rozporządza, rzecz bardziej abstrakcyjna, bezbarwna jakby nieosobowa, która przemawia raczej do chłodnego rozumu, niż do uczucia i do utylitaryzmu raczej, niż do zdolności kochania.

A co to jest naród? To jest wytwór krwi i ciepła ojczystej ziemi, to jest konkretna, barwna, tętniąca życiem rzeczywistość, która nie tylko przemawia do serca, ale czepia się z niesłychaną siłą każdej jego żyłki i znajduje odźwięk w każdym jego biciu.

Państwo jako takie daje dobra bardzo rzeczywiste, ale nie sięgające bezpośrednio w sferę ideału, daje ład, bezpieczeństwo, praworządność, materjalną, a po części i intelektualną kulturę; naród napawa duszę całym romantyzmem tych uczuć, które ciągną i najpotężniej przywiązują człowieka do tego, co swojskie i swoje.

Państwo, o ile nie wyrastało wprost z narodu, ustalało swój byt i swe granice przez małżeństwa panujących, przez podboje i zabory, przez wojny „sukcesyjne” i przez zimne,

a tak nieraz krzywdzące układy przy zielonym stole kongresów pokojowych; naród wyrastał i dojrzewał z całego szeregu najżywszych umiłowań. On rodził się gdzieś w zamierzchłej przeszłości pod strzechą jednej rodziny i nasiąkał od początku rodzimym i jakby rodzinnym obyczajem; on zrastał się od dziecka ze swą ojczystą mową, która poila mu serce tym samym tajemnym czarem, jakim pieściła go przyroda własnej jego ziemi; on mężniał i rósł w samowiedzę przy dźwiękach poezji swych wieszczów i przy tej innej poezji, czasem pełnej chwały, czasem pełnej łez i tęsknoty, jaką śpiewały mu jego przeszłe dzieje.

Państwo wreszcie, choćby najbardziej narodowe, to jest rama, która może, a często musi obejmować ludzi innej mowy i innej narodowej tradycji, a obejmując ich, musi odnosić się do nich mniej więcej po równi, to jest mniej więcej obojętnie; naród, będąc zawsze sobą i tylko sobą, może stosować do wszystkich swych członków te uczucia, które są jakby rozszerzoną formą indywidualnej miłości własnej.

Czy z tych ogromnych różnic narodu i państwa nie muszą wypłynąć głębokie odrębności tych kierunków, które jednemu z nich przyznają, jak muszą przyznawać, miejsce bezwzględnie pierwsze? Czy nacjonalizm, stawiający na pierwszym planie tylko naród, nie musi się różnić, często celem, a zawsze charakterem swych dążeń od tych tendencji, które świadomie lub nieświadomie krążą przedewszystkiem w orbicie państwa?

Musi tak być i nie może być inaczej.

Jeżeli jakiś naród nie posiada państwowości własnej, to nacjonalizm, wysuwający na pierwsze miejsce ideę narodu, będzie kierunkiem wprost antypaństwowym, który prędzej czy później, o ile obca siła nie stłumi jego rozwoju, do rozkładu państwa doprowadzi. Jeżeli naród jest zarazem państwem, lub przynajmniej ma swoje państwo, to nacjonalizm oczywiście antypaństwowym już nie będzie, bo owszem będzie się starał wszelkimi siłami państwo narodowe utrzymać i wzmocnić, ale zato będzie w ciągłej walce z temi dążnościami, którym na pierwszym miejscu przyświeca idea państwa i spokojnej praworządności państwowej. On będzie

wszystko podporządkowywał interesom narodowości własnej — one będą mniej uwzględniać narodowość obywateli, niż zgodną ich dla ogólnego dobra współpracę; on będzie skłonny do jednostronności i przesady — one będą sprawiedliwsze i bardziej umiarkowane; on będzie gwałtowny i przez reakcję podrażnionych uczuć często nienawistny — one będą chłodniejsze i bardziej zrównoważone; ale też on będzie bez porównania silniejszy i bardziej konsekwentny, gdy one w swym spokojnym utylitaryzmie będą dużo mniej energiczne i wytrwałe.

Na cóż jednak abstrakcyjnie wywodzić, coby logicznie być powinno? Czy nie widzimy naocznie, że właśnie ta a nie inna zachodzi różnica w kierunku i psychologii tych dążeń, do których przyznają się mniej lub więcej otwarcie istniejące już wszędzie polityczne stronnictwa? Cóż bowiem zostaje, jeśli pominiemy te partje, które wysuwając na pierwszy plan interes czysto klasowy, są przez to samo szkodliwe i dla państwa i dla narodu? Pozostaną nam dwie wielkie grupy stronnictw, pod wielu a wielu względami przeciwnych; jedne nacjonalistyczne, które jasno i bez ogródki stawiają na pierwszym miejscu naród, drugie nienarodowe, które choćby tego wyraźnie nie mówiły, w ostatecznej analizie swej ideologii są i być muszą za państwem. Od tych dwóch środków ciężkości zapożyczają owe stronnictwa nie tylko główne linje swych programów i metod, ale przede wszystkim tę psychikę, która je tak wybitnie wyróżnia; pod wpływem tych dwóch wielkich centrów grawitacji wchodzi do siebie we wzajemną opozycję, która aż nazbyt często wyraża się w zaciętą walkę. Czy bowiem przyjdzie kiedyś czy nie przyjdzie ta chwila, w której naród i państwo znajdą się w zupełnej harmonji — dziś ona na pewne jeszcze nie nadeszła. Tak, jak dziś rzeczy stoją i jak skutkiem ewolucji dziejowej stać muszą, naród i państwo są to dwie rzeczy głęboko różne, które muszą być źródłem różnych i zwalczających się wzajem kierunków.

Opisywać przeszłe dzieje tej walki między narodem a państwem, albo stawiać horoskopy dla przyszłych jej wyników, nie wchodzi w zakres niniejszej pracy. Pierwsze byłoby zbyt obszerne, drugie zbyt ryzykowne, bo drogi ewo-

lucji różnych prądów, nawet bardzo potężnych, miewają nieraz nieobliczalne zakręty, usuwające się z pod wszelkich przewidywań. Nie wdając się jednak w zbyt śmiało przepowiednie, możemy postawić sobie ogólniejszej natury pytanie; który z tych dwóch kierunków jest bardziej uprawniony przed trybunałem etyki i katolickiej filozofii społecznej, czy ten, który na pierwszy plan wysuwa państwo, czy ten, który hołduje głównie idei narodu. Zupełna równorzędność tych dwóch celów jest, jak widzieliśmy wyżej, w obecnych warunkach niemożliwa i wykluczona. Któremuż więc z nich należy się miejsce bezwzględnie pierwsze? Który z nich, postawiony na czele, rokuje dla ludzkości lepsze widoki wszechstronnego rozwoju?

Jakkolwiek powyższe pytanie w tej ścisłej formie, w jakiej stawiamy je tutaj, nie wchodziło zwykle w zakres katolickiej filozofii społecznej, nie da się zaprzeczyć, że w tym wielkim sporze między państwem a narodem, który wypełnił całe prawie dziewiętnaste stulecie, znaczna większość katolickich myślicieli obiektywnie i rzeczowo stała po stronie państwa. Państwo jako takie, to jest niezależne od narodowości swych obywateli, jest dla nich najwyższym i najdoskonalszym z przyrodzonych organizmów społecznych; naród, jako zasada uspołecznienia, prawie nie wchodzi w rachubę. Państwo rodzi się z potrzeb natury ludzkiej jako takiej i zdobywa sobie drogą historycznego rozwoju własne prawa, oparte o powagę Bożą, bez względu na narodowe aspiracje ludów; narody mogą wprawdzie wytwarzać się i wzrastać, ale powinny rozwijać się po zupełnie innej linii i w innym niż państwo kierunku. Państwo jest dla potrzeb ludzkości realnych i w tej dziedzinie ma bezwzględnie najwyższe uprawnienia; naród może i powinien dążyć do dóbr bardziej idealnych, jakimi są np. zachowanie rodzimego obyczaju i tradycji, pielęgnowanie ojczystej mowy i literatury, wierne wreszcie stróżowanie koło „narodowego pamiątek kościoła“, ale na linię „państwową“ wkraczać nie powinien, bo nie ma do tego ani prawa, ani odpowiednich danych.

Że w nauce katolickiej takie, a nie inne aż dotąd przeważały poglądy, to jest rzecz z wielu względów łatwo zro-

miała¹⁾. Inne wszakże jest pytanie, czy te poglądy są absolutnie niezmiennie, t. j. czy tak ściśle są związane bądź to z dogmatem, bądź z zasadniczymi aksjomatami katolickiej filozofji, żeby były konieczną i nieodłączną częścią katolickiej myślowej budowy.

Jeżeli nie jest zbyt śmiałością w tak trudnej kwestji przychylić się do jednej tylko strony, sądzimy, że przytoczone powyżej zapatrywania na stosunek narodu do państwa nie należą koniecznie do katolickiego na świat poglądu. Kościół doktrynalnie nie wypowiedział się o nich w sposób stanowczy i decydujący, a w praktyce z przedziwną łatwością zastosowywał się do nowych warunków politycznych, które prąd nacjonalistyczny wytworzył; w filozofji zaś katolickiej nie widać żadnych prawdziwie podstawowych zasad, któreby przemawiały za wyłącznem w politycznej dziedzinie uprawnieniem państwa i za wykluczeniem z tej dziedziny praw narodu. I owszem, jeżeli mamy już samo dno naszej myśli odsłonić, sądzimy, że cała ta kwestja należy do tej kategorii zagadnień, w których rozwiązanie muszą wchodzić nie tylko abstrakcyjne, a więc zupełnie stałe, ale historyczne, a więc z natury swojej zmienne czynniki. Jak o sprawie formy rządu i bezpośredniego źródła władzy, jak o całym mnóstwie rzeczy wchodzących w zakres kwestji społecznej, tak też o stosunku narodu do państwa można i trzeba two-

¹⁾ Na wyraźną przewagę w nauce katolickiej idei państwa nad idea narodu złożyło się kilka przyczyn. Przedewszystkiem filozofja katolicka, będąc z natury swojej wybitnie konserwatywną, lubi operować głównie temi pojęciami, jakie odziedziczyła po wielkich swych mistrzach, a cała kategoria pojęć, dotyczących narodu względnie niedawno pojawiła się na widowni pełnej świadomości. Powtórne dążenia narodowościowe podzielały los wielu innych tak zwanych idei nowoczesnych, że zrazu posługiwały się niemi głównie stronnictwa rewolucyjne, wrogie Kościołowi i obce ideologii katolickiej, co musiało wywołać u pisarzy kościelnych pewną względem nacjonalizmu nieufność. Do trzeciej właściwy filozofji katolickiej intelektualizm i skłonność do abstrakcji nie wie bardzo co począć z kierunkiem, który rodzi się cały prawie z uczucia i czysto historycznej ewolucji. Po czwarte wreszcie — last not least — znaczna liczba autorów, którzy do tendencji narodowościowych żywią wyraźną niechęć, żyła lub żyje w tych krajach, dla których rozbudzenie nacjonalistycznych uczuć groziło bądź to zgubą, bądź wielkiem uszczupleniem państwowego terytorjum, a przez to osłabieniem własnego narodu.

rzyć sobie nowe pojęcia, w miarę, jak palec Boży przewraca karty księgi dziejów. Na pewnym stopniu ewolucji historycznej była bez wątpienia słuszna teoria, przyznająca prymat polityczny tylko państwu, dziś, zdaniem naszym, jest bardziej uzasadniony pogląd, który przechyla ten prymat w stronę narodu.

Jakie tak postawionemu twierdzeniu należy zakreszyć granice, to zobaczymy niżej; na razie rzućmy okiem na jego rozumowe podstawy.

Zaczynając od stwierdzenia pozytywnego faktu, musimy podnieść rzecz powszechnie zresztą znaną, że popęd nacjonalistyczny jest dziś potęgą, która w swoim zwycięskim pochodzie niczem dotąd zahamować się nie dała. Odkąd po bezwstydach wiedeńskiego kongresu zaczęły wstrząsać Europą pierwsze dreszcze narodowościowych ruchów, popęd ten rósł na siłach, zataczał coraz szersze kręgi i zdobywał coraz to nowe pozycje właśnie na tej linii, która dotychczas była niejako monopolem i wyłącznym terenem działalności państwa. Nacjonalizm bowiem od pierwszej chwili swego przebudzenia ani myślał zamykać się w tej dziedzinie czysto akademickiego narodowego romantyzmu, którą mu łaskawie przeznaczono, ale zstąpił śmiało na arenę polityczną i powiedział: ja będę rządził! I zaczął rządzić, bo rząd należy zawsze do silnych. Zmiany dokonane w karcie Europy i to dokonane w ciągu niespełna stulecia, są wymownym dowodem, że mu na sile nie zeszło. Jedne państwa runęły, jak dynamitem rozsądzone budowle; inne musiały znacznie skurczyć swój stan posiadania; całe wielkie narody doszły do politycznego zjednoczenia; szereg państw narodowych powstał do bytu po długiej, czasem wielowiekowej niewoli; w samem łonie państw, czy to dawniej istniejących, czy świeżo przez siebie stworzonych, nacjonalizm dobija się coraz natarczywiej o wyłączne prawo sterowania nawa publicznego życia.

To jest, jak powiedzieliśmy, fakt, ale czy tylko fakt? Czy te wszystkie, bądź to już osiągnięte zwycięstwa, bądź planowane na przyszłość zdobycze, dokonały się, lub mają się dokonać li tylko w imię siły czy też zarazem w imię prawa?

Są oczywiście tacy, którzy nacjonalizm zaliczają do tej kategorii prądów, które nazwano świeżo *les doctrines de la force*. Nam się jednak zdaje, że to jest z wielu względów chybione. Bo przedewszystkiem czy w wielkim konflikcie narodu z państwem, cała materialna siła nie była zrazu po stronie państwa? Czy nacjonalizm nie krwawił się w zapasach z tą siłą w imię tego, co zdawało mu się być jego najświętszym prawem? Czy on wogóle mógłby być odnieść tak wielkie triumfy i to w łonie najkulturalniejszych, chrześcijańskich społeczeństw, gdyby sam w sobie był wyłącznie materialną potęgą, a miał przeciw sobie cały majestat słuszności i prawdy?

Nam wydaje się to zupełnie niemożliwem. Żeby powiedzieć, jak niektórzy mawiają, że rozbudzenie narodowościowych instynktów jest krokiem wstecz od kultury, w której panuje prawo, ku barbarzyństwu, którem władnie siła, trzebaby zwątpić o postępie ludzkości, trzebaby zapomnieć, że nacjonalizm w każdym prawie kraju liczy do swych bohaterów najszlachetniejsze, najidealniejsze postacie, trzebaby wymazać z dziejów fakt, że po stronie narodowościowych ruchów, a często na ich czele stali tak wybitni katolicy, jak Görres i Fryderyk Schlegel, jak Manzoni i d' Azeglio, jak O-Connel, Havliczek i bardzo wielu innych.

A więc nie, nacjonalizm jest nie samą tylko siłą. Chociaż z najgłębszej swojej natury, jako popęd, należy on raczej do sił, niż do praw lub doktryn, siła ta najwidoczniej jest objawem i strażniczką jakiegoś prawa, które pod nią tkwi i przez nią się afirmuje. Jak istniejąca w każdym człowieku i rosnąca w miarę dojrzewania, miłość własna, choć jako taka jest popędem nie prawem, jest jednak wyrazem i w pewnych granicach uprawnionym obrońcą praw indywidualnych, tak miłość swego narodu, w której nacjonalizm ma swoje źródło, może być wykładnikiem i w pewnym zakresie zupełnie słusznym szermierzem praw narodowych.

Może być — ale czy jest rzeczywiście? Jeżeli za nacjonalizmem stoi prawo, dlaczegoż to prawo wyszło na jaw tak późno? Czemu ono pojawiło się na widowni dziejów dopiero wtedy, gdy już inne, przeciwne prawa na swoją

modłę zbudowały porządek świata i choćby samą preskrypcją historyczną utrwaliły swe panowanie?

Odpowiedź na te pytania jest, naszym zdaniem, nie trudna. Cokolwiek bowiem się sądzi o stałym ludzkości postępie, tego rodzaju postępu odmówić jej chyba niepodobna, który polega na stopniowem dojrzewaniu. Otóż jak w miarę dojrzewania człowieka nie rodzą się w nim, ale przychodzą do aktualnego znaczenia pewne prawa, które w wielkiej mierze zmieniają wiążące go poprzednio prawne stosunki, tak w miarę dojrzewania społeczeństw mogą przychodzić w nich do znaczenia pewne prawa, wobec których wyrobiony w nich dawniej ustrój prawny musi zmienić się albo i całkiem ustąpić. Czy nie na tem założeniu opiera się niezaprzeczona w wielu kierunkach prawomocność stopniowej demokratyzacji świata? Czy nie tem samem się tłumaczy godziwość wielu nowych form, jakie przybiera społeczny i ekonomiczny ustrój ludzkości?

Sądzimy tedy, że Twórca narodów — są one niewątpliwie dziełem Bożem — nadał im bardzo rzeczywiste prawa w dziedzinie nie tylko idealnej, ale w dziedzinie politycznego uspołecznienia, prawa wszakże, które miały dojść do pełnego znaczenia dopiero po odpowiedniem przygotowaniu i na pewnym stopniu dojrzałości kulturalnej. Dopóki tej dojrzałości w dostatecznej mierze nie było, prymat w dziedzinie politycznej najśluszniej przypadał państwom takim, jakie się urobiły historycznie, to jest bez względu na narodowość obywateli; w miarę jednak, jak dojrzałości przybywało, musiał ten prymat zacząć stopniowo przechodzić na narody. Znakiem zaś dojrzałości było i jest, jak sądzimy, samo rozbudzenie narodowych instynktów. Jak w indywidualnym człowieku rosnąca intensywność osobistego poczucia jest, nie źródłem wprawdzie, ale oznaką nadchodzącej pełności praw osobistych, tak bujny rozrost narodowej samowiedzy jest w narodach znakiem obiektywnej dojrzałości praw, jakie im przysługują. Jeżeli jakiś naród koniecznie chce być sobą, jest to, normalnie rzecz biorąc, wyraźnym dowodem, że ma już prawo do rządzenia sobą i owszem jest zapowiedzią, że prędzej czy później zacznie rzeczywiście rządzić sobą. Historia bowiem uczy nas zawsze, że w tej, jak w wielu innych

dziedzinach „kto chce, ten bierze i kto puka, temu będzie otworzono”¹⁾).

Aż dotąd jednak tylko analogja, do której, jako do dowodu, nie przywiązujemy zbytnej wagi. Przez porównanie dojrzewających indywidualnych ludzi chcieliśmy tylko wyjaśnić sposób, w jaki może przyjść do aktualnego znaczenia to prawo do rządzenia sobą, które było przedtem w stanie potencjalnym czyli zarodkowym, ale na obiektywną rzeczywistość tego prawa mamy dowody inne, daleko silniejsze.

Pierwszy z nich opiera się na analizie prawdy, która w filozofji katolickiej miała niegdyś i zdobywa sobie dzisiaj coraz powszechniejsze uznanie, że mianowicie właściwym podmiotem władzy politycznej nie jest kto inny tylko lud, czyli ogół obywateli państwa. Cóż bowiem ta prawda mówi i jakie w swem łonie zawiera konsekwencje? Ona mówi to, co zresztą jest już podstawą wszystkich na świecie konstytucyj, że lud, czyli ogół obywateli państwa jest z woli Bożej swoim najwyższym na ziemi panem; mówi, że lud nie jest niczyj, tylko swój własny i że tego prawa do siebie na niczyją korzyść zrzec się na stałe nie może; mówi dalej, że ktokolwiek władzę nad ludem sprawuje, sprawuje ją o tyle tylko słusznie, o ile ma za sobą wyraźne ludu zezwolenie, lub domniemaną i cichą jego zgodę; mówi wreszcie, że lud, zachowując zawsze najwyższą nad sobą władzę, może w pewnych warunkach bez żadnej niesprawiedliwości i formę rządu zmienić i dynastję panującą usunąć i taki lub inny ustrój sobie nadać — jak to zresztą wszystkie ludy niejednokrotnie

¹⁾ Inna rzecz, że, zdaniem naszym, jak w indywidualnym człowieku, tak w społeczeństwach, subiektywne poczucie dojrzałości zazwyczaj trochę wyprzedza obiektywną dojrzałość, co na czas jakiś pociąga za sobą większy lub mniejszy brak harmonji między prawami, jakich się żąda, a zdolnością do dobrego z tych praw korzystania. Tak np. sądzimy, że ludzkość wyciągnęła rękę po demokratyczną formę rządów trochę wcześniej, niż do niej obiektywnie dorosła. Coś podobnego może mieć miejsce i z aspiracjami narodowymi. Jakikolwiek jednak z tych wszystkich przedwczesności wypływają niekorzyści, są one wedle psychologicznych praw nieuniknione i nie obalają tej ogólnej zasady, że, naród, który zdecydowanie samodzielności chce, przez to samo daje dowód, że ma do niej prawo.

czyniły — nie wywołując przez to żadnego zasadniczego protestu, ani nawet ze strony katolickiego Kościoła.

To więc jest prawo ludu i tego prawa nikt nigdy mu nie odbierze, bo zbyt potężnie za nim przemawia rozsądek i ogólne przekonanie ludzkości.

Wychodząc jednak z tego prawa, możemy dalej przeprowadzić i logicznie musimy uznać następującą argumentację. Ten lud, który wedle wyżej wyrażonych zasad, ma najwyższe prawo do rządzenia sobą, albo jest zarazem jednym narodem, albo nie jest. Jeżeli jest jednym narodem, mamy już to, o co nam chodzi, t. j. że naród ma niezatrącalne prawo do politycznego decydowania o sobie. Jeżeli nie jest jednym narodem — pytam się dalej: z czego ten lud powstał i czemu ma to zawdzięczać, że stał się ludem jednego państwa?

Odpowiedź nie może wypaść rozmaicie, bo przemawia tu zbyt głośno historia. Historia uczy, że lud każdego, narodowo niejednolitego państwa, np. byłego austriackiego cesarstwa, powstał z przeróżnych narodowych ugrupowań które przez zabór, małżeństwo, wojnę, kupno, traktaty itd. przyrastały z biegiem czasu do jednego państwowego ośrodka. Narodowe te ugrupowania tworzyły bądź to bezpośrednio, przed połączeniem, bądź dawniej jeszcze, swoje własne polityczne ustroje, t. j. swoje królestwa, księstwa, hrabstwa, wolne miasta itp.; po połączeniu weszły w skład jednego wielkiego organizmu, na rzecz którego — o ile nie były doń wcielone zupełnie bezprawiem — zrezygnowały w pewnej mierze z własnej samodzielności politycznej. U początków więc państw narodowo niejednolitych mamy zawsze, jako ostatnie ich składniki, może bardzo pierwotne, może bardzo rudymenarne, ale jednak narodowe państwa czy państwka, których „lud“, będący zarazem narodem, miał pełne prawo decydowania o sobie. Wchodząc w połączenie z większym organizmem politycznym, lud taki nie rezygnował z tego prawa bezwzględnie i na zawsze. Byłoby to rzeczą niemożliwą i z prawem przyrodzonym sprzeczną, bo lud nigdy nie może stać się „własnością“ ani żadnej dynastji, ani innych ludów, wchodzących w skład politycznego organizmu. Lud może długie wieki nie mieć jasnej samowiedzy, że on jest

swój, ale nie może oddać się nikomu tak, żeby na zawsze przestał być swoim własnym.

Ale, jeżeli tak jest, to co z tego wynika?

Wynika to, że ludy, czyli, powiedzmy już dokładniej, „narody“, które w ten lub ów sposób połączyła ze sobą historia, zachowują jednak w tem połączeniu owo fundamentalne i niezatrącalne prawo stanowienia o sobie, które przysługiwało im pierwotnie. Zachowują to prawo jako coś potencjalnego i zarodkowego, czego sobie same nie są świadome, ale ono w nich jest i może przyjść do świadomości, gdy w miarę dojrzewania przemówi sama ich natura potężnym głosem narodowego popędu.

A jeśli to prawo raz się uświadomi i objawi się potęgą nacjonalistycznych aspiracji, czy można mu słusznie przeciwstawić historycznie nabyte prawa dynastij lub tych zlepków państwowych, w których te narody żyły dotychczas i to żyły często na wielką swoją udrękę? Ich prawo jest dawniejsze i daleko mocniej ugruntowane. Prawa państw i tronów zaczynają się i kończą na tej powierzchni dziejów, którą miotają zmienne fale woli władców i ludów; prawo narodów do bycia i rządzenia sobą rodzi się w samej głębi ich zbiorowej natury i u samych pierwszych założeń całej historycznej ewolucji. Stąd, jeżeli jakiś naród bądź to rozdzielony na różne państwa powie, że chce być jednym, bądź też wcielony w obcą całość, powie, że chce być sobą, można oczywiście stawiać mu różne warunki, od zachowania których zależeć będzie pełna etyczność jego pragnień — nie można mu powiedzieć, że on prawa do samoistności albo nigdy nie miał, albo je przez czasową przynależność do innego państwa utracił. Prawa państw jako takich są bardzo dobre i słuszne i na pewnem pięttrze rozwoju ludzkości konieczne, ale one nie mogą na zawsze przygłuszyć tego głosu natury, przez który odzywa się donośnie prawo narodów¹⁾.

¹⁾ Interesujące w tej mierze jest zdanie nie jakiegoś Rosminiego lub Giobertego, ale Biskupa Kettelera. Gdy przed zjednoczeniem Niemiec przedstawiano mu, że połączenie niemieckich państweczek byłoby przeciwne prawu suwerenności, przysługującemu poszczególnym książętom, odpowiadał: „Nie przeczę. Jeśli bierzemy prawo z formalnej strony, na-

Czy jednak to bezwzględne uznanie zasady narodowości nie musi wywołać w świecie całym ciężkich konfliktów i najniebezpieczniejszych przewrotów? Czy ono nie wymaga zupełnego przebudowania porządku świata wedle norm dotąd niewypróbowanych i, jak z góry można przewidzieć, do przeprowadzenia bardzo trudnych?

Że uznanie zasady narodowości nie może nie pociągnąć za sobą dużych przywrotów — to chętnie przyznajemy. Uświadomienie w zbiorowej samowiedzy ludzkiej wielkich praw nie dokonywa się nigdy bez wstrząśnień. Jeżeli jednak ktoś sądzi, że z obawy tych wstrząśnień, można lub trzeba zasadę skądinąd prawdziwą chować pod kocem, zdaje nam się, że się myli.

Najpierw bowiem, czy da się dziś prawda ukryć? Czy choćby była ukryta, popęd narodowościowy nie dokona tego na drodze faktów, do czego czuje sam w sobie immanentne prawo?

Powtóre jednak same te spodziewane przewroty nie będą znowu tak straszne i gwałtowne, jak można to sobie w bujnej wyobraźni przedstawiać. Czyż bowiem znaczna ich część już się nie dokonała, a świat nie runął?¹⁾ Czy wrodzony ludzkości instynkt samozachowawczy i zdumiewająca doprawdy zdolność przystosowywania się nie nadają zwykle wielkim nawet zmianom dużo łagodniejszej formy, niż ją miewają abstrakcyjne zasady?

Ale po trzecie — i o to chodzi nam najbardziej — jakiegokolwiek byłyby trudności, na które przeprowadzenie praw narodów natrafi, nie trzeba patrzeć tylko na mozolne rodzenie się nowego porządku rzeczy, ale i na jego przyszłe

leży im się pełna suwerenność. Jeżeli jednak chodzi o materialną słuszność sama ta suwerenność jest bezprawiem, bo naród niemiecki ma historyczne, niezatrącalne prawo, żeby żyć w jednym państwie pod jednym cesarzem". Tak w broszurze „Die Katholiken im deutschen Reiche".

¹⁾ Warto przypomnieć, że jeszcze kilkanaście lat temu wytaczano przeciw zasadzie narodowości takie argumenty *ex absurdo*: „Zasada narodowości jest niemożliwa do przeprowadzenia, bo.... musiałaby Austria rozpaść się, Polska musiałaby zmartwychwstać, Irlandja musiałaby się stać odrębnym państwem, Turcja musiałaby być wygnana za Bosfor" itd, itd. Tak czytamy w jednym z bardzo rozpowszechnionych podręczników „filozofji moralnej".

korzyści. Będą zmiany? — Najniewątpliwiej. Będą jeszcze wojny? — Z pewnością. Będą ciężkie zatargi o pasy graniczne, a wewnątrz państw o mniejszości narodowe? — Bez wątpienia. Czy po tych wszystkich bólach rodzenia niczego już dobrego nacjonalizm nie niesie? — Temu trzeba, jak nam się zdaje, najenergiczniej zaprzeczyć. Jeżeli nas wszystko nie myli, porządek świata, ku któremu nacjonalizm dąży, — i tu jest nowa grupa racji przemawiających za jego usprawnieniem — będzie i owocem i zadatkiem znacznie doskonalszej kultury.

Nie chcąc rozwodzić się zbyt szeroko, poruszymy tylko kilka punktów widzenia.

Przedewszystkiem ludzkość potrzebuje dziś i będzie potrzebować nadal doskonalszej, niż ją dotąd miała, formy politycznego uspołecznienia. Życie robi się tak niezmiernie bujne, pełne, rozmaite a szybkie, że państwo, aby dać te, które dać powinno, kulturalne korzyści, musi być niesłychanie silne i zwarte, a przytem sprężyste i giętkie. Tymczasem można wątpić czy państwo nienarodowe może kiedykolwiek mieć te przymioty w potrzebnej mierze. Już genjusz św. Tomasza z Akwinu jasno widział, że państwo nie narodowe jest z konieczności słabsze, bo choćby nie było, jak zwykle bywa, szarpane wewnętrzną rozterką, nie jest ono z obywatelami swoimi dość zrośnięte, ale jest im jakżeby mechanicznie, z zewnątrz nałożone. Gdy zaś ten potężny popęd naturalny, którym człowiek miłuje swój naród, skieruje się cały na państwo, rzecz przedstawi się zupełnie inaczej. Organizm państwowy nie będzie już obcą rzeczą, ale jakby rozszerzeniem własnej osoby; instytucje państwowe będą niejako zrośnięte z tem, co człowiekowi jest najdroższe na ziemi; zwartość i sprawność całego zbiorowego ciała niezmiernie się spotęguje.

To jest ogólna uwaga. Dadzą się do niej dodać dużo bardziej szczegółowe wskazówki.

Czy bowiem nie widzimy dziś właśnie niewypowiedzianie groźnych chorób, które niosą zagładę społecznego i politycznego porządku? Czy nie patrzymy codziennie na złowrogie zamiary tego fałszywego internacjonalizmu, przez który socjalizm i komunizm usiłują podkopać cały organi-

czny ustrój ludzkości? Czy nie drżymy do szpiku kości przed straszliwą potęgą międzynarodowego żydostwa, które oplótlszy świat jakby siecią pajęczą, stara się w nim zniszczyć aż do korzeni odwieczną chrześcijańską kulturę?

Otóż dawne państwa nienarodowe, albo takie, w których Żydzi zdołali uśpić narodowe uczucia, nie były zdolne jak to widzieliśmy sami, przeciwstawić tym mocom skutecznego oporu. Do walki bowiem z temi siłami potrzeba organizmów państwowych niezmiernie jednolitych i sprężystych potrzeba rządów energicznych i odważnych. Czyż zaś nie mnożą się oznaki, że nacjonalizm te właśnie warunki posiada lub je rozwija? Czy to nie zdaje się być wprost opatrnościowem jego zadaniem — złamać postępy socjalizmu i skruszyć przemoc tego żydostwa, które do niczego usilniej nie dąży, jak do wydarcia narodom zdrowych narodowych uczuć?

Tak przez dziwny dziejowy paradoks — a możnaby go wykazać i w innych kierunkach — nacjonalizm, który od urodzenia swego z państwem walczył, może stać się odrodzonego i uzdrowionego państwa najsilniejszą obroną.

Nie inaczej ma się rzecz, jak sądzimy, na polu stosunków międzynarodowych. Że dość długi czas upłynie, zanim zasada narodowości odda rzeczywiście *sum cuique* — to nie ulega wątpliwości. Że ten czas zejdzie na dużych tarcjach między narodami, nieraz zapewne i krwawych — to również łatwo przewidzieć. Ale czy wreszcie nie będzie lepszą rękojmą pokoju powstanie państw rzeczywiście narodowych, niż istnienie zachłannych, z krzywdy wyrosłych i na krzywdę czyhających imperjalizmów państwowych?

Państwa narodowe dadzą zapewne pewniejszą gwarancję pokoju, ale dadzą i coś więcej. Oto jak w przyrodzie nieodzownym warunkiem ruchu i życia jest istnienie rozmaitych centrów i napięć energii, bo z nastaniem zupełnej entropji, nastąpiłaby całkowita stagnacja, tak w ludzkim świecie dla żywego kulturalnego rozwoju potrzeba ośrodków siły które byłyby zarazem we wzajemnej komunikacji, zarazem we wzajemnem napięciu. Gdyby kiedykolwiek zdołała się ziścić jakaś wszechświatowa, demokratyczna republika, byłoby to chyba zupełną entropją sił kulturalnotwórczych. W państwach narodowych przeciwnie wzmagą się bardzo wybitnie jakby

potencjał tych napięć, które przez zdrową rywalizację myśli i ramion mogą wzbogacać skarbiec ogólnoludzkiej kultury i podnosić piękność wielkiej tkaniny dziejów świata.

Nie możemy wreszcie wyrzec się nadziei, że triumf nacjonalizmu, byleby nie przekroczył słuszných granic, wyjdzie też na korzyść wiary i Kościoła. Jeżeli patrzymy wstecz w historię chrześcijaństwa, widzimy, że państwa jako takie przynosiły Kościołowi zawsze wiele trudności. Państwową, nie narodową rzeczą były prześladowania, czy to w imperjum rzymskiem, czy później w Anglii, w Rosji a nawet w Japonji lub Chinach; państwową rzeczą był konflikt z cesarstwem niemieckiem, a potem z Francją, a po części Hiszpanją; państwową rzeczą były Galikanizm, Febronianizm, Józefinizm i wszystkie rodzaje nowożytnych kulturkampfov. Przeciwnie, gdy po powstaniu państw narodowych, Kościół pierwszy wyciągnął do nich życzliwą rękę, spotkał się prawie wszędzie z jaknajlepszem przyjęciem. Nigdy jeszcze nie miała Stolica święta tak gęstej sieci dyplomatycznych stosunków i to wogóle dobrych, jak w obecnej chwili, której koniec końców nacjonalizm ton nadaje.

Bo w rzeczy samej, czegóżby narody mogły lękać się od Kościoła? Czy jest choć cokolwiek w chrześcijaństwie, co sprzeciwiałoby się ich słusznym prawom, albo co tłumiłoby rozwój nacjonalistycznych uczuć? Czy ewangelja nie pokazuje nam Chrystusa płaczącego nad swoim ludem i czy z pierwszej zaraz epoki rodzącego się chrześcijaństwa nie dolatuje nas ten potężny, prawie że namiętny krzyk czysto narodowego uczucia: „Ja sam żądałem być odrzuconym od Chrystusa za bracią moją, którzy są krewni moi wedle ciała, którzy są Izraelczycy“? (Rzym. 9, 1-5).

Zupełnie słusnie wykazuje Albert-Maria Weiss i za nim Mausbach, że jeżeliby Kościół wszedł w konflikt z prądami narodowymi, to musiałby zwalczać to, co on sam wypielegnował, bo nikt intensywniej niż Kościół nie popierał po wszystkie czasy rozwoju narodowościowych uczuć i dążeń. Bo mimo całej swej nadprzyrodzoności ma Kościół głębokie zrozumienie dla wszystkiego, co w przyrodzonych, ziemskich popędach może być zdrowe i szlachetne. Stąd jak w rodzie nie uznał katolicyzm i otoczył opieką i wprzągnął w służbę

wyższego ideału całe naturalne ciepło, bijące z ciała i krwi i nadające związkowi mężczyzny i niewiasty osobny jakiś przyrodzony, ale szlachetny urok, tak nie mógł nie oddać sprawiedliwości tym innym wytworom ciała i krwi, równie szlachetnym i prawie równie potrzebnym, jakimi są narody.

I tutaj jest głęboka różnica chrześcijaństwa od tych rzekomo bardzo nadprzyrodzonych, ale fałszywych religij, które nie mają zrozumienia dla ziemskiego życia, jego sił jego dążeń i jego potrzeb. Dla takiego Rabindranatha Tagore, który mimo swego etycyzmu, jest prawie że antypodem chrześcijańskiego światopoglądu, nacjonalizm jest zmorą. Dlaczego? Bo jego czysto indyjski ideał przedstawia się, jako „życie w ciszy i głębokiej zadumie, w uczuciu wizji bezkresnej rzeczywistości, istniejącej we wszystkich rzeczach skończonych“. Otóż w chrześcijaństwie inaczej. Uznaje i ono wprawdzie ludzi żyjących w zadumie duchowej wizji, ale pojmuję, że tacy ludzie muszą należeć do wyjątków. Ogólnie rzecz biorąc, ziemia nie jest dla zadumy, ale dla pełnego, intensywnego życia, w którym przez walkę i pracę, przez złączenie przyrodzonych i nadprzyrodzonych czynników przez potężne wszystkich sił napięcie wzbogaca się i urozmaica ta kultura serc i umysłów, która jest podłożem i najlepszym przysposobieniem do wyższej kultury ducha.

Że w tem zbiorowem życiu nacjonalizm ma do spełnienia wielkie i wspaniałe funkcje, to zdaje się nam wątpliwości nie ulegać.

Czy jednak te funkcje spełni i czy odpowie włożonym na siebie zadaniom?

Zależy to jedynie od tego, czy zdoła utrzymać się w granicach, jakie zdrowa filozofja i etyka katolicka mu zakreślają. Jeżeli zachowa się w obrębie tych granic, będzie czynnikiem w najwyższym stopniu dodatnim i błogosławionym; jeżeli pchany właściwą popędem ślepą siłą, granice te przekroczy, stanie się źródłem nieobliczalnych nieszczęść.

Im pełniej i szczerzej przyznaliśmy słuszność zasadzie nacjonalizmu jako takiej, tem staranniej musimy zbadać, jak daleko sięgają jego uprawnienia. Że to jednak jest kwestja równie skomplikowana jak rozległa, zmuszeni jesteśmy odłożyć ją do następnego zeszytu.

(Dok. nast.)

KS. JAN ROSTWOROWSKI.

Bolszewicki kodeks karny.

Dla osób pilnie śledzących powstanie i późniejsze dzieje bolszewizmu w Rosji, jasne są pewne etapy, które bolszewizm tam przechodził. Pierwszy okres bolszewizmu, poczynając od listopada 1917 r., był okresem wyzyskiwania w interesie rewolucji ciemnych mas i malkontentów wszelkiego rodzaju, którzy też na gruzach caryzmu rozsiali gruzы z grup społecznych, które dla tego lub innego powodu komukolwiek z t. zw. proletariatu się nie podobały, a były ochrzczone jednym mianem burżuazji. Z jednej strony stał chłop, robotnik, żołnierz — z drugiej obywatel ziemski, fabrykant, inżynier, oficer; z jednej strony burżuj ducha, a więc każdy ktokolwiek dzierżył w swych rękach władzę lub jej pozór, z drugiej — podległy mu proletariusz. Powstał zamęt, „proletariusze wszystkich krajów“ łączyli się, by grabić to, co ich zdaniem było przez poprzednich posiadaczy z biegiem wieków „nagrabione“ i ujmując wszystko w swe ręce. Więzienia stanęły otworem, wczorajszy rzezimieszek, galernik ujął władzę i wczorajszy obywatel z za kratki stał się „komisarzem“, „czekistą“. Jego dewizą było tępić wszystko i wszystkich, cokolwiek lub ktokolwiek wczoraj stawał mu w poprzek drogi w jego dzikich, często nieludzkich, zbrodniczych zakusach.

Niedługo Rosja stała się piekłem bez prawa, bez normalnego wymiaru sprawiedliwości; analfabeta — i to nie tylko w znaczeniu nieznajomości prawa, ale nie umiejący czytać i pisać — stał się sędzią, prokuratorem, obrońcą, czynności swe wszystkie wykonywując według „sumienia

rewolucyjnego", a sumienie to, rzecz jasna, było zaprzeczeniem wszelkiego wogóle sumienia, nie mówiąc o parodjowaniu wzniosłego pojęcia o zadaniach i sprawiedliwości sądu. Rzecz jasna, że w takich warunkach wszelka sprawiedliwość i prawo upadły, szczególnie gdy ci, co mieli wymierzać sprawiedliwość i stać na straży prawa, poczęli ze swego stanowiska skwapliwie korzystać dla osobistych obrażunków.

Jednakże, aczkolwiek Rosja jest wielka, a „mięsa ludzkiego“, jak w niej o ludziach nieraz się odzywają, było dosyć, aczkolwiek dziesiątki tysięcy inteligencji zginęło po zakamarkach t. zw. „Czeka“, aczkolwiek łatwiej burzyć, niż coś mądrego stworzyć, jednakże powoli i bolszewickim dygnitarzom zachciało się pozorować jaki taki rząd i praworządne, acz skrajnie lewicowe państwo. W ślad za wdzieraniem się dyplomatycznym do Europy, w ślad za podróżami po konferencjach genewskich, genueskich, londyńskich itd. sowieckie republiki zaczęły stwarzać fikcję praworządności, zaczęły „rewolucyjne sumienia“ czerwonych sędziów i prokuratorów R. S. F. S. R. ujmować w pozory prawnych karbów. Dotąd poza samowolą lokalnych władz, poza szerokimi przestrzeniami „rewolucyjnego sumienia“, Rosja sowiecka rządziła się dekretemi władz centralnych, których liczne wydania zapewne z czasem się złożą na całe tomy. Dotychczas Ukraińska Republika wydawała w Charkowie „Sborniki [instrukcyj i położeń] po partijnemu i sowieckomu stroitielstwu na Ukrainie“ były próbki oddzielnych prawnych ustaw, np. „Kodeks praw o pracy“ lub wydawnictwo Komisarjatu Justycji „Rewolucja i Cerkow“ — zagranica interesująca się bolszewizmem wydała w r. 1920 w Paryżu spory tom „Une législation communiste“, zebrany przez p. Labry. Wydanie to dokładnem nie jest, a niema np. w niem tak ważnego działu, jak sprawy wyznaniowe.

Pierwszą próbą podręcznika dla sądów sowieckich jest wydany w 1922 r. kodeks karny (Ugołownyj kodeks R. S. F. S. R.). U góry małej in 16^o broszurki 87 stroniczkowej zaznaczono, że jest to wydanie nieurzędowe, ale zatwierdzone przez najwyższą bolszewicką władzę, t. zw. WCIK w Moskwie 24 maja 1922 r. Wydrukowano tej pracy tylko

5300 egz., co jest cyfrą nadzwyczaj nikłą, jeśli wziąć pod uwagę obszary Rosji. Kodeks układała komisja bolszewickich prawników, wśród których byli dawni zawodowcy-prawnicy, jak np. Czerlunczakiewicz, Kurski, Kozłowski, były nauczyciel Krylenko. Kodeks był kilkakrotnie rozpatrywany i zmieniany, chciano nawet mu ukreć kark, tak widocznie leaderom komunizmu wszelkie ramki prawne są nie na rękę, jako krępujące rozmach czerwonego rumaka. Nareszcie — mówi przedmowa do kodeksu — na zasadzie dekretu WCIK'u kodeks obowiązuje na całym terytorjum RSFSR od 1 czerwca 1922 r. Dekret ten podpisał Prezydent Bolszewji — Kalinin, i Ludowy Komisarz Sprawiedliwości (czerwony minister sprawiedliwości) Kurski. Pomimo, że dekret nakazuje wprowadzić go w całej Rosji i kasuje wszystkie dotychczasowe normy prawne i karne, jednak poszczególne Centralne Ispółkomy mają prawo wprowadzać zmiany i dopełniać kodeks. Jednem słowem kodeks i jest i niema go. Kodeksowi podlegają obywatele rosyjscy i cudzoziemcy, za wyjątkiem przedstawicieli dyplomacji. Prawo ściga obywateli i poza Rosją (a zatem np. nauczanie religji przez Rosjanina swych dzieci nie mających 18 lat np. w Polsce lub Serbji — podlega karze!). Cudzoziemcy, którzy popełnią w swoim państwie występki, podlegający karze podług tego kodeksu, naruszający podstawy ustroju sowieckiego, podlegają paragrafowi tegoż kodeksu, a więc Polak tępiący bolszewizm w Polsce, w razie jeśliby przyjechał do Rosji, może być sądzony podług §§ tego kodeksu. W razie jeśliby kodeks nie przewidywał jakiegokolwiek przestępstwa, karze się ono podług najbardziej podobnych rodzajów przewidzianych przez kodeks. Attentat karze się tak samo, jak fakt dokonany.

Przy wymiarze kary należy brać pod uwagę, czy występki był popełniony w celu restauracji burżuazyjnej władzy lub w celach ściśle osobistych. Wskazując minimalną karę za dążności do obalenia chłopsko-robotniczego rządu, sąd nie ma prawa zmniejszać ad libitum tej kary tylko zasadniczo musi od tego minimum dążyć zwyżkowo.

Jako kary kodeks wymienia: banicję, pozbawienie wolności połączone z izolacją (czytaj „koza“), roboty przymusowe, konfiskatę własności, karę pieniężną, zwolnienie z obo-

wiązku, nałaganę, zobowiązanie naprawienia zła, w razach zaś gdy kodeks przewiduje „najwyższą karę” — rozstrzelanie.

Pozbawienie wolności może trwać od 6 miesięcy do 10 lat i ma być łączone z przymusową pracą według specjalności delinkwenta lub też według kategorii „nieukwalifikowanej fizycznej pracy” (np. profesor chemii lub muzyki będzie rąbał drwa; przyp. autora).

W razie niewypłacalności może sąd karę pieniężną zamienić na roboty.

Kodeks przewiduje przedterminowe zwolnienie od kary za dobre sprawowanie się, lub zmniejszenie kary, jednakże nie wcześniej aż ukarany odbędzie połowę kary.

Tyle mówi pierwsza część kodeksu ogólna, złożona z 56 artykułów na 16 stroniczkach.

Następuje część, zatytułowana jako specjalna (osobien-naja czaść). Traktuje ona w osobnych ustępach o przestępstwach państwowych kontr-rewolucji, przeciw istniejącemu porządkowi państwowemu, służbowych, gospodarczych, przeciw życiu, zdrowiu, wolności i godności osób, o urażeniach cielesnych, płciowych, przestępstwach majątkowych, wojskowych, przeciw zdrowiu publicznemu, bezpieczeństwu i porządkowi. Zawierają one 170 §§ na 47 stroniczkach. Resztę broszurki wypełnia alfabetyczny skorowidz treści.

Nad poszczególnymi działami pokrótce się zastanowimy. Osią, koło której się obraca ideologia chama, który się dorwał do władzy, jest utrzymanie status quo, w którym on jest panem sytuacji i niedopuszczenie za żadną cenę powrotu władz praworządnych, to też na czoło specjalnej części kodeksu wysuwa bolszewicki legislator „państwowe przestępstwa”. Kontrewolucją nazywa on każdy czyn, dążący ku zrzuceniu zdobytej przez proletariacką rewolucję władzy chłopsko-robotniczych Rad i istniejącego na zasadzie konstytucji RSFSR robotniczo-chłopskiego rządu, a również akcję skierowaną, aby dopomóc międzynarodowej burżuazji, która nie uznaje przychodzącego na miejsce kapitalizmu komunistycznego systemu zniesienia własności i dąży do jej przywrócenia przez interwencję, blokadę, szpiegostwo, finansowe poparcie pracy itp.

Po tym wstępie kodeks wyznacza karę śmierci za or-

ganizowanie powstania albo sił zbrojnych, któreby miały napisać Radziecką Rosję, a również za usiłowanie zabrania w swe ręce władzy lub oderwania terytoriów od Rosji lub też zerwania zawartych przez nią traktatów. Ta sama kara grozi za stosunki z mocarstwami zagranicznymi lub nawet osobami poszczególnymi w celu spowodowania ich do interwencji zbrojnej, wojny itp. Kara śmierci też grozi za uczestniczenie w organizacji istniejącej w celu wspomagania międzynarodowej burżuazji, w organizacjach przeciwdziałających normalnemu funkcjonowaniu urzędów sowieckich, za czynny terrorystyczny przeciw władzom radzieckim, uszkodzenie kolei itd., za szpiegostwo. Za propagandę zaś przeciw władzy sowieckiej — kara izolacji nie mniej niż trzyletniej, za propagandę na korzyść burżuazji — banicja.

W rozdziale o występkach przeciw porządkowi zarządu państwowego, kodeks się rozwodzi nad karami za czyny, skierowane do zachwiania prawidłowego funkcjonowania aparatu administracyjnego i tu też zaczyna od kary śmierci, którą grozi za uczestnictwo w masowych nieporządkach, jak to pogromach, rujnowaniu komunikacji, podpalaniu, zwalnianiu więźniów, napadach na urzędy, pociągi; zdaje się na zasadzie tego paragrafu większość działaczy komunistycznego systemu powinny być posłana ad patres! Za niepłacenie podatków — kara więzienia od roku, unikanie wojskowej powinności — 6 miesięcy więzienia, podrabianie pieniędzy (np. szeroko stosowane przez sam sowiecki rząd carskich setek) — karę śmierci, obrażenie gódeł sowieckich lub urzędników — 6 miesięcy więzienia, ucieczka z więzienia — jeden rok kary, kontrabanda z zagranicą — robotami do trzech miesięcy, przebycie granicy bez paszportu — robotami do trzech miesięcy (w praktyce kulka), druk książek bez cenzury — rokiem robót przymusowych, ukrywanie dzieł sztuki — ta sama kara. Z tych ustępów widzimy — jak dalece zasady wolnościowe są zastosowane, skoro cenzurę sankcjonuje się rokiem przymusowych robót!

W ustępie o przestępstwach służbowych dowiadujemy się, że nadużycie władzy karze się rocznem więzieniem, również zaniedbanie władzy, niedbałe sprawowanie oraz dyskredytowanie jej, kradzież pieniędzy lub rzeczy służbowych

więzieniem nie krótszem jak rok, za łapówkę — do pięciu lat; „prowokacja łapówki“, t. j. stworzenie okoliczności, które łapówkę wywołują — trzy lata więzienia.

Ustęp o łamaniu ustawy o rozdziale cerkwi od państwa, przedewszystkiem łamie te zasady, które ogłoszono w r. 1918 i które zasadniczo pozostawiały swobodę wyznaniową; obecny bowiem kodeks karze przymusowymi robotami za wykład religii nieletnim w zakładach, robotami do sześciu miesięcy za wymaganie ofiar na organizacje kościelne i religijne, za uzurpowanie przez religijne i kościelne organizacje praw administracyjnych, sądowych i prawno-publicznych, do trzech miesięcy za umieszczenie w państwowych urządach religijnych godeł. Jasne, jak szeroka droga bezprawia dla władz sowieckich; przy takim prawie za wszelkie przejawy religijne, za otrzymane stypendjum mszalnego, za napisanie aktu ślubnego itd. można być surowo ukaranym. W dziale przestępstw gospodarczych kodeks się rozwodzi nad przestępstwem — unikania mobilizacji pracy i karze za nie robotami na jeden tydzień, dalej karze więzieniem do sześciu miesięcy za brak gospodarczej zapobiegliwości w urzędach, przedsiębiorstwach państwowych itd. Trzeba przyznać, że teoretycznie takim artykułom można przykłaśnać. W dalszych paragrafach mówi się o trwonieniu własności państwowej, o wyzyskiwaniu pracowników, pobieraniu zbyt wysokiego komornego, zwyczajnie cen za towary, spekulacji walutami, tajnem wyrabianiem wódek — za co karze jużto więzieniem jużto robotami od trzech do sześciu miesięcy. Za zabójstwo grozi kara od ośmiu lat więzienia, za spędzanie płodu — więzieniem rocznem, za skaleczenie — nie mniej trzech lat więzienia, za zarażenie chorobą weneryczną — tak samo, za bicie — rokiem więzienia.

Ciekawe są paragrafy, zatytułowane: „przestępstwa płciowe“. Przewidują one karę więzienia od trzech lat za stosunki płciowe z małoletnimi, za gwałt — do pięciu lat, zmuszanie do prostytucji — do trzech lat, utrzymywanie tajnych lupanarów — do trzech lat. Ciekawe są te §§ przy jednoczesnem wydawaniu w Rosji nagród nieletnim matkom za wielkie spełnienie obowiązku przysparzania państwu oby-

wateli i popieraniu oficjalnej rozpusty przez uprzywilejowanie t. zw. „sodkom’ek” t. j. utrzymanek komisarzy!

Sowiecki prawodawca idzie dalej i regulując wzajemne stosunki obywateli w następnych §§ karze sześciu miesiącami robót przymusowych za obrazę kogokolwiek słowem, czynem lub pismem. Zabawnymi są te ustępy, pochodzące z państwa gdzie każde chamstwo, połajanka itp. były codziennymi i nikogo nie dziwiącymi rzeczami nawet w przedbolszewickich czasach.

Kolejno przechodzimy do ustępów o przestępstwach naruszających własność. Kodeks karze... kradzież robotami dosześciu miesięcy, koniokradztwo — więzieniem od dwóch lat, kupowanie ukradzionych rzeczy — przymusowymi robotami, rabunek — rokiem więzienia; dalej karze wszelkie szelmowskie czyny, jakto trwonienie cudzej własności, podrabianie papierów, rewersów, falsyfikowanie przedmiotów, lichwę itd., że zdawałoby się, że się czyta kodeks pisany o tysiące mil od państwa rabunku i mordu.

Cały ustęp obejmuje przestępstwa wojenne, specjalnie zgrupowane dla czerwonych rycerzy. Z tego ustępu znać tendencję postawienia armji na właściwej wysokości wymagań dyscypliny, może dalej idącej od dawnej cesarskiej. A więc za obrazę zwierzchnika — więzienie roczne, za niespełnienie rozkazu — śmiercią, dezterterstwo — trzema latami więzienia, samowolny urlop — rok więzienia, sprzedaż amunicji lub ubrania — rok więzienia, nadużycie władzy lub bezczynność zwierzchnika — trzema latami więzienia; naturalnie szpiegostwo karze się śmiercią. Nareszcie ostatni ustęp mówi o prawidłach co do zdrowia publicznego, bezpieczeństwa i porządku. W tym dziale przeważnie są kary pieniężne, do wysokości 300 rubli złotem, a kara za niezawiadomienie o zakaźnych chorobach, za niespełnienie żądania policjanta, za przechowywanie broni, wreszcie ostatni paragraf tego ustępu jakby uwieńcza — coronat opus, ogłaszając, że za publiczne skrzepowanie przez ceremonje kultu religijnego swobody ruchu innych obywateli wbrew zarządzeniom miejscowej władzy karze się przymusowymi robotami lub 300 rublami w złocie.

Z powyższej krótkiej charakterystyki kodeksu nie trudno

wyciągnąć wniosek, że nazwa kodeksu jest conajmniej zbyt honorową dla tej quasi-iurydycznej elukubracji bolszewickiej. Jest to nic więcej, jak próbne zamydlenie oczu tym, którzy jeszcze nie przejrżeli, czym jest dzisiejsza cała Rosja i nadawanie pozorów praworządności aktom gwałtu i bezprawia. Charakterystycznym jest też sposób określania kary: w większości wypadków określa się w minimum, szerokiemu rozmachowi sędziego pozostawiając prawo zwiększania jej według swego uznania do maximum, a więc gdy kodeks mówi, że za jakieś przestępstwo sędzia może naznaczyć nie mniej jak trzy lat więzienia, nie wyklucza to możliwości dostać od hojnego szafarza sprawiedliwości sowieckiej — kulę w łeb.

Zamykając broszurkę bolszewicką, raz jeszcze możemy sobie zapytać, jak długo Europa będzie to wszystko znosić — *quousque tandem, Catilina?*!

Dr. A. OKOŁO-KUŁAK.

Zagadka walutowa.

Walutę złotą, jako stałą miarę wartości przy wymianie dóbr tego świata, stworzyło życie ekonomiczne społeczeństw i potrzeby tego życia. Jest ona stałą normą tego życia, a odstępianie od tej normy wywołuje zaburzenia w organizmie społecznym i ciężką jego chorobę. Od kilku lat sroży się ta choroba i bardzo wszystkim dokucza, a choć lekarzy było wielu, nie widać jej końca. Śnać lekarze nie zupełnie dobrze zdawali sobie sprawę z natury choroby. Jeżeli to jest odstępianie od praw życia zdrowego, to tylko powrót do nich może ją uleczyć. O tem zapominają często lekarze, i doraadzają lekarstwa, które są dalszem odstępianiem od praw życia ekonomicznego.

Jedną z ostatnich prac w tym kierunku była rozprawa pt. „O walucie i jej stworzeniu” pomieszczona w „Czasie” N. 196 i 197 ubiegłego roku. Bierzemy za punkt wyjścia tę pracę, aby przypomnieć te prawa ekonomiczne, w których obrębie jedynie można znaleźć dobrą walutę.

Autor zdaje się mieć przed oczyma kraje szczęśliwe, w których panuje dobra stała waluta. Wszystko tam uregulowane i stałe, każdy wie co ma i czego może się spodziewać, przyszłość nie kryje dla niego żadnych niespodzianek, każdy wie, że przy uczciwej pracy, może się spodziewać powolnej poprawy swego bytu.

Może się zdawać, że bank walutowy, którego pieniądze papierowe regulują cały obieg i wszystkie stosunki ekonomiczne między ludźmi, jest sprawcą całego tego szczęśliwego i pogodnego życia. Autor wyobraża sobie, że bank walutowy musi mieć tyle odłożonego złota, na ile jest w obiegu jego

papierków, oblicza więc ile będzie potrzeba złota dla takiego banku w Polsce i dochodzi do wniosku, że będzie potrzeba półtora miljarda franków w złocie. Cała więc kwestja waluty redukuje się u niego do pytania: skąd wziąć tyle złota?

Radzi obciążyć hipotekę wszelkiej nieruchomości do $\frac{1}{3}$ wartości, wyjątek tylko zrobić dla małej własności rolnej do 30 a nawet 60 morgów, które można od tego zwolnić. Na resztę $\frac{1}{3}$ hipotek wydać listy zastawne, które kapitałisci będą chętnie kupować w kraju i zagranicą. Z tego źródła będzie można zebrać nie tylko półtora miljarda złotych franków na ufundowanie banku walutowego, ale jeszcze będzie nadwyżka, której będzie można użyć na rozbudowę miast, a może nawet będzie można wesprzeć nią niejedną instytucję humanitarną.

Tak radzi autor „Stworzenia waluty“ a jest to rada pozytywna, więc warto sprawdzić czy jest zgodna z prawami ekonomji, których naruszenie tworzy wszystkie choroby społeczne.

Listy zastawne, oparte o własność nieruchomą, są dobrą lokatą kapitałów, taką, jakiej kapitałisci bardzo poszukują, bo jest tak pewną, jak własność nieruchoma. Z tego jednak wniosek, że jest tam tylko pewną, gdzie jest własność nieruchoma pewna. Czy w kraju, gdzie państwo może $\frac{1}{3}$ część własności zabrać lub obciążyć bez zezwolenia właścicieli, jest własność pewna? Trafiają się mosty, które woda częściowo zerwie lub podmyje, o tych mostach mówi się, że ich niema. Własność nieruchoma w ten sposób naruszana bardzo przypomina owe mosty, których niema. Listy zastawne, na takiej własności oparte, nie wzbudzą zaufania i nikt ich nie kupi. Dlatego w krajach, gdzie własność nieruchoma z jakiegobądź powodu jest zachwiana, instytucje kredytowe, które wydawały listy zastawne, przestały je wydawać.

Rząd państwa, który chce zaciągnąć pożyczkę na cele państwowe, nigdy nie potrzebuje hipotek prywatnych. Wszakże za jego słowem stoi cały naród i cały jego majątek, ten majątek którego rząd jest jedynym stróżem. Rząd, któryby się uciekał do takiej pomocy, podkopałby swój autorytet i straciłby wszelki kredyt, boby pokazał, że jest bardzo

niepewny, skoro szuka hipotek prywatnych, których on ma strzec. Rząd ma być oparciem, ma być zabezpieczeniem tych hipotek, a jakże może być oparciem i zabezpieczeniem, jeżeli sam w nich szuka oparcia i zabezpieczenia?

Z tych więc powodów rada autora „Stworzenia waluty“ jest niewykonalna.

Ale przypuśćmy na chwilę, że jest wykonalna i zobaczmy do czego by ona doprowadziła, gdyby była wykonana. Przypuśćmy, że mamy bank ufundowany z funduszków zebranych z listów zastawnych obciążających $\frac{1}{3}$ część hipotek własności nieruchomości. Ten bank wydaje banknoty o pełnej wartości, które mają pokrycie w złocie banku i są wymienne na złoto. Złoto jednak spoczywa w banku, a w obiegu są banknoty o pełnej wartości, które regulują między ludźmi wszystkie stosunki. — Takby niewątpliwie było, gdyby kraj był odcięty od reszty świata i sam sobie wystarczał, ale takiego kraju nie ma między krajami kulturalnymi. Im kraj jest więcej kulturalny, tem więcej innych potrzebuje, więcej im daje i więcej od nich bierze. Każdy ma wywóz czyli eksport i dowóz czyli import. Wartość wywozu powinna pokrywać wartość dowozu, ale o taką równowagę bardzo trudno: różnicę musi wyrównać złoto. Stąd w kraju jak np. Stany Zjednoczone P. A., gdzie wywóz stale przewyższa dowóz, złota stale przybywa. W kraju jak nasz, gdzie dowóz stale przewyższa wywóz, musi złota i innych rzeczy nieprzemijającej wartości ubywać. Ale nikt swego złota nie oddaje za darmo, a o tem co ma dla niego większą wartość, on sam tylko może wiedzieć. Dobrobyt kraju polega na tem, żeby ludzie mieli rzeczy, których więcej, a nie te, których mniej potrzebują. Równowagę może tylko zaprowadzić zwiększona produkcja, a ta zależna jest od dowozu. Więc wszelkie represje i ograniczenia na nic się nie przydadzą, demoralizują tylko ludzi i tworzą urzędy niepotrzebne.

Jeżeli import przewyższa stale eksporty, to ludzie będą częścią banknotów wymieniać w banku na złoto, aby go użyć na kupno produktów zagranicznych. To złoto więcej nie wróci, więc będzie go ubywać. A jeżeli wartość banknotów zależna jest od pokrycia złotego w banku, to to pokrycie będzie coraz mniejsze, więc wartość banknotów będzie spa-

dać. W miarę spadania będzie ich potrzeba coraz więcej, a to ich wartość będzie obniżać. Tak wróci znowu ta „beznadziejna gonitwa” jakiej jesteśmy świadkami. Jedna tylko będzie zmiana: będą hipoteki własności nieruchomości obciążone do $\frac{1}{3}$ swej wartości, będzie dług, który niewiadomo kto ma spłacać i będzie naruszona własność wrywatna, będzie zmniejszone bezpieczeństwo własności.

Pomysł autora „Stworzenia waluty” jest jednym z wielu przykładów szukania rozwiązania zagadki walutowej. Ale czy waluta stała złota jest jaką zagadką? Czy jej już życie społeczeństw dawno nie rozwiązało? Ludzie dawno już we wszystkich stosunkach ekonomicznych, we wszystkich transakcjach, posługują się złotem jako jedyną miarą wartości, muszą wszystkie rzeczy oszacować pierwaj na złoto, wedle pewnej jednostki złota, aby znali stosunek wartości tych rzeczy. Ale do tego złota nie potrzeba, bo niema na całym świecie tyle złota, na ile opiewają wszystkie te transakcje. Niema go nawet tyle, ile wynoszą transakcje między bankami w Londynie i Nowym Yorku w ciągu jednego miesiąca. Ludzie sobie to już dawno ułatwili i złota do tego nie potrzebują. Ułatwiają im to banki, które wydają banknoty opiewające na złoto, a banknoty te mają wartość złota. Ale do tego potrzeba, żeby za każdym banknotem stał jakiś towar, jakieś dobro realne, bo ten banknot jest jakby cieniem tego dobra, on sam niema żadnej wartości. Bank więc nie wydaje swoich banknotów byle komu, wydaje on tym, co mają takie dobra, aby im ułatwić ich zamianę i dalszą produkcję dóbr. Te dobra są głównem i najważniejszem pokryciem czyli zabezpieczeniem wartości tych banknotów.

Jest przecież wiele banków, których banknoty cieszą się zupełnem zaufaniem i mają wartość wypisanego na nich złota. Statuty tych banków dają zupełne rozwiązanie zagadki walutowej, więc nie jest to żadna zagadka i niepotrzebnie się u nas niektórzy ludzie na jej rozwiązanie.

Jak tylko w kraju jakim jest zupełne bezpieczeństwo własności i mogą ludzie zawierać umowy na walutę stałą, zaraz znajdują się kapitałiści, którzy założą bank walutowy, który będzie emitował banknoty o wartości złota. Zrobią to ci sami kapitałiści, od których autor „Stworzenia waluty”

chce dostać złota na listy zastawne, aby ufundować bank walutowy. Oni sami ufundują taki bank, a będzie to droga krótsza, więc lepsza, a bank taki nie będzie obciążał cudzych ani naruszał cudzej własności.

Bank taki będzie wydawał swoje banknoty wszystkim tym, co będą mieli dla nich pokrycie, będą mieli coś do sprzedania, będzie im ułatwiał obrót czyli wszystkie transakcje. Banknotów tych będzie tyle, ile będzie wymagać obieg, bo one tylko do tego są potrzebne, aby ułatwiać obieg, nikt w nich nie lokuje swego majątku, bo one majątkiem nie są, służą tylko do zamiany między ludźmi rzeczy, które tworzą ich majątek. Nie mogą też one tworzyć dla nikogo dochodu a biada temu, ktoby w fabrykacji banknotów widział swój dochód.

Rząd państwa, jak każdy producent, będzie mógł nimi także posługiwać się w swoim obrocie dóbr, będzie mógł nimi czynić wszystkie wypłaty, ale te wszystkie banknoty, muszą do niego wrócić w podatkach i opłatach, któremi naród płaci rządowi za jego usługi, aby mogły wrócić do banku. Oczywiście więc tu jest, że rząd będzie ich mógł dostać tylko w granicach swoich dochodów i to dochodów zupełnie pewnych.

Wszelkie nadużycie, wszelkie mnożenie banknotów ponad tę miarę, musi spowodzić katastrofę, jakiej jesteśmy świadkami i ofiarami. W szczególności fabrykacja banknotów nie może zastąpić nikomu rzeczywistych dochodów.

Przed więcej jak dwoma laty, zaraz po inwazji bolszewickiej, kiedy choroba walutowa nie przybrała jeszcze takich rozmiarów, podnosiły się głosy, które wołały, aby zaniechać tej zabawki pokrywania wydatków fabrykacją banknotów. Regulacja waluty była już wtenczas najpilniejszą potrzebą społeczną, bo bez stałej waluty społeczeństwo zamieniało się w dom gry, w którym wszyscy ryzykowali, bo nikt nie wiedział, co jutro mieć będzie. Jeżeli byli tacy, którzy wygrywali, to tylko kosztem ogółu, który przegrywał. W takim domu gry niema miejsca dla pracy i oszczędności.

Głos ten przebrzmiał bez echa, nikt nie silił się nań odpowiedzieć. Kazano czekać i marzono o kredycie, zupełnie tak samo, jak to czynią wszyscy ludzie lekkomyślni, którzy

tracą majątek ojcowski. Ustalił się system znany pod nazwą „jakoś to będzie” bardzo wygodny, bo nie potrzeba było myśleć o dochodach, a można było robić wydatki. Wszelkie myślenie było niepotrzebne, bo dochodów dostarczała maszyna drukująca banknoty. Pocieszano ludzi dając im coraz więcej banknotów, choć wartość wszystkich razem była zawsze ta sama, więc im więcej ich było, tem każdy miał w tym samym stosunku mniejszą wartość. Była to beznadziejna pogoń za własnym cieniem.

Ale cień się wydłuża, wartość wszystkich banknotów staje się coraz mniejsza. Kiedy ich było na 200 miliardów marek miały wartość wszystkie około 50 milionów dolarów, kiedy dziś jest ich 600 czy 700 miliardów marek, wartość ich nie przewyższa 35 milionów dolarów, czyli około 150 milionów franków złotych. A jak ich będzie więcej, będą miały jeszcze mniejszą wartość. Do wszystkich udręczeń tego systemu przybywa jeszcze jedno. Pieniądzy obiegowych jest za mało, mniej niż obieg wymaga, bo potrzeby obiegu wyrażają się w walucie stałej. Wszak przedmiotem obiegu są rzeczy o wartości realnej stałej.

Nie pomogły tu ustawy drakońskie, jak ta, która ustanawiała relację przy płaceniu dawnych zobowiązań stałych, walutą niestającą, lub ta która wzbraniała ludziom zawierać umowy na walutę stałą zagraniczną. Obie czyniły z nieprawości prawo, wypowiadały walkę życiu, zabiły kredyt a z nim podkopały produkcję.

Ale zdaje się, że dochodzimy do kresu złego i zaczyna się odwrót. W sierpniu ubiegłego roku minister Jastrzębski zapowiedział, że kapitałom obcym będzie wolno zawierać umowy na walutę zagraniczną, aby mogły brać udział w produkcji krajowej. We dwa miesiące później przyszła kolej i na kapitały krajowe, którym pozwolono otwierać rachunki w banku na walutę stałą. Wreszcie skarb państwa ogłosił pożyczkę złotą, chce zawrzeć umowę pożyczkową na walutę złotą. Zdaje się, że wobec tego zakazy zawierania umów na walutę stałą zagraniczną przestały obowiązywać.

Doświadczenie przekonało, że tak dalej być nie może, że normalne życie narodu bez waluty stałej obejść się nie

może. Co do tego zdaje się panować zupełna zgoda, tylko co do sposobu usunięcia złego, są jeszcze niejasności. Bałamuci tu ciągle opinja, jakoby do zaprowadzenia pieniędzy obiegowych o walucie stałej, potrzeba było stosu złota. Czyżby zła waluta miała być przekleństwem narodu ubożego, który nie ma takiego stosu? Czyżby człowiek ubogi nie mógł ani swej pracy, ani swego mienia oceniać w walucie stałej, lecz był zmuszony jedno i drugie oddawać za pieniądze, których nie może odłożyć, bo mu w rękach znikną? Tak z pewnością nie jest. Widzieliśmy przecież, że zły waluty nie sprowadził brak złota w banku, ale ta beztroskliwość, która kochała się w wydatkach, a nie chciała myśleć o dochodach. Wprowadzeniu stałej waluty czyli pieniędzy papierowych o stałej wartości nic nie stoi na przeszkodzie i podjąć się tego mogą istniejące banki, jeden lub kilka złączonych. Lepiej żeby to był bank prywatny, bo rząd będzie mógł mieć nad nim nadzór. Taki nadzór więcej budzi zaufania niż nadzór nad sobą samym. Banknoty tego banku będą regulowały cały obrót pieniężny w kraju, bo będą miały pewną wartość złota, będą miały pokrycie najpierw w majątku tych, co je dostaną, t. j. w ich interesach realnych i towarach ocenionych na złoto, a potem w majątku banku. Naturalnie poprzedzić musi ustawa, która pozwoli ludziom zawierać umowy na walutę stałą złotą. Od dnia takiej ustawy ludzie innych umów na inną walutę zawierać nie będą, bo inne umowy to są gry losowe.

Od dnia kiedy się to stanie, całe życie narodu wejdzie na normalne tory.

Troszczą się niektórzy, co stanie się z temi banknotami w obiegu o spadającej wartości. Tu stwierdzić należy, że żadne banknoty nawet najlepsze nie są częścią majątku narodu, nikt w nich swego majątku nie lokuje, służą one tylko do tranzakcji, do przenoszenia właściwych dóbr od jednego właściciela do drugiego. Gdybyśmy jednak nawet przyjęli, że te marki polskie, które są w obiegu przedstawiają dla posiadaczy pewną wartość, to jakaż to jest ta wartość? Przy 600 miliardach obliczyliśmy tę wartość na 35 milionów dolarów, jak ich będzie więcej, będą miały mniejszą wartość, na głowę mieszkańca wypadnie niewiele więcej jak 1 dolar

wartości realnej. Taką stratę może każdy przeboleć, a sądzimy, że uczyni to nawet chętnie i rzuci te wszystkie papiery do ognia, jeżeli będzie wiedział, że od jutra za swoje dobra i za swoje usługi dostanie pieniądze, których wartość nie będzie z dnia na dzień spadać. O to tu głównie chodzi.

Ale jest inna troska daleko ważniejsza, troska realna. Jak w walucie stałej złotej mają być umarzane zobowiązania zaciągnięte w walucie niestałej spadającej? Wiemy, że właściciele listów zastawnych chcieliby, żeby im je wypłacano w walucie złotej przedwojennej. Ale czy wszyscy kupowali je po takiej cenie? czy niema między nimi takich, którzy płacili za list storublowy po 216 marek? A czy dłużnicy, właściciele hipotek są wszyscy ci sami, którzy dług zaciągali? Ten problem, jeżeli ma być rozwiązany sprawiedliwie, to musi go poprzedzić wprowadzenie waluty stałej. Ona dopiero rozświeci wszystko, pokaże jakie są straty, co jest do uratowania i co się da uratować. Ona otworzy drogę lepszej przyszłości, od której wszystko zależy.

Komu jednak najwięcej zależy na walucie stałej, to rządowi państwa. Wszakże on obejmuje całość interesów narodu, jakże te interesa mierzyć i kombinować bez stałej waluty? Jest to wprost niemożliwe.

Jest jedna dziedzina działalności rządu, której mu nikt nie może zaprzeczyć, bo bez niej nie można sobie państwa wyobrazić, ona właściwie tworzy państwo: jest to bezpieczeństwo na wewnątrz i na zewnątrz. Ale poza tą działalnością wszelkie inne trzeba oceniać wedle kosztów i pożytków, a do tego potrzeba waluty stałej.

Od czasu, jak Napoleon III począł rozciągać szczególną opiekę nad robotnikami i troszczył się nawet o dostarczenie im roboty, upowszechniło się mniemanie, jakoby rząd państwa mógł być jakimś bóstwem opiekuńcem, które może rozstrząsać opiekę nad jednostkami ludzkimi, uzupełniać ich własne myślenie i przezorność. O tem, żeby to bóstwo coś kosztowało, nikt zdaje się nie wiedzieć, bo nikt o tem nie mówi i nie bierze tego w rachubę. W rzeczywistości wszelka działalność rządu — poza bezpieczeństwem publicznem — jest ingerencją w życie produkcyjne narodu i o tyle tylko może być pożyteczne, o ile jego produkcję zwiększa. Bo

życie narodu to jego produkcja, a postęp jest wtenczas, kiedy ona przewyższa konsumpcję. W przeciwnym razie jest tylko upadek i cofanie się. To bóstwo opiekuńcze, które ma w tej pracy produkcyjnej pomagać, to przecież tylko urzędnicy, a na nich musi naród pracować, aby ich utrzymać. Działalność ich o tyle tylko może być pożyteczna, o ile więcej przynosi, niż kosztuje.

Ktoś niedawno wyraził przypuszczenie, że administracja Polski brała wzory z administracji dawnej Austrii, która była bardzo biurokratyczna. W rzeczywistości jest w Polsce dwa razy więcej urzędników administracji, aniżeli było w dawnej monarchji habsburskiej, a wszyscy nie próżnują, bo wydają trzy razy więcej ustaw i rozporządzeń, więc też mają więcej do pilnowania. Rzeczywistość jest ta, że organizatorowie państwa polskiego chcieli stworzyć państwo doskonałe, któreby było wzorem dla wszystkich innych, rozciągnęli więc opiekę państwa na takie stosunki, które nigdzie dotychczas nie były przedmiotem troski ani uwagi rządu, a do tego potrzeba było wielu opiekunów. O jednym tylko ci organizatorowie zapomnieli: nie myśleli, ile to wszystko będzie kosztować i kto to będzie opłacał? Urzędnicy sami nic nie produkują, musi ich opłacać ludność produkująca.

Ale może rząd państwa zajmuje się także produkcją, ma jakie przedsiębiorstwa produkcyjne? Tak jest, ma takich przedsiębiorstw wiele i wielkie, ale wszystkie przynoszą deficyt, żadne nie może samo siebie utrzymać, musi mu pomagać ludność produkująca, która sama jedna musi produkować bez deficytu. Ten fakt jest wymowną odpowiedzią na teorie socjalistyczne, które chcą, żeby rząd państwa zajmował się całą produkcją, zaczawszy od rolnictwa a skończywszy na kopalniach i fabrykach. Nie mówią jednak, kto wtedy będzie pokrywał deficyt. A przecież jest to oczywiste, że jeżeli wszystkie źródła produkcji będą upaństwowione, to wszędzie będzie deficyt. Kto go wtedy będzie pokrywał? Naturalnie, że pokryje go ogół czyli całe społeczeństwo, ale w inny sposób. Nie będzie już ono mogło pokrywać deficytu z tych źródeł produkcji, które pracują bez deficytu, bo takich nie będzie; nie będzie nadwyżki produkcji jednej, któraby pokryła braki drugiej. Wszędzie będzie deficyt, a taki defi-

cyt to może tylko pokryć konsumpcja. Wszystkiego będzie mniej, więc wszyscy będą mieć mniej. Ale kto wtedy będzie mógł powiedzieć i cieszyć się, że ma więcej, że był jego się poprawił, że jest bogatszy?

Tylko waluta stała może pokazać czy naród będzie w możności udźwignąć ciężar, jaki na niego zwała państwo opiekuńcze najnowszej konstrukcji, czy jego produkcja temu podoła. Zapewne odpadną tu najpierwej urzędy wyrosłe na trzęsawisku waluty niestalej, nieznane w krajach o walucie stałej. Przejdą do historii różne urzędy aprowizacyjne pod różnemi nazwami, urzędy walki z drożyzną itd. Pozostaną one tam pamiątką błędów ludzkiego myślenia: miały powstrzymywać drożyznę a zwiększały ją, bo zwiększały inflację pieniędzy papierowych, jedyną przyczynę drożyzny.

Czy na tych urzędach się skończy? czy inne nie padną także pod toporem konieczności? Zapewne padną i inne ofiarą zdrowej gospodarki, a przede wszystkim te, które wprowadzają zamęt w stosunkach własności i podkopują przez to produkcję.

Z państw Środkowej Europy, powstałych po wojnie, najbardziej zabrnęła w bagno walutowe republika austriacka, ale już się z niego podnosi, dzięki kurateli obcej, której dobrowolnie się poddała. Ubyło urzędów, a zaraz znaleźli się kapitałiści, którzy złożyli 30 milionów złotych koron na założenie banku walutowego. W chwili, kiedy to pismo wyjdzie z druku, zapewne już będzie tam w obiegu waluta stała złota, na którą ludzie będą zawierać wszelkie umowy. Czyżby w Polsce nie dało się to samo zrobić i to bez kurateli obcej? Bez kurateli to się nie da zrobić, ale czyż kuratela ma być koniecznie obca? Czyż rząd własny nie powinien być najlepszą kuratelą? To pytanie dotyka najdrażliwszej kwestji, bo głównego zadania i powołania rządu, jako stróża porządku społecznego, dotyka jego rdzenia i istoty. Czy jest tam rząd, gdzie jest dla wszystkich niepewność jutra?

Anarchja walutowa stanie w historii obok anarchji *liberum veto*, a jest od niej zdaje się gorsza, bo przenika we wszystkie stosunki społeczne wszystkich klas i wszystkie deprawuje. Słusznie ktoś niedawno powiedział, że psuje cha-

rakter ludzi. Czas wyjść z tej anarchji. Jeden jest tylko sposób wyjścia i jedna droga, jak jedna jest tylko stała waluta; dwóch być nie może. Są jednak ludzie, którzy wierzą w cudowne lekarstwa; ci cudotwórcy łudzą siebie i innych. Czas jednak wyjść z tych złudzeń, zadługo one trwają, czas im położyć koniec. Zaprowadzenie stałej waluty w stosunkach ekonomicznych jest najpilniejszą potrzebą społeczną, potrzeb która idzie przed wszystkiem innemi, a wszystkie inne powinny jej ustąpić pierwszeństwa.

Ludzie, którym Opatrzność oddała władzę, a z nią powierzyła im losy narodu, powinnyby pamiętać, że staną kiedyś przed trybunałem historii, a ten trybunał przekaże ich pamięć potomności.

Dr. LUDOMIR LEWANDOWSKI.

Nasza przyszłość.



Nie było chyba podczas wojny światowej bardziej nie-szczęśliwych i godnych politowania istot nad dzieci. Nie-winne, nie przyczyniły się niczem do rozpętania straszliwej pożogi, a ucierpiały najwięcej, pozbawione nie tylko rozrywek i przyjemności, tak potrzebnych w ich wieku do normalnego rozwoju, ale nawet tego, co najkonieczniejsze, odzieży i po-karmu, który dałby im możliwość wzrostu i nabrania sił. Ka-pitalistyczna czy imperjalistyczna zachłanność nie znała lito-ści — współczucie budzić się musiało naprzód u tych, którzy sami byli dotknięci plagą i niedostatkami.

Liga Narodów zajęła się wprawdzie sprawą ratowania dzieci, na posiedzeniu dnia 15-go grudnia 1920 r. uchwalono rezolucję, wzywającą Radę do zbadania „w możliwie naj-krótszym czasie“, w jaki sposób Liga mogłaby pośpieszyć dzieciom z pomocą. Lecz w tym okresie cała akcja ratowni-cza była już zorganizowana, tak że Liga Narod. ograniczyła się tylko do przyjęcia dnia 23 lutego 1921 r. rezolucji, po-danej przez Balfour'a:

„Rada Ligi Narodów, widząc podziwu godne dzieła, dokonane obecnie przez różne organizacje, międzynarodowe i narodowe, na rzecz dzieci wszystkich krajów, dotkniętych klęską wojny, pragnie wyrazić swe wysokie uznanie z po-wodu wyników osiągniętych dotychczas i nadzieję, że owe organizacje narodowe i międzynarodowe będą w dalszym ciągu nieznużenie prowadziły pracę, podjętą dla dobra tych dzieci“ ¹⁾.

¹⁾ League of Nations, Official Journal, III—IV 1921, str. 133.

W Polsce dzieło to było rzeczywiście triumfem ofiarności i czynu.

Brak żywności, tak dotkliwy zwłaszcza w państwach centralnych i idące za nim ograniczenia, które oczywiście odbić się musiały przedewszystkiem na ludności polskiej, sprowadziły też rychło oczekiwane skutki. Przypominamy sobie dobrze owe wynędzniałe postacie dzieci, widzieliśmy po szpitalach te ofiary chorób głodowych, a w ślad za nimi nie szła, ale biegła śmierć, zbierając ponure żniwo na naszej ziemi, zwłaszcza po większych miastach i ośrodkach przemysłowych. Dość wspomnieć, że w Warszawie za czasów okupacji niemieckiej ilość cięższych wypadków krzywicy wzrosła przeszło siedmiokrotnie, a co trzecie dziecko chorowało na gruźlicę; o wzroście zaś śmiertelności wśród młodzieży świadczy najlepiej załączona tablica, zestawiająca cyfry zgonów z okresu przedwojennego ze stanem w r. 1917. Na 10.000 mieszkańców Warszawy umierało dzieci w wieku:

W roku	3 lat	4 lat	5 lat	5—10 lat	10—15 lat
1909—1913 (rocznie przeciętnie)	7·9	4·4	3·2	6·7	3·3
1917	20·0	13·1	9·6	24·1	13·1

Zostawić to zjawisko swemu losowi, znaczyło prowadzić kraj do zguby — a na to nie pozwoliła Polakom miłość narodu i dzieci własnych, na to nie pozwoliło zagranicy uczucie prostej ludzkości. I rozpoczęła się akcja ratownicza.

Słabe były jej początki, bo zdana była głównie na siły miejscowe, a brak szerszej organizacji nie pozwolił na skuteczniejsze jej rozwinięcie; pierwsze instytucje pomocnicze nie były też naogół w stanie podołać wzmagającej się drożyznie i trudnościom aprowizacyjnym. Świetna działalność Książęco-Biskupiego Komitetu w Krakowie, działającego w porozumieniu i przy pomocy funduszków Generalnego Komitetu Szwajcarskiego dla ofiar wojny w Polsce, oraz analogicznych Komitetów, duńskiego i amerykańskiego, była jednym z pierwszych etapów zorganizowanej pracy na tem polu, która roz-

ciągając się na wszystkie ofiary wojny, uwzględniała także młodzię; już do r. 1917 włącznie blisko 3.000 dzieci doznało jego pomocy w rozmaitej formie ¹⁾. Dla pozostałych zaborów podobnemi organizacjami była Poznańska Rada Narodowa i Główny Komitet Ratunkowy w Lublinie.

Wydatniejsza działalność rozpoczęła się jednak po zmartwychwstaniu naszej ojczyzny. Dopiero w jakiś czas po zjednoczeniu dzielnic i zaprzestaniu kroków nieprzyjacielskich mógł Rząd polski ogarnąć wzrokiem całość i po załatwieniu, prowizorycznem przynajmniej, najbardziej piekących potrzeb, przystąpić do nie mniej ważnej sprawy ratowania dzieci. Nie wiadomo wszakże, ile przy trudnem swem położeniu zdołałby wtedy zdziałać — gdyby z pomocą nie pośpieszyła Ameryka. Dzięki inicjatywie znanego dziś powszechnie p. Hoover'a, podówczas ministra aprowizacji Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., zawiązał się tamże, w marcu 1919 r., osobny oddział Amerykańskiego Wydziału Ratunkowego dla Polski i innych krajów wschodniej Europy. Ofertę jego delegata, by dostarczyć Polsce żywności dla dokarmiania dzieci za dzieśięć milionów Mkp., przyjęto skwapliwie, a Ministerstwo Zdrowia i Apropizacji wyasygnowały bezpośrednio w kwietniu żadaną sumę.

Chodziło teraz o umiejętne zorganizowanie akcji pomocniczej, polsko-amerykańskiej, w całym kraju. W tym celu Ministerstwo Zdrowia powołało do życia, dnia 6-go kwietnia 1919 r., Centralny Komitet Pomocy Dzieciom (C. K. P. D.), pozostający pod jego kontrolą; głównem zadaniem tegoż miał być rozdział żywności, odzieży, lekarstw i innych przedmiotów, pochodzących z darów amerykańskich i subwencji państwowej. W drugiej połowie 1919 r., po rozciągnięciu akcji Komitetu na całą Rzeczpospolitą, zmieniono nazwę „Centralny” na „Państwowy” (P. K. P. D.), a dyrektorem jego został od dn. 1 maja 1920 r. delegat Misji amerykańskiej, porucznik Maurycy Pate. Nie było to jednak ostatnie stadium rozwoju, skoro bowiem zdano sobie sprawę, że akcja pomocy dzieciom będzie konieczną jeszcze przez dłuższy czas, postanowiono założyć stałą organizację do tego celu i dnia 16-go

¹⁾ Por. Przegl. Powsz. 1918, wrzesień — październik, str. 657.

lipca 1920 r. walne zebranie P. A. K. P. D. uchwaliło stworzyć instytucję pod nazwą „Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom“ (P. A. K. P. D.), który też przetrwał do ostatnich czasów ¹⁾.

Fundacja ²⁾ ta, mająca główną siedzibę w Warszawie, jest instytucją społeczno-humanitarną, a za cel wzięła sobie: „niesienie jak najszerszej pomocy na całym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej karmiącym matkom, matkom będącym w stanie odmiennym i dzieciom, potrzebującym opieki publicznej, bez różnicy płci, wyznania, narodowości i przynależności państwowej, przez:

a) rozdawnictwo wszelkiego rodzaju artykułów pierwszej potrzeby, jak: żywności, odzieży, środków medycznych i t. p. i ewentualnie:

b) przez tworzenie, subsydjowanie i utrzymywanie instytucyj, mających za zadanie podniesienie fizycznego i moralnego rozwoju dzieci;

c) przez stwarzanie, subsydjowanie i utrzymywanie instytucyj, mających za zadanie fachowe wykwalifikowanie osób, pragnących poświęcić się działalności w instytucjach wyżej (punkt b) wskazanych“. (Art. 2 Statutu P. A. K. P. D.).

* * *

Olbrzymie trudności przezwyciężyć musiał Komitet, zanim zdołał rozwinąć systematyczną pracę. Brakowało do niej wszystkiego, a zwłaszcza wykazów osób i rozmiarów żądanej

¹⁾ Szczegóły te i następne czerpiemy ze „Statutu Fundacji P. A. K. P. D.“ (Warszawa, 15 sierpnia 1920 r.), a przedewszystkiem ze sprawozdania z działalności tej instytucji, zestawionego przez kierownika jej Wydziału Statystycznego, p. St. Kruszeńskiego, w *Miesięczniku Statystycznym*, r. 1922, zeszyt 7, str. 173—199. Obszerniejsze wiadomości o dzisiejszym stanie i działalności tej organizacji zawdzięczamy uprzejmości Biura Wydziału Stat. P. A. K. P. D.

²⁾ Obecnie fundusz jej wyraża się między innymi w dzierżawie trzech majątków i posiadaniu jednego majątku ziemskiego, oraz jednego domu w Warszawie.

pomocy. Potrzeba jednak nagiła, więc narazie zabrano się z pośpiechem gorączkowym niemal, do zapobieżenia najbardziej krzyczącej nędzy, tworząc biura w miejscowościach, szczególnie dotkniętych klęską, a równocześnie u góry zawrzała intensywna praca nad zorganizowaniem aparatu, któryby mógł sprawnie i szybko funkcjonować na całym obszarze państwa.

Dla ułatwienia administracji podzielono kraj na rejony, te zaś na komitety powiatowe. W maju 1920 r., miesiącu największego natężenia akcji P. A. K. P. D., liczono 15 biur rejonowych i 208 powiatowych, a ogólna liczba instytucji i kuchni, rozdających żywność i odzież, wynosiła 7.650. Nie wolno było w nich rozdawać dzieciom ani rodzicom surowych produktów żywności; do otrzymywania żywności upoważniało świadectwo zarządu lub miejscowego lekarza. W skład komitetów powiatowych wchodził, obok płatnych kierowników biur, honorowi członkowie z pośród miejscowych działaczy społecznych; każda kuchnia miała też poza personelem płatnym swego opiekuna. Kontrolę przeprowadzano przez osobnych kontrolerów powiatowych, którzy objeżdżali w tym celu instytucje danego terytorjum, oraz za pomocą miesięcznych sprawozdań, które ze swej działalności musiała przysyłać każda kuchnia.

Bez dokładnego zestawienia ilości dzieci, potrzebujących pomocy i miejsc ich pobytu, nie mogło być mowy o należytem prowadzeniu akcji, a tymczasem obliczeń takich nie było; organa samorządowe nie mogły ich udzielić w dostatecznej mierze, a państwowy Urząd Statystyczny był dopiero w zawiązku. P. A. K. P. D. postanowiło więc przeprowadzić przy pomocy własnych biur odnośny spis na terenie byłego zaboru austriackiego i rosyjskiego. Wyniki tych starannie dokonanych badań pozwalają nam ogarnąć liczbę sierot i półsierot (tylko ojciec albo matka została) do lat 18-tu, które na wspomnianem terytorjum utraciły rodziców skutkiem działań wojennych:

Województwo	sieroty	pólsieroty	razem
1. warszawskie	2.212	6.580	8.792
2. łódzkie	791	3.353	4.144
3. lubelskie	1.333	5.226	6.559
4. kieleckie	459	2.486	2.945
5. białostockie	632	3.206	3.838
6. nowogrodzkie	1.776	7.643	9.419
7. poleskie	1.776	8.117	9.893
8. wołyńskie	3.204	14.326	17.530
9. krakowskie	3.402	22.819	26.221
10. łwowskie	4.966	24.684	29.650
11. stanisławowskie . . .	4.159	16.478	20.637
12. tarnopolskie	3.513	14.084	17.597
13. Ziemia Wileńska . .	745	2.670	3.415
Ogółem	28.968	131.672	160.640 ¹⁾

W tej liczbie ogólnej było:

16.128 dzieci w wieku od 0— 6 lat.
 113.980 " " " " 6—14 "
 30.532 " " " " 14—18 "

Pod względem wyznaniowym 75.779 dzieci było religii rzymsko-kat., 33.104 prawosławnej, 15.982 mojżeszowej, 34.989 innej. Chłopców było 78.899, dziewcząt 81.707. Największa część, jak widać z powyższej tablicy, pochodziła z b. zaboru austriackiego i z kresów wschodnich; z zaboru pruskiego biuro P. A. K. P. D. nie miało jeszcze danych.

Niedość jednak było poznać ilość potrzebujących pomocy, należało również ocenić stopień tej potrzeby. Kosztowało to sporo pracy; w liczniejszych środowiskach posłużono się tu metodą dra Pirquet'a, prof. uniw. wiedeńskiego, która określa stan odżywienia dziecka zapomocą wzoru „Pelidisi“, zestawiającego wagę dziecka z wysokością jego tułowia. Badania te, przeprowadzone w większych centrach od lipca

¹⁾ Ogólna liczba sierot i pólsierot w b. zaborach, austriackim i rosyjskim, z uwzględnieniem powiatów, które nie nadesłały wykazów, wynosiła około 180.000.

do września 1921 r. na 50.124 dzieciach wykazały, że największy procent niedostatecznie ($64\frac{1}{2}\%$) i źle ($11\frac{4}{5}\%$) odżywianych znajdował się pomiędzy dziećmi uchodźców, powracających z Rosji; drugie miejsce zajmowała Łódź ($54\frac{6}{10}\%$ nied. odżyw., $6\frac{9}{10}\%$ źle odż.), prawie tyle Lwów ($55\frac{8}{10}\%$ n. odżyw., $5\frac{5}{10}\%$ ź. odż.), czwarte miejsce zajmowała Częstochowa (49% n. odż., $2\frac{9}{10}\%$ ź. odż.), piąte Warszawa ($46\frac{9}{10}\%$ n. odż., $3\frac{9}{10}\%$ źle odżyw.).

Najwięcej ucierpiały zatem wielkie miasta i tu należało śpieszyć z pierwszą pomocą. Nadto szczegółowe badania, przeprowadzone w Warszawie, Łodzi, Lublinie, Krakowie i Lwowie, wykazały, że żydowska młodzież była naogół lepiej odżywiona niż chrześcijańska¹⁾.

Kwestja kresów wschodnich pociągnęła za sobą inne jeszcze uciążliwe obliczenia. Olbrzymie te obszary leżały w wielkiej części odłogiem, należało więc zbadać ich stan gospodarczy, by zdać sobie sprawę z ich samowystarczalności aprowizacyjnej. Zestawień takich dokonano w sześciu województwach kresowych, a niedobór własnej ich produkcji ziemiopłodów, wyrażony w ciepłostkach, był wskaźnikiem, w jakich rozmiarach potrzebną jest pomoc. Dla dzieci powracających tamtędy repatryantów z Rosji zorganizowano nadto osobne kuchnie etapowe, umieszczone częściowo w wagonach, przyczepianych do pociągów reewakuacyjnych. W r. 1921, od kwietnia do grudnia, wydano na tych punktach etapowych 632.684 porcyj posiłku, a od stycznia do maja wł. 1922 r. wydzielono ich 269.158.

Jak przedstawiała się sama akcja P. A. K. P. D.?

Stosownie do programu miała ona objąć dwie główne kategorie dzieci: sieroty pozbawione wszelkiej opieki, oraz inne, mające dach nad głową i utrzymanie, ale niedostateczne. Pierwsze trzeba było umieścić w odpowiednich zakładach, drugim dostarczyć wskazanej ilości posiłku dziennego. Względy praktyczne nakazywały oczywiście korzystać z istnie-

¹⁾ Akcja P. A. K. P. D. sama przez się zmieniała się też stopniowo na korzyść chrześcijan. Podczas gdy w lipcu 1921 roku na ogólną liczbę dzieci wspieranych korzystało z dożywiania $30\frac{9}{10}\%$ żydów, to w styczniu 1922 r. liczba ich spadła do $22\frac{1}{10}\%$. (Statystyka Pracy, 1922 r. marzec, str. 122).

jących już instytucyj, to też podczas gdy dla młodzieży drugiej kategorii użyto szkół, ochron lub domów, które podjęły się przygotowania i rozdzielania posiłku, to sieroty starano się ile możliwości umieścić w zakładach już czynnych, a tylko w konieczności otwierać nowe. Według spisu, dokonanego w maju 1921 r., działalność Komitetu obejmowała 6.975 instytucyj, a w nich 1,185.060 dzieci. Sam P. A. K. P. D. prowadził 4.405 kuchni, z których korzystało 846.680 dzieci i 89 pijalni mleka dla 24.795 dzieci; nadto zasiliał 1.082 instytucyj wychowawczych (ochronki, żłóbki, schroniska, z których korzystało 100.030 dzieci), 1.306 instytucyj szkolnych (209.584 dzieci) i 93 szpitale (uzdrowiska, lecznice itp.) dla 3.971 dzieci. Ilość porcyj posiłku, rozdanego wogółem przez P. A. K. P. D. w ciągu całego okresu działalności aż do 1 czerwca 1922 r., wyniosła 706,626.000. Największa liczba dzieci dokarmianych zachodziła w maju 1920 r. i obejmowała 1,315.490 dzieci.

Pomocy udzielano potrzebującym bez różnicy wyznania, narodowości i pochodzenia. Dzieci dochodzące otrzymywały raz dziennie ciepły posiłek do spożycia na miejscu, w skład którego wchodziła ściśle określona ilość pierwiastków odżywczych, wynosząca mniej więcej trzecią część wartości niezbędnego posiłku dziennego dla przeciętnego normalnego dziecka. Granicę wieku dzieci dożywianych przesuwano stopniowo z 14 do 15 i 17 lat. Niemowlęta, od stycznia zaś 1920 r. także dzieci do lat trzech, otrzymywały porcję mleka, przeciętnie 90-150 gr. wagi.

Początkowo posiłek ten rozdawano bezpłatnie, lecz wobec braku funduszy i niedostatecznego poparcia ze strony samorządów, poczęto pobierać zapłatę bezpośrednio od dzieci. Od stycznia 1920 r. wynosiła ona 15 fen. za porcję, poczem rosła stopniowo i w grudniu 1921 r. doszła do 8 Mpk. Biednym rozdzielano porcje darmowe, opłacane przez P. A. K. P. D. lub miejscowe społeczeństwo. Oprócz tego rozdawano bezpłatnie albo bardzo tanio: sól, mydło, chleb, bułki, konserwy, lekarstwa, pościel i odzież.

Pochłaniało to oczywiście olbrzymie sumy. W dużej części pochodziły one z darów amerykańskich i od Rządu polskiego. Obok wspomnianych już na początku 10-u miljonów, przeznaczonych przez Ministerstwo Zdrowia i Apropo-

wizacji, uchwalił sejm w miesiąc potem, 22 maja, nadzwyczajny kredyt 20,300.000 Mpk. na ratowanie dzieci. Razem, od kwietnia 1919 r. do pierwszego czerwca 1922 r. wysygnował Rząd polski na ten cel 10,164.823 dolarów, do czego dodać jeszcze należy bezpłatne przewożenie wszelkich artykułów kolejami w Polsce do składnic P. A. K. P. D. a w części także ich magazynowanie. Z tem wszystkiem Rząd polski pokrył tylko 26·8% ogólnej sumy, włożonej w akcję opieki nad dziećmi; pozostałe 73·2% pochodzi z darów amerykańskich. Wspaniałomyślna ta ofiarność, przez którą inicjatorzy jej i obywatele Stanów Zjednoczonych zdobyli sobie rzeczywiście nieśmiertelną wdzięczność, przedstawia się w cyfrach wprost imponujących rozmiarami. Dość wymienić 1.994 ton metr. kakao, 7.420 t. m. ryżu, 3.551 t. m. tłuszczów, 20.814 t. m. mleka kondensowanego, 754 t. m. mydła itd. Wyłącznie pomocy amerykańskiej zawdzięczaliśmy też olbrzymi materiał odzieżowy, wartości pięciu milionów dolarów, który zawierał: 955.386 płaszczy, 70.094 czapek, 77.037 sukienek, 77.751 ubranek, 34.538 combinaison, 1.037.356 obuwia, 1.044.519 par pończoch. Łączna wartość wszystkich darów amerykańskich wynosiła 27,615.767 dolarów.

Z dniem pierwszym czerwca 1922 r. pomoc Stanów Zjednoczonych została zlikwidowana. Jeżeli pomimo tego Komitet Pomocy Dzieciom zatrzymał nadal nazwę „Polsko-Amerykańskiego“, stało się to na mocy pierwszego artykułu Statutu, który Fundację pod tą nazwą powołuje „na wieczne czasy“, spłacając tym sposobem dług wdzięczności, zaciągnięty za oceanem. Zresztą udział Ameryki w dalszej akcji jest znaczny, dzięki przekazaniu do P. A. K. P. D. pozostałych przy likwidacji produktów, wartości 2¼ miljarda Mpk. w dniu 1 sierpnia 1922 r., wraz z aparatem rozdzielczym, oraz medykamentów i urządzeń lekarskich, łącznie z sumą 275.000 dolarów na działalność w zakresie opieki nad dzieckiem.

Właściwy ciężar prowadzenia tej akcji spadł na barki społeczeństwa polskiego, a na podstawie uchwały Komitetu Ekonomicznego Ministrów, budżet P. A. K. P. D. miał od października 1922 r. oprzeć się na następujących zasadach: od

potrzebnych na akcję żywnościową sum, obliczonych w surowych produktach, powinien być odliczony pewien procent w stosunku do kosztu produktów z powodu spodziewanych wpływów wpłat od ludności, pobieranych przez P. A. K. P. D. (w zasadzie $\frac{1}{6}$ wartości produktu surowego) oraz od samorządów (w zasadzie $\frac{1}{3}$ kosztu produktów, oraz koszt przygotowania posiłku). Przewidziana początkowo rozleglejsza pomoc Rządu została wobec trudnego położenia skarbu zredukowana narazie do dożywiania 60.000 dzieci w instytucjach zamkniętych przez cały rok 1923, oraz 40.000 dzieci w kuchniach otwartych (łącznie z dożywianiem w szkołach i przychodnich ochronach) do września 1923 r. Poza wspomaganą w tej formie liczbą dzieci P. A. K. P. D. dożywia nadto niemowlęta posiłkiem z mleka kondensowanego, wydaje śniadania z kakao dzieciom w szkołach i zaopatruje po tańszej cenie instytucje zamknięte w „paczki” z żywnością, nie wchodzącą w skład normalnej porcji posiłku, z pozostałości amerykańskich.

Rozwinięto też obecnie żywszą działalność sanitarno-lekarską w całym kraju, a realną jej formą jest szereg Stacji dla niemowląt, gdzie otrzymują one mleko i pomoc lekarską, matki zaś rodzące i karmiące pomoc i poradę; równolegle fachowe pielęgniarki odwiedzają w mieszkaniu i pouczają rodziny dzieci, znajdujących się pod opieką Stacji. Wydział Higijeniczno-Lekarski prowadzi również propagandę w zakresie swej kompetencji w formie odczytów i pokazów, z którymi objeżdżano miasta i miasteczka przedtem specjalnym parostatkiem a obecnie koleją.

Nakładem tegoż Wydziału zaczęto wreszcie wydawać specjalne pismo, poświęcone sprawie dzieci, *Opieka nad dzieckiem*¹⁾. Pierwszy jego numer ukazał się w styczniu b. r. w Warszawie i zawiera kilka pożytecznych rozpraw z dziedziny znaczenia młodzieży dla narodu, opieki nad nią i higijeny, przegląd czasopism, oraz bogatą kronikę krajową i zagraniczną, która zaznajamia z ruchem na tem polu i jego

¹⁾ *Opieka nad dzieckiem*, czasopismo poświęcone ochronie macierzyństwa, opiece nad dziećmi i młodzieżą, pod redakcją dr. Wł. Szenajcha, Br. Krakowskiego i dr. M. Gromskiego. Wychodzi co dwa miesiące. Warszawa, ul. Jasna 11.

najnowszymi postępami. Komitet redakcyjny zdołał skupić współpracowników z całej Polski i jest nadzieja, że przy pomocy osób, rozumiejących doniosłość sprawy, pismo to rozjedzie się szeroko i przyczyni do podniesienia tak ważnej a niedocenianej dotychczas gałęzi opieki społecznej.

*

*

*

Te setki tysięcy dzieci — dziś pozbawionych zupełnie lub częściowo środków do życia, a w niedługiej, przyszłości przecież obywateli naszego państwa, stanowiących liczbą swą poważny odsetek ogółu ludności — prowadzi nas do innego doniosłego problemu.

Słusznie powiada prof. dr. T. Janiszewski¹⁾, że okolicznością, która silnie zaważyła na szali szczęśliwego rozwiązania naszej samodzielności politycznej, była nasza ilość; ci, którzy układali mapę nowego świata, rozumieli dobrze, że 25-o milionowy i uświadomiony naród jest potęgą, która może odegrać wielką rolę w dziejach Europy środkowej.

Od ilości zawisa też nasza przyszłość; kraj pozbawiony naturalnych granic, a otoczony wrogami, musi obok dyplomacji i dla jej skutecznego poparcia, polegać głównie na silnej liczebnie armji. Rozwój gospodarczy w niemałej mierze zależy również od liczby. Wbrew teorii ekonomistów liberalnych wykazało doświadczenie, że przy sprzyjających warunkach bogactwo narodu, jego przemysł i handel wzrastają tem bardziej, im liczniejszą jest ludność. Wystarczy spojrzeć na Anglję, Belgję, Holandję, Niemcy, by skonstatować ten fakt, a paryski profesor prawa i nauk społecznych, Paul Bureau udowadnia to cyframi, by swe społeczeństwo przekonać, iż właśnie wskutek spadku ludności pozostało pod względem ekonomicznym daleko w tyle za Niemcami²⁾. A przecież my stoimy niżej jeszcze od Francji, w której na 1 km² mieści się 74 mieszkańców, podczas gdy u nas, na podstawie ostatniego spisu ludności z d. 30 września 1921 r., przypada ich tylko 68·7. Na tym samym zaś obszarze mieści

¹⁾ „Jakie znaczenie ma nasza ilość i nasza jakość“, art. w czasop. *Wychowanie fizyczne*, 1922 zeszyt 1-5, str. 4-13.

²⁾ „L'indiscipline des moeurs“, Paris 1921, str. 201-233.

Szwajcaria 91, Włochy 121, Niemcy 123, Belgja 243 mieszkańców.

Zapewne, obok ilości ważna jest też jakość, tę jednak ła-
twiej nam będzie poprawić (pod względem fizycznym i inte-
lektualnym) — narazie zostawmy ją więc na boku.

Trudniejsza jednak jest sprawa z ilością — a bilans obecny
brzmi raczej mniej pomyślnie.

Od stosunku ilości urodzeń do ubytku, spowodowanego
śmiertelnością, zależy w głównej mierze stan liczebny ludności
kraju. Im znaczniejsza jest nadwyżka urodzeń nad ilością
śmierci, tem większy jest przyrost mieszkańców; przyczynia
się więc do niego zarówno zwiększenie liczby nowonarodzo-
nych jak zmniejszenie cyfry zgonów. Immigracja i emigracja
działają tu również, ale — w naszym przynajmniej kraju —
drugorzędnie ¹⁾.

Jak przedstawia się dziś kwestja ruchu ludnościowego
u nas?

Według spisu, dokonanego d. 30-go września 1921 r.,
ludność Polski wynosiła wówczas 25,372.447 mieszkańców,
wzrosła jednak potem przez przyłączenie ziemi śląskiej i wi-
leńskiej do prawdopodobnej cyfry 27,160.163 mieszkańców,
rozrzuconych na obszarze 386.273 km². ²⁾ Jakże to niewiele
wobec Niemiec, Rosji, a nawet Francji, liczącej według osta-
tniego spisu ludności, z d. 6-go marca 1921 r., 39,194.550
mieszkańców.

Dodajmy do tego, że na owe 25 milionów ludności
było tylko 17,359.883 (68·4%) Polaków, reszta zaś: 8,012.564
(31·6%) jest obcej narodowości, między nimi około 4
miljony Żydów, mających wśród niższych swych klas wielką
siłę rozrodczą. W samej Małopolsce, w latach 1909-1912,
przypadało przeciętnie rocznie 28.214 urodzeń żydowskich.

¹⁾ Dotychczasowe nasze warunki zdają się zresztą sprzyjać raczej
emigracji. Według Miesięcznika Statystycznego (r. 1922 zes. 10 str. 564 i 569) wyemigrowało z Polski w 1921 r. 107.046, a w pierwszym
półroczu 1922 r. 11.886 osób, podczas gdy ze Stanów Zjednoczonych
powróciło w pierwszej połowie 1922 r. 7.761 osób. Obecnie wprawdzie
immigracja z Rosji jest ogromnie silna i usuwa się z pod ścisłej kontroli.
Jest to jednakże fala przejściowa, która zatrzyma się, częściowo nawet co-
fnie, po uregulowaniu stosunków na Wschodzie.

²⁾ Miesięcznik Statystyczny, 1922, t. V., zeszyt 5,

Coby na naszym miejscu zrobili Francuzi, którzy mimo wyższej liczby ludności nie darują żadnej okazji, by nie wytknąć 1,417.357 „étrangers“ pomiędzy obywatelami swego państwa.

Z tem wszystkiem moglibyśmy spoglądać spokojnie w przyszłość, gdyby dostateczny przyrost ludności polskiej — i to przyrost drogą naturalną, przez rozrodczość — był zapewniony.

Niestety, jakkolwiek horyzont ten jest dotąd dość jasny, zaczynają się na nim zjawiać niepokojące znaki.

Chcąc zdać sobie z tego sprawę, musimy się cofnąć do czasów normalnych, przedwojennych i zaglądnąć do urzędowych statystyk zaboru austriackiego i niemieckiego. W świetle ich widzimy, że zwolna, ale stale wstępujemy na polu urodzeń w ślady Zachodu. Tak np. w byłej Galicji (bez Bukowiny) przypadało na 1.000 mieszkańców ¹⁾:

w latach 1871 — 1880	przec. rocz.	44·91	urodzeń żywych
„ 1881 — 1890	„ „	44·48	„ „
„ 1891 — 1900	„ „	44·46	„ „
„ 1901 — 1910	„ „	41·72	„ „
w roku 1911		38·39	„ „
„ 1912		39·01	„ „
„ 1913		36·06	„ „

A zatem systematyczna prawie zniżka liczby urodzeń, dzięki której absolutna cyfra żywo urodzonych dzieci spadała z 324.168 w r. 1900, na 316.859 w r. 1912, pomimo że równocześnie ogólna ilość ludności wzrosła z 7,315.939 w r. 1900, do 8,121.606 w r. 1912.

Podobne zjawisko zauważamy w Poznańskim. Na 1.000 mieszkańców było tam ²⁾:

w roku	urodzeń żyw. i nieżyw.	urodzeń żywych
1890	42·9	—
1895	44·6	—
1900	43·3	—
1905	40·3	39·2

¹⁾ „Österreichische Statistik“ herausgeg. v. d. k.k. Statistisch. Zentralkommission; zeszyt „Bewegung der Bevölkerung Österreichs“.

²⁾ Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich.

w roku	urodzeń żyw. i nieżyw.	urodzeń żywych
1910	38·4	37·2
1911	36·9	35·8
1912	35·9	34·9
1913	34·4	33·4

Ilość urodzeń zmniejszała się więc podobnie jak w Małopolsce; i kiedy w r. 1900 ogólna liczba urodzeń żywych wynosiła 74.957, to w r. 1913 spadła do 72.058¹⁾, jakkolwiek ludność wzrosła w tym samym czasie z 1,887.275 na okrągło 2,157.000 mieszkańców.

Nie lepiej działo się na obszarze byłej Kongresówki. Na 1.000 ludności przypadało tu w 1889 r. 42·7 urodzeń, w 1904 r. 38·6, a w 1908 r. 36·7 urodzeń.²⁾

Ogólna liczba ludności w Polsce wzrasta wprawdzie ciągle, ale dzieje się to głównie dzięki poprawie warunków higienicznych i zmniejszonej stąd śmiertelności. W Poznaniu liczba zgonów (razem z urodzonymi nieżywymi) spadła z 26·45 w r. 1890 do 17·3 w r. 1913 na 1.000 mieszkańców.³⁾ W byłej Galicji (bez Bukowiny) cyfra ta obniżyła się z 37·18 w latach 1871—1880, do 23·26 w r. 1913 na 1.000 mieszkańców; dzięki temu absolutna ilość zgonów spadła z 206.227 w r. 1880, na 193.342 w r. 1910, pomimo tego że w tym samym okresie ludność Galicji wzrosła z 5,926.172 w r. 1880, do 8,025.675 w r. 1910.⁴⁾

Lecz i śmiertelność ma swe granice, poza które się nie posunie. Kiedy więc dojdziemy do jej kresu, wtedy stan ludności zawiśnie od linii rozrodczości, a ta, jak widzieliśmy, zaczyna się pochylać.

Prawda, że w porównaniu do państw zachodnich spadek ten jest drobny i wobec niektórych krajów stan nasz można nazwać świetnym. Wszak we Francji w r. 1801 było stosunkowo mniej urodzeń, niż u nas w r. 1913, bo na 1.000 mieszkańców tylko 32·9, a liczba ta spadła w r. 1913 do 18·8.

¹⁾ Vierteljahrshefte zur Statistik des Deutschen Reiches, 1914, IV Heft.

²⁾ „Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego“, Warszawa 1915 str. 45. Cyfry te są jednak wątpliwej wartości.

³⁾ Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich.

⁴⁾ Österreichische Statistik, zesz. Bewegung der Bevölkerung.

W latach 1909—1912 przyrost naturalny (nadwyżka urodzeń nad ilością zgonów) na 1.000 mieszkańców wynosił przeciętnie rocznie: w Małopolsce 14·8, w Poznańskim 18·6, na Śląsku Górnym 18·9¹⁾, podczas gdy we Francji wynosił on w r. 1909 tylko 0·3, w r. 1910 — 1·8, w r. 1912 — 1·5, a w r. 1911 liczba zgonów przewyższyła ilość urodzeń o 0·9 na 1.000 mieszkańców.²⁾

Lecz pomyślny ten stan nie usuwa obaw na przyszłość. Zaczęliśmy dopiero się spuszczać, więc idziemy jeszcze wolno, wiadomo jednak, że spadek po równi pochyłej odbywa się ruchem przyspieszonym.

Gdzie zaś szukać przyczyn tego obniżania się poziomu rozrodczości? Naszkicujmy je przynajmniej.

Są one różnego rodzaju. Przedewszystkiem dzisiejsze warunki ekonomiczne należą do bardzo poważnych. Trudność znalezienia mieszkania, wyżywienia i kształcenia dzieci, musiała wśród sfer, dotkniętych niedomażaniami finansowemi, przyczynić się do ograniczania liczby dzieci. Tej okoliczności musimy chyba głównie przypisać fakt, że na każde 100 urodzeń z r. 1913 wypadało w r. 1917 zaledwie 25·3 urodzeń w Konstantynowie, 24·5 w Kaliszu, 23·2 w Zawierciu, 22·6 w Żyrardowie, 17·2 w Łodzi. W Krakowie liczba urodzeń na 1.000 mieszkańców spadła z 28·14 w r. 1913, do 14·35 w r. 1918 (Dr. T. Janiszewski).

Szybka poprawa naszego położenia gospodarczego będzie zatem jednym z pierwszych postulatów polityki ludnościowej kraju.

Lecz to za mało jeszcze.

Jeśli katastrofalne położenie ekonomiczne tłumaczy w przeważającej części stan dzisiejszy, to nie możemy na karb jego złożyć systematycznego obniżania się liczby urodzeń w okresie przedwojennym. Tu Polska szła za wzorem innych państw zachodnich, w których obok przyczyn gospodarczych nie mała, a tu i ówdzie przemożną może rolę odgrywały czynniki natury moralnej.

Że czynniki te nie są obce Polakom, wiedzą chyba wszyscy czytelnicy „Przeglądu”. Pamiętamy zresztą niedawny

¹⁾ Rocznik Statyst. Rzptej Polskiej, 1920/21, Cz. I, str. 288.

²⁾ Annuaire Statistique.

list ks. ks. biskupów polskich o małżeństwie, z d. 20 paźdz. 1921 r., a w nim te znamienne słowa: „Niebezpieczeństwem wielkiem dla małżeństw, zarazą, która toczy ich wewnątrz, jest praktyka ograniczania sztucznie liczby dzieci przez nie-dopuszczanie do zawiązywania się życia, przez gaszenie zawiązującego się życia w jego źródle.... Mimo wszystko dotknąć rany tej musimy, bo wiemy, że zło nie jest u nas już tylko czemś wyjątkowem, ale jak rak zapuściło swoje zatrute korzenie także w zdrowe jeszcze do niedawna warstwy ludowe”. — Więc już tam nawet zaczyna zło dochodzić...

Jest zatem o čzem myśleć.

Byłé zawczasu! Od tego zawisła nasza przyszłość...

Ks. STANISŁAW PODOLEŃSKI.

Święty Kazimierz w dziejach.

II. PO WYPRAWIE NA WĘGRY.

Młodzież XV w., biorąca udział w życiu politycznem, czynnem, wymagającym napięcia umysłu, wysiłku woli, wczesnie dojrzewała. Toż z 14 rokiem życia zaczynał się jej wiek sprawny; obejmowała ona działy gospodarstw od ojców lub całe gospodarstwa, majątki ruchome i nieruchome, a nawet całe królestwa po ojcach i przy pomocy swych opiekunów, starszych z rodziny, stawali do pracy na miejsce zmarłego rodzica i gospodarowali wnet już tak dobrze, a czasami i lepiej, aniżeli zeszyły ze świata rodzic. Władysław Jagiellończyk objął tron czeski w 15 roku życia i dawał sobie radę nawet w trudnych położeniach, wśród jakich pozostawało okolone nieprzyjaciółmi, rozdwojone wewnątrz, pozbawione środków pieniężnych, osłabione wojnami królestwo czeskie. Brat młodszy Kazimierza, miał już w 13 roku życia, równocześnie z Władysławem, pozostać królem Węgrów, ale wyprawa jego na Węgry, odbyta równocześnie z wyprawą Władysława do Praги czeskiej, nie powiodła się, musiał bez korony wrócić do ojca na dwór królewski, gdzie z młodszą bracią pod okiem swych mistrzów dawniejszych uzupełniał wykształcenie, mnożąc zasoby tak nauk jak i cnót wysokich. Ponieważ w tych obojgu postępował bardzo wybitnie, przeto używany był do spraw państwowych tak dalece, że zastępował króla i że po śmierci podkanclerzego a biskupa wrocławskiego, Andrzeja Oporowskiego, objął tegoż urządowanie i akta podkanclerskie z wiosną 1483 r., piastując to zastępstwo do śmierci, która zresztą już w rok później nastąpiła.

Zdolny, interesujący się żywo sprawami państwa, mający wgląd do wszystkich tajemnic państwowych, a pod ko-

niec życia załatwiający je ku pożytkowi ojczyzny, musiał królewicz zdawać sobie dokładnie sprawę z toku wypadków współczesnych, w których sam brał żywy udział. Wyprawy węgierskiej, tego pierwszego występu na arenie dziejowej, zapomnieć nie mógł — zawsze bolesne wspomnienie tego niefortunnego zajścia, odnawiane nowemi wciąż triumfami nienawistnego Jagiellończykom Korwina nad ich polityką, ciążyło nad młodzieńczym umysłem królewicza tem bardziej, że nie znajdował sposobu do zaradzenia złemu. A zastanawiając się nad przyczynami niepowodzeń, widział, że i on nie był bez winy. Boć przecież on, chłopię, nie doszłe do wieku sprawnego, wypowiadając wojnę Korwinowi,¹⁾ nazwał go wdziercą, zaborcą, który gwałtem zajął tron węgierski, mianował go poddanym, który mieczem swym i przyjaciół osiągnął panowanie i postrachem i grozą śmierci zmusił do uznania siebie wbrew przyrodzonym prawom dziedzica korony królewicza, któremu po przodkach macierzystych sukcesja należy. Ponadto nieprawe objęcie korony św. Szczepana, nie przestaje Maciej znęcać się nad jej poddanymi, depcąc ich prawa, wbrew wolnościom ich nakładając pobory, podatki, daniny, nie na pożytek ani na obronę królestwa, i niezliczone gwałty i uciski spełniając; co bardziej, dopuścił, że Turek barbarzyńca niszczy węgierską ziemię, wykorzenia wiarę Chrystusa, uprowadzając chrześcijan w niewolę. Korwinowe zaniedbanie wytyka Kazimierz, jako pochodzące z obojętności tego, którego żadne węzły nie wiązały z koroną węgierską, podczas gdy on, królewicz, z powodu wieku chłopięcego musiał ścierpieć te krzywdy, teraz zaś urósłszy w młodzieńca i zbliżając się do lat sprawnych musi uważać za rzecz niegodną cierpieć ucisk dalszy i litując się nad krzywdzonymi w obronie chrześcijańskiego ludu i wiary świętej wypowiada Korwinowi, jako intruzowi i gwałtownikowi, wojnę!

Być może, że wzór do tak szorstkiego pisma nie pochodził od Kazimierza ani z polskiej kancelarji, że podyktował go, jak się dorożumiewano, wróg Korwina Jan Vitez, arcybiskup ostrzychomski, który wraz z Janem z Czesmicy

¹⁾ 20 września 1471 r.

biskupem Zagrzebia, słynnym humanistą, wysłali listy do Prażan z wezwaniem, by nie obierali Macieja królem, gdyż jest on tyranem, którego sami Węgrzy nie chcą mieć za króla. Niech Czesi oddadzą głosy swe na Władysława Jagiellończyka, Węgrzy zaś obiorą młodszego Kazimierza, jak się o to ułożono z królem Polski. Tak pisali biskupi węgierscy niezadowoleni z rządów Węgrzyna. Lecz królewicz dobrze wiedział, co podpisuje, a co większa, czuł nienawiść ku Korwinowi, urosłą na dworze jagiellońskim do tego stopnia, że nie bez spółki z cesarzem Fryderykiem, w porozumieniu z Janem Viteziem, wzniecono powstanie przeciwko Korwinowi, które jednak w zupełności się nie powiodło. Ale właśnie ta próżność i nadętość listu wypowiedniego do króla sąsiedniego narodu, który jeszcze przed trzynastu laty wyniósł na tron rodzimy Korwina bohatera i syna bohaterskiego Jana Huniadego, świadczy wymownie, że w otoczeniu królewicza liczono na popierane z Polski powstanie Węgier i na zwiększenia siłami sprzysiężonych armji królewicza, który tym ruchom, nazwanym przez papieża buntem, sprzyjał.

Jeżeli rumieniec wstydu okrył lica królewicza na wspomnienie tej szorstkiej wyniosłości, z jaką wystąpił on, młodzieniec, przeciwko narodowemu bohaterowi, to niezawodnie szereg niepowodzeń, zawinionych przez zupełną nieznajomość stosunków węgierskich, przez podeptanie przyjaźni sąsiedniego narodu, były w stanie powiększyć wstyd i zrodzić w duszy wyrzuty sumienia. Bo czemuż to broniono praw królewicza do sławnej korony św. Szczepana? Czyż ten legitymizm, o którym mówiono na dworze ojcowskim, był zasadą niewzruszoną, świętą, a najpewniejszą podstawą jego pretensyj i dążeń? Wszakże te prawa, uzasadnione przez Długosza, Kalimacha i tytułu poważnych doradców, senatorów, nie były podzielane przez naród, dość obojętnie wobec wyprawy węgierskiej się zachowujący, tak dalece, że nie posługiwano się żołnierzem własnym, że z Niemiec, z Włoch, a nawet z krymskiej Tatarji zaciągano żołdowników. W Węgrzech, dokąd pod chorągwie Marcina Korwina spieszyli Polacy, oziębłe przyjęto wkroczenie tych wojsk, mimo że z Polski rozesłano po komitatach listy do szlachty, zachęcające do gorącej działalności w obronie wolności Węgier. W listach

dowodzono, że elekcja Macieja od lat już panującego, jest nieważną, albowiem korona węgierska jest dziedziczną, powtóre, że elekcja jest wolną, że zarządzona przez Macieja, była wymuszona pod grozą śmierci, a jako taka bezprawna, i nie może być zatwierdzoną. Wzywano przeto obywateli węgierskich do opuszczenia przywłaszczyciela, uciskającego poddanych, wdowy i sieroty.

Na tę listy sejm, zgromadzony w Budzinie 20 września 1471 r. z Gabrjelem, arcybiskupem kaloczeńskim, z palatynem królestwa, Michałem Guthem na czele, odpowiada, że prawo węgierskie nie zna sukcesji żeńskiej, dlaczego też synowie króla polskiego nie mają prawa do korony węgierskiej. Elekcja Macieja Korwina jest prawą, a Węgrzy dotrzymają swemu królowi wiary i w obronie jego walczyć będą wytrwale. Królewicza Kazimierza zaprosiło na tron kilku infamistów, żadnego niemających upoważnienia. Niechaj król polski nie daje wiary niegodziwcom, usiłującym zakłócić dwa sąsiednie królestwa: Węgrzy bowiem gotowi życie położyć w obronie swego króla Macieja.

A jakże słabo odpowiedziano na tę odezwę sejmową węgierską! Z Sącza, 7 października 1471 r., gdzie już zgromadzeni byli polscy senatorowie i zaciężne wojska, mające wprowadzić królewicza Kazimierza na tron węgierski, broniło się tylko legitymizmem przez Węgrów nieuznawanym. Po Zygmuncie Luxemburczyku odziedziczyła koronę córka jego Elżbieta i mąż jej Albrecht, syn ich Władysław, po którego śmierci spadła korona na siostrę tegoż, królowę Polski i na jej synów; dlaczego też panowie czescy obrali starszego Władysława na tron czeski; z Węgrami próbowali Polacy na drodze porozumienia się załatwić tę sprawę sukcesyjną, ale Węgrzy za staraniem króla Macieja nie stawili się na zjazdach. Teraz królewicz Kazimierz z wojskiem wkracza do Węgier, ażeby bronić je od ucisku, wolność ubezpieczyć, i w nadziei, że Węgrzy dłużnej mu wiary dochowają!

Zaiste jaka słaba argumentacja, tak niepewna, tak wątpliwa, jak niepewnymi i słabymi byli sprzymierzeńcy węgierscy królewicza. Bo oto ów Jan Vitez, filar stronnictwa królewskiego był tym, któremu głównie Korwin zawdzięczał wynie-

sienie na tron węgierski, a który teraz nie tylko, że nie odważył się otwarcie wystąpić przeciwko swemu królowi, ale w czasie, kiedy królewicz wkroczył w głąb Węgier, w połowie grudnia 1471 r., zawarł ugodę z Korwinem. Zresztą ten Maciej był bohaterem chrześcijaństwa i Węgier, przy pomocy swych przyjaciół Polaków, jak Feliksa z Paniowa, Jana Szreczkowskiego nad Sawą i Dunajem zwyciężał Turków a i teraz w swym obozie liczył niemało Polaków. Ci zaś wiernie stali przy nim, podczas gdy armja Kazimierza bez walki, gdyż Korwin nie zastępował jej drogi, rozchodziła się i najprzód zaciężni Niemcy, a potem i Polacy opuszczali szeregi Kazimierzowe, beczynnienie pod Nitrą bawiące. Co prawda proklamowano w Polsce, by służący wojskowo królowi Maciejowi w Węgrzech Polacy wrócili do ojczyzny, ale tym odwołaniom pewno nie dano przystępu w obozie Korwina. Co bardziej, kilkudziesięciu szlachty podgórskiej i to takich, jak Barzy z Błozwi, Szczęsny z Paniowa, Jan Grot z Urbanowa i t. p. wysłali obu Jagiellończykom, tak Władysławowi jak i Kazimierzowi listy wypowiednie. Król Kazimierz był oburzony z powodu tego odstępstwa od interesu dynastycznego. Wszystkim tym Korwinowiczom polecił wysłać cytacje na sąd sejmowy, jako zdrajcom ojczyzny, wysługującym się wrogom króla i Polski. Nie wszyscy jednak senatorowie lub posłowie i rycerze identyfikowali interesy królewskie z ojczyzną, natomiast wszyscy wiedzieli, że szlachcie przysługiwało prawo służby wojskowej poza granicami kraju.

Nie cała przeto ojczyzna przyklasnęła pochodowi Kazimierza na Węgry, wielu było przeciwników polityki króla w samej Polsce, a królewicz, przeglądając spisy szlachty, którą z powodu niefortunnej jego wyprawy pociągnięto do sądowej odpowiedzialności, musiał uczuć ból w sercu, że jego to osoba stała się źródłem zaniepokojenia wielu dzielnych obrońców ojczyzny i chrześcijaństwa. I ból ten zwiększało wspomnienie, że w czasie, gdy na węgierskiej ziemi opuszczały go własne wojska, zjawił się u niego legat apostolski Dr. Tilman Slecht, przybyły do Krakowa z misją uczynienia zgody pomiędzy Polską a Maciejem. Król wysłał legata do królewicza Kazimierza i do węgierskich panów z oświadczeniem, że nie uchyli się od pokoju, jeżeli

legat wspólnie z polskimi i węgierskimi panami rozejm za pośredniczy i skuteczni. Przybył legat, jakby na ratunek upadłej sprawy królewicza i ten Rzym, który niechętnie patrzył na nieprzyjaźń Jagiellonów Maciejowi okazywaną, który przez legatów Rudolfa lewantyńskiego biskupa, Gabrijela z Werony, Piotra Erklensa starał się złagodzić współzawodnictwo zawistnych sobie sąsiadów, podając teraz rękę pomocną w Krakowie przypominał królewiczowi klęskę w Węgrzech poniesioną tem żywiej, o ile że w przewidywaniu jej starał się ustawicznie a napróżno przez pogodzenie sąsiadów uchylić zgubne ich współzawodnictwo. Maciej zaś był do tej zgody pochopnym i przed wojną wysłał był biskupa ołomuńskiego, Protazego, do Krakowa, gdzie propozycje jego dumnie odrzucono, albowiem żądał ręki królowny polskiej. Kazimierz królewicz, znając zasady Długosza i sąd jego ostry o tej odmowie, mógł teraz bardzo żałować, gdyż zgoda i przyzwolenie króla byłyby mu oszczędziły zawodu i bolesnego upokorzenia, które ukrywać musiał przed światem.

Bo oto jak przed cesarzem usprawiedliwiał swe niepowodzenia węgierskie. Z Dobczyc, dokąd cofnąć się musiał z pod Nitry, tak pisze do „niezwycięzonego krewnego“, który chociaż listem swym nie odpowiedział na życzenia królewicza, ten jednakowoż tłumaczy sobie to omieszkanie korzystnie, o ile że cesarz posłowi króla Kazimierza (Kalimachowi) polecił załatwienie sprawy a nadto w piśmie swem wspominał i o wspólności rodowej i o pożądanem dla królestwa czeskiego i węgierskiego pokoju, w którym to kierunku obaj królewicze gorliwie pracują. Z miłości ku królewiczom okazał cesarz ciekawość losów, jakie przeszedł piszący i wysłał kurjera swego do Nitry (Pieniążka), który teraz aż do Dobczyc przybywa. Z nastaniem zimy musiał królewicz zawiesić wojnę i do Nitry, która mu się poddała wrócić z wojskiem, a gdzie jednak z powodu moru nie mógł dłużej się zatrzymać i zniewolony był stąd ustąpić. Kazimierz twierdzi, że nie miał obawy przed Korwinem, z którym pragnął się zetrzeć i ze strachem Bożym a ufnością w sprawiedliwość swej sprawy dłuższy czas wyczekiwał walki. Toż jeżeli w polu będąc, z łaski Boga nie trwożył się, tem mniej obawiał się pozostając w obronnej twierdzy. Wojsko swe przeto porozdzielać

musiał i poumieszczać po twierdzach, albowiem byłoby niemożliwością zmieścić je w jednym zamku i zabrakłoby w nim żywności, dlatego też obsadziwszy Nitrę załogą, udał się do zamków dzierzonych na Liptowie i Orawie przez Piotra Komorowskiego. Ale i powiat liptowski nie mógłby dostarczyć dla wojsk królewicza dostatecznej żywności, a gdy nadto w liczbie niedużej tamże przybył, byłoby niebezpiecznem tamże pozostać i dlatego należało udać się do żyzniejszych okolic. Królewicz nie myśli jednak dłużej zabawić w Dobczycach, i skoro tylko z ociepleniem się powietrza nastąpi czas korzystniejszy dla obrotów wojennych, powróci do Węgier celem dokończenia sprawy poczętej i uprasza cesarza, by ze względu na związek krwi i traktat zawarty, nie zaniechał popierać królewicza, w którym będzie miał nie tylko sąsiada, ale syna swego i oddanego a powolnego sługę.

W taki sposób usprawiedliwiał Kazimierz brak powodzenia w Węgrzech i to w czasie, kiedy to sprawa jego zupełnie upadła, kiedy wojska, które zostały, musiały żyć zdzierstwem, poddawały ławę, Turocz i inne zamki, te zaś, które wróciły do Polski, nie otrzymawszy żołdu, w samej diecezji krakowskiej spustoszyły pięćset wsi kościelnych, a ucieszony z niepowodzenia swych wrogów Korwin napuścił listami do książąt i panów sąsiednich powiększał swą lekkim nakładem pozyskaną sławę. Opuszczać musiał Kazimierz samychże Węgrów, którzy mu się poddali z zamkiem i twierdzami swemi, a którym jak Szeklerom siedmiogrodzkim, ojciec wystawił dokument z zatwierdzeniem ich przywilejów, a którzy teraz jeszcze gotowi byli zań walczyć. Pewne że nie byli królewiczowi wdzięczni za to ich opuszczenie i wydanie w ręce mściwego Macieja. Jeszcze bardziej przykre spotkały Kazimierza niespodzianki od takich Węgrzynów, których, jak Dyaka Jonasza, brał na żołd swój z rotami, przy poręczeniu swych wodzów, jak Dzierzka z Rytwian, Jana Amora z Tarnowa i innych, z prawem zniesławienia tak królewicza jakoteż jego ręcycieli, gdyby nie uiścił się ze swych zobowiązań. A z powodu braku gotówki w jakże trudnem pozostawał położeniu, imię swe i swych wodzów wydając na ohydę i spotwarzenie w kraju, w którym miał panować.

A i teraz wśród największych niepomyślności nie tracił nadziei panowania. Bo oto ojciec jego umówił się z partyzantami węgierskimi, jak np. Piotrem Komorowskim, który się poddał królowi z zamkami Likawą, Orawą, Hradcem, Gilawą, że da im pomoc, odsiecz w niebezpieczeństwie, lecz nadaremnie oczekiwano tam po odejściu Polaków obiecaney pomocy. Jeszcze w czerwcu król Polski przyjmuje w poddaństwo Marka Wacława Teryan'a z zamkiem Rzewiszczce, Stanisława Kosieckiego, starostę z Cieplicy, Jerzego Jurcza, starostę z Brzeznicy, wszystkich pod warunkiem dania odsieczy, co gdyby w oznaczonym czasie nie nastąpiło, a król Maciej zdobył ich zamki, natenczas król odszkoduje ich za utratę. Wnet już nastąpiło przewidywane niebezpieczeństwo, a król ani też królewicz nie mogli pospieszyć z odsieczą i uiszczyć zobowiązań gorliwcom partyzantom. W czerwcu też tegoż 1472 r. dał król polski poręczenie arcybiskupowi ostrzychomskiemu Janowi, że go nigdy i pod żadnym warunkiem nie opuści i wspierać będzie, a na wypadek zawarcia pokoju z Maciejem włączy arcybiskupa w akt pokoju. Rychła śmierć tego filara stronnictwa polskiego uwolniła króla Kazimierza od dopełnienia zobowiązań; co do innych Węgrzynów, tych wszystkich oddać musiano w ręce mściwemu Korwinowi, albowiem nie miano ani sił ani środków niesienia im obiecaney solennie pomocy.

Bolesną szkołę życia przebywał Kazimierz w Węgrzech, boleśnieszey jeszcze doświadczył w Polsce, kiedy przemyślał nad zawodami i niepowodzeniem, i gdy nie widział sposobu naprawy, niebawem zaś ani nadziei nawet powrotu do Węgier. Łatwo zrozumieć, że powróciwszy do nauk pod swymi i swych braci dawnymi mistrzami, szukał zapomnienia w książkach, a nie trudno domyśleć się, że i te nie stłumiły jego boleści, owszem jątrzyły jego rany, im bardziej wśród postępu w naukach poznawał, że spełniając wolę ojca i on nie był bez winy. Cnotami, których przykłady znajdował w księgach i żywe wzory w swych mistrzach, postanowił uczynić zadość za własne i cudze winy, a na bóle z powodu zawiedzionych nadziei szukał pociechy w modlitwie.

(Dokończenie nastąpi).

DR. A. PROCHASKA.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

POWIEŚCI.

Jan Wiktor: *Przez łązy*, Warszawa, 1922. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska”.

Marjan Sey: *Handzia*, Gebethner i Wolff,

Piotr Choynowski: *Kij w mrowisku*, Tow. wyd. „Ignis”.

Ignacy Dąbrowski: *Matki*. Powieść współczesna. Warszawa 1923 Instyt. wyd. „Biblioteka Polska”.

René Marann: *Batula*, Prawdziwa powieść murzyńska. Autoryzowany przekład i wstęp Jana Parandowskiego. Nakładem Lector „Romania Bukarest 1923.

Jack London, *Na szlaku* (The Road) Tow. wyd. „Ignis”.

Józef Conrad (Korzeniowski) *Fantazja Almayera* (Almayer's Folly) Opowieść o wschodniej rzece. Z przedmową Stefana Żeromskiego. Tow. wyd. „Ignis”.

Naprawdę szukali we współczesnem powieściopisarstwie jakiegoś jednolitego kierunku. Potężne wywierzyisko życia coraz to nowe fale wyrzuca na powierzchnię, a one to lecą w błękitny w tęczowym rozbłysku, to sączą się zwolna i gubią w bagniskach, lub pędzą z szumem i hukiem kryształiczną falą górskich potoków. Jeśli kto chce, może widzieć w tem podobieństwie wyrażone trzy zasadnicze kierunki literackie: idealizm, brutalny naturalizm i klasyczny realizm.

Jedną z takich świecanych tęczy jest nowela Wiktora: *Przez łązy* Niby drugi św. Franciszek z Asyżu i Wojtuś Korcipka, prosty góralski chłopiec, nieraz „przez łązy” współczucia dla ptasiego rodu i dla każdej żywizny spoglądał ze zboczy szczawnickich pagórków, — aż wreszcie zasnął na śniegu, marząc o kanarku, którego w zimie, w czasie trzaskającego mrozu, wypuścił na wolność z klatki na plebanji. Sylwetka chłopca, który nie tylko w sercu, ale i w głowie „miał ptaszka” mogłaby być zajmującą, gdyby autor (autorka?) przynajmniej o połowę skrócił Wojtusiove dziwowania się i zachwyty, dostroił je do jego inteligencji i wyobraźni i wreszcie gdyby kazał Wojtusiovi więcej działać, a mniej „muszli-nowo i aksamitnie” marzyć i całować, zresztą bardzo niewinne istoty, bo tylko słońca promienie, ptaszki lub kwiaty.

Również nowe Sey'a przepromienia tu ówdzie podniosły idealizm (*Moriturus*, *Wieszczka*, *W starym dworze*) ale w większości swej tkwią one głęboko w ziemi swym realizmem, czy nawet naturalizmem. Zasa-

dniczym ich tematem jest kobieta, widziana przez pryzmat uwielbienia i pożądań, odrazy czy złorzeczeń mężczyzny. Temat i melodia aż nadto ograna. Zbyt dobrze znamy już owe naiwne Irenki lub urocze żony gajowych, spędzające noce w objęciach dziedziców. Jedynie Zośka, popchnięta nędzą w rynsztok publicznej rozpusty, budzi nieco więcej zainteresowania swym wewnętrznym tragizmem.

Daleko wytrawniejszym choć nie wytworniejszym znawcą serca, lub raczej instynktów gatunkowych, jest Chojnowski. Widzi on w kobiecie przede wszystkim czynnik rozstroju i rozkładu, czynnik, który atoli wbrew teorjom Przybyszewskiego nie urasta w lawinę jakiejś kosmicznej, demonicznej potęgi, ale jest tylko — „kijem w mrowisku”. Kobieta bowiem już nawet nieletnim dzieciakom chmurzy pogodę wiosennych dni (Wyznanie, Wacek, Straszny dzień Janka), dorastających wiedzie na pojedynek (Kij w mrowisku), wśród starszych kojarzy nieślubne stądła i wnosi piekło w rodziny (Borowska), przez nią, ordynarną miejską prostytutkę czy wiejską latawicę naiwni tracą majątek i dobre imię, a zbyt „odważni” — życie (Altruista, W cukierni, Zdarzenie).

Niektóre z wymienionych nowel, jak „Straszny dzień Janka” wprost fascynują swoją plastyką i pełną grozy analizą psychologiczną. Niestety daleko częściej autor z brutalizmem Zoli czy Dostojewskiego szuka w fałdach dziewczęcych sukienek raczej problemów fizjologicznych, aniżeli w sercu zawikłań psychologicznych i dlatego jego „dokumenty życia” naogół wertuje się z rozdrażnieniem a odkłada z niesmakiem.

Na szczęście nie można i nie wolno tego powiedzieć o utworze autora „Śmierci”, chociaż i on jest „dokumentem życia”, — owszem dokumentem współczesnej chwili, ale dokumentem starannie oczyszczonym z pyłu i błota i wydany, jako precudne trójbarwne faksimile.

Rdzeń powieści stanowi zagadnienie *par excellence* drażliwe, mianowicie, kto się ma zająć uświadomieniem dorastającej panienki. — Nina Jasińska nie styka się z ulicą, ani ze szkołą, więc żaden z „niepowołanych” czynników nie spełnia tej roli. Pozostaje matka. Istotnie p. Jasińska, jak przysiało na kobietę postępową, czytała wiele w tej materji, uczęszczała na wiece rodzicielskie i „uświadamiające”, — ale w praktyce trzymała się ściśle i jako matka i jako wychowawczyni starych doświadczonych reguł, do których należy umiarkowana, ale gruntowna religijność i bezwzględna czystość obyczajów i dlatego do ostatniej chwili nie mogła się zdobyć na stanowczą decyzję w tym przedmiocie. Odkładała tę sprawę z dnia na dzień, a Hanusia, przezwana Lalusią, rosła i wyrosła na śliczną jak pieścidełko i niewinną jak dziecko szesnastoletnią pannę Ninę. Nagle wypadki zaczynają przybierać gwałtowny rozpęd: Nina zapoznaje się z Władkiem Karlińskim, młodzi rozkochają się w sobie na zabój, poruszają niebo i ziemię, żeby ślub zawrzeć jak najprędzej, na co wreszcie nie bez długich wahań godzi się p. Julia i Nina zostaje żoną Władzia — nieuświadomioną. Następuje wyjazd za granicę i pierwsza noc poślubna, — a po niej straszna prostracja Niny. Lekcji uświadamiania podjął się „pan Władzio” — z delikatnością posuniętą do ostatecznych granic. Mimo to Nina dość długo nie może się oswoić z tym nowym trybem życia, a w pier-

wszych dniach zdaje się jej, że popełnia zbrodnię, o której można tylko w nocy mówić. Czuje jakiś żal do matki, do babki, — bo one wszystkie tak... Wierzy jednak Władziowi, że tak być musi, — że to nie grzech, — że to właśnie z miłości. Całą duchową udrękę prawem matczynej sympatii odczuwa także p. Julja, matka Niny. Chwilami czyni sobie wyrzuty, że zamiast kobiety, zamiast łani gotowej do bekowiska, jak się tego domagała nowoczesne teorie, wyhodowała tylko Lalusię. Ale to nie trwa długo; wnet uprzytomnia sobie, że przecież nie wszystkie dziewczęta są równe i nie wszystkie powinny podlegać tym samym warunkom rozwoju. „Są folbluty i perszerony, choć i to i to — konie; są kizie i angory, choć i to i to — koty; będą więc Ninie, Anny i Anki, choć wszystkie się wywodzą z jednego „g e n u s h u m a n u m“. A zresztą o cóż tu w gruncie rzeczy chodziło? — o jedną noc, której kolce z każdym dniem będą coraz mniej ostre, tak że kiedyś cała ta katastrofa stanie się niemal żartobliwym wspomnieniem.

A więc dlatego, żeby swemu dziecku oszczędzić pewnej części tych dzisiejszych, jednorazowych moralnych katuszy, miała już od dziecka zaprawiać ją do tych rzeczy i nigdy nie dać jej zaznać tych obłocznych iluzji?... Czy dlatego, że czasem uczuwamy ból zęba, to już powinniśmy kamieniem piekielnym powypalać zawczasu wszystkie zęby, żeby nas nie bolały? — Tak rozumowała nie bez słuszności p. Jasińska, a Władzio, mąż Niny, pisał do niej: „Żona moja śpi tu za temi drzwiami, a mnie ze szczęścia, miłości i wdzięczności dla tego dziewczątka, któreście mi powierzyli, a które mi się oddało z taką ufnością — łyżę się w oczach kręcą“. Czemu? Bo ona mu imponowała swoją — niewinnością, tak jak on Ninie inteligencją i siłą. I Nina nie nazawsze zachowała żal czy podejrzliwość względem matki; skoro tylko została sama matką, wróciła sercem do niej, nawiązała się zerwana niegdyś gorąca tętnica i z krzykiem przeogromnego szczęścia, z wyciągniętymi ramionami padła na łono matczyne. — Mamusia mamusia!

Wskazaliśmy tylko sam trzon zagadnienia. Szczegółowe omówienie wszystkich rozgałęzień fabuły, jej kompozycji, techniki w charakterystyce osób, a nadewszystko styl wykwinny, a przecież nie wymuszony i nie wyszukany, barwny a bez rozwlekłości, wszystko to zasługuje na osobne studjum.

Naprawdę nie chce się wierzyć, że są jeszcze w czasach bandro-wszczyny czy germańszczyzny pisarze, którzyby do „rzeczy świętych“ umieli przystąpić z taką czcią i powagą, przepromienioną słonecznym optymizmem, — pisarze co ufają, że znajdą równych sobie czytelników, których z zezwierzęciącej tępoty nie musi budzić dopiero asafetyda i orgje sadyzmu.

Dla tych ostatnich przeznaczony jest widocznie przekład francuskiej powieści, B a t u a l a, gdyż właśnie jej c l o u stanowi sadystyczny, wstręt budzący opis ganzy — co jest także czemś w rodzaju uświadomienia, albo raczej urzędowym stwierdzeniem — u niektórych murzyńskich szczepów nad brzegami Ubangi — dojrzałości męskiej i dziewczęcej. Ma to być „prawdziwa murzyńska“ powieść. Wierzymy w to chętnie, nie w tem

znaczeniu, jakoby wiernie odtwarzała umysłowość i obyczajowość murzynów, ani nawet nie w tem — że jej autor jest nawpół murzynem, ale dlatego, że jest zbudowana wedle iście murzyńskiego smaku. Dziwimy się więc p. Parandowskiemu, że on, taki wykwintny adorator Wilde'a, tak się dał schwytać na plewy. Nie zasłużył się także względem naszej sojuszniczki, Francji, gdyż Batuala jest równocześnie krzywdzącem oskarżeniem administracji francuskiej w kolonjach, — i to oskarżeniem napisanem przez człowieka, którego właśnie rząd francuski musiał usunąć z zajmowanego stanowiska, za nieludzkie traktowanie murzynów, — a co tak starannie przemilczał w swej przedmowie p. Maran i jego polski tłumacz.

Oskarżeniem także niektórych amerykańskich stosunków, ale oskarżeniem zcieniowanym delikatną mgłą ironji i napisanem przez amerykańczyka, są awanturnicze szkice Jack Londona. Ich ukazanie się w polskim przekładzie wywołało dość silny sprzeciw w obozie naszej zachowawczej krytyki. Echa tego sporu najgłośniej odbiły się na łamach „Przeglądu Warszawskiego“ i „Skamandra“. Nie chcemy wydawać żadnych Salomonowych wyroków. Wolimy raczej przyłączyć się do zdania p. Piwińskiego, jeśli wolno wnioskować o talencie pisarskim Landona z tej jednej jego powieści wypisanej na wstępie i z drugiej jeszcze nie tłumaczonej, a podobno najwierniej odzwierciedlającej wszystkie peregrinacje Londona, p. t. John Barleycorn. Bezsprzecznie, London jest zdolnym i płodnym pisarzem, ale to nie dowód, że jest artystą. Wnosi w nasze zatęchłe salony i buduary świeży i słony zapach pól czy mórz, ale ów zapach jest czasem za ostry. London dalekim jest od apoteozowania wyrafinowanej zbrodni, owszem pozostały w nim znaczne strzępy naturalnej uczciwości ale jeszcze silniejszą jest w nim miłość niczem nie krępującej go swobody choćby mimo i wbrew prawu. — Słowem, trudno mu odmówić „wirtuozostwa w kułakowaniu“. Tak nam się przynajmniej zarysowuje sylwetka Londona, po przeczytaniu jego szkiców „Na szlaku“, opisujących życie trampów, włóczęgów dla włóczęgi. Wskoczyć w pędzie na pociąg, ująć baczego oka policjanta (łapidziada) — przesiadywać w domu poprawy, — oto cała treść dwustu kilkudziesięciu stron omawianej książki. Dla pewnego rodzaju „zawodowców“ może to być wcale miła lektura, ale dla posiadającego jaką taką kulturę umysłową jest zbyt chudą strawą.

Gdy bezpośrednio po Maranie czy Londonie weźmiemy do ręki „Fantazję Almayera“ doznajemy podobnego uczucia, jak turysta, gdy po dość długiej drodze wśród pustej i monotonnej okolicy nagle wejdzie w pełną słońca, ruchu i gwaru górzystą dolinę. Czujemy się olśnieni tą nagłą zmianą dekoracji i niespodziewanem bogactwem, ruchem, barwą, linią, jakie rzucił Korzeniowski na ten przez siebie opisywany zakątek podzwrotnikowej, borneańskiej ziemi, koło Sambiry, nad rzeką Pantai. Skupione tam kłębowisko ludzi białych: Anglików, Holendrów, Arabów i oliwkowych Malajów odrazu opłata nas i ciągnie w wir swoich spisków i zabiegów, rasowych wałek, cierpień, poniżenia i miłosnych upojen, tak jak opłotło Almayera, owo tragiczne uosobienie of the Folly: pomyłki, — nieszczęścia — czy nawet szaleństwa.

Jak wielu innych taksamo i Almayera chęć przygód i nadzieja zdobycia „złotych gór“ zaгнаła tutaj. Los zdawał mu się uśmiechać. Za obietnicę odziedziczenia wszystkich skarbów po morskim piracie Lingardzie mimo wstępu poślubia jego brankę, malajkę, córę dumnych wojowników ze szczepu Sula. To jego pierwsza pomyłka. Dziewczyna, chociaż była chrześcijanką i otrzymała wychowanie w klasztorze, w głębi serca pozostała poganą, a krzyż nosiła tylko jako — talizman. Obiecanych skarbów Almayera nie dostał i pożycie z żoną również nie przyniosło mu szczęścia. Nie złączony z nią ani wspólnotą krwi, ani prawdziwą wspólnotą wierzeń przeżywa piekło. On ma dla niej pogardę białej cywilizacji, a ona dlań jeszcze gorętszą odrazę i dumę córy wojowników. Tylko jedna rzecz mogłaby ich zbliżyć do siebie: miłość do własnego dziecka, do Niny. Ale Almayera widzi w niej, kiedyś w przyszłości, błyszczącą urodą i bogactwem Europejkę, Almayerową zaś, przyszlą żonę jednego z dzikich Sulusów. Ostatecznie zwycięża matka, mając silnego sprzymierzeńca w sercu Niny, zakochanej od pierwszego wejrzenia w synie suluskiego radzdy Deinie. Z raz obranej drogi nic nie jest zdolne ją zawrócić, ani łyzy, ani zaklęcia, ani nawet przekleństwo ojca. Nina z nim współczuje, ale nie może się oprzeć stokroć potężniejszemu wezwaniu miłości, ku temu, który jej przyniósł nowe życie. To nowa pomyłka i nowy, najokropniejszy cios w serce Almayera. Pozostał sam. Nie ma żadnych przyjaciół. Arabowie i Malajczycy, którym powierzył swój sekret, otwierający mu drogę do nieprzebranych skarbów w głębi wyspy, nigdy nie mieli dlań szczerzej przyjaźni. Owszem, oni to przedewszystkiem, za podniętą jego żony ułatwili Deinowi wykradzenie Niny. Tak, Orang-Blanda, Biali nigdy nie będą mieli prawdziwych przyjaciół w tubylcach. Obydwie rasy chcą czy nie chcą, dążą do wzajemnej zagłady. Marzenie o stałym porozumieniu jest — Folly — pomyłką, nieszczęściem — szaleństwem, nad którym obłudnie lituje się Arab i wielbi Allaha, że jest łaski pełen i miłosierny.

Na zakończenie wypadałoby jeszcze słówko dodać, jakie stanowisko zajmuje omawiana powieść w twórczości Teod. J. Koń. Korzeniowskiego. Na to zagadnienie rzuca trochę światła przedmowa St. Żeromskiego. „Almayera's Folly“ powstała w 1889 r. a więc już po kilkunastu latach służby Korzeniowskiego na angielskich okrętach, i po zwiedzeniu Indyj, archipelagu Sunda i Australji. Jest to jedna z najpierwszych jego prób literackich, lub nawet pierwsza i dlatego nie dziwimy się, licznym w niej niedosiągnięciom, na jakie trafnie zwrócił już uwagę Grzymała Siedlecki.

W każdym razie firma „Ignisa“ przez wydanie Korzeniowskiego okupiła wiele z dawnych win swoich.

J. K.

POEZJE.

Józef Aleksander Gałuszka: *Dusza miasta*. str. 61. Gebethner i Wolf 1922.

Winy dwóch pierwszych tomików (*Promień i grom*, *Biesiada Kameleonów*), których może najcięższym grzechem była rozwlekłość mniej lub

więcej poetyczna i mimo częstej wzmianki o krwi ogólna anemja, — w znacznej mierze zmazał już autor przez słoneczne, tętniące życiem *U ś m i e c h y B o g a*, istne pieścidełko pod względem rytmiki. W *D u s z y m i a s t a*, będącej echem modnego dziś urbanizmu — urbanizm ten u Gałuszki jest bardzo sielski — talent poety objawia w pełni swoje twórcze walory, do których zaliczyłbym przedewszystkiem plastykę i przedziwną łatwość w zestrzajaniu rytmu z treścią utworu. Prawdziwą atoli wdzięczność czujemy dla poety za jego, mimo wszystko, pogodny optymizm, za to, że zachował wrażliwość na wszystko co dobre i niewinne.

Dlatego wprost nie pojmujemy skąd to nagłe pseudo prometejskie bluźniercze załamanie w końcowym wierszu (Człowiek):

I nigdy już nie przyjdzie dla mnie wyzwolin dzień —
nigdy nie skryję żrenic pokorą moich powiek,
jak długo Ty Bóg trwał będziesz: wieków olbrzymi Cień
i ja, wydzwigający swym buntem światło: Człowiek...

Komu jak komu, ale pocziwemu p. Gałuszcze wcale nie do twarzy z tym prometeizmem, p. Gałuszcze, co „w rynsztokach naszych miast“ odnalazł tyle „pogubionych gwiazd“ właśnie wskutek nadzwyczajnej zdolności współczucia i ukochania, wszystkiego co dobre. — A cóż lepszego od Boga?
J. K.

L. M. Staff: *Zgrzebna kantyczka*. Biblioteka Polska.

J. Lechoń: *Karmazynowy poemat*, wyd. Ignis.

Jerzy Braun: *Oceanjada*, Gebethner i Wolff, 1922.

W. Perzyński: *Poezje*. Biblioteka Polska, 1922.

Roman Eminowicz: *Basileus*, Gebethner i Wolff, 1922.

A. Oppman (Or-Ot): *Kronika mieszczańska: Imćpanów Barwinków, kupców krakowskich, peregrynacja do Ziemi Świętej roku od przyjścia Zbawiciela na świat 1548* — Gebethner i Wolff — 1922. — *O Malchrze Gąsce, rajcy warszawskim — o pięknej Zofce, córce Gąskowej i o Piórkosie z Francyej historia wielce żałosna, lata Pańskiego 1574*, — Gebethner i Wolff, 1922.

A. Górski: *O Zmartwychwstanie* — dramat w czterech częściach (Biblioteka Polska) 1922.

Sporo tomików z tytułem: poezje, ale poezji w nich jakże mało! Dużo, bardzo dużo, pisze się i wydaje, ale chyba dlatego, aby ilością, masą, ciężarem zasłonić brak talentów i brak natchnienia. Jesteśmy dzisiaj naprawdę w okresie nieurodzaju poetyckiego; starzy już umarli, a młodzi (z bardzo małymi wyjątkami) szczebioczą niedołącznie; w pogoni za „Nową Przyszlą czy Czystą Sztuką“ zapadają coraz głębiej w „czysty“ już tym razem i absolutny dekadentyzm i snobizm. Nie byłby jednak ten nieurodzaj ani rozpaczliwym ani katastrofalnym, gdyby poeci zechcieli uwolnić, przynajmniej na jakiś czas, społeczeństwo od swoich poezji. Niestety! nie chcą! Każdy z nich uważa sobie za punkt honoru, aby co kilka tygodni „wysadzić“ nowy tomik, robotą idzie „na akord“, zupełnie jak w fabryce, bo też cała ich poezja, to rzemiosło, fach i nic więcej. Rozumie się, że słowa te nie odnoszą się do wszystkich autorów, których poezje omówić pragniemy, ale odnoszą się napewno do większości.

„Zgrzebna Kantyczka“ jest pierwszym i pośmiertnem wy-

daniem wierszy L. M. Staffa (młodszego). Wstęp do niej napisał Wacław Berent; jest to szumna, patetyczna, pełna frazesów tyrada na temat śmierci, zabierającej przedwcześnie „owocujące, szlachetne płonki”; nie wiele jednak mówi się w niej o samym autorze, a jeszcze mniej właściwie nic, o jego poezji, jakby poprostu nie było co powiedzieć. I tak zdaje się jest. Słabe pod względem formy, „krzywliwie i rubaszne” (sam autor tak jeden z wierszy tytułuje) próbki i wypracowania — i nic więcej. Przepraszamy... jeszcze coś: dużo, jak na 24 letniego młodzieńca, który wedle zapewnień P. Berenta tak pięknie, a wczas dojrzał, aż za dużo dekadentyzmu (Cellini mówi), zmysłowości, bluźnierstw (Bóg! Człowiek) nudy, przeżyty i zwątpienia (cały cykl Cyprysy). Wszystkie te „przymioty” skupiły się w ostatniej części tomiku: „Zgrzebna Kantyczka”. Są to jakby refleksje czy rozmyślania rubaszne, pełne zwątpienia wzywania nadaremno imienia Bożego, „Łagody mnicha świętofranciszkańskiego”. Autor sadzi się n. p. na prostotę naszych kolęd, a staje się niesmacznym w najwyższym stopniu, jeśli nie bluźnierczym; bo czyż można, nawet przy większej pobłażliwości, nie nazwać bluźnierstwem wiersza, w którym Łagoda zachęca Dziecię Jezus do kradzieży cudzych jabłek, albo w którym znowu pokpiwa sobie z ewangelicznego opowiadania o Narodzeniu Pańskim? A jednak taka lichota formy i treści znalazła w jednym z pism prawie że entuzjastyczną ocenę (Robotnik, 15. I 1923); no... ale temu się nie dziwimy, skoro w tym samym organie Tuwim został — *risum teneatis amici* — postawiony obok Mickiewicza. Dlatego p. E. K. darujemy jego rozbrajające w ograniczeniu zachwyty; na jedno z nim zgadzamy się bez dyskusji, że „irracjonalizm w połączeniu z dziecięcą prawie naiwnością świecą istne cuda w Zgrzebnej Kantyczce”.

Gdy wiersze L. M. Staffa można jeszcze od biedy oceniać, to „Karmazynowy poemat” Lechonia wymyka się już z pod wszelkiego sądu. Absolutna, bezwzględna nędza, nicość, „zupełny irracjonalizm”, w połączeniu z zerem talentu, poezji, uczucia. Dlatego nad taką poezją prześlibyśmy do porządku dziennego, gdyby nie jedna okoliczność, zmuszająca nas do protestu. Wolno p. Lechoniowi pisać i wydawać niedołęzne wiersze, ale mu wara do Polski, do jej przeszłości, bo niczem jeszcze nie wysłużył sobie prawa, aby być jej sędzią i oskarżycielem. W pierwszym wierszu p. t. „Herostratos” wzywa do niszczenia „aż ślad się zatrze” całej narodu przeszłości, usymbolizowanej w pałacu Łazienkowskim i w pomniku Kilińskiego, bo mu „widok zamknęła daleki na ścieżaj” (na co — chcielibyśmy wiedzieć, czy może na Judeo — Polonję, czy Krainę czerwonego terroru?), „I tylko wieść mi radosną, woła dalej, o tem przynieście” ponieważ

Ja nie chcę nic innego niech jeno mi płacze
Jesiennych wiatrów gędzba w półnagich badylach;
A latem niech się słońce przegląda w motylach
A wiosną — niechaj wiosnę, nie Polskę, zobaczę.

.

I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniam,
Czy wszystko w pył rozprósze, czy... Polskę obudzę.

Nienawiść Lechonia do przeszłości narodowej w Oceanjadzie Brauna rozszerza się w nienawiść do Europy całej.

Zgrzybiały ład Europy, to drgające próchno
trzęsione starczą febrą, kaszlące krwią czarną,
niech Ocean zaleje, cyklony niech zdmuchną
i do smoczych wnętrzości rekiny zagarną.

Dziwna to i niezrozumiała nienawiść, bo i któżby czytał poezję p. B. gdyby jego życzenie się spełniło; dziwne i niezrozumiałe słowa w ustach najprawowierniejszego dziecka właśnie tego „cyrku świata“, któremu się życzy, by na jego gruzach „meduzy gawota tańczyły“. P. Braun jest przecież typowym, tylko jeszcze w lepszym wydaniu, przedstawicielem dzisiejszej t. zw. poezji. A więc przede wszystkim dużo, bardzo dużo mówi o samej poezji i to swojej na pierwszym miejscu; zapowiada, że „stare bzdurstwa, rupiecie, to się za drzwi wymiecie“; widzi już, jak jego sztuka „zwycięża bez dobycia oręża“, jak

Targowiska, giełdźlarze podrą szaty i twarze
i szlochaniem serdecznym padną pieśni do stóp.

Dalej uprawia p. B., jako prawowierny futurysta, sport w poezji tylko tym razem już nie po ulicach miast, ani po dachach domów, ani po polach czy drzewach, ale dla odmiany — po morzu. I dziwną obdarzony jest tutaj nietyknością; $\frac{1}{2}$ całego tomiku, to nic innego jak wywracanie koziołków na falach i z niemi, na powierzchni morza i pod jego powierzchnią, czasem na przybrzeżnych rafach, a zawsze „za pan brat“, w czułych uściskach z całą fauną i florą Oceanu.

Hej! potrzeba mi złotej, szalonej kołyski
stumilowej kołyski od brzegu do brzegu,
chcę tańczyć po fali przemokły i śliski
i zdyszane okręty potrącać w przebiegu...

Takim jest „exposé“ poetyckie Oceanjady. Ale mu i tego za mało; aby jeszcze dzikszysze wyprawiać po morzu harce, utożsamia się z wszystkimi żeglarzami, korsarzami, z Odyseuszem, ba, nawet z Neptunem, wreszcie z całym Oceanem, z wszechświatem, z... Bógiem. I tutaj znowu jest nieodrodnym wyznawcą futuryzmu. O Bogu lubi mówić, tylko że Bóg „ten jest panteistyczny (Oceanie — Tytanie — Boże):

Bóg nam sprzyja, Bóg z nami, Ocean — bezdenność,
falujący, ponsowy, wzburzony Bóg Ruchu,
twórca motor i geniusz, płynąca przemienność,
tkacz aniołów i czartów w kolejnym łańcuchu. (Oceanjada).

Nie bardzo jednak nawet takiego Boga szanuje, bo raz pokpiwa sobie z niego, życząc mu dzień dobry (Pozejdonja), to znowu walkę mu wypowiada w utworze zbyt wyraźnie, a zatem powiedzmy otwarcie, bezczelnie naśladowającym Improwizację „Mickiewicza“ (Burza, Improwizacja). Takby się przedstawiała treść ciowa strona „Oceanjady“. Pod względem opanowania formy p. Braun jest mistrzem. Talent rymotwórczy musimy mu przyznać wielki. Jego wiersze przestają być słowem i mową, stają się muzyką, rozdźwięczoną grą tonów w całej długości skali; od potężnego

„fortissimo“ rozszalałego burzą Oceanu, poprzez swywolne, urwiszowskie igranie po falach, aż do miękkih, rozmarzonych, ukołysanych ciszą tonów szumanowskiej pieśni — oto szerokie pole stylistyczno - rymotwórczych popisów p. B. Kto niczego więcej nie żąda od poezji, ten będzie się zachwycał Ocenjadą; nam to nie wystarcza, chcemy czegoś więcej, chcemy poezji, a więc oprócz bogatej skali dźwięków, chcemy natchnienia, a nie rzemiosła, chcemy rówie bogatej skali uczuć i nastrojów, chcemy choć odrobinę myśli i malarskiej plastyki, obrazowości. A tego u p. B. nie znajdziesz! Talent powstrzymuje go jeszcze wprawdzie od zwyrodniałego dadaizmu, ale to zamało, — a wielka szkoda, bo p. B. mogły zdobyć sobie miejsce w naszej literaturze pięknej, gdyby, nie gardząc wielką, klasyczną sztuką, szukał źródeł szczerego, prawdziwego natchnienia; w przeciwnym razie przeminie z tą jednodniową efemerydą, jaką jest dzisiejsza schyłkowa sztuka.

Wszystkie nasze dotychczasowe uwagi nie odnoszą się już w całej rozciągłości do liryków W. Perzyńskiego. Mamy w nich poezję, wprawdzie nie tę wielką, ale szczerą, prawdziwą, miłą. Dużo osobistych zwierzeń, dużo uczucia, czasem trafne refleksje, nastrój poważny, smutny, zadumany nad tragikomedją ludzkich dusz, nad ich wewnętrzną dziś niemocą. Ale i sam autor pod tym względem bez winy nie jest; świadczą najlepiej niektóre wiersze, noszące na sobie piętno współczesnego snobizmu: niezdrowy erotyzm i dziwną pasję bluźnienia Bogu i znieważania Jego Imienia. „Pieśń niewolnika“, w której Bóg przedstawiony jako znęcający się nad człowiekiem kat, a w „Sądzie“ jako Neron, gdy

smutny — przebacza najcięższe i najkrwawsze grzechy
i z goryczą uśmiecha się do siebie nad sobą...

zbyt wymownie świadczą o nie zupełnem zdrowiu duszy autora. Dziwi nas tylko, że p. Perzyński nie miał na tyle odwagi, aby wierszy tych nie włączać do zbioru; mieliśmy prawo od niego spodziewać się tego nawet wymagać, jako od jednego z główniejszych współpracowników dziennika, który działalność swą oparł na zasadach katolicyzmu; w życiu trzeba być konsekwentnym.

Innego rodzaju są utwory Eminowicza, ale bo też i on inną ma duszę. Jego „Basileus“ jest, podobnie jak „Zgrzebna Kantyczka“ już pośmiertnem wydaniem wierszy, fragmentów i przemów, zebranych przez wydawcę. Prof. Chrzanowski w krótkim wstępie skreślił wyrazistą sylwetkę młodego poety i oddał hołd uczniowi swemu, bohaterowi, który życie złożył Ojczyźnie w ofierze. „Wziął z sobą wielką nadzieję“ — tak kończy Prof. Chrz. swoje słowo wstępne, tak też po przeczytaniu całej książki musimy ująć nasze wrażenia. „Basileus“ — to głaz, któremu artysta kilku cięciami dłuta nadał niewyraźne, niepokojące kształty, które każą nam domyślać się i przeczuwać coś wielkiego, same jednak zadowolenia estetycznego nie dają. Czujemy, że Eminowicz, to dusza zdolna do wielkich lotów, dusza żądna wyzwolić się z wszystkiego, coby loty te obniżało; brakło jej jednak czasu; razi nas przeto w jego utworach wielki niedostatek równowagi, dziwny niepokój i zamęt, a już naprawdę uniemożliwia

zrozumienie większej części książki straszliwa niejasność. Czasem, po kilkakrotnem czytaniu przeczuwamy i zgadujemy jakąś myśl, ale najczęściej nawet i to nie jest możliwem. Dlatego trwalszej wartości utwory Eminowicza mieć nie będą.

Jakiemś przemilem wspomnieniem z lepszych czasów, zabłąkanym słowikiem w późnej, smutnej jesieni są obie Kroniki Mieszczańskie Or-Ota. „Peregrynacja Imćpanów Barwinków do Ziemie św.” owiana techniem szczerej, zdrowej zdrowiem ludzi 16 w. poezji, drgająca gorącem umiłowaniem Ojczyzny i głębokiem uczuciem religijnem, jest rzeczą bardzoj wartościową, niż cała setka utworów p. Braunów, Wierzyńskich, Lechoniów etc. Spokojny rzewny nastrój, „Peregrynacji” w opowieści „o Zofce, córce Gąskowej” (wydanej drugi raz już) przechodzi w wstrząsający tragizm dramatu rodzinnego, gdy

Francuskie książę z sercem Ilsa
K' białej lelijce żądzą pała —

Rzymianin — ojciec pierś jej mleczną
Na koral zmienia cłosem nożał
Daj duszom zmarłych światłość wieczną
O boleściwa Matko Boża! ...

Piękno obu Kronik potęguje archaizacja języka, urok złotej polszczyzny Kochanowskiego i Skargi i wytworna szafa zewnętrzna.

A. Górski, znany apostoł idei kościoła „świętojańskiego”, idei, która w jego umyśle przechodzi w stan omal że nie patologiczny, tym razem rojenia swoje ujął w formę lichego dramatu. Zgóry można zgadnąć, jaką będzie jego treść. Ktoś — w tym wypadku proboszcz wiejski — pragnie budować kościół św. Jana, a Kościół „stary” staje mu na przeszkodzie, — znana śpiewka wszystkich „budowniczych” nowych kościołów. Rzecz dzieje się w Wielką Sobotę; Chrystus w starym, wiejskim kościele leży pogrzebany i więcej tam już nie zmartwychwstanie, bo „kościół ten na oko przetrzymałby niejedno lato, ale uderzyć w belkę, samo próchno”. (s. 46). Proboszcz, rzekomo pod szczególnem natchnieniem Bożem, zabiera się do budowy nowego kościoła, bardzo narodowego, a nawet chłopskiego, a trochę także i amerykańskiego. Rozumie się, że część najgorszych parafjan sprzeciwia się tym „wielkim” zamiarom, donoszą księdza do biskupa i starosty, ci zaś — oczywista — stają po stronie donosicieli. Proboszcz niby poddaje się, a grozi i zapowiada krwawy odwet, „ognistego gniewu anioła, co roztrzaska serca i domy wasze i popędzi w boże drogi”. Gdy lud w poranek wielkanocny domaga się odprawienia rezurekcji, ksiądz, choć brak miłości staremu kościołowi ciągle zarzuca, palnął sobie piorunujące, pełne zawziętej nienawiści kazanie — gdy nagle nowy kościół, do połowy już wyciągnięty, staje w płomieniach, podpalony przez włóczęgę warjata, który wśród płomieni urządza sobie taniec. Proboszcz rzuca się w ogień, wynosi z niego szaleńca, ale sam traci wzrok cielesny, o rzymując jakieś jasnowidzenie duchowe; poleciwszy, jak Chrystus, matkę swą ogrodnikowi, w chłopskiej sukmanie, z gromadą zwolenników idzie głosić nową ewangelję Ducha św. Reszta parafjan, odczuwając teraz wielką stratę

odwraca się od przywódców opozycji i stoi smutna, zasłuchana w milknącą w oddali pieśń nowych apostołów. Taką jest treść dramatu, rozwleczoną na nudne a długie dialogi, zbyt wyraźnie wzorowane na dialogu Wyspiańskiego. Wiersz strasznie lichy, nieudolne naśladowanie gwary ludowej; ani jednego charakteru skreślonego wyraziściej, marionetki, mające przedstawiać nie zupełnie zdrowe urojenia autora; bohater wydaje się nam lichem wydaniem przewrotowca - bolszewika, którego duszą — frazes.

St. Bednarski.

Witold Bunikiewicz: *Historja Sztuk plastycznych*. Stanisław Lentz Warszawa „Biblioteka Polska” 1922, 8^o str. 46.

Zmarły w 1920 r. (19 paźdź.) w Warszawie Stanisław Lentz zajmuje w dziejach malarstwa polskiego osobną, bardzo zaszczytną kartę.

Mimo kilkoletniego pobytu na studjach za granicą, w Monachjum, w Paryżu, zawsze pozostał „dzieckiem Warszawy”. Otaczające go miasto ludzie, wypadki dostarczały mu motywów, które on na swój sposób przetwarzał i tworzył osobny, polski typ malarstwa mieszczańskiego. Był tem poniekąd dla Warszawy czem Hals dla Haarlemu lub Mentzel dla Berlina, albo Lenbach i Leibl dla Monachjum. Z temi też dwoma ostatnimi spleta Lentza najbliższe pokrewieństwo duchowe zarówno przez wspólną im *Gemüthlichkeit*, jak i przez dążność do wyswobodzenia się z czysto naturalistycznego portretu, karykatury, by zainicjować malarstwo charakterystyczne, usiłujące odzwierciedlić duchowy portret. Dlatego Lentz lekceważył sobie efekty czysto barwne, a dba przede wszystkim o poprawność rysunku. Pod koniec życia idzie o krok dalej: jego wielkie kompozycyjne obrazy noszą już wszystkie znamiona twórczej syntezy Lentza: skłonność do karykatury i poczucie rzeczywistości, brutalność i kobieca pieszczotliwość, uwielbienie życia i niemal chorobliwe wizjonerstwo.

Popularny szkic p. Bunikiewicza ukazuje się bardzo na czasie; napisany barwnie i jędrnie, jest cennym przyczynkiem w naszej, naogół dość ubogiej, historii sztuk plastycznych.

J. K.

Józef Wasowski: *Człowiek w Polsce*. Warszawa, Two wydaw. „Ignis” 1922, 12^o, str. 110.

W Kurjerze Polskim jest stała rubryka na „Refleksje”, w której p. Wasowski jako „Widz” zamieszcza swoje spostrzeżenia na współczesne tematy polskie. Szereg tych spostrzeżeń, trwalszych, t. j. mniej związanych z aktualną chwilą, zebrany został w tomik pt.: „Człowiek w Polsce”. Przypnać trzeba, że Widz umie spoglądać na współczesne życie oryginalnie, często bardzo trafnie, że z jego refleksyj każdy obywatel wiele się nauczyć może, nie tylko nauczyć, ale i polepszyć duszę swoją. — Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że szkła, które p. Wasowski spogląda na polityczne stosunki polskie, — nie powiem, żeby były czerwone jak „proletariatu krew”, ale mocno żółtawożółte, stąd za wiele minusów lewicy uchodzi jego oka (a może nie oka, tylko pióra), które za to zbyt wnikliwie „wziera” (jak pisze Jankowski tłumacz Sédira) w nie-

domagania prawicy. Szkodzi to obiektywności. Nie dostrzegają też oczy Widza, silnego powiązania etyki z religią; świetnie przeciwstawił Rosję Polsce, chorobę pierwszej i zdrowie drugiej, ale nie umie dostrzec, że w „Dwu światach” u podstaw obu tych światów leżą dwie religie: katolicyzm i prawosławie, które silniej, dużo silniej wpłynęły na ich urobienie niż się Widzowi zdaje. Nawet tam gdzie wprost religijne pobudki skłaniają do szlachetnych czynów („Rewelacja” — „Sumienie i godność”) p. Wasowski rozpisuje się o etyce pogan. Czy niema tu świadomego przy-mykania oczu na wartości rzeczywiste i żywe, które urabiają najpodnioslejszą stronę „Człowieka w Polsce”?

J. Andrasz.

E. Romer - J. Jurczyński: Atlas krajoznawczy województwa Łódzkiego. Lwów 1923.

Uczyć poznania ziemi, zaczynając od stron najbliższych dziecku, stopniowo przechodząc do coraz dalszych, do jednostek geograficznych coraz większych — oto zasada, którą autorowie zamierzeli przeprowadzić konsekwentnie w wydawnictwie szeregu szkolnych atlasów wojewódzkich. Pierwszy atlasik, obejmujący wojew. łódzkie mamy przed sobą. Sala, budynek szkolny, bliższa część miasta, plan Łodzi, okręg przemysłowy, województwo łódzkie, bliższa potem dalsza część Polski — Europa — tą naturalną drogą postępuje nauczanie geografji na stopniu elementarnym. Niezbędne do poznania formy geograficzne, których nie dostarcza dane województwo, przedstawiono w osobnej tablicy pt. krajobrazy: wysokie góry (Tatry), średnie góry (Łysogóry), pojezierze (kartuzy), port morski (Gdańsk). Wykonanie pięknie zakrojonego planu naogół bardzo staranne, ma oczywiście, jak zresztą wszystko na świecie, swe słabe strony. Po stronie minusów postawiłbym rysunek terenu; wykonany ściśle naukową metodą poziomicy, daje jednak bardzo słabe wrażenie plastyczne, co ze względów dydaktycznych bynajmniej nie jest rzeczą obojętną. Zwłaszcza rysunek Tatr zupełnie się udał. Także barwne warstwice, jako tło (prawie wyłącznie jednobarwne) dla rysunku miast, zaciemniają i tak już zbyt skomplikowaną płataninę kresek (Warszawa, Kalisz, Gdańsk). Lepsze wrażenie zrobiłby na dziecku barwny rysunek miasta na jednostajnym błedem tle z kolorowem wyróżnieniem lasów i łąk. Nie udał się też plan Łodzi, miasta jakoby prawie zupełnie nie zabudowanego; z okolicznych wsi pozostały również jedynie napisy, z zabudowań ani śladu. Bez głębszych studiów nad treścią Atlasu zauważyłem jeszcze kilka usterek: plan Częstochowy, umieszczony wśród miast wyłącznie województwa łódzkiego (prócz stolicy państwa), na mapce okręgu przemysłowego brak granic powiatów, Radomek nazwany Radomskiem, Garłuch Gierlachem. Pod względem technicznym Atlas stoi wysoko, ale tylko w porównaniu z dotychczasowymi polskimi wytworami na polu kartografji, natomiast zestawiony z mapami, produkowanemi za granicą, jak kilka tablic tego właśnie Atlasu, przedstawia się jeszcze bardzo skromnie. Nic dziwnego — wszakże młodociana instytucja polska nie mogła tak prędko stanąć na poziomie.

starego, świetnej sławy zakładu wiedeńskiego. Mimo usterek Atlas odda niewątpliwie wielkie usługi w nauczaniu geografji.

St. Korbel.

Dokumenty historyczne. Magna charta libertatum (wydał St. Nowakowski, str. 9 i 29), 2) Capitulare de villis (wyd. St. Arnold, str. 5 i 19), 3) Wieś polska przed kolonizacją na prawie niemieckiem (oprac. St. Arnold, str. 29). Wydanie Tow. Wydawniczego „Ignis”. E. Wende i Ska.

Pojawiły się świeżo trzy tomiki „Biblioteki dokumentów historycznych”, których tytuły wyliczyliśmy w nagłówek. Wydawnictwo ma objąć przeszło 30 podobnych tomików, z których każdy zawiera odrębne źródło historyczne tak dla dziejów powszechnych jak i polskich, politycznych jak i wewnętrznych. Dwa cele przyświecały wydawcom: pragną oni, by dokument historyczny „stał się lekturą mas” (w przekładzie na język polski), oraz by młodzież polska dla użytku w szkole posiadała wydawnictwo stosownie dobranego materiału źródłowego. Zdaje się, że cel pierwszy pozostanie przeważnie w sferze idei, a co do drugiego to prawdopodobnie tylko młodzież akademicka (nie zaś szkół średnich) będzie z publikacji tej korzystała. Dla celów uniwersyteckich może ona być istotnie nader użyteczną, dla ćwiczeń seminaryjnych w szczególności. Dlatego należałoby dotożyć starań, by wydawnictwo czyniło w pełnej mierze zadość wymaganiom, jakie mu z tego punktu widzenia postawić można. Wydane trzy tomiki mają jednak wiele i poważnych usterek, które oby zmalały w następnych!

Tłumaczenie na język polski nie jest troskliwe ani dokładne, niekiedy wprost niedbale, gdy powypuszczano ważne nieraz wyrazy i określenia (n. p. donationis titulo, brak w polskim przekładzie, Wieś polska, str. 5). Niedokładność tłumaczenia i nieścisłość może się wydać drobnością, gdy się zważy, że obok tekstu polskiego pomieszczono oryginalny tekst łaciński. Ale zapowiedziane są tomiki bez tekstu łacińskiego, nie będzie w nich zatem możliwości kontroli. Teksty łacińskie zaś zawierają wiele błędów; niektóre zdają się błędami zecerskimi, ale przy innych nasuwa się wątpliwość, którą można było usunąć, dając wykrzyknik lub sic przy błędach oryginalnego tekstu (n. p. nullus liberi homo, § 39 Magna charta). Teksty dokumentów Trzebnickich były porównywane — wedle zapewnienia wydawcy — z reprodukcjami w Monumenta Pol. palaeogr.; porównywano widocznie bardzo niedbale, skoro zawierają one błędne lekcje, a nawet nadwyżki tekstu, zgodnie ze starym, a błędnym wielokrotnie drukiem Haeuslera (n. p. matris str. 4). Imiona własne osób i miejscowości mogły być sprowadzone do brzmienia polskiego, choćby hypotetycznego, skoro tekst łaciński podaje je w zlatynizowanej pisowni. Mylna rekonstrukcja mniejby raziła, niż te okropne nieraz formy w jakich je z oryginału łacińskiego powtórzone. Zresztą poczyniono wyjątki, ale niekiedy tak dowolne, że nazwa miejscowa Kozy zmieniona została w Kawice! Ale to już zagadka wydawcy, na jakiej podstawie mogła się ta metamorfoza dokonać. Nazwę Lubusz pomyłono z Lubiążem

itp. Jak ostatecznie wypadł w całości łaciński tekst tych dokumentów, to wystarczająco pozwala to ocenić fakt, iż w pierwszym tylko z tych dokumentów na 11 stronach druku stwierdziłem pięćdziesiąt trzy błędy w porównaniu z fotograficzną reprodukcją! A zaznaczam że tylko kilka z nich może uchodzić za błędy zecerskie, nie wliczałem zaś różnic pismo (prócz nazw), której zmodernizowanie nie zostało jednolicie przeprowadzone. Oby następne tomiki wolne były od tego rodzaju usterek!

Dr. Roman Grodecki.

H. Fouquieray S. J.: *Histoire de la Compagnie de Jésus en France des origines à la suppression. t. I (1528-1575) Paris Picard 1910, 8° XXV — 673, t. II (1575-1604) 1913, 8° VIII — 738. t. III (1604-1623) Paris, Études. 1922 8° VIII — 648.*

Jeżeli nie ze względu na literacką wartość, to przynajmniej ze względu na wielkie bogactwo historycznego materiału i sumienne jego opracowanie dzieło O. Fouquieray zasługuje na uwagę, zwłaszcza tych, co się interesują historią powszechną, Kościoła, lub zakonów. W trzech wielkich tomach, które dotychczas ukazały się w druku, przedstawia ono na tle ogólnej historii kraju pierwszy siedemdziesięcioletni mniej więcej okres dziejów Towarzystwa Jezusowego we Francji, okres obfitujący w wypadki pierwszorzędnej doniosłości, wśród których Zakon przechodził ogniołą próbę zmiennych kolei losów.

Trudności osiedlenia, tarcia z parlamentem i uniwersytetem, banicja, to znów przywrócenie, szczególne łaski dworu, fundacje szkół i kolegów, apostołskie prace itd. itd. — to treść tych 3 tomów, którą na podstawie bardzo bogatego źródłowego materiału, z sumiennością zaprzysiężonego rzekłbym relatora, podaje autor w swobodnym i rozlewnym opowiadaniu niemal gawędziarza.

Oczywiście, że pewne sympatje autora nadają barwę całości i pewien swoisty ton, nie przeszkadzają mu one jednak nigdy wydać bezstronnego sądu o osobach i zdarzeniach, które swem opowiadaniem obejmuje. To też nadaje dziełu niezaprzeczoną wartość i czyni zeń bezpiecznego przewodnika na krzyżujących się raz poraz drogach historii. Tej ogólnej wartości dzieła nic a nic nie ujmuje jeden lub drugi mniej ważny szczegół, wymagający na podstawie pełniejszych danych małego sprostowania.

E.

Franz Xaver Lutz: *Zwischen Adventsnacht und Gerichtstag. Neue Folge von Gedanken für Sonn- u. Feiertage.* Herder's Verlag, Freiburg i. Br. 1922, 12° str. 180.

Ks. Lutz dał się już poznać przez tomik krótkich kazań pt.: *Ver Sacrum*, bardzo dobrze przez krytykę przyjętych. Na podobne uznanie zasługuje i obecna jego książka, zawierająca szereg również krótkich przemówień na niedziele i święta całego roku. Nie są to wykończone kazania, raczej materiał budowlany, nieociosane belki, surowy kamień, jak

sam autor powiada, ale trzeba mu przyznać że jest dostawcą materiału niepodważanego, solidnego. — Pewna świeżość i żywość przedstawienia, niemała znajomość dusz, życia i świata obecnego, trafne często przeciwstawienie zasad, nastrojów i haseł świata duchowi Ewangelji — oto cechy tej książki. Może ona również posłużyć jako podręcznik do rozmyślań.

J. Andrasz.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Thom. J. Campbell S. J.: *The Jesuits. A history of the Society of Jesus from Its Foundation to the present Time.* New York, The Encyclopedia Press, 1922. 8° str. 937.

James H. Ryan: *A catechism of catholic education.* Washington 1922. 12° str. 98.

Wład. Jelski: *Podatek gruntowy w świetle projektu p. ministra skarbu. 2-gi list do posłów sejmowych.* Warszawa 1922, 8° str. 8.

Rom. Dyboski: *Rytmika wysiłku i znużenia w twórczości Szekspira* Moskwa 1917. Druk A. Popławskiego. 8° str. 28.

Stefan Kader: *Imperjum Lenina, studjum ekonomiczno - polityczne.* Wilno 1923. 8° str. 96.

Henri Cordier: *Mélanges d'histoire et de géographie orientales.* Paris, Jean Maisonneuve. 8° str. 317 + 322 + 368.

Ks. arcyb. Józef Bilczewski. *O miłości Ojczyzny, list pasterski* na 1923. Lwów, 12° str. 58.

Dr. M.: *Jugosloveni, Slovani in Jugoslovani.* Lublana 1922, 8° str. 40.

Zygm. Wasilewski: *Jan Kasproicz, zarys wizerunku.* Warszawa, Gebethner i Wolff. 12° str. 400.

Z wydawnictw Herdera we Fryburgu:

Dr. Adalb. Sanda: *Synopsis theologiae dogmaticae specialis.* vol. II. 8° str. XVI i 420.

Dr. Gustaw Keckeis: *Der Fährmann. Ein Buch für werdende Männer.* 8° str. 412.

Dr. Eduard Busse: *Der Wein im Kult des Alten Testaments.* 8° str. 70.

Otto Pfülf S. J.: *Die Anfänge der deutschen Provinz der neu entstandenen Gesellschaft Jesu und ihr Wirken in der Schweiz 1805 — 1847.* 8° str. 522,

J. H. Kardinal Newman: *III. Welt. IV. Kind.* 8° str. 100 i 60.

Dr. Wilh. Burger: *Handbuch für die religiös-sittliche Unterweisung der Jugendlichen in Fortbildungsschule, Christenlehre u. Jugendverein.* II B. 8° str. 152.

Jos. Kinzig S. J.: *Der grosse Schwarzrock.* P. Peter Johannes De Smet S. J. 1801 — 1873. 12° str. 246.

Karl Haggeney S. J.: *Im Heerbann des Priesterkönigs. Betrachtungen zur Weckung des priesterlichen Geistes* II, III Band. 12° str. 368 i 314.

Alban Stolz: *Lichte Höhen. Nachgelassene Tagebücher* herausgegeben von Jul. Mayer. 12^o str. 298.

Z Książnicy Polskiej Twa Naucz. Szkół Wyższych,
Lwów — Warszawa:

Karol Homolacs: „Kusy” Nowa Szopka Krakowska, z ilustracjami 8^o str. 66.

Julja Kisielewska: *Dzieje Polski w obrazach*. 8^o str. 256.

Hoene - Wroński: *Prolegomena do Mesjanizmu*, t. I, przełożył z francuskiego Józ. Jankowski. 8^o str. 247.

Z Towarzystwa wyd. „Ignis”, Warszawa (Wende i Ska.):
Edward Grabowski: *Ubezpieczenia społeczne w państwach współczesnych*. Wyd. 2. 8^o str. 288.

Wacł. Grubiński: *Piękna Helena. Albo o zmienności powodów toczącej się wojny. Komedja w 1 akcie*. 12ⁿ str. 62.

Kaz. Wierzyński: *Wielka Niedźwiedzica*. 12ⁿ str. 80.

Ant. Słonimski: *Żywot Łazika z Tormesu*, przełożył i objaśnił Maur. Mann. 12^o str. 102.

Jul. Tuwim: *Poezjy* tom. 4. 12ⁿ str. 62.

L. Podhorski - Okołów: *Droga do Emaus*. 12^o str. 20.

Wacł. Grubiński: *Baal, nowe le*. 12ⁿ str. 223.

Jul. Ejsmond: *Podręcznik całowania*. 12ⁿ str. 107.

Z Krakowskiej Spółki Wydawniczej:
Biblioteki Narodowej, serja II.

Nr. 20. Wil. Szekspir: *Hamlet*, przełożył i objaśnił Andrzej Tretiak 12ⁿ str. 266.

Nr. 22. J. W. Goethe: *Cierpienia młodego Wertera*, przełożył Fr. Mirandola, opracował Zygm. Zagórowski. 12^o str. 135.

Nr. 23. Arystofanes: *Ptaki*, przełożył Butrymowicz, z wstępem K. Morawskiego. 12ⁿ str. 146.

Serja I. Nr. 53. Józ. Ign. Kraszewski: *Stara Baśń*, opracował Konst. Wojciechowski. 12^o str. 404.

Tad. Sinko: *O tradycjach klasycznych Ad. Mickiewicza. Rozpraw pięciuro*. 8^o str. 128.

St. Tarnowski: *O „Panu Tadeuszu”*, wyd. 2. przez St. Pigonia. 8^o str. 104.

Z Instytutu wydawniczego „Biblioteka Polska”:

Edward Leszczyński: *Radość samotna, poezje*, z wstępem Ad. Grzymały - Siedleckiego. 12^o str. 141.

Petronjusz: *Uczta Trymalchjona*, przełożył i objaśnił Leop. Staff, 12^o str. 121.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła

Encyklika o św. Franciszku Salezycznym. — Nienawiści partyjne a Kościół. —
Zamordowanie metropolity Jerzego i stanowisko prawosławia w Polsce.

Programowa encyklika Piusa XI znalazła swe uzupełnienie w orędziu, skierowanem do całego katolickiego świata z okazji 300-nej rocznicy śmierci św. Franciszka Salezego. W encyklice *Ub i arcano* stwierdził Ojciec Święty, że prawdziwy pokój pomiędzy ludźmi i narodami nie da się zaprowadzić bez uprzedniego uspokojenia serc ludzkich, a to uspokojenie wewnętrzne tylko wtedy nastąpi, kiedy ludzie uznają Chrystusa Pana za swego najwyższego Króla i Jego świętemu prawu się poddadzą. Jubileusz św. Franciszka Salezego przypomniał tę śliczną duchową postać, typ człowieka, w którego duszy zapanował Chrystus i zagościł na stałe pokój Chrystusowy. Przedstawić wzburzonemu światu tę świętą postać do naśladowania w naszych czasach zamierzał już Benedykt XV-ty — uskutecznienie tego zamiaru przypadło w udziale jego następcy.

Ojciec Święty bierze pod uwagę zarówno życie św. Franciszka Salezego, jak i jego pisma. Z jednego i z drugich wyprowadza dwie główne nauki. Pierwsza z nich dotyczy obrony wiary świętej, druga — szczepienia w duszach prawdziwej pobożności chrześcijańskiej. Pomijając prace misyjne biskupa z Genewy i jego pisma, skierowane przeciwko heretykom, a wysuwając jedynie moralne i dewocyjne utwory jego pióra, jak to niekiedy czynią nowsi autorzy — fałszuje się poniekąd postać Świętego. W rzeczywistości był on nie tylko nauczycielem klasycznym życia pobożnego, ale także niestrudzoną obrońcą katolickiej prawdy wobec rozpanoszonej w jego czasach herezji. Z przykładu św. Franciszka Salezego winniśmy się uczyć, że duchowego wychowania człowieka nie można opierać na lotnych piaskach religijnego uczucia bez dogmatu, że przeciwnie, tylko nauka objawiona, której strzeże i broni Kościół katolicki, może wydawać typy ludzi prawdziwie du-

chowo wyrobionych i bogatych we wszelkie cnoty. Dlatego Pius XI., upatrując w pismach kontrowersyjnych św. Franciszka doskonały wzór obrony prawdziwej wiary Chrystusowej, poleca i nowszym apologetom wstępować w jego ślady. Apologetyka Salezego posiada jednak pewien szczególny przymiot, który Ojciec Święty podkreśla w swojej encyklice: jest nim obok otwartości w stawianiu katolickiej prawdy wielka łagodność i miłość w traktowaniu przeciwników. Ta łagodność i miłość, która rozbrajała i miękczyła najoporniejsze umysły i serca, i tylu błędzących sprowadziła z powrotem do Kościoła, ma też cechować nowożytnego apologetę.

Św. Franciszek Salezy, jako mistrz życia wewnętrznego, nastęrcza Papieżowi uwagę niezmiernie w naszych czasach aktualną. Jeżeli chcemy odrodzenia społeczeństw w duchu Chrystusowym, to musi się upowszechnić przekonanie, że życie wewnętrzne nie jest przywilejem czy obowiązkiem jakiejś tylko szczupłej garstki ludzi, którzy usunęli się od świata; powiedzenie św. Pawła: „wołą Bożą jest uświęcenie wasze“, odnosi się do wszystkich. I właśnie nikt może lepiej, jak autor *Filotei*, nie wskazać, w jaki sposób można dojść do świętości, żyjąc wśród świata we wszelkich warunkach i przy jakichbądź obowiązkach stanu. Asceza św. Franciszka to nie ponura asceza ludzi, dla których warunkiem zbawienia była pustynia z jej surowościami; biskup z Genewy potrafi i przez gwarny świat przeprowadzić duszę ręką pewną i nauczy ją omijać te niebezpieczeństwa, które jej świat na drodze do nieba stawia.

Przypominając te charakterystyczne cechy apologetyki i ascetyki św. Salezego, Pius XI-ty wzywa przede wszystkim pisarzy katolickich, aby je sobie przyswoili. W tym celu ogłasza też św. Franciszka za niebieskiego patrona pisarstwa katolickiego. Czyniąc to, ma na myśli Ojciec Święty nie tylko zawodowych apologetów i autorów piszących o życiu pobożnym, lecz zwraca się także do wszystkich, ktokolwiek chce piórem służyć prawdzie i cnocie, a więc także do publicystów i dziennikarzy. „Przykład świętego Doktora nauczy ich jasno, jak mają pełnić swój obowiązek: niechaj studjują starannie naukę katolicką i według sił swoich sobie ją przyswoją; niechaj nie fałszują prawdy ani też jej nie ukrywają i nie osłabiają, nawet pod pretekstem, by nie urazić przeciwników; niech dbają o formę i piękno wystąpienia; niech myślom swoim nadają wyraz przejrzysty i przyjemny, aby prawda pociągała czytelnika; kiedy potrzeba kogoś zwalczać, niechaj umieją odpierać błędy i stawiać tamę złu, ale w ten sposób, by widoczną była czystość ich pobudek, a nad wszystkim górowała miłość“.

Encyklikę o św. Franciszku Salezym zanotowały wszystkie dzienniki polskie. Doniosły również o tem, że Święty ten został ogłoszony za patrona pisarzy i dziennikarzy. Jeżeli się jednak przegłębnie naszą prasę z ostatnich kilku tygodni, czyli z czasu, jaki właśnie upłynął od ogłoszenia pisma papieskiego, to, niestety, przychodzi do głowy nie wesoła refleksja: nasi dziennikarze katoliccy — bo któryż z nich wypiera się tego miana? — nie bardzo wzięli do serca głos Piusa XI. i chyba ani razu nie pomodlili się do swojego nowego patrona. Kiedy wołaliśmy w zeszycie poprzednim *Przeglądu Powszechnego* „o odkażenie atmosfery politycznej u nas“, nie wiele obiecywaliśmy sobie po tem naszym wezwaniu. Rzeczywistość wszakże wielokrotnie wzmożła nasz sceptycyzm. Jeżeli ostatnie tygodnie były świadkami zacieźnienia się partyjnego w naszym społeczeństwie, to znaczna doza odpowiedzialności spada na prasę. W dalszym ciągu tyle obserwowaliśmy namiętności i przesady w zwalczaniu przeciwników, że przychodzi pokusa zwątpić wogóle o możliwości uleczenia naszej prasy.

Nie można tu pominąć w szczególności jednego tematu, który roznamiętniał dzienniki różnych obozów, a zarazem usiłował — nie bez pewnego powodzenia — przedostać się w obręb murów świątyń Pańskich. Mamy na myśli sprawę Niewiadomskiego, jego stracenie, ekshumację i urządzone za jego duszę nabożeństwa żałobne.

Sprawiedliwość każe zaznaczyć, że w manifestacjach tych nie brali udziału najpoważniejsi wodzowie tego obozu, który je inicjował; — były one raczej dziełem młodzieży i ulicy, to jest czynników najmniej odpowiedzialnych. Błędem oczywiście kierujących w obozie było tylko to, że tych nieopatrnych wybryków dość wcześnie nie powściągnięto; błędem prasy było to, że notowała je, jako odruch i głos sumienia „narodu“.

Najbardziej przykrą okolicznością w tych manifestacjach było to, że wciągnięto po części do nich Kościół. Ojciec Święty w powyżej zacytowanych słowach encykliki wzywa, aby pisarze katoliccy pod żadnym pozorem nie ukrywali i nie umniejszali prawdy. Niechaj przeto będzie i nam wolno wypowiedzieć to, co jako prawda przedstawia się naszemu sumieniu. Nabożeństwa za duszę Eligjusza Niewiadomskiego w takiej formie, w jakiej je odprawiano w wielu kościołach, uważamy za wielki błąd ze strony tych rządców świątyń, którzy na nie zezwolili. Oczywiście wolno modlić się za każdego, kto zeszedł z tego świata w jednoświary z Kościołem, — nie można więc było także odmawiać odprawienia mszy św. za spokój duszy Niewiadomskiego. Jeżeli wszakże ubierało się — wbrew zwyczajowi powszechnemu — katafalk w pur-

pure, symbol krwi męczeńskiej. jeżeli nadawało się egzekwalnym obchodom charakter narodowej żałoby, to naprawdę czyniło się coś więcej i co innego, niż to, do czego upoważnia, albo co nakazuje prawo kościelne. Trzeba chyba prosto przyznać, że część duchowieństwa dała się wciągnąć w ten wir mętnych pojęć i rzekomo patriotycznej frazeologii, które tak cechują ludzi owładniętych namiętnością partyjną, i pozwoiliła, niestety, nadużyć obrzędów kościelnych. Dlatego bardzo na czasie była odezwa Komitetu episkopatu polskiego, wydana w Warszawie 11 lutego b. r., która takiemu nadużywaniu nabożeństw położyła koniec. Zaznacza rzeczona odezwa, że tego rodzaju manifestacje mogą „wprowadzić zamęt do pojęć o moralności chrześcijańskiej”. Te słowa naszych arcybiskupów trafiły w sedno rzeczy: fałszowanie pojęć moralności chrześcijańskiej to najgroźniejszy symptom politycznej niedojrzałości tych, co się rządzą niepohamowanymi uczuciami raczej niż głosem rozsądku i światłem wiary.

W odwecie za nabożeństwa za duszę Niewiadomskiego wystąpił obóz wrogi religii z wezwaniami do walki z Kościołem, nie czekając, jak się wypowie episkopat polski. Z innej jeszcze strony odezwały się głosy, że Kościół właśnie ze względu na swoje interesy, kiedy chodzi o konkordat, o uposażenie kleru, powinien tembardziej potępić nadużywanie religii do manifestacji wrogich przeciw panującym w tej chwili czynnikom. To są także usiłowania wprzągnięcia Kościoła do pewnego kierunku polityki. Mamy nadzieję, że Kościół, którego angażowanie w politykę jednej partji uważamy za rzecz niegodną jego powołania, nie da się również ani groźbą, ani ponętą korzyści materialnych obrócić w powolne narzędzie, gotowe zawsze do służenia stronnictwom i tym ludziom, którzy w danej chwili stoją u steru rządów. Jest to zwykłą polityką wszelkich „narodowych” kościołów — nasłuchiwać skąd wiatr wieje. Polityką Kościoła katolickiego jest stać po nad wszystkimi stronnictwami oraz ich walką, iść własną drogą, niezależną od państwa i rządzących w niem, i nieść przed zdeзорjowaniem społeczeństwem światło zasad moralnych niespożytych, bo z wiecznego tryskających źródła.

Zamordowanie metropolity Jerzego Jaroszewskiego przez archimandrytę Szmaragda zwróciło uwagę polskiego społeczeństwa na sprawy wyznania prawosławnego w Polsce. Tragedja jaka rozegrała się na Pradze, obok motywów osobistych, miała podkład o znaczeniu kościelno-politycznym. Metropolita, zwolennik usamodzielnienia prawosławia w Polsce, padł z ręki duchownego, dla którego, jak wszystko wskazuje, polska państwowość jest tylko czemś tymczasowym

z czem prawosławna cerkiew nie powinna się liczyć, a związek ścisły cerkwi w Polsce z Moskwą jest nieledwie dogmatem. Ponieważ z tragicznego wypadku grupa prawosławnych posłów wzięła asompt do wniesienia w Sejmie interpelacji w obronie rzekomo uciskanego prawosławia, przeto staje się znowu aktualną kwestja zasadniczego stosunku Państwa Polskiego i rządu do tego wyznania.

Śledztwo w sprawie zamordowania metropolity zapewne rozwikła spłot pobudek, które skłoniły duchownego do targnięcia się na życie najwyższego swego zwierzchnika. Można już z góry przewidywać, że nie zbraknie tam usiłowań, by przedstawić działalność metropolity jako antykanoniczną i szkodliwą dla cerkwi. Takie zaś przedstawienie rzeczy godziłoby zarazem w politykę rządu polskiego, w którego widoki wchodził i z którym współdziałał zamordowany dostojnik Cerkwi. Łatwo może zrodzić się pytanie, czy ta polityka nie łamała w czemś naczelnej zasady naszej konstytucji o równouprawnieniu wyznań religijnych, czy nie upośledzała w czemkolwiek prawosławia?

Spółeczeństwo polskie winno mieć jasne pod tym względem pojęcia, by strzał Szmaragda Łatyszenki nie wprowadził chaosu w sądach, któryby czynniki niechętnie polskiej państwowości mogły wyzyskać na szkodę Polski.

W niedługich rządach swoich Cerkwią wykazał metropolita Jerzy stanowczość, która mogła wydawać się despotyzmem. W przeciągu niedługiego czasu, przy pomocy paru jednomyślnych ze sobą władyków, zdołał przeprowadzić złożenie z stolic biskupich aż trzech władyków (Pantelejmon — pińsko-nowogródzki, Michał — grodzieński i Eleuterjusz — wileński), którzy nie szli po linii jego dążeń. Rząd polski współdziałał z tą akcją, wyznaczając na mieszkanie dla złożonych z urzędu dygnitarzy odległe klasztory lub wystawiając im paszporty na wyjazd za granicę. Słyszało się prywatnie zarzuty, że rząd polski naśladuje metody caratu, który więził i wywoził niegdyś biskupów katolickich. Trzeba odrazu zaprzeczyć trafności porównania. Rząd rosyjski, usuwając ze stolic biskupów polskich, nigdy nie mógł powołać się na uprzedni wyrok jakiejś kompetentnej władzy kościelnej, podczas gdy rząd polski miał za sobą orzeczenia Synodu prawosławnego, odbywanego pod prezydencją metropolity Jerzego. Obok tego uprawnienia formalnego, zarządzania tak rządu jak metropolity, miały uprawnienie merytoryczne ze stanowiska racji stanu, przeciwko której znowu nic nie można było podnieść ze stanowiska dogmatycznego czy kanonicznego cerkwi prawosławnej. Polityka naszego rządu, z którą współdziałał metropolita, była z obydwóch tych punktów widzenia, państwowego i cerkiewnego, zupeł-

nie usprawiedliwioną. O cóż bowiem chodziło? Chodziło o to, co przeprowadzano stale we wszystkich nawet prawosławnych państwach w czasach polityczno - terytorjalnych zmian, mianowicie o urządzenie cerkwi prawosławnej w granicach państwa polskiego niezależnie od ingerencji czynników obcych. Chodziło o tak zwaną „autokefalię” czyli równorzędność cerkwi prawosławnej w Polsce z podobnymi cerkiewiami w innych krajach. Ani ze stanowiska prawosławnej dogmatyki, ani ze stanowiska kanonicznego prawosławnej cerkwi, ani wreszcie ze stanowiska historii nic nie można było zarzucić temu żądaniu¹⁾. — inaczej trzeba było potępić jako niekanoniczne wszystkie autokefalie, jakie w ciągu wieków powstawały w prawosławiu. Można było protestować przeciwko niemu jedynie ze stanowiska politycznego — „jednej niepodzielnej Rosji” i takimi motywami musieli się kierować władcy opozycyjni. Inne, przytaczane przez nich argumenty, jak potrzeba zwołania soboru z udziałem świeckich, lub jak otrzymania formalnego zwolnienia prawosławnych w Polsce przez patriarchę moskiewskiego z pod jego jurysdykcji itp., maskowały tylko właściwy powód sprzeciwu. Musieli bowiem opozycyjni władcy znać na tyle historię własnej cerkwi, żeby wiedzieć, że udział świeckich w rządach kościoła przynajmniej nie jest tak bezspornie konieczny, jak oni przedstawiali; co się zaś dotyczy zgody patriarchy, z pod którego władzy usuwa się nowo organizująca się cerkiew autokefaliczna, to historia również świadczy, że otrzymywano ją zwykle *ex post*, po faktycznem ukonstytuowaniu się nowej kościelnej jednostki. Tak było w Grecji, tak w Rumunii, Serbji, Austrii i na Węgrzech. Zresztą wiedzieli opozycyjni władcy o trudności dostępu do uwięzionego przez bolszewików patriarchy moskiewskiego, jak również o tem, że metropolita Jerzy zwrócił się z prośbą o uznanie autokefalji, czy też autonomji do innych kościołów prawosławnych i że od jednego z nich, rumuńskiego, już faktycznie uznanie takie nadeszło.

Dlatego cała działalność Jerzego w tej sprawie była zupełnie poprawną, a stanowczość jego tylko logiczną konsekwencją, wysnuwaną ze słusznej zasady. Jeżeli to jego stanowisko było główną pobudką mordercy, to zamordowanemu należy się cześć, jako ofierze spełnionego obowiązku.

Przy tej okazji chcemy poruszyć inną sprawę, w której — naszym zdaniem — rząd polski niepotrzebnie się angażuje. Miał obowiązek zażądać od episkopatu prawosławnego uniezależnienia się od obcej kościelnej władzy i miał

¹⁾ Por. nasz artykuł w Przeglądzie Powszechnym, miesiąc grudzień 1921 r.

prawo usunąć nielojalnych władcyków, — nic jednak nie zmusza go do zajmowania się często wewnętrznymi sprawami wyznania prawosławnego, urządzania im szkół teologicznych, organizowania czy reformowania konsystorza etc. W tych rzeczach winien pozostawić zarówno prawosławiu, jak innym wyznaniom zupełną autonomję. Winien unikać cienia zarzutu, że swoją ingerencją w sprawach wyznaniowych gwałci poręczoną przez konstytucję wolność religijną. Ze stanowiska katolickiego wszelka taka ingerencja jest również niepożądaną. Kościół, który żąda dla siebie wolność, nie może sprzyjać temu, że rząd zaprawia się do wtrącania się w sprawy kościelne, choćby na obcych wyznaniach.

A właśnie w ostatnich czasach słyszeliśmy o nowym projekcie, który — naszym zdaniem — wkracza na teren obcy zadaniom państwa polskiego. Podobno czynniki rządowe zamierzają utworzyć przy uniwersytecie warszawskim wydział teologii prawosławnej, jak utworzono już podobny wydział dla protestantów. Motywuje się ten projekt potrzebą nadzoru państwowego nad wykształceniem prawosławnego kleru, a w gruncie rzeczy chce się dać nowy dowód równouprawnienia wyznań w Polsce. Otóż uważamy ten pomysł za wielce niefortunny i niepotrzebny. Że prawosławni, liczący się w państwie na kilka milionów, zechcą mieć swoje szkoły teologiczne, średnie i wyższe, to rzecz naturalna, ale do tego nie jest rzeczą konieczną tworzyć im wydział przy uniwersytecie. Niech utrzymują własne seminarja, niech założą, bodaj i w Warszawie, akademię duchowną; rząd spełni swój obowiązek, stawiając pewne warunki, któreby dały rękojmię lojalnego stosunku tych uczelni do Polski; mieszać się jednak czynnie do wewnętrznego ich ustroju, upaństwowiać je — nie jest ani konieczne ani logiczne. Z tego, że popełniono już błąd, zakładając wydział teologii protestanckiej, nie wynika, że błąd ten należy utrzymywać, chyba, że rząd zamierza powoli utworzyć wydziały teologiczne przy uniwersytecie warszawskim dla wszystkich wyznań, jakie w Polsce są albo się zjawiają, a więc dla marjawitów, hodurówców, żydów itd. Przedstawiałby wtedy uniwersytet u n i c u m w świecie — najklerykalniejszej uczelni, w której rywalizujące wyznania zbijałyby się wzajemnie w swoich wykładach, i czyniłyby to wszystko imieniem tegoż samego państwa, otrzymując stempel państwowego zakładu. Jeżeli przy niektórych uniwersytetach istnieją wydziały teologiczne dla katolickiej teologii, to można to uważać za pewien symbol poczucia, że Polska jest państwem katolickiem; czy może jednak państwo bez logicznej sprzeczności być zarazem protestanckiem, prawosławnem, żydowskiem? Dużo logiczniejszem już byłoby stanowisko areligijności, niż taka „polygamja” wyznaniowa.

Dodajemy, że z punktu widzenia sprawiedliwości uczelniom teologicznym innych wyznań w Polsce nie należy się żadne uposażenie materialne ze skarbu. Jeżeli bowiem skarb przyczynia się do uposażenia uczelni katolickich, to obowiązany jest do tego z tytułu zaboru dóbr kościelnych, innym wyznaniom jednak nigdy takich dóbr nie konfiskowano, przeto i do żadnej restytucji państwo względem nich nie jest obowiązane. Uposażenie ich ze wspólnego skarbu równoznaczne jest z wkładaniem na katolicki ogół obywateli części ciężarów na zupełnie obce im cele.

Ks. J. Urban.

Z najnowszego ruchu naukowego.

Senzacyjne odkrycie w rolnictwie. Rozwój telefonu bez drutu. Z nad granicy dwóch światów.

Wiadomo, że najważniejszym i najkosztowniejszym zarazem składnikiem naszych pokarmów jest białko, i w miarę znachodzenia się tego białka w potrawach, nazywamy je mniej lub więcej pożywnymi. Dwa inne pokarmy, to jest tłuszcze i węglowodany, złożone są z trzech zasadniczych pierwiastków, mianowicie z węgla, tlenu i wodoru, w skład białka zaś wchodzi nadto prócz innych jeden jeszcze, to azot. I jest rzecz ciekawa, że chociaż azot znajduje się tak obficie w powietrzu atmosferycznym, bo stanowi cztery piąte mniej więcej objętości jego, chociaż więc tego azotu przez wdychanie całe masy do płuc naszych się dostają, to jednak krew czy raczej jej ciałka czerwone, więżą i dla organizmu przyswajają tylko tlen, azot zaś zostaje mechanicznie wypychany z płuc, dla których ma on znaczenie drugorzędne, służąc tylko do rozrzedzania niejako tlenu. Cały natomiast azot, jaki organizm posiada, przychodzić do nas musi w postaci pokarmu, do przewodu pokarmowego, a więc jako tkanka roślinna, lub zwierząt, które także same nie umieją przyswajać sobie azotu z powietrza. I tak śledząc za łańcuchem przechodzenia azotu do organizmów zwierzęcych, doszła dzisiejsza nauka do stwierdzenia ponad wszelką wątpliwość faktu, że cały azot, jaki znachodzi się w organizmach zwierzęcych, a więc i ludzkich, pochodzi pośrednio czy bezpośrednio z białka roślinnego.

Wobec tego jednak widocznem jest odrazu, że nie tylko dla ogólnej biologii, lecz i dla ekonomii społecznej, a nawet pośrednio i dla całej cywilizacji człowieka pierwszorzędnem stało się pytanie, skąd roślina swój azot bierze, czy mianowicie podobnie, jak to się dzieje z węglem, otrzymuje go wprost z powietrza, czy też w inny jakiś sposób. Odpowiedź na tę ważną sprawę nauka dawniej już dała, a mianowicie stwierdza, że roślina pobiera azot korzeniami z gleby, na której rośnie, w której azot znachodzić się musi pod postacią rozmaitych rozpuszczalnych soli. Stąd konieczność używania tej roli składnikami azot zawierającymi, gdyż inaczej rola nienawożona musi wyjałowić i plonów nie wyda.

Chociaż jednak poznano i uznano ten mechanizm pobierania azotu z gleby, uderzała badaczy ta okoliczność, że w wielu wypadkach rośliny strączkowe, a więc właśnie te, które najwięcej potrzebują azotu, bo go w owocach swych bardzo wiele zawierają, roli nie tylko nie wyjawiają, jakby to z powyższych teorii wynikać winno, ale po ich zebraniu z roli pozostaje w glebie połączeń azotowych więcej jeszcze, niż ich przedtem tam było. Nic dziwnego, że w sprawie tak ważnej wyteżono wszystkie siły, by dociec dna prawdy i rzeczywiście w latach osmdziesiątych ubiegłego stulecia liczni badacze, zwłaszcza Hellriegel i Wilfarth, Lewes i Gilbert, Schloesing i Laurent, wykazali, że rośliny strączkowe posiadają tę wyjątkową własność, iż pochłaniają i przyswajają sobie azot z powietrza. Lecz i one nie czynią tego bezpośrednio, lecz za pomocą bakterji, które tworząc na korzeniach tych roślin nabrzmienia, żyją w symbiozie z tą rośliną, i w zamian wypłacają sownicę gościnę swemu gospodarzowi, dając mu tj. roślinie, na której żyją związki azotowe, które pobierają wprost z atmosfery.

Widoczne jest dla każdego, jak tego rodzaju odkrycie ważnym być musiało dla racjonalnego rolnictwa, które traktując roślinę jako istotę żywą, starannie dba o to, by jej, podobnie jak zwierzętom domowym, dostarczać należytego i obfitego pożywienia, gdyż tylko w ten sposób można oczekiwać z roli plonu bujnego i o wysokiej wartości. To też najwybitniejsi bakterjologowie i fizjologowie roślin zwracają w tym kierunku swe dalsze badania. Idąc w ślad za poszukiwaniami przodownikami prowadzonymi od r. 1885 przez Berthelota, André'go, a później Kassowicza, stwierdzają fakt dalszy, że w gruncie istnieją rozmaite bakterje, które mają własność asymilowania azotu z powietrza i utrwalania go w glebie. Poszukiwania te, w których epokową rolę odegrał zwłaszcza Winogradzki, wykazały całą olbrzymią pracę chemiczną i biologiczną, jaka odbywa się w martwej na pozór glebie, pracę, dokonywaną przez nieprzeliczone masy bakterji a zmierzającą do tego, by choć cząstkę tych mas olbrzymich bezcennego azotu, zalegającego atmosferę, wprowadzić do materji żywej. Do tej więc ilości połączeń azotowych, które wywiązują się w atmosferze pod wpływem wyładowań elektrycznych, które potem z deszczem spływają na rolę — jest tego, jak obliczono, około sześć kilo rocznie na morgę — przychodzą inne olbrzymie, ładowane na rolę pracą biljonów i biljonów bakterji. Tak więc rola otrzymywałaby swój zapas azotu, jakim rozporządza, bądź z nawozów, tak sztucznych, jak i naturalnych, bądź od bakterji i to zarówno tych, które żyją w symbiozie z roślinami strączkowymi, jak i bakterji, bytujących swobodnie wśród roli.

Takie były prawowierne poglądy ludzi nauki aż do czasów ostatnich, a przeciw tej nauce występował jeden tylko heretyk fizjologiczny, Jamieson, który lat temu jeszcze dwadzieścia śmiało utrzymywał, że wszystkie rośliny zielone mają własność przyswajania roli azotu atmosferycznego, a nadto i to, że rośliny mają własność wchłaniania zapomocą korzeni nie tylko mineralnych soli rozpuszczalnych, lecz i fosfatów nierozpuszczalnych. Co do drugiego twierdzenia Jamiesona, to doczekało się ono wnet triumfu, bo dziś botanicy i chemicy rolni przyjmują bez za-

strzeżeń jako rzecz dowiedziona, że wiele jest takich substancyj, które chociaż są w wodzie nierozpuszczalne, jednak dostają się wprost z zewnątrz do tkanek roślinnych. A obecnie nadchodzi sensacyjna wiadomość, że i pierwsze twierdzenie weterana naukowego nie jest wcale czemś niedorzecznem. Bo oto dwaj badacze, Lipman i Taylor, podają w znanem czasopiśmie naukowem *Science* z d. 24 listopada z. r. tymczasowe doniesienie, które częściowo potwierdza domysły Jamiesona co do stosunku roślin zielonych do absorbcji azotu atmosferycznego. Badacze ci przekonali się mianowicie, że pszenica, a więc roślina dla człowieka jedna z najważniejszych, absorbuje i pochłania z powietrza atmosferycznego azot i to w tak znacznej ilości, że stanowi on 21 procent całej ilości azotu, w roślinie się znajdującej. Łatwo sobie wyobrazić, jak doniośłem jest odkrycie dla rolnictwa i jak ogromny wpływ wyrzucić musi na całą tak ważną sprawę nawożenia roli i wogóle na całe postępowo i umiejętnie pojęte gospodarstwo.

Lecz nie tu jeszcze koniec triumfu Jamiesona. Bo jakby ośmielony odkryciami Lipmana i Taylora, w liście do najnowszego zeszytu londyńskiej *Nature* wskazuje profesor biochemji w Oksfordzie, Edward Whitley, na dwa fakty. Najpierw że już przed rokiem zmarły niedawno prof. Benjamin Moore w dwóch komunikatach do Royal Society opierając się na dawniej dokonywanych doświadczeniach nad asymilacją azotu powietrza przez algi zarówno morskie, jak słodkowodne, twierdzi stanowczo, że rośliny zielone są obdarzone zdolnością asymilowania azotu z powietrza. A drugi fakt ten, że znany uczony Hugo Müller w odczycie, wygłoszonym jeszcze w czerwcu r. 1921 w towarzystwie chemicznem w Londynie, oświadcza, iż „zarówno niższe jak i wyższe rośliny budują azotyny i azotany, i wytwarzają organiczne azotowe związki z wolnego azotu atmosfery“. Gdyby więc prace doświadczalne Lipmana i Taylora te przypuszczenia potwierdziły, stanęlibyśmy przed zupełnym przewrotem w poglądach fizjologii roślin i w naukowem rolnictwie, któryby musiał wywołać bardzo doniosłe skutki i zmiany także i w rolnictwie praktycznem.

Wiedzieliśmy już dawno, że powietrze atmosferyczne zawiera w sobie najważniejszy pokarm dla organizmu, tlen, skąd też organizm zapomocą osobnego narządu pokarmowego, zwanego płucami, ustawicznie go czerpie; najnowsza technika otworzyła przed ludźmi ocean powietrza jako nowy, najdoskonalszy środek komunikacyjny, przewyższający zarówno co do szybkości, jak wygody i bezpieczeństwa nawet, inne sposoby lokomocji, a teraz dowiadujemy się nadto, że powietrze to dla nas kopalnia najkosztowniejszego, najpotrzebniejszego składnika naszego organizmu, azotu. Podania mitologiczne zarówno starych Greków, jak i najnowszych ewolucjonistów mówią, że życie wyższych zwłaszcza zwierząt wyszło z wody, poczem nastąpił okres drugi, lądowy, — teraz widocznie wchodzimy w okres trzeci, powietrzny.

* * *

Ale ten zaledwie zapoczątkowany, a już wylania się dalszy, eteryczny, okres fal elektrycznych. Jednym zaś z etapów jego i dat epokowych jest z pewnością dzień piętnastego stycznia b. r., w którym sześćdziesiąciu

przedstawicieli prasy angielskiej, zgromadzonych w jednej z sal fabryk Zachodniego Towarzystwa elektrycznego w New Southgate w Anglii, słuchało równocześnie przemowy, jaką miał do nich Mr. H. Thayer, prezydent American Telephone and Telegraph Company, siedzący w swej kancelarii w Nowym Yorku. Odbываła się ta komunikacja zapomocą telefonu bez drutu, a rozmowa cała trwała dwie godziny, i z wyjątkiem pierwszej półgodziny, w której odbywały się szmery obce, trzaskania, pochodzące od zaburzeń atmosferycznych, słowa można było słyszeć doskonale. Mr. Thayer mówił bezpośrednio do telefonu zwykłego i szły słowa drutem, oczywiście przetłumaczone na energję elektryczną, na odległość przeszło 100 kilometrów, do zamorskiej stacji radio-telefonicznej na Long Island, gdzie znajduje się olbrzymia stacja radio-telefoniczna, zaopatrzona anteną na 2500 metrów długą, podtrzymywaną wieżami 90 metrów wysokimi. Słowa, dochodzące przez zwykły telefon, idą stąd automatycznie wdał, za ocean, na falach elektrycznych około 5350 długich, przyczem energia im dostarczana wynosi 60 kilowatów, a więc mogłaby służyć do świecenia półtora tysiąca zwykłych lamp elektrycznych. Podróż elektryczna, jaką te fale idące z Ameryki do Anglii zrobić muszą, wynosi około 3000 mil, czyli blisko 5000 kilometrów, a jednak na tę olbrzymią odległość można było słyszeć dokładnie słowa tak Mr. Thayera, jak i innych, którzy po nim głos zabierali i to tak wyraźnie, że jednego mówcę amerykańskiego poznano zaraz po głosie. Słuchano zaś tych mów zarówno przez słuchawki, osobne dla każdego, jak i wspólnie zapomocą loud-speaker'a, przyrządu wzmacniającego głos. Jednem słowem, sukces był zupełny.

Dużo jednak i bardzo dużo kosztował on przedtem pracy, prób i wysiłków. Jak wiadomo problem telefonu bez drutu powstał prawie równocześnie ze znaczniejszemi udoskonaleniami telegrafu bez drutu, a zwłaszcza zaczął budzić poważniejsze nadzieje od czasu wykrycia przez W. Duddella w r. 1900 zjawiska, że gdy węgle palące się lampy łukowej włączy się w obwód, w którym jest kondensator i indukcja własna, wtedy w tym obwodzie powstają drgania elektryczne ciągłe. Otóż główna zasada telefonji bez drutu polega na tem, że wzbudza się ciąg nieprzerwanych fal elektrycznych, których następne natężenie zmienia się z pomocą odpowiednich urządzeń w takim rytmie, że zmiany te naśladują dokładnie kształt fal czyli drgań powietrznych, jakie zostają wywoływane przez głos ludzki. Jest to możliwem dlatego, że fal, wywołanych przez głos ludzki, jest około 2000 na sekundę, podczas gdy do radiotelefonji używa się fal elektrycznych o częstotliwości 100.000 na sekundę.

Tak zmieniony ciąg fal elektrycznych, rozchodząc się w eterze, dochodzi do stacji odbiorczej, gdzie chwyтany odpowiedniami urządzeniami przesyła swą energję do mikrofonu, który tłómaczy go niejako, albo raczej przekształca, na drganie materialne, wywołujące w uchu naszym wrażenie głosu. Wynalazek Dudella, udoskonalony przez inżyniera duńskiego Waldemara Poussena, tworzy podstawę zasadniczą systemu telefonu bez drutu w Niemczech, a wielka stacja rządowa w Königs-Wusterhausen od paru już lat stoi w bezpośredniem połączeniu telefonicznem bez-

drutowem z Moskwą, a więc odbywają się tam rozmowy na odległość 1700 kilometrów.

Niezmiernie ważnym czynnikiem w rozwoju telefonji było wynalezienie przyrządu opartego na promieniach katodowych, t. w. rurki temonicznej o trzech elektrodach, które przez odpowiednie urządzenia, zbyt jednak skomplikowane, by je tu opisywać można, pozwala wykrywać niezmiernie nawet słabe fale.

Przy użyciu wszystkich tych najnowszych wynalazków udało się dosięgnąć doskonałości takiej, że, jak widzieliśmy, można rozmawiać całym wyraźnie po przez cały ocean atlantycki. Ale prócz prac i pokonywania trudności czysto elektrotechnicznych musiano tu prowadzić bardzo nadto rozległe próby i badania nad przeszkodami, pochodzącymi od elektryczności i zaburzeń atmosferycznych, które także przecież wzbudzają swoje fale elektryczne w eterze, i przejawiając się w mikrofonie jako nieprzyjemne, przeszkadzające rozmowie trzaski i szmery. Pomiaru i badania prowadzone nad tym przedmiotem pokazały, że zaburzenia te są różne w rozmaitych porach roku. Światło dzienne ma znów wpływ szkodliwy na rozchodzenie się fal o tyle, że w świetle ulega ich natężenie znaczniejszem osłabienia, łatwiejszemu pochłanianiu. Wogóle więc pokazało się, że najlepsze warunki dla radiotelefonji, jak i dla radiotelegrafji, przedstawia noc i zima. I doświadczenia ustawiczne, prowadzone w zakładach elektrycznych w Southgate od pierwszego stycznia, pokazały, że w obecnej porze roku tylko w czasie od pierwszej godziny popołudniu do 11-tej wieczór radiotelefonowanie za Atlantyk nie daje zadawalniających rezultatów. Natomiast w ciągu innych 14 godzin doby, zaburzenia pochodzące od zjawisk atmosferycznych są tak małe, że ich natężenie wynosi tylko dziesiątą część natężenia fal przesyłanych z Atlantyku, a więc w ciągu całego tego czasu telefonowanie bez drutu na znaczne odległości jest zupełnie pewne i w praktycznem życiu może już być stosowane.

Na odległości mniejsze, kilkuset kilometrów, radiotelefonja gwałtownie już wprost się rozszerza, w Anglii zwłaszcza, gdzie za kilka funtów można nabyć całą stację odbiorczą w formie eleganckiej, niewielkiej skrzynki, pozwalającej słuchać zdala, na wiele kilometrów, koncerty muzyczne i wokalne, tak że np. przed paru tygodniami Melba śpiewała z Londynu przed 40 tysiącami słuchaczy, rozsianymi po Anglii, a w jednym kościele londyńskim słuchało kilkaset osób mowy, wygłaszanej z odległości stu kilometrów. W samym miesiącu styczniu b. r. zgłosiło się do urzędu pocztowego w Londynie 6000 osób o dozwolenie zaprowadzenia u siebie stacji odbiorczej radiotelefonicznej, a stacje te są już tak udoskonalone, że nieraz przy korzystnych warunkach atmosferycznych właściciele małych stacji chwytają części muzyki lub śpiewu, rozsyłanych przez radiostacje po Ameryce. Mieszkańcy wsi lub nawet kolonji mogą w ten sposób uczestniczyć w wielu rozrywkach i urządzeniach życia cywilizowanego miast wielkich, a ludziom przybył nowy środek wzajemnego zbliżania się i zetknięcia prawie bezpośredniego na setki i tysiące

kilometrów odległych krajów. Oby to zbliżenie materialne przyczyniło się do zbliżenia duchowego i do uspokojenia wzburzonej wojnami ludzkości!

* * *

I znowu w owem miejscu dziwnem, w którym ręka Wszechmocnego kierowana niejako życzeniami Matki Zbawiciela, raz po raz daje poznać, że jak na początku wyprowadzania wszechświata z nicości do bytu, tak i nadal nieograniczenie rządzi prawami przyrody — zdarzył się fakt wielki uleczenia, wobec którego nauka musi zamilczeć i oświadczyć, że stało się coś, co siły jej przechodzi, a co ona stwierdzić musi. Nowe to uleczenie jest tak jaskrawem i tak wybitnem, że mówi o niem obecnie Rzym cały, gdzie mieszka Signorina Antonietta Innamorati, która doznała tego uzdrowienia. Przez siedm lat leczyła się ona bezskutecznie w największym szpitalu rzymskim Policlinico na skórną gangrenę, wobec której bezwładnemi były wszystkie wysiłki lekarzy. Wreszcie nieszczęśliwa chora, widząc, że ludzkie wysiłki daremne, zwróciła się o pomoc do świata nadprzyrodzonego, i z ufnością wzięła udział w pielgrzymce narodowej włoskiej do Lourdes w miesiącu sierpniu ubiegłego roku, — skąd wróciła, jak to zobaczmy, zupełnie uleczona.

„Wszelka nadzieja — przytacza jej własne słowa korespondent londyńskiego pisma *The Universe* — uleczenia mnie w szpitalu zniknęła. Od czasu do czasu otwierała się jedna, dwie, albo trzy rany na różnych częściach ciała, nawet na podszewkach mych nóg. Lekarze pielęgnowali mnie z wielką troskliwością, lecz nie mogli znaleźć trwałego lekarstwa na mą chorobę, i można sobie wyobrazić, do jakiego stanu wyczerpania siły moje doszły. W dniu, w którym opuszczałam Rzym, dwie moje siostry i szwagier pomagali mi, by udać się na stację, gdyż sama iść nie mogłam”.

Lecz oto opis wypadku całego, podany przez doktora Armeliniego, który chorą miał pod swą opieką w szpitalu Policlinico. „Długo badałem — mówi on — ważny ten wypadek. Posiadamy cały stos zapisków o początku i przebiegu choroby, pod wpływem której powstawały zgangrenowane wrzody wielkości dłoni ręki, po całej powierzchni ciała. Wrzody goiły się powoli, a tymczasem otwierały się bezustannie inne. Tak trwały przez lat siedm. Da niejakię pojęcie o stanie biednej dziewczyny, gdy powiem, że pielęgniarka musiała nieraz spędzić całe rano na bandażowaniu płótnem i gazą tego cierpiącego ciała. A nie ograniczaliśmy się też do zabiegów zewnętrznych. Używano także lekarstw wewnętrznych”.

„Bynajmniej nie wstydę się oświadczyć bez wahania, że to uleczenie Antonietty Innamorati umieścić się musi między temi, które przechodzą przyrodzone i ludzkie siły. Wiem, że Biuro lekarzy w Lourdes czeka rok, zanim wyda orzeczenie urzędowe, lecz jest już jednak oczywiste, że Signorina Innamorati jest uleczona. Przybrała na wadze jakie szesnaście funtów w ciągu ostatnich trzech miesięcy, i nigdy nie cieszyła się zdrowiem tak dobrem, jak obecnie. Dlatego powtarzam, i jeszcze uroczystej powtórzę w dalszym opisie wypadku, że nauka nie ma nic do czynienia z cudem, który wydarzył się w przypadku Antonietty Innamorati”.

Znamiennemi są również szczegóły, jakie do tych opisów dodaje ojciec rodzony uleczonej panny Antonietty. Opisuje on, że uleczenie biednej, owrzodziałej chorej nastąpiło natychmiast przy pierwszym zanurzeniu w sadzawce. Lecz nie tylko wrzody w owej chwili się zleczyły, ale z nimi opuściła też Antoniettę śmiertelna choroba, która zdeformowała jej obie nogi i lewą stopę. Gdy dziewczyna wyjeżdżała z pielgrzymką z Rzymu, nawet stać bez pomocy nie mogła, a po dniach kilku wróciła rozpromieniona, wesoła i czynna tak, jakby nigdy nie zaznała nawet godziny cierpienia.

Przyglądając się bacznie i całkiem krytycznie podanym tu szczegółom, widzimy najpierw, że chodzi tu o uleczenie choroby z jednej strony głęboko w organizmie zakorzenionej i odpornej na wszelkie przeciwdziałania, a z drugiej strony choroby połączonej z objawami zewnętrznymi, jasno i wybitnie występującymi. Dalej, że uzdrowienie jest nagłe, całkowite i trwałe, tak, że niema żadnej rekonwalescencji, jaka być musi przy wszelkich uzdrowieniach dokonanych siłami przyrody, a chora nie tylko traci objawy kliniczne nagle i bezpowrotnie, lecz otrzymuje siły i zdrowie takie, jakiego nie miała nigdy przedtem. Ponieważ to wszystko stwierdzonem jest jaknajściślej naukowo, przez świadków wielu i zupełnie wiarogodnych, bo sprawę doskonale i bezpośrednio znających, więc oczywiście mamy do czynienia z faktem, który każdy jasno i uczciwie myślący nazwać musi cudownym. Na takie, jak dopiero co opisany, fakta, nie posiadają nowocześni poganie czyli raczej ateusze, innego sposobu, jak tylko starać się go ile tylko możliwości — zamilczeć. Tej też metody milczenia trwale się trzymają.

Ale nie tylko Lourdes jest tem miejscem, gdzie tak często i w tak jaskrawy sposób stykają się te dwa światy: przyrodzony, uzbrojony w wszelkie najnowsze środki badania i stwierdzania, i nadprzyrodzony, objawiający swą moc nad prawami przyrody i ich zawieszania. Fakta uleczeń cudownych, fakta zupełnie pewne i jak najściślej naukowo stwierdzone, dzieją się raz po raz po świecie całym, to też chociaż z wielką radością, lecz bynajmniej bez zdziwienia czyta się wiadomość, jaka nadchodzi z Goa z Cejlonu. W roku ubiegłym odprowiał, jak wiadomo, cały świat katolicki jubileusz największego może od czasów apostołskich misjonarza, św. Franciszka Ksawerego, którego życie zasiane jest wprost faktami niezwykłych, a powszechnie uznanych cudów.

Z powodu tych uroczystości wystawiono w Goa na widok publiczny zwłoki świętego, które, jak donosi naoczny świadek, korespondent przytoczonego wyżej pisma *The Universe*, zachowują się dziwnym sposobem dotychczas w stanie dosyć jeszcze dobrym. Wprawdzie biskup z Trincomalee, na Ceylonie, który był obecnym przy poprzedniem otwarciu trumny w r. 1910, stwierdził, że dostrzegł znaczną zmianę na gorsze na twarzy świętego, jednak widać i teraz zamknięte powieki, a zarówno włosy na głowie, jak i na powiekach, są w stanie doskonałym, a ręka i jedna z nóg również, skóra ich, kości i mięśnie, są jakby zupełnie nietknięte. Jestto ręka lewa, bo prawą odjęto od ciała jeszcze 3-go listopada 1614 r. na żądanie ówczesnego generała Jezuitów Klaudjusza Akwawivy. Rękę tę

przechowywaną stale w Rzymie, obecnie z powodu jubileuszowych uroczystości obwożono po miastach hiszpańskich, gdzie ją z czcią wielką wszędzie witano. Wielka to, bo wzniosłym znojem utrudzona ręka! „Tak wielką jest liczba tych — pisze z Kochinchiny św. Franciszek Ksawery pod dniem 15-go stycznia 1544 r. — którzy się nawracają do wiary Chrystusowej w tej ziemi, w której przebywam, że wielokrotnie mi się przydarza, iż ramiona opadają z utrudzenia przy udzielaniu chrztu“.

Chociaż stan taki zwłok, spoczywających już przeszło trzy wieki, posypanych swego czasu wapnem niegaszonem, przenoszonych z trumny do trumny i wielokrotnie i na dłuższy czas wystawianych na widok publiczny a więc na działanie czynników tak destrukcyjnych, jak światła i wolnego powietrza, trzeba nazwać niezwykłym, to jednak i o cudzie oczywistym, nie dającym się zaprzeczyć, trudno jest mówić bezwzględnie. To też i nie to miałem na myśli, gdy mówiąc o cudach najświeższych, poprowadziłem czytelnika z Lourdes aż na Ceylon, do zwłok wielkiego Apostoła. Chciałem wskazać na dwa wielkie uzdrowienia, które tam przy tych świętych szczątkach wobec wszystkich ponad wszelką wątpliwość dopiero co się dokonały. Pierwszy z nich, to przypadek z pułkownikiem Ryan, z Poony, który miał na kolanie wielki tumor, narośl, przyczem jedna noga stała się krótszą od drugiej, tak, że chory musiał chodzić o kulach. Pułkownik ów, modląc się przed zwłokami świętego, uczuł się nagle uzdrowionym, tak, że mógł zupełnie swobodnie chodzić. Dr. Robichez, który go następnie badał, nie znalazł ani śladu narośli. — A drugi wypadek równie jaskrawy, tem jest wybitniejszy, że wydarzył się protestantowi. Daniel Bethkar, protestant z Bilaspur, w Indjach, był ciemnym od lat dziewiętnastu. Gdy zachęcony tłumami wiernych zbliżył się do zwłok świętego i ucałował jego nogi, nagle wzrok odzyskał.

Dziwnych rzeczy dokonywuje nowoczesna nauka, dziwniejsze może jeszcze siły przyrody wykryje, ale jasnem jest każdemu, że w wypadkach powyższych siły przyrody w grę wchodzić nie mogły, choćby z tego prostego powodu, że one do swych działań koniecznie potrzebują czasu i odpowiednich warunków. Gdy nam powiedzą, że można przegłądać i przeświecać nieprzeźroczyste ciała, lub mówić na znaczną odległość albo wzbijać się szybko a wysoko w powietrze, albo można uzdrawiać rany nawet wewnętrzne niewidzialnemi promieniami, to nas zaciekawia i pytamy się, jak się to dzieje, ale nikomu cud na myśl nie przyjdzie. Czujemy jednak jasno, że na wytłómaczenie faktów i uzdrowień powyżej opisanych takie pytanie musi zostać bez odpowiedzi, albo raczej umysł po odpowiedź musi iść dalej, poza krańce przyrody.

Ks. Feliks Hortyński.

W sprawie Uniwersytetu Lubelskiego.

W celu czynnego i moralnego popierania jednej z najważniejszych placówek dla wzbudzenia szeregów inteligencji katolickiej w kraju, jaką jest pozostający pod zwierzchniem kierownictwem Episkopatu polskiego uniwersytet w Lublinie, zawiązało się osobne „Towarzystwo Uniwersytetu

Lubelskiego". Pragnąc zapewnić byt materialny wszechnicy, stara się ono zdobyć w całej Polsce jak największą liczbę członków i rozpoczęło propagandę, której pierwszym wyrazem jest zamieszczona poniżej odezwa:

Do Duchowieństwa Polskiego.

Uniwersytet Lubelski, stworzony w chwili wyzwolenia naszej Ojczyzny na to, aby się stać jednym z potężnych czynników odrodzenia narodowego w duchu odwiecznej polskiej tradycji chrześcijańskiej, rozrósł się w ciągu czterech lat swego istnienia tak znacznie, iż dziś musi już znaleźć oparcie w całym społeczeństwie, u tych wszystkich, którzy z głębi serca przywiązani są do Wiary i Kościoła.

Liczy on, że w pierwszym rzędzie zainteresuje się gorąco jego doniosłymi zadaniami Duchowieństwo polskie, że nie będzie w Polsce ani jednego kapłana, któryby nie czuł się w obowiązku go poprzeć w miarę sił i środków.

Zwracamy się przeto z serdeczną prośbą do wszystkich Braci Kapłanów, aby się zapisywali na członków Towarzystwa Uniwersytetu Lubelskiego i aby w myśl § 7 naszego statutu wiazali się w koła tak, iżby przynajmniej przez swych delegatów móc brać czynny udział w działalności Towarzystwa. Prosimy ich też usilnie, aby w sferach swych wpływów szerzyli zainteresowanie do spraw Uniwersytetu Katolickiego w Polsce i zrozumienie jego zadań i aby nam regularnie przesyłali do Sekretariatu propagandy nazwiska i adresy tych osób, do którychby należało się zwrócić z prośbą o zapisanie się na członków Towarzystwa.

Jeśli ogół Duchowieństwa zwartym szeregiem stanie za nami i poprze nas całym swym wpływem, nie możemy wątpić, że przy pomocy Bożej Uniwersytet Lubelski będzie coraz lepiej wypełniał te wielkie zadania, które opatrność Boża nań włożyła i że stanie się coraz potężniejszym rozsądnikiem odwiecznej mądrości chrześcijańskiej w społeczeństwie polskim.

O. Jacek Woroniecki O. P.

Rektor Uniwersytetu Lubelskiego i Przewodniczący
Komitetu Towarzystwa Uniwersytetu Lubelskiego

Lublin, Uniwersytet

1 stycznia 1923 r.

Uw. Członkami fundatorami są osoby lub ugrupowania, które złożyły jednorazowo 50.000 złotych polskich (według kursu ogłoszonego przez Ministerstwo Skarbu), czł. dożywotnimi, którzy dali jednorazowo 2.000 złp., czł. czynnymi, którzy opłacają wkładkę roczną 50 złp., a czł. wspierającymi wpłacający rocznie 5 złp. Dalsze szczegóły podaje „Statut T. U. L.“.

Konto czekowe P. K. O. N 39.712.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI: Panu J. O. Zagadnienia, poruszone w liście Sz. Pana, zasługują na obszerniejsze omówienie, nie w naszym wszakże piśmie. Odpowiedzi wołałbym udzielić listownie, gdyby mi był znany Pański adres.

KS. J. U.

Sprostowanie.

Do styczniowego numeru naszego pisma wkradło się kilka złośliwych błędów drukarskich, które niniejszem prostujemy.

W artykule prof. Sinki: „Improwizacja Konrada, jako oda filozoficzna“ na str. 21 zamieniono przypisy; na str. 26, wiersz 23 od góry zamiast: słońce ma być: Stwórca.

W artykule ks. Karyłowskiego: „Dzieje Tantum ergo“ na str. 48, wiersz 6 od góry, zamiast wznosi ma być wznosi.

W artykule Ks. Bednarskiego: „Czy naprawdę wartości twórcze“ — zaszła pomyłka w nazwisku autorki p. Marcinkowskiej, którą wydrukowano mylnie „Marcinkowska“; podobnie na str. 59, wiersz 2 od góry, str. 60 wiersz 8 od góry, str. 61 wiersz 7 od dołu. Oprócz tego str. 62, wiersz 2 od dołu, str. 64, wiersz 11 od dołu, str. 66, wiersz 7 od dołu zamiast: autokracja ma być: autokreacja.



REDAKTOR I WYDAWCA: KS. JAN URBAN T. J.

Druk ukończono 21 lutego 1923 r.

Wywożenie do Rosji polskiego mienia kulturalnego i jego zwrot obecny.

„Les manuscrits et les livres, les sculptures, peintures et objets de toute sorte, n'ont cessé, depuis l'antiquité, de jouer un rôle dans les relations internationales, tantôt comme presents destinés à faciliter ou à consacrer les négociations diplomatiques, tantôt comme rançon, tantôt encore comme trophées de la victoire“.

„Une Némésis est attachée à chaque de ces dépouilles; tôt ou tard, elles crient vengeance et tôt ou tard elles obtiennent une réparation“¹⁾.

Od wieków najdawniejszych, od czasów najgłębszej starożytności wszelkie zbiory rękopisów a następnie druków, archiwa, dzieła sztuki i wszelkiego rodzaju zabytki były stale przedmiotem rabunku wojennego, czy to pod postacią zwykłego rabunku indywidualnego, czy zaś pod postacią łupu wojennego, łupozorowanego jakimś prawem domniemanem zwycięzcy. Literatura europejska temu poświęcała już nieraz studia specjalne. Ogólny zarys dziejów tego rabunku daje Müntz, we wskazanej powyżej pracy, następnie Löher w swem dziele ogólnem, poświęconem archiwistyce²⁾ i ostatnio Gardthausen³⁾. W pracach tych autorów znajdziemy dostatecznie wyświetlone dzieje rabunków dzieł sztuki i bibliotek jak również wskazaną odnośną literaturę. Z tych autorów jeden tylko Gardthausen wspomina o rabunkach tego rodzaju na ziemiach polskich.

¹⁾ Müntz Eug. Les annexions de collections d'art ou de bibliothèques (Rev. d'hist. dipl. 1894, 481, 483).

²⁾ Archivlehre. Paderborn. 1890, str. 152, 181.

³⁾ Handbuch der wissenschaftlichen Bibliothekskunde. Leipzig 1920, str. 182 nst.

Nie będziemy tu szczegółowiej zastanawiali się nad przebiegiem dziejowym tej grabieży, ciekawy czytelnik sam dotrze do opracowań specjalnych. Aby jednak lepiej oświecić rabunek zbiorów polskich, wskażemy na wybitniejsze w tym zakresie momenty z życia Europy.

Müntz podkreśla, że pod tym względem Niemcy, Szwedzi i Hiszpanie w wiekach nowszych stwierdzili, że siła góruje nad prawem. Zbadanie poszczególnych wypadków stwierdzi, że nadużycie siły stoi znacznie wyżej, niż dyplomacja. Dowodem tego mogłyby być takie fakty, jak zburzenie biblioteki Palatynatu w Heidelbergu, bibliotek w Mantui, Pradze i kolekcij Gonzagów, domu Habsburgów, które nappełniły sklepik prawdziwie królewski.

W r. 1622 książę bawarski Maksymiljan, po zdobyciu Heidelbergu przez Tillego, zabrał całą bibliotekę Palatynatu i ofiarował ją papieżowi Grzegorzowi XV, wzamian za co otrzymał godność elektora. Grzegorz XV oceniał ten dar nie tylko podług jego wartości naukowej, lecz „uti victoriae monumentum“ i każdy tom dzieła był odznaczony napisem: „sum de bibliotheca, quam Heidelbergae capta, spoliū fecit, et P. M. Gregorio XV trophaeum misit Maximilianus“. Urban VIII na sali, poświęconej zbiorom Palatynatu, polecił położyć napis: „Urbanus VIII Pont. Max., complura Palatinae Bibliothecae volumina, nobilis Heidelbergicae victoriae manubias, Gregorio XV et apostolicae sedi a Maximiliano Bavariae duce donata Romam advexit“. Opinia publiczna nie mogła pogodzić się z faktem wywiezienia tej biblioteki i sprawę zwrotu poruszano stale. Tak już w r. 1632 jeden ze szwedzkich generałów zawołał, że ma nadzieję ze swym wojskiem dotrzeć do Włoch, by z Rzymu wywieźć z powrotem bibliotekę do Heidelbergu. W r. 1640 jeden z obrońców dynastji Palatyńskiej miał oświadczyć, że biblioteka heidelberska była zabrana przez Bawarczyków „sua et aeterna nominis Germanici ignominia“. W czasach późniejszych papież Pius VII zgodził się zwrócić bibliotece heidelberskiej 848 rękopisów niemieckich i 4 łacińskie, pozostawiając w bibliotece watykańskiej około 400 rękopisów greckich.

W r. 1630 wszystkich skutków strasznego rabunku i dewastacji zaznała Mantua, gdzie wojska cesarskie odznaczyły

się niezwykłą dzikością. Szwedzi swoją drogą rabowali bez skrupułów w w. XVII biblioteki w miastach zawojowanych i książki wraz z rękopisami z Pragi, Ołomuńca powędrowały do Stockholmu.

Traktat Westfalski miał zagoić te rany i postanowił: „*Restituantur et archiva et documenta litteraria, quae in dictis locis tempore occupationis reperta sunt et adhuc ibi salva reperiuntur*“.

Dla archiwów europejskich wogóle najszkodliwszym był czas rewolucji francuskiej, a głównie jej duch, który nienawidził ich zawartości. Potępiano te średniowieczne szpargały, zawierające same tylko prefensje feudalne, mające na celu ujarznienie słabego przez silniejszego i reguły polityczne, prawie zawsze sprzeczne z rozumem i sprawiedliwością, jak zaznaczył w r. 1793 francuski minister spraw wewnętrznych. Wtedy to tłum zniszczył archiwa w Strassburgu i innych miastach francuskich, by szlachcie i duchowieństwu odebrać dowody, dające możność upomnienia się o prawa swoje. Te idee wkrótce przedostały się i do Niemiec. Znaleźli się i tam ludzie, którzy nienawidzili przeszłość i w archiwach widzieli tylko świadków ucisku i niesprawiedliwości i dlatego nie przeszkadzali ich niszczeniu.

Najwięcej jednak szkody archiwom i bibliotekom zrobiły wojska napoleońskie. Francuscy żołnierze palili lub niszczyli archiwa nie tylko publiczne, lecz i prywatne całych rodzin magnackich. Zginęło bardzo wiele archiwów w chwilach ewakuacji ich, gdyż żołnierstwo francuskie niszczyło całe wozy napotykaných ewakuowanych archiwaljów. Sam Napoleon był sprawcą rabunku archiwów, bibliotek i wszelkiego rodzaju zbiorów zabytków muzealnych. Powziął on plan założenia w Paryżu wszechświatowego archiwum stosunków międzynarodowych. W tej myśli w latach 1810—1811 przewieziono do Paryża z samego archiwum watykańskiego 3.000 skrzyń z dokumentami. Stopniowo przyszła kolej i na inne archiwa europejskie: przewieziono do Paryża archiwa wielu miast włoskich, z Wiednia, Salzburga i innych miast niemieckich. Po restauracji wiele z tych zrabowanych archiwów wróciło na swe dawne miejsca, lecz wiele dokumentów i dotąd pozostało w Paryżu. Znakomity niemiecki

teoretyk archiwista, prof. Löher, w r. 1870 pisał do Bismarka do Wersalu, by zażądał od Francuzów zwrotu całej pozostałości. Wyższe względy ówczesnej dyplomacji niemieckiej stały na przeszkodzie zadosyćuczynieniu temu żądaniu — dodaje sam Löher ¹⁾.

Żaden jednak kraj nie tylko stosunkowo, lecz nawet bezwzględnie od takich rabunków tyle nie ucierpiał, co Polska. Rabunek zbiorów polskich rozpoczął się niemal jednocześnie z rabunkiem zbiorów Europy Zachodniej i Polska doświadczyła na sobie w mierze najwyższej skutków tych obyczajów wojennych. Rabowano i u nas nie tylko archiwa, biblioteki, muzea państwowe, lecz i zarazem prywatne.

Rabunek ten rozpoczął się bardzo wcześnie a był on właśnie wynikiem tych ogólnych pojęć o zdobyczy wojennej. Polskie archiwa, biblioteki i zbiory zabytków ulegały wszystkim rodzajom zdobyczy i rabunku, czy to podczas wojen czy zamieszek domowych. Zanim znikły klasztory i opactwa, średniowieczne przytułki i schroniska wiedzy, znikły ich biblioteki i archiwa. Znikły następnie i skurczyły się tworzone zapobiegliwością obywatelską jednostek zbiory publiczne naukowe lub artystyczne; porozdzielano i wywieziono w różne strony nie tylko nasze zbiory państwowe, ale i prywatne. Jeżeli rabunek zbiorów publicznych uważany był za zdobycz wojenną, idącą na rachunek zwycięzcy i należał do zjawisk dość zwykłych, to rabunek zbiorów prywatnych jest prostą grabieżą bez względu na to, czy się zdarza podczas wojny, zamieszki domowej, czy podczas pokoju ²⁾.

Systematyczny i planowy rabunek zbiorów polskich zapoczątkowali Szwedzi. Podług słusznego zdania Gardthausena — *kein Volk in dieser Beziehung mehr gesünder als die Schweden* ³⁾. Gustaw Adolf Szwedki założył w Upsali Akademię i postanowił stworzyć przy niej wspaniałą bibliotekę kosztem obcych, zrabowanych po całej Europie, najwspanialszych księgozbiorów. Podług Coljina ⁴⁾ — *die erste*

¹⁾ Löher: *Archivlehre* 181—184.

²⁾ Por. Korzeniowski J.: *Zapiski z rękopisów Ces. Bibl. Publ. w Petersburgu. Arch. do Dziejów ośw. i liter. Ak. Um. T. XI.*

³⁾ *Op. cit.* 185.

⁴⁾ *Katalog der Inkunabeln der Kgl. Universitäts-Bibliothek zu Upsala.*

fremde Bibliothek die auf diese Weise nach Upsala kam, war die des Jesuitenkollegium in Riga, welche bei Eroberung dieser Stadt in September 1621 während des livländischen Feldzuges erbeutet. W roku następnym sporządzono katalog ksiąg, przywiezionych z Rygi do Upsali, który wykazał 893 dzieł, prócz miscelaneów. W r. 1636 zabrali Szwedzi ogromnie cenną i doborową bibliotekę znów kolegium OO. Jezuitów w Brunsberdze, kolegium założonego przez Hozjusza. Jednocześnie wywieziono bibliotekę biskupią z Framborku, która zawierała między innymi książki ze zbiorów Kopernika z jego własnoręcznymi przypiskami. Z tych tylko dwóch bibliotek skatalogowano przeszło 2.000 dzieł. Podczas wojen Karola Gustawa (1656—1660) złupiono i zrabowano biblioteki poznańskie — Jezuitów i Bernardynów, w Wilnie — jezuicką, Bibliotekę królewską i archiwum koronne. Biblioteki, wywiezione za czasów tych dwóch królów, zostały otoczone staranną pieczą i chronione od wszelkiego zniszczenia. Inaczej działo się w czasach plondrowania po Polsce Karola XII. Wtedy zniszczono wprost biblioteki i archiwa i ksiąg archiwalnych używano na podściółkę dla koni. Dla Polski zwrot rzeczy, wywiezionych przez Szwedów, ustalał traktat Oliwski, który stanowił: *Restituentur quoque a parte Suedorum omnia archiva, acta publica, castrensia, iuridica, ecclesiastica, necnon bibliotheca regia, quae ex regno Poloniae et Magno Ducatu Lithuaniae evecta et quorum copia haberi possit* (art. IX). Dochodzenie zwrotu tych rzeczy rozpoczęło się niebawem po zawarciu pokoju ze Szwecją. Wiele jednak naszych rzeczy pozostaje tam dotąd. Szczegółowy wykaz tych pozostałości mamy nasamprzód w dziełach Colljina, poświęconych Inkunabłom, znajdującym się w szwedzkich bibliotekach, w jegoż sprawozdaniu niemieckiem, drukowanem w Krakowie¹⁾. Ostatnio zbiory polskie w Szwecji dokładnie zbadała ekspedycja naukowa Polskiej Akademji Umiejętności, która w r. 1914 wydała swe sprawozdanie, ułożone przez członków delegacji, pp. E. Barwińskiego, L. Birkenmayera i J. Łosia.

Po Szwedach rozpoczęli wkrótce wywożenie z Polski

¹⁾ Bericht über polnische Büchersammlungen in schwedischen Bibliotheken. Kr. 1911.

zbiorów różnorodnych zabytków Moskale. Ustaliło się przekonanie, które powtarza się do czasów ostatnich nawet w literaturze specjalnej, że sprawa ograbienia Polski w zakresie archiwów i mienia kulturalnego przez rząd carski schodzi się d o k ł a d n i e z datą pierwszego rozbioru Polski, t. j. z r. 1773 ¹⁾. Tymczasem masowe wywożenie przez rząd jeszcze carów moskiewskich rozpoczęło się o wiele wcześniej. Już w czasie wojen moskiewskich w w. XVII rabowano zbiory nasze. Co było od nas zrabowane i wywiezione w głąb do Rosji, dokładnie nie wiemy; niektóre wskazówki ogólne daje traktat Andruszowski z dnia 30 stycznia 1667 r. i memorjał posłów polskich do wykonania Paktów Andruszowskich Stanisława Kazimierza Bieniewskiego i Cyprjana Pawła Brzostowskiego.

Traktat stanowił:

Art. VIII. „Wszystkie pisma publiczne, także księgi grodzkie, ziemskie, trybunalskie i magdeburskie, przy tem sprawy, przywileje, metryki, także biblioteki i księgi kościelne i cerkiewne w Wilnie i inszych miastach, i na różnych miejscach, tak w Koronie jako w W. X. Lit. przez tę wojnę zabrane, cokolwiek ich się znaleźć będzie mogło i publicznych i prywatnych, osobliwie od powiatów i województw podczas wojny do J. Car. Wstwa z obietnicą poddaństwa odprawione, które przez terazniejsze traktaty kasują się i umarzają na wieczne czasy, nic przy sobie nie zachowując, wrócić i one zabrawszy najdalej sześciu miesięcy albo jak najprędzej zebrać się mogą, na miejsce pograniczne odesłać J. Car. Wstwo rozkaże, obwieściwszy JKról. Mci przez hramotę swą, żeby do odebrania tego wszystkiego dworzanina zesłał. A sprawy i księgi województw smoleńskiego i czernihowskiego i powiatu starodubowskiego, nie czekając przymiernych lat, w niedziel dwunastu po zaprzysiężonych paktach, którekolwiek znajdą się, zabrawszy, zesłanym od JKr. Mci dworzanom na pogranicznych miejscach, a województwa kijowskiego także sprawy i księgi za upomnieniem się JKr. Mci, przez hramotę oddane być mają“.

¹⁾ Por. K. Sochaniewicz. Sprawa rewindykacji archiwów i mienia kulturalnego Polski od Rosji. Warszawa 1921.

Art. IX. „A co się tknie różnego ochędóstwa i rzeczy kościelnych i cerkiewnych, Bogu na chwałę poświęconych, jakoto wszelkiego naczynia, świętości i relikwji, osobliwie sztuki drzewa Krzyża Św. w Lublinie wziętej, i różnych obrazów i ozdób kościelnych i cerkiewnych, to wszystko cokolwiek się zebrać w państwie JC. Mci będzie mogło, najdalej w roku jednym za obesłaniem się wielkich naszych Gospodarów powrócono będzie. O dzwony zasię z państwa JKr. Mci i Rzeczypospolitej, do państwa JCar. Wiel. Moskiewskiego wywiezione, na pierwszej komisji, przez wielkich z obu stron pełnomocnych posłów, do ukontentowania dohovor uczyniony ma być”¹⁾.

Posłowie polscy złożyli w Moskwie: „Memorjał względem dosyćuczynienia punktom w traktacie Andruszowskim opisanym“. W tym memorjale domagają się:

„Aby według punktu ósmego wydane były archiwa, akta publiczne, metryki, wszelkie biblioteki, księgi kościelne, cerkiewne, i prywatnych, osobliwie pisma i poselstwa z obietnicą poddaństwa odprawowane, żebyśmy to z sobą odwieźli, bo już termin oddania przyszedł. Także księgi województwa smoleńskiego i starodubowskiego, kijowskiego i czernihowskiego województw i Nowogrodka Siewierskiego. A my dla spisania i dla odebrania tego wszystkiego naznaczyć gotowi PP. Dworzan JKM.“

„Aby kościelne i cerkiewne naczynia, ochędóstwa i aparaty, więc świętości i relikwje śś., osobliwie ciało Św. Kalistrata w Smoleńsku, drzewo Krzyża Św. w Lublinie wzięte, i inne także obrazy różne, ołtarze z różnych kościołów i cerkwi zabrane, i dzwony, które się znajdują, nie czekając drugiej komisji, aby wrócone były, osobliwie obraz Najświętszej Panny w Wilnie wzięty od Dunców odesłany, także słupy mosiężne, złociste, wielkie, i osoby odlewane, tamże w Wilnie z kościoła Św. Kazimierza zabrane i z tegoż kościoła blachę miedzianą wziętą, ołtarz w cerkwi kucieńskiej i różne ochędóstwa cerkiewne aparaty i księgi. I w Połocku obrazy, ołtarze, dzwony, ochędóstwa zabrane, za tą okazją o pismo

¹⁾ Mtr. Kor. 206, f. 646. Przedrukował Hubert L. Pamiętniki historyczne. T. I. War. 1861, str. 110—111.

do Kijowa, żeby dzwon piński ojców Jezuitów za dowodem, że ich jest wydali, o pismo do Smoleńska, aby ojcom Jezuitom księgi i naczynia do schowania mieszczanom dane wrócić pozwolono. Przytem we Szkłowie idąc pod Wilno JCW. wziął dzwon we Szkłowie i kartę dał, że miał kazać powróciwszy wrócić, aby tedy ten dzwon wrócony był¹⁾.

Debaty o wypełnienie zobowiązań andruszowskich rozpoczęły się 2 listopada 1667. „Polskim posłom zdało się uczynić eksperyment na artykułach andruszowskich o ukontentowaniu wygnańców. Na to przedstawiciel carski Naszczekin, pomiejszawszy wszystkie stacje andruszowskie, konkludował, aby dawszy pokój traktatom andruszowskim, o wieczny pokój traktował²⁾. Po długich pertraktacjach 8 grudnia bardzo uroczyście oddano posłom polskim lubelską część drzewa Krzyża Św. i obraz Matki Boskiej, zabrany z Wilna. W archiwum Min. Spraw Zagr. w Moskwie dochował się urzędowy opis porządku oddawania. Przedrukował tamże Riabinin:

„6176-go (od stw. świata, 1667 po n. Chr.) dekabria w 8 deń welikij gosudar', car' i welikij kniaź Aleksiej Michajłowicz wsea welikija i małyja i biełyja. Rosii samoderżec izwolił czast drewa Kresta Christowa, czto wziat w Lublinie, a był na Moskwie w sobornoj apostolskoj cerkwi, i obraz Preswiatyja Bogorodicy, czto wziat w Wilnie, i stojał w monastyrie u Spasa na Simonowie w cerkwi po andrusowskomu posolskomu dogoworu i po posolskomu proszeniu s Moskwy otpustit' i otdał' polskim i litowskim welikim i połnomocnym posłom, da posłom że referendariu posłał' po jego czelobitju obraz preczystye Bogorodicy Kazanskije. I tegoż dnia, kak czast' drewa kresta Christowa i obraz preswiatye Bogorodicy Welikogo Gosudaria iz chorom ponesli, a obraz preswiatyeż Bogorodicy Kazanskije w to wremia wziat iz posolskiego prikazu. I Welikij Gosudar' izwolił prowadit' ot

¹⁾ Tekst polski tego memoriału, bez przekładu na język rosyjski przechowuje się w Moskwie w Archiwum Min. Spraw. Zagranicznych w dziale „Polskija Dieła 1667 g.“ N. 13. Przedrukował J. Riabinin: Relacja peczalnago razruszenija g. Lubliná 1656 g. Moskwa 1910. Izd. Obszcz. Istorii i Drenn.

²⁾ Hubert l. c.

chorom do Łobnogo miasta piesz, a czast' drewa kresta Christowa i obie ikony nesli swiaszczenniki... A prowadia welikij gosudar' do łobnogo miasta izwolił czast' drewa kresta Christowa i obie ikony otpustit' na posolskoj dwor z tym że czuadowskim archimandritom i so swiaszczenniki i s djakony, a otpustia ikony izwolił siesť w sani i itfi k sebie Welikomu Gosudariu¹⁾.

* * • *

Planowe a systematyczne wywożenie polskich zabytków i całych zbiorów kulturalnych do Rosji zbiega się rzeczywiście z datą pierwszego rozbioru. Już w r. 1772 generał rosyjski Bibikow wywiózł z Nieświeża cenną bibliotekę wraz z wielką ilością kosztowności i klejnotów rodzinnych domu Radziwiłłów. Książki i rękopisy przewieziono narazie do Petersburga, a następnie podzielono je pomiędzy różne zbiory Petersburga a nawet i Moskwy — najcenniejsze wydawnictwa dostały się Bibliotece Akademji Nauk. Tu do ostatnich czasów ze zbiorów nieświeskich przechowują niezmiernie ładne egzemplarze dzieł Reja: Wizerunek (ed. 1560 r.) i Zwierciadło in F-o, takie egzemplarze, jakich nie posiada żadna biblioteka polska. Wiele cennych rękopisów, a zwłaszcza kolekcja autografów, przekazane zostały petersburskiej Bibliotece Publicznej. Był to jednak tylko początek tej planowej akcji, zamierzonej na skalę bardzo szeroką przez państwa rozbiorowe. Od r. 1772 Polska stała się łupem tych mocarstw. Każde z nich gospodarowało w Polsce po swojemu, aby sparaliżować wysiłki narodu, pragnącego odzyskać dawną wolność. Fryderyk wywoził do Berlina, Józef II do Wiednia, aby tam ozdobić polskimi zbiorami swoje Nadworne Biblioteki. Prześcignęła wszakże w tej akcji swych sprzymierzeńców przyjaciółka wielkich filozofów w. XVIII, rosyjska Katarzyna II. 29 października 1794 zdobywa Suworów Warszawę a już 21 listopada t. r. Imperatorowa nakazuje mu wywieźć z Warszawy do Petersburga Bibliotekę Załuskich, Archiwum Koronne wraz z obiedwiema Metrykami — Koronną i Litewską,

¹⁾ Akta poselskie. Arch. Min. Spr. Zagr. w Moskwie. Wydał Riabinin op. cit. str. 9.

które podówczas stanowiły już jedną nierozdzieloną całość, z Archiwum Generale Regni. Suworów uznał za zdobycz wojenną wszystko, co dla Rosji było nie tylko symbolem zwycięstwa, lecz i źródłem dla materialnego i duchowego wzbogacenia się. To też dzisiejsze pokolenie rosyjskich uczonych umie ocenić doniosłość kulturalną dla nauki rosyjskiej naszych zbiorów o tyle, że zwrot ich uważa niemal za katastrofę dla swoich zbiorów i twierdzi śmiało i otwarcie wobec całego świata, że usunięcie polskich zbiorów z bibliotek rosyjskich będzie się równało ich zburzeniu i na to obmyślili termin bardzo dosadny — razruszenie sobranij, imiejuszczich mirowoje obszcze-czełowieczeskoje znaczenie!

Katastrofa 1794 przyniosła nam w następstwie pierwszy masowy i planowy rabunek i konfiskatę nie tylko państwowego lecz i prywatnego mienia kulturalnego. Nie zliczyć ofiar, jakie złożyliśmy na ołtarzu wolności, pisał w r. 1918 lwowski zakładnik wojenny, Dr. Aleksander Czołowski, w swym niezmiernie cennym memorjale o zabytkach polskich, wywiezionych do Rosji, złożonym Petersburskiej Komisji Likwidacyjnej. Za każdy poryw zbrojny, czytamy tamże, poza karą śmierci, więzienia lub katorgi dla uczestników walki, spadały kary i na cały naród w postaci kontrybucyj, rabunków i konfiskat mienia polskiego. Ogałano kraj z jego rodzimej kultury, zabierano z niego księgozbiory i archiwa, dzieła sztuki, wyroby artystyczne, przedmioty, mające wartość muzealną, pamiątkową lub historyczną. Obok tego, co wzięto jako trofea na polach bitew, konfiskowano każdą broń, jaką znajdowano w arsenałach państwowych, miejskich lub klasztornych, w zamkach magnatów i dworach szlacheckich. Zabierano wszystko bez względu na jakość, rodzaj lub wiek znalezionej broni, zabierano często pamiątki historyczne, niszczone nieraz je na miejscu lub wywożono w głąb Rosji.

Obok wywiezionej w r. 1794 do Rosji z Warszawy biblioteki Załuskich, która była jedną z największych podówczas w całej Europie, razem z jej skarbami rękopisów i rycin, obok zabranych bogatych archiwów ogólnopaństwowych i różnych dykasteryj, wraz ze zbiorami planów i map, poszło na łup wiele cennych przedmiotów z wewnętrznego

urządzenia zamku warszawskiego jak obrazy, rzeźby, meble, wyroby artystyczne. Uległ wtedy konfiskacie słynny wszechświatowy zbiór arrasów, a wśród nich znakomity cykl, znany pod ogólnem mianem — Potop ¹⁾. Z arsenału warszawskiego wtedy również zabrano, jako trofea wojenne, niezliczone polskie pamiątki historyczne, zwłaszcza działa, sięgające w. XVI, pamiątkową broń wszelkiego rodzaju, stare chorągwie, sztandary i t. p. Tą drogą dorobek kulturalny polski z końcem r. 1795 znalazł się nad Nową, więcej dla podniesienia uroku zwycięstwa, niż dla realnego pożytku narodu rosyjskiego.

Po tym pierwszym głównym etapie następuje drugi,

¹⁾ Pierwszą wiadomość o arrasach ze skarbca koronnego posiadamy od Orzechowskiego, który w swej książce o uroczystościach zaślubin Zygmunta Augusta z Katarzyną opisał je dość szczegółowo. Od tej daty kobierce te stały się przedmiotem ogólnego podziwu i nabrały wielkiego rozgłosu. Był to zbiór kobierców w ilości 24 sztuk, które król zakupił we Flandrii z powodu swego ślubu z Katarzyną i niemi były ozdobione komnaty królewskie na Wawelu. Kosztowały one na owe czasy sumę baczna — 100.000 czerwonych złotych. Wykonane one były podług kartonów, rysowanych przez któregoś ze współczesnych wielkich mistrzów. Przedstawiały sceny z Genezy i najwięcej na siebie zwracały uwagi współczesnych arrasów ze scenami Potopu. Stąd i cały zbiór otrzymał nazwę popularną — Potopu. Władysław IV z tego zbioru posłał papieżowi Urbanowi VIII trzy sztuki. Pozostały więc 21. I ta ilość dochowała się aż do koronacji Stanisława Augusta, kiedy 14 sierpnia wydano dla dekoracji komnat zamku warszawskiego Obicia Potopowego 21 sztuk, jak również i inne obicia i opony w liczbie ogólnej sztuk 156.

W r. 1794 z rozkazu Suworowa komendant Warszawy generał Buxhoevden wywiózł je, jako łup wojenny, do Petersburga. Tu ten zbiór przeleżał do roku 1861 zapakowany w magazynach pałacu taurydzkiego. W tym właśnie roku rozdano go do różnych miejsc — Potop do pałacu w Gątczynie, inne do Muzeum stajni nadwornej, niektóre do Akademii Sztuk Pięknych, inne do pałacu Zimowego, nareszcie resztę do dyrekcji teatrów cesarskich.

O istnieniu poza Potopem innych arrasów krążyły dotąd tylko niejasne wiadomości. Pierwszy je zbadał, dotarł do miejsca ich przechowywania w jesień r. 1917 dr. A. Czołowski i złożył o nich dokładną relację petersburskiej komisji likwidacyjnej; z tego właśnie memoriału i my czerpiemy nasze wskazówki.

Ze 150 sztuk, które były użyte podczas koronacji Stanisława Augusta, odnaleziono i już przywieziono do Warszawy 125 sztuk, w tej liczbie 101 szpalerów dużych i 14 kawałków mniejszych.

podobnie katastrofalny dla kultury polskiej, po roku 1831. Wszystko, co naród od ostatniego rozbioru do tej chwili stworzył z największym wysiłkiem, wszystko, co było owocem długiej ogólnej pracy usilnej całego narodu i jego bezgranicznej ofiarności, wszystko to jednym ukazem Mikołaja I, mszczącego się za defronizację, zostało wydarte narodowi. Z rozkazu Mikołaja dwie instytucje warszawskie, przynoszące chlubę krajowi — Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Królewski Uniwersytet przestały istnieć, a ich zbiory biblioteczne i muzealne, rękopiśmienne, artystyczne, pamiątkowe, przyrodnicze skonfiskowano i poszły one znowu nad Nową w setkach pak. Zamek warszawski ponownie ogołocono z dalszych pamiątek historycznych, artystycznych, z portretów, obrazów, rzeźb i t. d. Ile tego rodzaju rzeczy zabrano osobom prywatnym w kraju, ile ich zniszczono lub uszkodzono bezmyślnie — tego dziś nikt nie jest w stanie zliczyć!

Uprzypomnijmy sobie dla przykładu, choćby tylko najcenniejsze z tego etapu.

Do petersburskiego Ermitażu oddano:

Z Towarzystwa Przyjaciół Nauk słynną zbrojownię generała Dąbrowskiego, która w połączeniu z innemi okazami, również zabranami, tworzyła zbiór, będący główną ozdobą i atrakcją jego muzeum. A były tam pełne zbroje, półzbroje, pancerze, hełmy, koszulki druciane, karabele, buławy, budygany, chorągwie, pamiątki z walk Kościuszkowskich, po legjonach i inne liczne pamiątki nawet po samym generale. Jest tu również olbrzymia chorągiew Kara Mustafy, zdobyta pod Wiedniem przez Sobieskiego i przez niego przesłana do Loreto, a przez Napoleona darowana Dąbrowskiemu. Są tu i działa z różnych epok.

Ze zbiorów tegoż T-wa otrzymał Ermitaż najkompletniejszy ze wszystkich zbiorów polskich, zbiór monet i medali. Do tego dołączony został skonfiskowany w r. 1831 zbiór numizmatyczny Warszawskiego Gabinetu Numizmatycznego, zawierający 18.113 sztuk, z których część, jako dublety, Ermitaż oddał Akademii Nauk.

Do zbiorów Ermitażu weszła przeważna część monet i medali T-wa Przyjaciół Nauk.

Po r. 1831 do Akademji Sztuk Pięknych przekazano również z T-wa Przyjaciół Nauk:

Dwa popiersia marmurowe pierwszych prezesów T-wa: Biskupa Albertrandy'ego i Stanisława Staszica; zbiór płyt miedziorytniczych w ilości 486 sztuk; z nich jedne przedstawiają medale polskie, przygotowane jako ilustracje do zamierzonego przez T-wo wydania dzieła Albertrandy'ego — O medalach polskich; następnie płyty do rycin, zawartych w wydaniu z r. 1818 *Śpiewów Historycznych Niemcewicz*; 492 pieczęcie, oderwane od starych pergaminów od w. XIII, polskie i obce, darowane T-wu przez ministra F. Łubieńskiego; zbiór monet starożytnych rzymskich i bizantyńskich, wykopanych przeważnie na ziemiach polskich w ilości 1386 sztuk; 149 sztuk stalowych stempli do wybijania monet i medali polskich z czasów panowania Stanisława Augusta.

Akademja Nauk otrzymała z Ermitażu, jako jego dublety, część zbioru Gabinetu Numizmatycznego Uniwersytetu warszawskiego, przeważnie polskich i nieco starożytnych w ilości 6.864 sztuk.

W Moskwie berło akwamarynowe w złoto oprawne Stanisława Augusta oddano do Orużejnej Pałaty w r. 1795. Po r. 1831 także złożono szereg portretów i obrazów: dwadzieścia dwa portrety królów polskich od Bolesława Chrobrego do Augusta III pędzla Bacciarelliego; dziewięć portretów znakomitych mężów polskich; siedm portretów monarchów, panujących współcześnie ze Stanisławem Augustem; dwadzieścia dwa popiersi naturalnej wielkości znakomitych mężów polskich. Wszystko to wzięto z zamku warszawskiego, jako trofea, w r. 1832. Z T-wa Prz. Nauk: czterdzieści portretów królów polskich od Mieszka I do Fryderyka Augusta księcia Warszawskiego; portret Fryderyka Augusta, trzymającego w ręku dyplom dla T-wa Prz. N.; obraz olejny, przedstawiający zaręczyny elektora bawarskiego Karola z Anną, córką Augusta III; drzewo genealogiczne Piastów z licznemi herbami i napisami z początku w. XVIII; trzy obrazy olejne, przedstawiające zaręczyny, wjazd do Moskwy i koronację Maryny Mniszchówny; obraz pędzla w. XVIII, przedstawiający wjazd Janusza Radziwiłła do Kijowa w r. 1651.

Z innych różnych miejsc zabrano: z Izby Skarbowej

Warszawskiej — koronę, jabłko i miecz roboty warszawskiej z warszawskiego obchodu żałobnego pogrzebu Aleksandra I; trzydzieści siedm chorągwi polskich z arsenału warszawskiego. W r. 1877 wywieziono z Chełma, z katedry unickiej, antepedjum srebrne z wykutym obrazem, przedstawiającym hołd Jana Kazimierza i wszystkich stanów Rzplitej przed obrazem Matki Boskiej Chełmskiej po zwycięstwie pod Beresteczkiem — votum króla dla katedry Chełmskiej

* * *

Rok 1863—4, to trzeci etap klęsk narodowych, który dopełnił ich miary, w dalszym ciągu w sposób podobny umniejszył w całym kraju skarbnicę narodowej kultury i zawisł nad nią złowrogiem brzemieniem.

Z tego okresu dochowała się znaczna ilość przedmiotów, świadczących naocznie o dziejach naszych walk niepodległościowych i są one naocznymi świadkami naszej długiej martyrologji. Przechowuje je Muzeum Historyczne artylerji (Artilerijskij istoriczeskij muzej) w Petersburgu w fortecy petropawłowskiej we wschodnim skrzydle arsenału. Pamiątki te w r. 1917 [zrejestrował Dr. A. Czołowski. Podług jego relacji dochowały się do tego czasu m. in. następujące przedmioty:

Amarantowa chorągiew jedwabna — z jednej strony orzeł biały, z drugiej symbole męczeństwa i wyszyty rok 1861, Chorągiew prawdopodobnie z czasów manifestacyi narodowych, przywieziona z Warszawy w r. 1861. Następnie szereg chorągwi powstańczych, z pomiędzy nich 24 dobrze stosunkowo zachowanych. Wszystkie skromne z wyglądu, często (jak świadczy Dr. Czołowski, który je oglądał) wykonane naiwnie, niewprawną ręką polskich patryotek, a ileż budzą wspomnień z minionej martyrologji narodu, woła Dr. Cz.! Na przeważnie amarantowych tkaninach większej ich części widnieją z jednej strony orły, pogonie, a na tych, co pochodzą z Rusi i św. Michał. Z drugiej strony obraz Bogarodzicy Częstochowskiej lub godła wiary, nadziei i miłości. Poza tem — krzyże, wieńce cierniowe, gałązki palmowe, kowtice, kajdany. Do tego dostrajają się napisy patryjotyczne: Boże, zbaw Polskę, Pod Twoją obronę, lub: wolność, rów-

ność, niepodległość. Na sztandarze kawaleryjskim — W imię Boga zwalczym wroga. Na niektórych z tych chorągwi do-
tąd widoczne są ślady krwi, co nawet zaznaczono w urzędowym inwentarzu, w którym przy wielu podano szczegóły i daty, gdzie i kiedy były wzięte: z pod Sołowijówki w krwawej tragedji 26 kwietnia 1863 r. od powstańców ukraińskich; są i inne z Rusi i Litwy — z pod Pohrebyszcz, Trojanowa, z puszczy Białowieskiej, borów litewskich... Obok chorągwi różnych oddziałów jest tu wiele i innych pamiątek po powstańcach: są proporce ułańskie nieraz zaschłą krwią zbroszczone, są karabiny, kosy, wbite pionowo na drzewca, szable kawaleryjskie, lance, pistolety, rogatywki i czapki powstańcze; pasy, szarfy, noże, lunety i t. d. Wszystko to zapisano jako trofea polskiej kampanji r. 1863. Spis tych rzeczy detaliczny, sporządzony po francusku, nosi tytuł: *Insurgés polonais 1863. Armes, drapeaux, objets divers pris dans combats livrés aux insurgés polonais dans l'année 1863*. Wszystkie pomienione pamiątki w r. 1863 znalazł Dr. Czołowski prawie w całości.

* * *

Ale, jak się wyraża Müntz: *Une Némésis est attachée à chacune de ces dépouilles; tôt ou tard, elles crient vengeance, et tôt ou tard, elles obtiennent une réparation, parce que de telles conquêtes sont plus encore qu'un affront fait à une génération (celles-ci passent vite et oublient plus encore!): c'est une atteinte portée à l'ensemble des traditions qui s'incarnent dans un peuple. Aussi les nations civilisées les ont-elles irrévocablement condamnées*¹⁾.

Ledwo ćwierć wieku upłynęło od czasu, jak Müntz wypowiedział te słowa, a Nemezis dziejowa pozwoliła i nam zawołać o reparację (że użyjemy jego wyrażenia) naszych krzywd, tego afrontu, zadanego nie jednemu naszemu pokoleniu, lecz całemu narodowi. Runął jeden tron zaborczy, a zaraz Ursus ligijski zgniótł tura germańskiego i oswobodził przywiązaną do jego rogów z rozkazu despoty Ligję-

¹⁾ Müntz. *Les annexions de collections d'art ou de bibliothèques. Revue d'hist. dipl.* 1894—5, 483.]

Laszkę. Stało się — o co walczyły pokolenia naszych przadków, o czym prorokowali natchnieni wieszczowie i kapłani męczennicy.

Przyszła luty roku 1917 i już mogliśmy myśleć o reparacji naszych strat. Pierwszym etapem było stworzenie za inicjatywą mecenasa Aleksandra Lednickiego w Petersburgu Mieszanej Komisji Likwidacyjnej, która zajęła się inwentaryzacją tych zabytków, które winny być nam zwrócone. W październiku już zapadła uchwała o zwrocie polskiej stronie Komisji Likwidacyjnej zabytków polskich, wywiezionych do Rosji od roku 1772, a tu następuje przewrót tak zwany bolszewicki i cała sprawa narazie upadła. Trzeba było nowego cudu, już nie pomocy Nemezydy, lecz cudu pod Warszawą. Ten cud pod Warszawą stworzył drugi etap w rewindykacji zabytków naszych. Doprowadził nas przez Mińsk do Rygi, z początku do tak zwanych preliminarjów, a następnie do ostatecznego spisania traktatu pokojowego, który podpisany został w Rydze dnia 18 marca 1921 roku. Na tej konferencji pokojowej sprawa zwrotu zabytków była jedną z najtrudniejszych. Cały jej przebieg, a głównie jej moment decydujący, opisał dokładnie profesor Wł. Semkowicz, jeden z bardzo dzielnych i energicznych bojowników o zwrot zabranego nam mienia kulturalnego¹⁾. Prof. Semkowicz zaprotokółował z tych ciężkich obrad jeden moment, który nazwał tragikomicznym. Przy końcu pierwszego zaraz posiedzenia prezes strony polskiej, p. J. Dąbski, kategorycznie odrzucił żądania strony rosyjskiej, wtedy prezes strony rosyjsko-ukraińskiej, Adolf Joffe, rozdrażniony zapytał: czy przemówienie szanownego przewodniczącego strony polskiej mam rozumieć, że jeśli nie ustąpicie nam w tym punkcie, to zezwalacie nam na wyciągnięcie armat? Dąbski na to odciął: Prosimy — możemy to przyjąć, zażrzmia armaty. Zapanoowało milczenie, które obecnym wydało się nieskończenie długiem, poczem Joffe zamiast odpowiedzi armatami przyciszonym głosem zagadnął: a kiedy się odbędzie posiedzenie następne.

Mocą art. XI tego traktatu Rosja zobowiązała się zwrócić Polsce wszystkie zabytki, wywiezione z Polski od

¹⁾ Por. Sprawa rewindykacji zabytków. Głos Narodu 1921 i osobno.

dnia 1 stycznia 1772 r., a także przekazać Polsce wszystkie akta, powstałe w Rosji podczas zarządu rosyjskiego ziemiami, które weszły obecnie w skład państwa polskiego i tyczą się tych właśnie ziem.

Artykuł ten wywołał w Rosji straszne oburzenie. Świat naukowy rosyjski nie protestował z powodu zwrócenia Polsce krajów, które całe pokolenia, wychowane w Rosji w ideach różnych łłowajskich, uważały za rdzennie (istinnie) rosyjskie; nie uskarżał się na wypłatę Polsce milionów rubli w złocie, na oddanie taboru kolejowego, zaprotestował ten świat naukowy jedynie przeciwko zwrotowi Polsce zabranych jej niegdyś zabytków kulturalnych. Oddanie bowiem ich Polsce, zdaniem rosyjskich uczonych, zburzyłoby kolekcje rosyjskie, mające wszechświatowe znaczenie kulturalne. Co za tragizm dla strony rosyjskiej i co za zaszczyt dla polskiej kultury końca w. XVIII i pierwszej połowy XIX! Usunięcie tych zbiorów burzy (razruszajet) skarbnice rosyjskie (sokrowiszcznicy) wszechświatowego znaczenia. I tak, zdaniem tych głosów, Rosja od r. 1772 do 1921 tak mało sama zrobiła dla siebie, że z usunięciem polskich zbiorów nastąpi ruina ich największych skarbnic kulturalnych, jak np. Biblioteka Publiczna i Ermitaż w Petersburgu!

Pierwszy zaprotestował Uniwersytet petersburski, który przyjął art. XI traktatu ryskiego z uczuciem głębokiego żalu, pragnąłby ufać, że strona, zgłaszająca takie żądanie, na jakie jej zezwala traktat, zachowa wszelką miarę ostrożności ze względu na znaczenie tego mienia (t. j. mienia zabranego Polsce) dla kultury światowej i na godność narodu, do którego mienia kulturalnego ten artykuł będzie stosowany. Uniwersytet petersburski jest już zreformowany według nowej zasady naukowej, odrzucił więc przesady zachłanne dawnej burżuazyjnej nauki prawa — nie ma wydziału prawa, więc już na samym początku memoriału swego stwierdza, że zupełnie nie porusza strony prawnej art. XI traktatu, gdyż akty, podobne do tego, jaki zaleca art. XI traktatu, są oddawna osądzone z punktu widzenia nauki i kultury światowej. Zawiera on, zdaniem petersburskich uczonych, groźbę operacji tem cięższej i w wielu wypadkach tem niebezpieczniejszej, że będzie ona musiała

wyrwać z żywego ciała organicznie zrośnięte z niem części. Najlepiej to zobrazuje, zdaniem tych panów, zwrot Polsce Biblioteki Załuskich. To wywiezienie jest faktem, którego w swoim czasie nie usprawiedliwiłby żaden bezstronny uczony. Ten jednak zbiór przechowywany jest w Petersburskiej Bibliotece w przeciągu przeszło stu lat. Operacja więc nad Biblioteką publiczną, wynikająca z art. XI traktatu na długi czas obróci żywy organizm naukowy w martwy chaos, zamknie na długo drogi ruchu naukowego! Zostanie zadany nowy cios tej nowej odrodzonej Rosji, której jednym z pierwszych czynów było przywrócenie wolności narodowi polskiemu!

Taką patetyczną odezwę Uniwersytet petersburski zamyka następującą apostrofą do Polaków:

„Szczęście jest zmienne w niepewnych losach wojny.. Prawa i godność zwycięzców i zwyciężonych chwieją się na nie zrównoważonych jeszcze szalach, są one oceniane subiektywnie i zmienne. I szczęście tego narodu i rządu, które potrafią w zapale zwycięstwa wznieść się ponad osądzone przez historję pokusy i stanąć na wysokości interesów kultury światowej, które potrafią, przyznając niepisane prawa narodu-rywala, powstrzymać się od czynów, które wzbudzą w sercu tego rywala uczucie ciężkiej zniewagi.

Słowa te, dodamy od siebie, wystylizowała kobieta, pani Olga Antonowna Dobijas-Roźdestwenskaja, profesor historii wieków średnich na Uniwersytecie petersburskim ¹⁾.

Dla rewindykacji należnego Polsce podług traktatu mienia ustaloną została w Moskwie Komisja, która nosi miano urzędowe: Mieszana i Specjalna, dwa działy zjednoczone jedną osobą przewodniczącego. Komisja specjalna ma za zadanie wyrewindykowanie mienia kulturalnego, omówionego w art. XI, t. j. wydostanie wszystkiego, co z dawnych zabytków było wywiezione z Polski i otrzymanie tych archiwów, które zawierają akta rosyjskich urzędów, dotyczące Polski i powstałe w Rosji, jako wynik rosyjskiego urzędowania w Polsce. Najłatwiej poszło z rzeczami ewakuowanymi z Polski podczas wojny ostatniej. Te, chociaż z pewnym opo-

¹⁾ Memorjał ten przedrukowała petersburska Akademia Nauk, w wydawnictwie: Russkij Istoniczeskij żurnał, nr. 7 (r. 1921) str. 226—228.

rem, zgodzono się zwrócić i ponieważ one już wróciły do kraju. Są to tego rodzaju rzeczy, jak np. akta krótkotrwałej b. gubernji Chełmskiej. W części większej wróciły one do Lublina, a z niemi biust z bronzu Mikołaja II, co miał upiększyć jedno z miast męczeńskiej Chełmszczyzny. Następnie — akta gubernialne innych gubernij Królestwa Polskiego; akta Izb skarbowych; Kancelarji warszawskiego Generał-gubernatora; część archiwów urzędów, ustanowionych w Rosji dla spraw Królestwa, jak np. archiwum sekretarjatu Stanu; archiwalia, wypożyczone do Rosji z Archiwum skarbowego w Warszawie; akta Zarządu Tow. Wzajemnych ubezpieczeń, archiwum orderów Orła Białego i Św. Stanisława; akta, mapy i plany Zarządu Dóbr państwowych; akta Komisji Emerytalnej, Apanaży-Zarządu Białowieskiego i Łowickiego; Izby Kontroli gubernij Warszawskiej, Łomżyńskiej, Lubelskiej i Grodzieńskiej; majątków duchownych; Archiwum Skarbu Królestwa; akta Magistratu m. Warszawy; księgi, akta i urządzenia laboratoryjne Politechniki warszawskiej; mienie szkół średnich, początkowych, zawodowych Królestwa; mienie warszawskiego urzędu probierczego; biblioteka i archiwum warszawskiej cenzury.

Dalej następuje szereg zbiorów i przedmiotów o cechach kulturalnych. Z nich wysłano do kraju: mienie zamku warszawskiego i Łazienek; dzwony i przedmioty kultu religijnego; zbiory polskiego T-wa Opieki nad zabytkami; zbiory, ofiarowane krajowi przez prof. St. Krosnowskiego (17 wagonów); przedmioty pochodzenia polskiego z Orużejnej Pałaty w Moskwie; Pomnik księcia Józefa Poniatowskiego; arrasy z zamku Wawelskiego — 161 całych szpalerów i 14 kawałków, 24 cztery głowy rzeźbione z sali poselskiej na Wawelu, oraz część gzymsu z napisem; 22 obrazy Canaletto; szereg obiektów muzealnych, zdeponowanych w Muzeum Historycznem w Moskwie; trofea polskie z muzeum artyleryjskiego; armaty z Arsenału wojennego; trofea polskie z Muzeum Suworowa w Petersburgu; 2 chorągwie, 7 orłów i 2 sztandary, przechowywane niegdyś w soborze kazańskim w Petersburgu; popiersia marmurowe Albertarandy'ego i Staszica; obraz Simmlera — Śmierć bł. Józafata Kuncewicza; z Ermitażu — 5 obrazów świętych z Łazienek; z Akademji Sztuk Pięknych:

486 płyt rytowniczych, 1386 medali i monet, 492 pieczęcie, 185 stampili do bicia monet i medali; zbiory Suwalskiego Muzeum Krajoznawczego; zbiory Branickich z Rosi pod Wołkowyskiem.

Wszystko to po niemal całorocznej pracy zdołano uzyskać do miesiąca września roku 1922. Pozostawała, zdawało się drobnostka — uzyskanie zbiorów bibliotecznych i archiwałów historycznych, wywiezionych po r. 1772. Polska strona w marcu 1922 r. złożyła stronie rosyjskiej memorandum w sprawie zwrotu rękopisów i książek pochodzenia polskiego, przechowywanych w petersburskiej bibliotece Publicznej i innych zbiorach rosyjskich. Memorandum zostało napisane przez Dra Stefana Rygla. Na to strona rosyjska dała odpowiedź ledwo we wrześniu roku 1922, w której to rozwodząc się długo i szeroko, odmówiła wręcz wydania czegoś z biblioteki publicznej, gdyż oddanie nam tego, co my żądamy, zburzyłoby skarbnicę o wszechświatowym znaczeniu kulturalnem¹⁾.

Debaty nad tą sprawą wyznaczono na 13 września. Strona rosyjsko-ukraińska zmobilizowała swoje wielkie powagi naukowe, jakie się jeszcze uchowały w Rosji. Od Akademii Nauk przybył jej sekretarz generalny, najlepszy w Rosji sanskrytolog, doskonały znawca bibliotek niemal całego świata, profesor S. Oldenburg; od uniwersytetu petersburskiego profesorowie: Płatonow, najlepszy obecnie historyk Rosji, Pergament, profesor prawa cywilnego, pani O. Dobjaś-Roźdestwenskaja, profesor historii średniowiecznej, autorka osławionego memoriału uniwersytetu petersburskiego; od Ermitażu sam dyrektor, p. Trojnickij, od Biblioteki Publicznej vice-dyrektor A. Braudo. Moskwę przedstawiali: dyrektor archiwum ministerstwa sprawiedliwości, sumienny badacz dziejów Litwy, profesor moskiewskiego uniwersytetu M. Lubawskij; archiwum Min. Spraw Zagranicznych dyrektor Bogojawlenskij. Od Ukrainy przybył rektor uniwersytetu kijowskiego Łoboda; od Białorusi — rektor uniwersytetu w Mińsku, Piczeta, zajmujący się historją Litwy.

¹⁾ Przebieg walki o zwrot mienia kulturalnego omówił prof. M. Handelsman, w Przeglądzie Współczesnym Nr. 7-8 r. 1922 str. 267-278 i p. S. w Tygod. Ilustrowanym N. 1 — rok 1923.

Do pomocy prawnej profesorowi Pergamentowi dodano prawnika moskiewskiego p. Möbel i przez to miała być wzmocniona ekspertyza prawna.

Ze strony polskiej występowali najsamprzód członkowie stali Komisji: prezes minister pełnomocny p. Antoni Olszewski, dyrektor Edward Kuntze i Dr. Stefan Rygiel, doradca prawny mecenas W. Krypski; następnie zaproszeni ad hoc dyrektor Zakładu Im. Ossolińskich p. Ludwik Bernacki, dyrektor Archiwum głównego w Warszawie Dr. Józef Siemieński, profesorowie — p. Marcelli Handelsman, z Warszawy, Stanisław Turowski — z Krakowa i podpisany niżej — z Lublina; pozatem panowie Zygmunt Mocarski i Stefan Pomarański — z Warszawy.

Pertraktacje rozpoczęły się od odczytania przez vice-dyrektora petersburskiej Biblioteki Publicznej p. Aleksandra Braudo memorandum rosyjsko-ukraińskiej ekspertyzy naukowej w sprawie zwrotu Polsce polskich rękopisów i druków z Biblioteki Publicznej, jako odpowiedź na memorandum polskie. Czytanie, znanego wszystkim obecnym, długiego referatu mocno znużyło słuchaczy i zajęło bardzo wiele czasu. Referat zawierał bardzo wiele akcydentaljów i nie rozpatrywał kwestji pod kątem widzenia traktatu. Zadrasnął tyle pobocznych spraw i do tego w tonie ubliżającym godności naukowej i mocno mijając się z prawdą dziejową, że i z naszej strony musiał wywołać w czasie właściwym repliki odpowiednie, zupełnie zbyteczne, gdyby nie konieczność odparowania niewłaściwych i niezgodnych do tego z rzeczywistością twierdzeń.

Ostateczny jednak wniosek rosyjskiej ekspertyzy był ten, że z Biblioteki Publicznej z punktu widzenia ekspertyzy nic nie powinno być wydane Polsce.

Po p. Braudo kolejno przemawiali rosyjscy rzeczoznawcy, którzy „z punktu widzenia nauki wszechświatowej“, a prawnicy z punktu widzenia prawnego jednogłośnie oświadczyli, że z Biblioteki Publicznej nic nie może być wydane, gdyż usunięcie z niej zbiorów polskich zburzy całość tej biblioteki, a ona jest skarbnicą wszechświatowego znaczenia kulturalnego. — Przytem traktat ryski uroczyście wobec całego świata promulgował doniosłą i mądrą zasadę, że „usyste-

matyzowane, naukowo opracowane i zamknięte kolekcje, stanowiące podstawę zbioru o wszechświatowym znaczeniu kulturalnem nie powinny podlegać zburzeniu" (art. XI p. 7). Biblioteka zaś publiczna jest takim zbiorem, a polskie kolekcje stanowią jej podstawę i chociaż one nie są jeszcze usystematyzowane, naukowo opracowane i zamknięte, nie mogą jednak być tknięte. Następnie długo mówili o tem, co należy rozumieć pod przedmiotem, mającym związek ścisły z kulturą Polski. I tu bawiono się długo tem, co ma oznaczać w traktacie wyraz „ściśły“?!

Po mowach rosyjskich zabrali głos rzeczoznawcy polscy i trzymając się w granicach ściśle naukowych, starali się wyjaśnić stronie rosyjskiej jej błędne z punktu widzenia naukowego zapatrywanie. Ta nasza spokojna i naukowa ekspertyza mocno nie zadowolniła stronę rosyjską, a że nie mieli racji, więc udali obrażonego Jowisza i na nas się zagrywali; po krótkich wszakże dąsach poszli do Kanosy i zaczęli z nami gadać w tonie: porozumiejmy się, zobaczymy, co my moglibyśmy wam dać, i co wy moglibyście nam ustąpić. Weźmy dla próby katalog Korzeniowskiego i przejrzyjmy go po kolei liczba po liczbie. Będzie to rozmowa próbna nie obowiązująca dla żadnej strony". Myśmy się zgodzili na taką pogadankę próbną, lecz z niej nic nie wyszło. Oto przykład — książka pochodzi ze zbioru polskiego, lecz to jest dzieło obce kulturze polskiej i do tego przywiezione z Koncylium bazylejskiego, więc nie potrzebuje wracać do Polski. Albo oto mszały, brewjarze katolickie, prawda, że one przepisane są w Polsce, a może nawet w Krakowie, lecz są one wynikiem kultury europejskiej a nie polskiej, nawet jeżeli przystosowane były do warunków miejscowych. Albo patrzcie, macie Gesta Romanorum, prawda rękopis pochodzi od was, przepisany u was, lecz nie jest on wynikiem waszej, lecz europejskiej kultury itp..

Po takich próbach nie mogliśmy dalej prowadzić tej miłej pogawędki, choćby nawet z tak uczoną medjowistką, jak pani Dobijasz. Złożyliśmy deklarację, w której w formie grzecznej lecz stanowczej zaznaczyliśmy nasz protest kategoryczny z powodu zupełnego bałatelizowania przez stronę

rosyjską wymagań p. 7 art. XI, że fakt ustalenia określenia, co się ma pojmować pod słowami: ścisły związek z historją i kulturą Polski, nie powinien przesądzać w żadnej mierze kwestji o granicach zastosowania tego punktu, że stwierdzamy, iż strona rosyjsko-ukraińska szczegółowo nie wypracowała określenia, co pojmuje pod temi słowami. Z tych powodów polska ekspertyza proponuje ekspertyzie rosyjsko-ukraińskiej wypowiedzieć się, jakie kolekcje w Bibliotece Publicznej ona uważa za odpowiadające wymaganiom p. 7, t.j. usystematyzowane, naukowo opracowane, zamknięte i stanowiące podstawę tej biblioteki, i po tem tylko będziemy mogli przystąpić do omówienia wspólnego tej kwestji, i w granicach p. 7 traktatu ustalić postulaty, które podług opinji obu stron mogą charakteryzować pojęcie o związku ścisłym z historją i kulturą Polski.

Na tę naszą deklarację odpowiedzi od rosyjskich rzeczoznawców nie otrzymaliśmy i faktycznie na tem praca polskiej ekspertyzy naukowej się zakończyła i sprawa weszła w stadjum wykonania przez samą komisję. Tu znowu rozpoczęły się długotrwałe, nużące, drobiazgowe omawiania, które doprowadziły do możliwie pomyślnego dla Polski wyniku.

Kiedy na początku nie chciano nic oddać, w końcu zgodzono się zostawić to tylko, co dla Biblioteki Publicznej jest niezbędne i co za obopólną zgodą może być jej pozostawione lecz za ekwiwalent w przedmiocie równej wartości naukowej lub artystycznej. W ten sposób niektóre nasze przedmioty za zgodą naszych rzeczoznawców pozostaną w bibliotece na miejscu, my zaś otrzymamy inny przedmiot równej wartości naukowej lub artystycznej, t.j. według tej zasady powinniśmy dostać tyleż przedmiotów, ile różnemi czasy od nas wywieziono, choćby i nie te same, lecz takiej samej wartości.

* * *

Największa część naszych zbiorów bibliotecznych wsiąknęła do petersburskiej Biblioteki Publicznej, zainicjowanej przez Katarzynę II tuż po trzecim podziale. Podstawą tej biblioteki stała się warszawska biblioteka publiczna im. Załuskich.

W r. 1809 zrobiono urzędowy obrachunek tego, co pozostało ze zbiorów Bibl. Zał. i znaleziono wtedy (już po niejednokrotnych zmiennych jej losach) ogółem tomów 238.633 dzieł w rozmaitych językach. Najwięcej było łacińskich — 64,480 tt., francuskich 36.101, niemieckich — 24.735, włoskich 9.692, angielskich — 5.734, polskich — 5.513; reszta w najrozmaitszych językach, jako to i holenderskim, greckim, hiszpańskim, portugalskim, hebrajskim (539), ruskim i słowiańskim — 8 i nawet we wschodnich — 175. Ponadto rękopisów około 12.000; sztychów — 25.574; zbiór portretów, oprawionych w 152 tomach.

Drugim naszym wielkim zbiorem, co wsiąknął również do tejże biblioteki, był zbiór warszawskiej Biblioteki Publicznej. Z tej biblioteki podług urzędowego wykazu wywieziono do Petersburga — 100.941 tt., w tem — inkunabułów (druków do r. 1500) 6.118 i rękopisów — 1837.

Trzecim większym naszym zbiorem, przekazanym do tejże biblioteki, są zbiory T-wa Przyjaciół nauk w Warszawie. Podług urzędowego sprawozdania Biblioteki Publicznej przywieziono do Petersburga 26.505 ksiąg oprawnych i 364 rękopisy. Część rękopisów przekazano już w Petersburgu bibliotece Sztabu Głównego; część książek zwrócono z rozkazu Paskiewicza bibliotece Uniwersytetu warszawskiego.

Czwartą grupą była stosunkowo nie wielka ilość rękopisów i ksiąg drukowanych z biblioteki uniwersytetu wileńskiego po jego kasacie.

Dalej idą zbiory prywatne, zwożone tu z miejsc najrozmaitszych. Pierwsze miejsce zajęły tu zbiory radziwiłłowskie z Nieświeża, przywiezione do Petersburga jeszcze w r. 1772. Nie posiadamy liczby dokładnej tego, co weszło do Biblioteki Publicznej. Liczba książek drukowanych dochodzić musiała do 20.000 tt., pozatem znaczna ilość rękopisów, a wśród nich wiele autografów, szczególnie liczna korespondencja królów i wybitnych osób politycznych z Radziwiłłami. Wraz z konfiskatą majątków osób prywatnych po r. 1832 przywieziono do Bibl. Pub. takie zbiory, jak Czartoryskich z Puław, Eustachego Sapiehy z Dereczyna gubernji grodzieńskiej, Wacława Rzewuskiego z Sawrania na Podolu, Kazimierza Wołłowicza.

Po kasacie klasztorów katolickich, począwszy od r. 1832 aż do r. 1888 przewieziono tu niemało rękopisów i druków z tych klasztorów. Największą w tym dziale zdobyczą była biblioteka OO. Jezuitów z Połocka, ostatnią zaś, której część weszła tu, była biblioteka OO. Dominikanów w Lublinie, przywieziona do Petersburga po kasacie klasztoru, która nastąpiła 3 marca 1886 r. Nie wszystkie jednak dzieła tej kategorii pozostawiono w Bibliotece Publicznej. Wiele wcielono do innych bibliotek, jako to: Akademji Nauk, Sztabu Generalnego, Komisji Archeograficznej, Uniwersytetu Petersburskiego, Prawosławnej i Rz.-Katolickiej Akademij Duchownych w Petersburgu, Departamentu Wyznań Obcych, Centralnego Komitetu Statystycznego, Moskiewskiej Akademji duchownej i Synodalnej i wielu instytucyj prowincjonalnych.

Po tych wszystkich operacjach miało jednak pozostać ze zbiorów polskich w Bibl. Publicznej, podług danych urzędowych: druków przeszło 400.000 tomów, rękopisów, prócz dyplomów około 16.000 tt., kilka tysięcy autografów. To wszystko powinno być do nas powrócić. Musimy jednak, choć z wielkim żalem, przyznać, że nawet przy chęci najlepszej stony drugiej i najmozolniejszej pracy naszych biegłych trudno spodziewać się, by się udało wszystko to wyrewindykować.

Rezolucja podpisana w Moskwie przez strony obie w dniu 30 października r. 1922 ustala, że winny być nam zwrócone z Bibl. Publ. wszystkie dyplomy, akta i księgi z Archiwum Koronnego, zabrane z Warszawy, akta, dokumenty i rękopisy Liceum Krzemienieckiego, papiery po Stanisławie Augustie i materiały archiwalne, tyczące powstania Kościuszkowskiego, o ile one przechowują się obecnie w bibliotece. Następnie wszystkie akta, dokumenty i autografy a także mapy i plany, wykonane od ręki. Co do rękopisów wogóle strona rosyjska zastrzegła sobie prawo zatrzymania pewnej kategorii rękopisów i druków, których usunięcie burzyłoby kolekcje, tak np. polska strona zgodziła się i mają pozostać na miejscu (oczywiście za ekwiwalent w przedmiocie równej wartości) takie kategorie: wszystkie rękopisy, pisane w języku cerkiewno-słowiańskim i ruskim; z działu teologii rękopisy, których usunięcie burzyłoby całość kolekcji, jak również z działu prawa kanonicznego. W tych dwóch działach podle-

gają jednak zwrotowi bezwzględnie: wszystkie rękopisy polskich autorów, przepisane przez Polaków, które należały do klasztorów polskich, polskich szkół, były własnością znakomitych Polaków, lub opracowane czy opisane przez Polaków przed ich wywiezieniem do Rosji; nareszcie wszystkie rękopisy Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Sprawa znacznie jest trudniejsza technicznie i teoretycznie z drukami. Tu koniecznem będzie w każdym poszczególnym wypadku ustalić proveniencję polską. Odrzuć trudność się przedstawia w dziale inkunabułów. Ten dział, jeżeli nie stanowi zamkniętej całości (gdyż w takim dziale nie może być o tem nawet mowy), to jednak jest poniekąd usystematyzowany, i stale dopełniany dziełami niepolskiej proveniencji. Tu musieliśmy się zgodzić, że będą nam zwrócone te tylko księgi, których egzemplarze mają związek z historją lub kulturą Polski, jako pochodzące od wybitnych osobistości polskich lub należące niegdyś do polskich instytucyj, jak również i takie egzemplarze, które zachowały na sobie ślady pracy Polaków pod postacią rozmaitych dopisków lub glos i te egzemplarze, które są dokumentami dla historii drukarstwa w Polsce, jak np. egz. *Turrecrematy* z datą kupna jego w r. 1474 pochodzący z drukarni krakowskiej.

Wszystkie egzemplarze zostały ze szczegółową drobiazgowością opisane w protokóle na kilku arkuszach pisma maszynowego. Daliśmy tu tylko przykład, jak się ta sprawa przedstawia.

Równocześnie uchwalono zwrócić z ewakuowanych podczas wojny zbiorów: mienie muzealne i archiwalne, należące do Romana Sanguszki, a znajdujące się obecnie w Niżnim-Nowogrodzie; także mienie Rejnolda Przeździeckiego, znajdujące się w depozycie polskiego T-wa Opieki nad zabytkami w Moskwie.

W dziale archiwaljów przyznano deklaracją, podpisaną tegoż 30 października, zwrócić rządowi polskiemu następujące zbiory: Archiwum Stanisława Augusta; materiały archiwalne dotyczące się powstania Kościuszkowskiego; archiwum prezydenta miasta Warszawy Ignacego Zakrzewskiego; archiwum Rady Nieustającej i wszystkich urzędów z nią związanych, jak również akta wszystkich sejmów i konfederacyj; archi-

wum Komisji Policji i Jurysdykcji Marszałkowskiej; archiwum Straży Praw; archiwum Komisji Edukacji Narodowej z wykluczeniem części akt i ksiąg wydziału funduszów, tyczących terytorjów, pozostałych przy Rosji. Wszystkie te archiwalia mają być zwrócone Polsce bez względu na to, gdzie się one przechowują obecnie. Wydawanie tych materiałów na zasadzie tej deklaracji winno się rozpocząć we dwa tygodnie po jej podpisaniu. Co zaś się tyczy Archiwum Generale Regni, to sprawę tę odłożono do sesji następnej, która miała się rozpocząć w lutym r. 1923, a to z powodu niezgodnienia tej kwestji przez obydwie strony w komisji.

* * *

Taki jest wynik dotychczasowych długich a żmudnych prac Komisji i jej rzeczoznawców, osiągnięty na piśmie. Obecnie doszliśmy do momentu urzeczywistnienia tego o czym do nie tak dawna nie mogliśmy nawet marzyć. Wszak już znaczna część arrasów, których wartość w chwili obecnej nie da się na pieniądź ocenić (powiadają, że jacyś Amerykanie proponować chcą za oddanie im tylko samych arrasów spłatę wszystkich naszych długów emisyjnych banknotowych!!) już do nas wróciła i jużemy je oglądali. A nie tak jeszcze dawno, jako szczyt najwyższy życzeń naszych, choćby tylko do tychże arrasów, była nadzieja, że „odpowiednia władza rosyjska z czasem da zadośćuczynienie tym wspaniałym arcydziełom sztuki, zrekonstruuje (bo w miejscu ich przechowywania w Rosji były one podniszczone nie tyle przez czas, ile przez rękę ludzką) i oźdobi niemi Ermitaż. Tego dowodu kultury ma prawo nauka domagać się od zarządu cesarskiego dworu tem bardziej, że dwór ten tak dba o Ermitaż, który wzbogaciłby się pięknym zbiorem“. Takie życzenie wypowiedział w r. 1904 jeden z naszych wybitnych i zasłużonych muzeologów.¹⁾

Przeszło od czasu wypowiedzenia tych dezyderatów niecałe lat dwadzieścia a odpowiednia władza rosyjska nie zdobyła się ani na ich zrekonstruowanie, ani na wzboga-

¹⁾ Kopera. Dzieje skarbcza koronnego, str. 146.

cenie niemi swego Ermitażu. Reparacją tego wszystkiego zajęła się nieubłagana Nemezys i cały ciężar włożyła na nasze barki — oddała je nam, abyśmy ten spadek po Jagiellonach należycie ocenili i nie tylko zrekonstruowali, lecz według wszelkich wymagań współczesnej nauki opracowali naukowo a przez to pokazali światu i tym, od kogośmy go z powrotem odebrali, że nie napróżno wszystko to do nas powróciło!

Takie wymagania winniśmy przedstawić i względem wszystkich zabytków naszych, które do nas powracają. Nie dość je wydostać i przywieźć, trzeba natychmiast je uporządkować i jak najprędzej uprzystępnąć nie tylko ciasnemu i nielicznemu gronu uczonych, lecz możliwie najszerszym warstwom kulturalnej części społeczeństwa. Uprzypomnijmy to sobie i nim jeszcze nie zapóźno, przygotujmy się należycie do godnego przyjęcia nowej serji naszych zabytków bibliotecznych i archiwalnych. Wszak oczekujemy z niecierpliwością powrotu zbiorów Załuskich, T-wa Przyjaciół Nauk, gabinetu rycin Stanisława Augusta i tylu innych nieocenionych na złoto rzeczy. Co my z niemi zrobimy, gdzie i jak je ulokujemy wobec tak przygnębiającego braku lokali prywatnych i państwowych? Zbliża się sto pięćdziesiąta rocznica założenia Komisji Edukacji Narodowej, która od swego założenia odbywała co tydzień po dwa posiedzenia w Bibliotece Załuskich przy ul. Daniłowiczowskiej; przygotujmy choćby tylko dla tej biblioteki godne jej pomieszczenie. Jeżeli już niema potomków wnioskodawcy założenia tej Komisji, Joachima Chreptowicza, to nie brak nam Potockich, Zamojskich, których przodkowie tak się podówczas krajowi zasłużyli. Nie należy wątpić, że jak ich pradziadowie pracowali nad utrwaleniem u nas oświaty, tak prawnuki znajdują w swych warszawskich pałacach gościnne komnaty dla godnego przyjęcia tak długo i z taką tęsknotą oczekiwanych gości, przybywających niemal z zaświata.

STANISŁAW PTASZYCKI.

„Exultet“, jego pochodzenie i dzieje.

Któż nie zna tego radosnego drgnienia serca na głos triumfalnej pieśni Zmartwychwstania, kto od dziecięcych lat nie wsłuchiwał się w precudne, porywające pienia hymnu „Exultet“, śpiewanego w Wielką Sobotę zaraz po święceniu ognia? Nie rozumiejąc jej nawet, czujemy się porwani do radości dziwnej, będącej przedsmakiem i zapowiedzią wiekuistego „Alleluja“. I w istocie „Exultet“ to najwspanialszy hymn godowy Kościoła, to wykrzyk radosny Oblubienicy, rodzącej się z boku drugiego Adama, zwyciężającego śmierć na zawsze. Bez zmartwychwstania Chrystusa nie byłoby Kościoła, ono jest fundamentem wiary naszej, pieczęcią Bożą nowego testamentu, ono jest załącznikiem naszego chwalebego zmartwychwstania i wiekuistej radości. Bo mówi św. Paweł: „Jeśli zmartwychwstania nie masz, ani Chrystus nie powstał z martwych, a jeśli Chrystus nie powstał, próżne tedy jest przepowiadanie nasze, próżna jest i wiara wasza“. (I Kor. XV. 13. 14).

Nic więc dziwnego, że pamięć tak radosnej tajemnicy obchodzi Kościół najuroczystszymi obrzędami. Wśród nich zaszczytne miejsce dzieży święcenie Paschału, któremu towarzyszy śpiew Exultet. Przedmiotem pracy niniejszej jest właśnie ten prastary obrzęd poświęcania Paschału i zagadnienie, kiedy powstał hymn Exultet i kto jest jego autorem. Podamy też rymowany przekład tego hymnu, który nawet mniej obznajomionym z łaciną odsłoni ukryte w nim przedziwne skarby poezji.

Obrzęd święcenia radości Zmartwychwstania przez świecę paschalną tonie w mgłę wieków, zrasta się ściśle z dziejami katakumb, a nawet zdaje się sięgać czasów apo-

stolskich. Powstał on na tle słów samego Zbawiciela i ukończonego ucznia Jego, św. Jana: „Jam jest — mówi Zbawiciel — światłość świata, kto za mną idzie, nie chodzi w ciemności“. (Jan VIII. 12) Pisma św. Jana przepełnione są temi obrazami wiadomo zaś, jaki wpływ miał Apostoł miłości na pierwsze zaczątki Kościoła św. Zresztą już Izajasz tego samego używa obrazu, mówiąc o przyszłym Zbawicielu (IX. 2 itd.) Obrzęd świecy paschalnej tem więcej nadawał się do wyrażenia radości świątecznej, że odbywał się o północy, w którym to czasie według tradycji Kościoła św. odbyła się tajemnica Zmartwychwstania. Z rześkiej iluminacji ołtarzy, jaka miała miejsce w katakumbach, jeden krok prowadził do wyodrębnienia świecy paschalnej, jako symbolu samego Chrystusa. Szczególnie wschodni Kościół lubował się w okazałości oświetlenia; wiemy, że za czasów Konstantyna Wielkiego, kiedy już publicznie można było obchodzić ceremonie święte, nawet ulice i place miasta bogato we Wigilję Wielkanocy bywały oświetlane¹⁾.

Bardziej jeszcze do utrwalenia obrzędu poświęcania świecy paschalnej przyczyniała się ta okoliczność, że w czasie Wielkiejnocy udzielano chrztu katechumenom. Świeca paschalna, wyobrażając Chrystusa, wiodła ich do wody Chrztu św., która wyrывa z ciemności grzechów. Stary tekst p. t. Nauka 12 Apostołów, pochodzący z I w., mówi: „Dwie są na świecie drogi: życia i śmierci, światła i ciemności“. Na tym tekście osnuwa św. Zeno z Werony swą Homilię wielkanocną, w której naucza, że podczas Wielkiejnocy katechumeni prowadzeni są na drogę światła.

Mimo to pewnem jest, że zwyczaj święcenia świecy paschalnej nie powstał w samym Rzymie. Pisze Duchesne (*Origines du culte chrétien* str. 255), że w Rzymie dwie wielkie lampy przygotowywano we W. Czwartek i z ich światła zapalano dwie świece woskowe, które niesiono następnie w procesji przed papieżem w W. Piątek i W. Sobotę.

Poza Rzymem, w Hiszpanji i w północnej Italji, już na

¹⁾ Por. *Prolegomena Arevalosa do poematów Prudencjusza* c. XI Migne P. G. LIX. 682.

schyłku IX wieku spotykamy ślady święcenia Paschału. W tymże czasie pojawia się świadectwo, że obrządek ten rozszerzył się i w północnej Afryce. Św. Augustyn opowiada w dziele „De civitate Dei“ (lib. XV. c. 22.) że napisał sam wiersz „na pochwałę pewnej świecy“, w którym te słowa się znajdowały:

Haec tua sunt, bona sunt, quia tu bonus
ista creasti.

Nil nostrum est in eis, nisi quod peccamus
amantes

Ordine neglecto pro te, quod conditur abs te.

Te twory twemi są, dobrami są, boś ty dobry
je stworzył.

Nic naszego w nich niema, chyba to, że
grzeszymy, kochając,

To, coś ty utworzył, ze zaniedbaniem porządku
jaki ustanowiłeś.

Ten tekst, jak dowodzi A. Franz (w dziele „Die kirchlichen Benedictionen im Mittelalter“ (I t. str. 521), odnoszący się do świecy paschalnej, gdyż innego, jak paschalne, „praeconium“ nie znano w Kościele, a nadto treść zgadza się z pochwałą świecy paschalnej, jaką znajdujemy u Ennodjusza, biskupa z Padwy († 521).

Prócz tego mamy ciekawy dokument z r. 384, który nie tylko świadczy o rozpowszechnieniu ceremonji święcenia Paschału na końcu w. IX, ale też daje poznać, jak żywo zajmowano się układaniem różnych pieśni pochwalnych na święcenie Świecy Wielkanocnej. Jest to list św. Hieronima do Prezydysza z Piacencji, w którym Święty odpisuje na prośbę ułożenia nowej „pochwały świecy“ — odmownie. Św. Hieronim gani rozwlekłość i retorykę podobnych pochwał, szczególnie nie podoba mu się długi opis pszczoły, oparty na Georgikach Wergiljusza i samo święcenie świecy, jako przeciwne duchowi Starego i N. Testamentu, który o lampach, nie o świecach nam opowiada. Widać z tego, że w Rzymie uroczystość święcenia Paschału jeszcze wtenczas nie była zaprowadzoną.

Przeszło 100 lat później napisał djakon Ennobiusz z Padwy, który później był biskupem tego miasta, dwie pochwały Paschału. Śławi w nich świecę, jako obraz Chrystusa, bo wszystko w niej czyste i niebiańskie. Wysławiając

dobroć stworzeń, zbliża się Ennodjusz do pochwały św. Augustyna.

Chociaż za czasów św. Hieronima nie święcono jeszcze Paschału w samym Rzymie, mamy z początku V w. pochodzący dokument, który świadczy, że Rzym nie był przeciwny samej ceremonii. Księga „*Liber pontificalis*“, pisząc o papieżu Zosymie (r. 417 — 418) mówi, że pozwolił, aby w parafjach poza Rzymem poświęcano świecę („*et per parrocia concessa licentia cereum benedici*). Że słowo „*cereus*, *cera*“ oznacza istotnie świecę, widać stąd, że Sakramentarz z Bobio i Mszał gotycki (wiek VII) podobnemi słowy świecę paschalną oznaczają. Zezwolenie na praktykę, która już się odbywała, pokazuje, że była ona znacznie starsza; że zaś nie miała jeszcze ściśle określonej formuły, o tem przekonuje nas list św. Hieronima i różne próby pochwały świecy paschalnej. Jak świadczy Duchesne (*Origines du culte chrétien*, Paris 1908 str. 256), zwyczaj święcenia Paschału znajdujemy w Rawennie za czasów św. Grzegorza i w Neapolu w XIII wieku.

Sakramentarz Gelazjański zawiera formułę poświęcania świecy paschalnej, której używano w państwie Franków i w Italji aż do VIII wieku. Zaczyna się ona od słów „*Deus mundi conditor*“, wychwala świecę, podobnie jak Ennodjusz, iż nie jest zmazana żadną plamą (*non profana unctioe vitiatum, nan sacrilego igne contactum*), a kończy się dosyć długą pochwałą pszczoł, o których mówi, że dziewicami zostają w porodzie. (*partus non edunt, sed ore legentes, concepti fetus reddunt examina*).

W VII i VIII wieku formułę „*Deus mundi conditor*“ wypiera nowa pieśń, jest nią właśnie wspaniały hymn „*Exultet*“.

Najwcześniejsze dokumenta, w których ukazuje się, to trzy galikańskie Sakramentarze: Mszał z Bobbio (ze VII wieku), Mszał Gotycki i Galikański stary (oba z wieku VIII). Najwcześniejszy rękopis Sakramentarza Gregorjańskiego (Vat. Reg. 337) nie zawiera „*Exultet*“ w tekście, został on dołączony w dodatku, który zwykle nazywają „*Sakramentarzem Adrjana*“, a który prawdopodobnie ułożony został pod kierownictwem Alkuina. Na starożytność tego „*prae-*

conium“ wskazuje ta okoliczność, że I część jego znajduje się już we formularzach Ambrojańskich.

„Exultet“ przyjmowało się powoli z natury rzeczy, wszakże jeszcze w VII wieku sam obrzęd poświęcenia świecy paschalnej nie wszędzie był zaprowadzony. Wyraźnie mówi o tem synod toletański w r. 633: „Pochodnia i świeca woskowa (cereus) we wigilję Paschy w niektórych kościołach nie bywają święcone, i pytają nas, czemu my je święcimy. Dla uczczenia chwalebnej tajemnicy tej nocy uroczyste je poświęcamy. A ponieważ ten zwyczaj we wielu okolicach Hiszpanji po kościołach zalecają, godną jest rzeczą, by dla jedności pokoju także w galikańskich kościołach był zachowany“. (M. P. L. LXXXIV. 369).

Kto jest autorem pieśni „Exultet“ i w jakim czasie ona powstała?

Problem ten dotychczas nie został rozwiązany należycie. Najstarszy kodeks, zawierający „Exultet“, odkryty przez Muratori'ego w starożytnym klasztorze w Bobbio (VII w.), zaopatruje pieśń tę w następujący napis: *Benedictio cerei sancti Augustini episcopi, cum adhuc diaconus esset, cecinisset*¹⁾. Podobnie wyrażają się oba mszały: Gotycki i Galikański (z w. VIII). Pontyfikał z Poitiers z X stulecia powtarza to samo i dodaje, że św. Augustyn napomniany od św. Hieronima, czemu słowa Wergiljusza w „*praeconium*“ swoje wkłada, poprawił pieśń „Exultet“ tak, jak obecnie po kościołach naszych śpiewaną bywa. Widać tu pobieżność krytyki średniowiecznego autora. Rzeczywiście „Exultet“ zawierało przy końcu dość długą pochwałę pszczoł, którą w X wieku usunięto, św. Augustyn mówi, że napisał jakąś pochwałę świecy, św. Hieronim karci wogóle ówczesnych twórców za rozwodzenie się nad życiem pszczoł, — te rozbieżne fakty połączył pisarz z X w. w jedną niekrytyczną syntezę. Co dziwniejsza, legenda o autorstwie św. Augustyna przetrwała do naszych czasów²⁾. Autorowie najnowszych pol-

¹⁾ Por. M. LXXII str. 498.

²⁾ Por. Podręczna Enc. kośc. Warszawa 1907 t. VI str. 169: Zuważ na bogactwo zawartych w tym hymnie myśli i na siłę wyrażań zdaje się być on godnym geniuszu św. Augustyna, za którym stoi zdanie takich powag jak Corsetti, Mayer, Benedykt XIV i Mabilon.

skich encyklopedyj zaledwie odważają się wątpić o autorstwie św. Augustyna.

W rzeczywistości innego argumentu nie mają ci pisarze nad słowa św. Augustyna w dziele „De civitate Dei“, że ułożył pieśń „na pochwałę pewnej świecy“. Ale wyjątek pieśni, który podaje sam św. Augustyn, nie ma żadnego podobieństwa do naszego „Exultet“. Jeśli weźmiemy pod uwagę wewnętrzne kryteria, a nadewszystko styl św. Augustyna i pieśni „Exultet“, okazuje się zupełnie pewnem, że autorem tego „praeconium“ św. Augustyn być nie może. W stylu św. Doktora znać uczonego, intelektualistę, w stylu pieśni „Exultet“ przebijają obrazowość i siła poety, którym św. Augustyn zgoła nie był. To też dziwić się trzeba A. Ebnerowi, który w rozprawie; „Handschriftliche Studien über das Praeconium paschale“ ogłoszonej w piśmie „Kirchenmusikalisches Jahrbuch“ z r. 1893 (73—83), zdanie o autorstwie św. Augustyna jako pewne podtrzymuje. Sam św. Augustyn w „Liber retractationum“ wyliczając swe dzieła byłby z pewnością wspomniał o „Exultet“, gdyby był jego autorem¹⁾.

Jan Mabillon, Benedyktyn, wydając w r. 1785 w Paryżu trzy księgi „De Liturgia gallicana“, w których opinię o autorstwie św. Augustyna przytacza, dodaje zaraz swą uwagę: „Chociaż to błogosławieństwo (praeconium) inni raczej św. Leonowi przypisują²⁾“. Jednak pozytywnych argumentów za autorstwem św. Leona niema, styl zaś św. Leona niepodobny jest zgoła do stylu „Exultet“; jest to raczej styl mowcy, niż poety, daleki od obrazowości „Exultet“.

Zostaje jeszcze trzecie zdanie, które autorstwo pieśni „Exultet“ przypisuje św. Ambrożemu. Tak na początku XII wieku Honorjusz Augustodunensis w dziele „Gemma animae“ I. III cap. 102³⁾. Zauważa jednak Gavanti (Thesaurus ss. rituum, Venetiis 1726 str. 195), że „Exultet“ z wyjątkiem wstępu różni się od formy ambrojańskiej. Ten uczony

¹⁾ Wspomina nawet o tak krótkim utworze, jak „Psalmus contra partem Donati“, natomiast o „Exultet“ milczy.

²⁾ Por. Migne P. L. LXXII str. 267.

³⁾ Por. Migne P. L. CLXXII 668.

podaje także zdanie Marcina Polaka, który autorstwo pieśni „Exultet“ przypisuje Teodorowi I. (r. 643).

Franz w nowem swoim dziele p. t. *Die kirchlichen Benediktionen im Mittelalter*, wydanem w r. 1909. (I t. str. 534) zbija zdanie Gavanti'ego i twierdzi, że dzisiaj „trzeba zrezygnować z nadziei znalezienia autora, pieśni i czasu jej powstania“.

Czy mamy podzielać ten pesymizm uczonego niemieckiego? Sądzimy, że nie. Franz zwalcza brak krytycyzmu u średniowiecznych pisarzy, ale czyż uważne studjum nie zdoła wyrównać braków, jakie oni wprowadzili? Oczywiście, gdybyśmy nie mieli innych dowodów, jak powagi zewnętrzne, to zdanie Honorjusza nie wieleby pomogło. Co do nas, sądzimy, z nim razem, że autorem „Exultet“ jest św. Ambroży, ale bynajmniej ze samej powagi Honorjusza wyczerpujących dowodów nie czerpiemy. Musi przyznać p. Franz, że jeśli pisarz, tak stosunkowo stary, bo w XI i w początku XII w. żyjący, „ex professo“ o materji tej pisze i znając wszystkie szczegóły co do danego obrzędu, to przynajmniej lekko-myślnością byłoby odrzucić zdanie jego bez pozytywnego dowodu. Wyraźnie zaś pisze Honorjusz: „Cereum benedicti Sosimus papa constituit, sed Ambrosius episcopus benedictionem composuit (Item Prudentius et Ennodius Ticinensis episc). Sam Kranz przyznaje, że chociaż hymn Prudencjusza wyraźnie nie mówi o świecy paschalnej, to jednak treść jej przez podobieństwo do innych formuł paschalnych na tę uroczystość wskazuje i że stąd widocznem jest, że już w wieku Prudencjusza, a zatem na końcu IV w. i na początku V praeconia pochwalne na cześć świecy wielkanocnej w Hiszpanji rozpowszechnionemi były.

Jeżeli dodamy do tego, że trzy stare Sakramentarze odnoszą „Exultet“ do wieku św. Augustyna spółczesnego św. Ambrożemu, widzimy, że pozytywnych argumentów przeciw autorstwu św. Ambrożego przytoczyć nie można i że wszystko na wiek jego raczej wskazuje.

Najsilniejszym przecież argumentem, który zdaniem naszym przemawia za tem, że „Exultet“ ułożył św. Ambroży, — jest wewnętrzne podobieństwo stylu „Exultet“ do sposobu wyrażania się medjolańskiego biskupa. Na ten wzgląd nie

zwrócił Franz najmniejszej uwagi. A przecież taka jest siła indywidualizmu u wielkich twórców, że ze stylu ich arcydzieł można poznać autora. Powiedział ktoś o tragedjach Eschylosa, że gdyby urywek ich znalazł się w piaskach Egiptu, ze samego sposobu wyrażania się moglibyśmy poznać autora. To samo da się zastosować do takiego arcydzieła, jakim jest „Exultet“. Ono samo przez styl swój odkrywa swego autora. Jeśli wszystkie okoliczności zewnętrzne wskazują na wiek i kraj św. Ambrożego, a przystąpi do tego wielkie podobieństwo stylu, to zdaniem naszym z moralną niemal pewnością powiedzieć trzeba, że autorem „Exultet“ jest św. Ambroży, choćbyśmy nawet nie mieli za sobą takiej powagi, jaką jest Honorjusz i inni zwolennicy tego zdania. Zdaniem naszym, zupełne zaniedbanie tak potężnego środka badania, jakim jest analiza i zestawienie stylu, było powodem dotychczasowej niejasności w tej mierze.. Oczywiście praca taka dosyć jest mozolna; trzeba niejako w sercu swem wyręć każdy zwrot wspaniałego „Praeconium“, a z drugiej strony mrówczym mozołem wydobywać uderzająco podobne właściwości stylu i zwroty z dzieł Świętego Doktora-poety. Ramy niniejszej rozprawy nie pozwalają na wyczerpujące studjum, narzucimy wszakże przynajmniej kontury dowodu.

Św. Ambroży, potomek znakomitego rodu rzymskiego, ur. około 340 roku, nie z książek, ale niejako z mlekiem matki wyssał klasyczną mowę, studjami w Rzymie wykształcił sobie styl oryginalny, pełen życia, temperamentu i poetycznych zwrotów, dalekich od suchości i patetyzmu uczonych swoich kolegów; język jego okazuje niewyszukane podobieństwo do klasyków rzymskich, zwłaszcza zaś wielkie obeznanie się z Wergiljuszem. Wyrażenia jego mają dziwnie właściwy sobie, odrębny charakter, cechuje je śmiała oryginalność myśli i zwrotów, oraz płomienne uczucie i głęboka znajomość tajemnic naszej wiary. Wśród studjów nad jego mową i hymnem uderza nas jeden rys znamieny: umiłowanie słońca, jako niewyczerpanego źródła porównań, jest on jakby poetą słońca, w słonecznych blaskach kąpią się jego pieśni poranne i wieczorne, jakie do dziś dnia odmawiamy w brewjarzu.

Zarysowując główne kontury naszego dowodu, zesta-

wimy tu obok siebie niektóre zwroty św. Ambrożego, szczególnie z mów jego wielkanocnych zaczerpnięte, ze sposobem, jakim wyraża się pieśń „Exultet“; to samo uczynimy z hymnami św. Ambrożego.

ŚW. AMBROŻY.

Haec inquam, illa est coelestium mysteriorum gratia, hoc Paschae donum, haec optabilis anni festivitas, haec exordia gignentium rerum.

Hic inquam exultationis et laetitiae dies est, in quo promissum perfectae gloriae consecuti, recte plebs sancta ad instar angelorum futurae laudis mysterium etc.

(Sermo 35 de Myst. Paschae M. P. L. XVII. 695).

Triumphum Salvatoris in nobis dicit profuisse, quae enim gessit Salvator, non sibi utique gessit, sed nobis. Quamobrem nostra victoria est — *et sic deletum est chirographum* i. e. deleta sententia, qua tenebatur genus humanum ad mortem.

(Coment. in Ep. I ad Cor. c. XV. M. t. XVII. 287).

Pascha vero transitus dicitur quia *in ipsa transierunt filii Israel ex Aegypto* — verum quid vobis prodest, quod Pascha celebretis, si non imitamini, quod colitis, hoc est, si non transitis ab Aegypto i. e. a tenebris vitiorum, ad lucem virtutum.

(Sermo 34. de Dom. Ressur. M. t. XVIII. 694).

O maximum solatium desiderantis! O, verum sapientis indicium! O, miram sapientiam servientis!

(De fide ressur. seu de excessu fratris sui I. II c. 24 M. t. XVI 1379).

Sunt et illae salutares tubae, si corde credas et ore confitearis: „Corde enim creditur ad iustitiam, ore autem confessio fit ad salutem. (Rom. X. 10). Hac igitur gemina tuba ad illam sanctam terram, ressu-

EXULTET.

Haec sunt enim festa Paschalia — haec nox est etc.

Exultet iam angelica turba coelorum, exultent divina mysteria.

Nihil enim nobis nasci profuit, nisi redimi profuisset.

et veteris piaculi cautionem pio cruore defersit.

In quo primum patres nostros, filios Israel, eductos de Aegypto, mare rubrum sicco vestigio transire fecisti.

O, mira circa nos tuae pietatis dignatio! O inae stimabilis dilectio caritatis... O certe necessarium Adae peccatum... o felix culpa quae talem etc.

et pro tanti regis victoria tuba insonet salutaris.

rectionis scilicet gratiam, pervenitur, et ideo semper tibi concinant, ut! semper audias Dei vocem: semper te angelorum, prophetarumque oracula excitent atque commoveant.

(De excessu fratris, L. II. M. t. XVI 1407).

Ut fulgorem lucis aeternae anima (Safyri) mutuetur a Christo (tamże).

Nihil gloriosius exitus *tanti principis habuit*, nihil, inquam, speciosius et in morte servatum est.

(De obitu Theodosii M. t. XVI 1450).

(apes) ore suo prolem legentes stipare mella et intexta floribus horrea nectare quodam distendere,

communis omnibus generatio, integritas quoque corporis virginalis, omnibus communis est partus — nec partus quatuntur doloribus.

(Hexaemeron L. V. c. 21, M. t. XIV. str. 248—9.

Exultet omnis anima

Nunc redemptorem gentium

Mundi venisse Dominum

Redimere quod condidit.

(Z hymnu Tu trinitatis unitas).

Spectat *turba* virum, *turba* funestis,

Spectat feminei *turba* pudoris,

Deplorat famem. *turba* praecantium.

(Z hymnu „Obduxere polum“).

Haec hora, quae resplenduit,

Crucisque solvit nubila,

Mundum tenebris exuens,

Reddens *serena lumina*.

(Z hymnu „Per hora trina“).

Solus gaudeat Israēl

Agni protectus sanguine

Nos verus Israel sumus.

(Z hymnu Mediae noctis).

Sumamus toto pectore

Tanti splendoris gratiam.

(Z hymnu ad Sextam).

Hic est dies verus Dei

Sanctus *sereno lumine*

gaudeat tellus tantis irradiata fulgoribus, et aeterni regis splendore illustrata etc.

et pro tanti regis victoria tuba insonet etc.

aliae ore natos fingunt,

aliae liquentia mella stipant aliae vertunt flores in cera, aliae collectis e foliis nectar includunt.

cuius nec sexum masculi violant, fetus non quassant, nec filii destrunt castitatem.

Exultet iam angelica turba coelorum.

nihil nobis nasci profuit nisi redimi profuisset.

Exultet iam angelica turba coelorum:

ille inquam lucifer, qui nescit occasum, ille qui regressus ab inferis humano generi serenus illuxit.

In quo primum patros nostros, filios Israel, eductos de Aegypto mare rubrum sicco vestigio transire fecisti.

Gaudeat tellus tantis irradiata fulgoribus et aeterni regis splendore illustrata.

Serenus illuxit.

Opus stupent et angeli

Mysterium mirabile.

(Hymnus paschalis ad Tertiam).

Aurora lucis rutilat,

Coelum laudibus intonat,

Mundus exultans iubilat,

Gemens infernus ullulat.

Cum rex ille fortissimus

Mortis contractis viribus etc.

Triumphans pomba nobili

Victor surgit de funere,

Claro paschali gaudio

Sol mundo nitet radio.

(Hymnus paschalis vetus).

Ortus refulget Lucifer,

Sparsamque lucem nuntiat,

Cadit caligo noctium,

Lux sancta nos illuminat.

(Z hymnu Aeterna coeli gloria).

ut auferas piacula.

(Z hymnu „Nox atra“).

Exultent divina mysteria.

quam in honorem Dei rutilans
ignis accendit.

Et pro tanti regis victoria tuba
insonet salutaris.

in qua destructis vinculis mortis
Christus ab inferis victor ascendit.
Haec sunt enim festa paschalia.

In his paschalibus gaudiis con-
servare digneris.

a vitiiis saeculi segregatos et cali-
gine peccatorum reddit gratiae.
ad noctis huius caliginem destru-
endam.

flamma eius Lucifer matutinus
veniat.

et veteris piaculi cautionem pio
cruore deterisit.

Porównując te i inne zwroty i sposób wyrażenia oraz powtarzania się podobnych słów, widzimy uderzające podobieństwo stylu „Exultet“ do stylu św. Ambrożego. Siła argumentu wzaśta, jeżeli zauważymy, że idzie tu o przedmiot wspólny (tajemnica Zmartwychwstania) nie zaś o dorywcze wyrywki, które wszędzie muszą być podobnemi. Jeżeli ten dowód, zaczerpnięty z wewnętrznych właściwości stylu (w którym, jak pisze pewien francuski pisarz, cały człowiek się zawiera) zestawimy z badaniami historycznemi, które choć niejasno, przecież na wiek św. Ambrożego wskazują, jeżeli dołączymy do tego powagę autorów, przypisujących mu autorstwo „Exultet“, to niemal z moralną pewnością powiedzieć możemy, że autorem wspaniałego „praeconium“ jest św. Ambroży.

Kiedy hymn ten mógł powstać? Oczywiście w tej mierze bliższych określeń nie można stawiać z pewnością. Wiadomo, że św. Ambroży (ur. około 340 r.) dopiero w późniejszym wieku zostaje ochrzczony (r. 374) i przyjmuje sakrę biskupią. Wtedy też zaczyna się kształcić. Discendum mihi —

mówi — simul est et docendum est, quoniam non vacavit ante discere (De officiis I. 1). Największy rozkwit w pisaniu hymnów przypada u niego na rok 386, o czym świadczy złość heretyków i własne jego słowa: „Hymnorum quoque meorum carminibus deceptum populum ferunt“. Umarł św. biskup w r. 397, mając lat 57. Hymn „Exultet“ okazuje już głębokie i gruntowne przejęcie się tajemnicami wiary św. Sądźmy tedy, że mógł powstać w latach 380—390. Potwierdza ten domysł okoliczność, że właśnie w tym czasie zajmowano się bardzo układaniem pochwał świecy paschalnej. Czy list św. Hieronima z r. 384 do Prezydysza ma na myśli „Exultet“ św. Ambrożego, nie wiadomo na pewno. To pewna, że nigdzie tak szeroko nie rozwodzono się nad pochwałami pszczoły, jak właśnie w „Exultet“, a z drugiej strony, nigdzie ta pochwała nie była tak podobną do Hexahemeronu św. Ambrożego i Georgik Wergiljusza. Z Hexahemeronom zestawiliśmy tekst „Exultet“ uprzednio, porównajmy go teraz z Georgikami.

EXULTET.

Apis — cum sit minima corporis
parvitate ingentes animos augusto
versat in pectore.

aliae inaestimabili arte cellulas
tenaci glutino instruunt, aliae liquen-
tia mella stipant, aliae vertunt flo-
res in cera, aliae ore natos fingunt,
aliae collectis e foliis nectar inclu-
dunt.

GEORGIKA IV.

Ipsi per medias acies insignibus
alis

Ingentes animos augusto in pecto-
re versant.

(v. 82, 83).

Narcissi lacrimam el lentum de
cortice gluten

Prima favis ponunt fundamina
deinde tenaces

Suspendunt ceras: aliae spargen-
tis adultos

Educunt fetus, aliae purissima
mella

Stipant et liquido distendunt ne-
ctare cellas.

(v. 160—165).

Św. Ambroży w Hexahemeronie opisuje szczegółowo rodzaje i sposób życia zwierząt, jak widzimy, w opisie pszczoł posługuje się niemal słowami ulubionego przez siebie, a niezbyt odległego w czasie Wergiljusza; to nasuwa myśl, że właśnie do „Exultet“ odnoszą się słowa św. Hieronima,

w takim zaś razie potwierdzałoby się i nasze przypuszczenie co do czasu napisania przezeń wspaniałego „*praeconium*“.

Przyjrzyjmy się teraz budowie hymnu „*Exultet*“. Składa się on z trzech części. W pierwszej znajduje się wezwanie do radości paschalnej i modlitwy. Druga część, zaczynająca się od słów: „*Sursum corda*“ jest tem, co Mszał gallikański nazywa: *contestatio*, jest to właściwe „*Praeconium*“, które w słowach porywających wysławia triumf Chrystusa w zmarłychwstaniu. Charlton Walker tak się o tem wyraża: „*And here the language of the liturgy rises into heights to which it is hard to find a parallel in Christian literature. (The cath. Encyclopedia t. X. str. 731).* W uniesieniu szczęścia rzuca natchniony śpiewak słowa graniczące niemal z bluźnierstwem: „o zaiste potrzebny grzech Adama, o szczęśliwa wino!“ W trzeciej części znajduje się ofiarowanie świecy, obszerna pochwała pszczoły¹⁾ i prośba o łaski Boże.

Na samym końcu były prośby za papieża, kler, lud, a także później dodawano tu imię cesarza rzymskiego. Po r. 1804, kiedy cesarz Franciszek II zrzekł się tytułu „cesarza rzymskiego“ ustała właściwa racja tej wzmianki. Potem wstawiono zmodyfikowaną wzmiankę o cesarzu austriackim — oczywiście tylko dla Austro-Węgier.

Ważniejsze zmiany tyczyły się samego tekstu. Słowa: „*O certe necessarium Adae peccatum, quod Christi morte deletum est! O felix culpa, quae talem ac tantum meruit*

¹⁾ Pochwałę pszczoły, jako opuszczaną dzisiaj po mszałach, przytaczamy w całości: „*Apis ceteris, quae subiecta sunt homini, animantibus antecellit. Quum sit minima corporis parvitate, ingentes animos angusto versat in pectore: viribus imbecillis, sed fortis ingenio. Haec, explorata temporum vice, cum canitiem pruinosa hiberna posuerint et glacialis senio verni temporis moderatio (variand moderata) deterserit, statim prodeundi ad laborem cura succedit: dispersaeque per agros libratiss (libratim pinnibus) paululum pinnis, cruribus suspensis insidunt, partim (parte) ore legere flosculos, oneratae (tu zdaje się brak słów kilku) virtualibus suis ad castra remeant: ibique aliae inaestimabili arte cellulas tenaci glutino instruunt, aliae liquentia mella stipant, aliae vertunt flores in ceram, aliae ore natos fingunt, aliae collectis e foliis nectar includunt. O vere beata et mirabilis apis! Cuius nec sexum masculi violant, foetus non quassant, nec filii destruunt castitatem! Sicut sancta concepit virgo Maria: virgo peperit et virgo permansit, następują słowa znane: o vere beata nox, quae expoliavit Aegyptios etc.*

habere redemptorem!“ drażniły wielu czytelników, którzy nie umieli wnikać w głęboką myśl tych radosnych okrzyków. Dlatego w drugiej połowie IX wieku zaczęto je opuszczać w rękopisach. Opat kluniacki, Hugo († 1109), jak świadczy św. Ulrich z Cell., uważał je za tak niestosowne, że nawet ze sakramentarzy kazał je wymazywać. Jednak opuszczanie to nie wszędzie miało miejsce (głównie we Francji i w Niemczech); we włoskich mszałach i sakramentarzach z pietyzmu dla przeszłości po większej części słowa te się zachowały. Papież Pius V, wydając Mszał rzymski dla całego Kościoła, przywrócił przepiękne te zdania na nowo do pierwotnego tekstu.

Drugą poważną zmianą, jakiej uległ hymn „Exultet“, było opuszczenie długiej pochwały pszczoł, o czym wspomnieliśmy wyżej. I w tym względzie objawił się większy konserwatyzm w ojczyźnie „Exultet“, we Włoszech, niż w innych krajach. W Niemczech zaczęto ją opuszczać już w IX wieku, we Francji nieco później, we Włoszech natomiast niektóre tylko rękopisy opuszczają ją zupełnie, największa ich ilość podaje pochwałę pszczoły w skróceniu.

Gdy czytamy długą i dosyć nudną, a wedle dzisiejszej wiedzy częściowo nienaukową pochwałę pszczoły, dziwimy się, w jaki sposób do przepięknego hymnu mógł się zakraść tak obciążający go balast i zrozumiałem się wydaje oburzenie św. Hieronima na takie świeckie deklamacje. Ażeby zrozumieć przyczynę faktu, trzeba przyjrzeć się w jaki sposób „Exultet“ śpiewano w pierwotnym Kościele. Starożytne ryciny dają nam w tej mierze wydatną pomoc. Djakon, śpiewający „Exultet“, stał na wzniesionej ambonie, śpiewał hymn z rękopisu, zwiniętego w wielki rulon, który w miarę śpiewu rozwijał się i spuszczał z pulpitu coraz niżej. Dla zajęcia słuchaczy były wśród tekstu umieszczone miniatury, które wyobrażały treść śpiewu, głównie zaś życie pszczoł. Słuchając śpiewu, przypatrywali się zarazem słuchacze miniaturom, które umyślnie malowane były naodwrot, ażeby patrzącym z dołu dobrze się przedstawiały. Wydając Mszał rzymski, zniósł papież Pius V ten ustęp, dziś nie budzący już zainteresowania, a w ten sposób hymn „Exultet“ nabrał ostatecznej jednolitości. Z całej pochwały pszczoły została tylko

wzmianka „*quas in substantiam praetiosae huius lampadis apis mater eduxit*”.

Początkowo świeca paschalna zapalana bywała przed śpiewem Exultet. Od XI stulecia zapalano ją po słowach: *rutilans ignis accendit*. Z tym zwyczajem łączy się obrzęd zapalania trzech świec na trzcinie, przed zapaleniem Paschału. Djakon, śpiewający „Exultet”, wyobraża święte niewiasty, które pierwsze otrzymały radosną wieść zmartwychwstania. Od XII wieku powszechnie już podczas słów: „*suscipe sancte Pater incensi huius sacrificium vespertinum*” wbija djakon w Paschał pięć ziaren kadzidła, które mają wyobrażać pięć ran Zbawiciela, tak jak Paschał Jego samego przedstawia. Okazję do tego dało słowo „*incensum*”, które pierwotnie oznaczało zapaloną świecę, a później w języku liturgicznym brano za kadzidło. Świeca Paschału powinna być wielka i z czystego wosku odlana. Od X wieku ozdabiano ją datą święta i innymi zapiskami. Stała ona w chórze na wspaniałym świeczniku z marmuru lub z metalu. Początkowo koło r. 500 po uroczystości rozdzielano świecę pomiędzy wiernych, jako obronę przeciw burzom i innym przygodom. W X wieku czyniono to dopiero w Białą Niedzielę. Do tego czasu płonęła ta świeca zawsze podczas Mszy św. W późniejszym czasie nie rozdzielano już Paschału między wiernych, ale kawałki wosku z innych świec poświęcanych, które, jak się zdaje, dały początek późniejszym „*Agnus Dei*”.

Nie trzeba zapominać, że pierwotnie święcono Paschał o północy, w którym to czasie wedle tradycji stało się Zmartwychwstanie. Zdaje się, że już w czasie układania „Exultet” uroczystość ta odbywała się wieczorem, co nasuwają słowa „*incensi huius sacrificium vespertinum*”. Później jeszcze przeniesiono uroczystość na rano w sobotę, jak ją do dziś dnia obchodzimy.

Pozostaje do wyjaśnienia w jaki sposób autorstwo św. Ambrożego mogło pójść w zapomnienie, czemu w tak starych dokumentach przypisują je św. Augustynowi bez cienia wątpliwości. Odpowiadamy, że w tym względzie dzieli „Exultet” dolę z wieloma hymnami św. Ambrożego, co do których niema do dziś dnia absolutnej powności, że pochodzą od św. Ambrożego. Nie święty Augustyn ułożył „Exultet”, ale

prawdą jest, co głoszą stare dokumenta, że jako djakon je śpiewał, bo nie księża śpiewali Exultet, ale djakonowie, jak widać z prośby Djakona Praezydjusza do św. Hieronima. Ponieważ św. Augustyn zawdzięczał św. Ambrożemu nawrócenie i żył z nim w ścisłej zażyłości, z wielkim pietyzmem widać korzystał z przesłanego sobie rękopisu „Exultet“ i stąd mogła powstać wśród chrześcijan wieść, że on sam je ułożył. Zresztą św. Ambroży nie kładł widocznie wielkiej wagi na utwór pisany prozą, który nieraz później ulegał zmianom. Tak np. w katedrze w Bari znalazło się „Exultet“, które, zachowując początek pieśni, dalszy ciąg zupełnie zmienia i szeroko nad pochwałą pszczoł się zatrzymuje. Pochodzi ono z wieku XI (Por. Duchesne. Origines du culte chrétien str. 550 Paryż 1908).

Taki jest początek i dzieje przesławnego hymnu, który do końca świata będzie liturgicznym wyrazem wesela paschalnego Oblubienicy Chrystusa. Szczupłość miejsca nie pozwala nam na analizę literacką przepięknej jego budowy, której piękno i poezję treści uwydatnia jeszcze więcej precudna melodia, pełna prostoty i namaszczenia. Zamiast suchej analizy podajemy własną próbę przekładu. Niech ona dopomoże spopularyzować wśród polskiej publiczności ten precudny zabytek kościelnej poezji.

EXULTET.

HYMN NA ŚWIĘCENIE PASCHAŁU.

*Niech się raduje już anielska rzesza
z tajemnic Bożych, gromkie wznosząc pienia,
i tak wielkiego Króla niech pospiesza
zwycięstwo — surmą wystawiać zbawienia.*

*Niech się i ziemia cieszy z głębi łona,
którą łun takich opromienia przepych
i Króla wieków blaskiem rozjaśniona,
niech wie, że cały świat z mroków wstał ślepych.*

*Niech się i Matka Kościół cieszy społem,
tak cudnych światel przystrojona żary,*

*i wielkich ludów wotaniem wesółem
niech ten przybytek rozbrzmiewa bez miary.*

*Was więc obecnych, o bracia najszczerzi,
gdy świętej zorzy łśni jasność tak błoga,
proszę: błagajcie ze mną, z całej piersi,
o miłosierdzie wszechmocnego Boga.*

*By Ten, co zgoła bez mojej zasługi
w Lewitów grono mnie wliczył łaskawie,
wlewając w serce me światła swych strugi,
dał pieśń wyśpiewać ku Świecy tej stawie.*

*Niech się to stanie przez Chrystusa Pana,
który wraz z Ojcem żyje i świat cały
owłada mocą, co z niebios Mu dana,
w jedności Ducha świętego, Król chwaty.*

*Po wszystkie wieki niech z nami Pan będzie
i z duchem naszym. Niech w górę myśl wzłata:
Dzięki składajmy w czas każdy i wszędzie
naszemu Bogu i Władcy wszechświata.*

*Zaiste słuszna, w pieniu uroczystem
niewidzialnego Boga Ojca w niebie,
z jedynym Synem wraz, Jezusem Chrystem,
którego rodzi przedwiecznie ze siebie,*

*Z całego serca uwielbiać w pokorze,
żarami duszy ogarniać wręcemi
i z piersi wdzięcznej Jego dzieła Boże
usłuznym głosem wieścić szczęśnej ziemi.*

*On bowiem Ojcu wiecznemu, Syn tkliwy,
za nas Adama dług spłacił sowicie
i starej winy cyrograf straszliwy
krwią drogą zmazał, oddając swe życie.*

*Te bowiem wielkie Paschalne są święta,
w których prawdziwy Baranek on ginie,
co krwią swą lepiej niż dawne jagnięta
drzwi wiernych w całą poświęca krainie.*

*Ta noc jest, w której Izraela dzieci,
praojców naszych, Egiptu obroże
rwąc, sam przewiodłeś wśród nurtów zamieci
suchemi stopy przez Czerwone morze.*

*Ta noc jest tedy, która grzechów mroki
kolumną ognia, co skrzęcy żar zsyła,
strącając w czelusć piekielną bez zwłoki,
od wszelkiej skazy serca oczyściła.*

*Ta noc jest, która dziś po całej ziemi
wierzących w Chrysta od win dzieląc świata,
i przed mrokami broniąc piekielnemi,
oddaje łasce, ze świętością brata.*

*Ta noc jest, w której, krusząc śmierci pęta,
zwycięzca Chrystus wstał z martwych krainy,
bo na nic życie, gdyby Jego święta
nie odkupiła nas męka od winy.*

*O, dziwna łasko Twej dla nas tkliwości,
co do nędz ludzkich się wdzięcznie nagina!
O, niepojętej wyborze miłości:
byś niewolnika zbawił, dałeś Syna!*

*O, iście grzech on potrzebny Adama,
który na zawsze Chrystusa śmierć zmyła!
O, szczęśna wina, co takiego, sama,
i tak wielkiego Zbawcę wysłużyła!*

*O, iście szczęśna noc, co sama jedna
znać zasłużyła czas on i godzinę,
w której wstał Chrystus ze śmierci bezedna,
podziemia mroki roztrącając sine!*

*Ta noc jest, którą bez mrocznych osłonek
prorocze Pisma od wieków nam głoszą:
noc się rozjaśni, jak słoneczny dzionek,
noc światłem mojem i serca rozkoszą.*

*Tej zatem nocy świętość płoszy zbrodnie,
ze serca zmywa wszelakich brud złości,
niewinność wraca upadłym niegodnie,
a smutnym słodycz niebiańskiej radości.*

*Nienawiść płoszy, dzielącą narody,
którym się wspólna otwiera kraina,
gotuje wszystkim braterskiej raj zgody
i pod swe berło mocarstwa ugina.*

(Tutaj diakon wtlacza do świecy pięć ziaren poświęconego kadzidła w kształcie krzyża).

*Dla tej więc nocy za wieczorny kielich
przyjm, święty Ojcze, w solennej podzięce
tę Świecę, którą Ci dzisiaj z prac pszczelich
prześwięty Kościół składa przez sług ręce.*

*Lecz już kolumny tej pochwały znamy,
którą ku sławie wszechmocnego Boga,
zarzewiem świętem żar niegąc bez plamy,
iskrząca ognia zapala pożoga.*

(Tu diakon zapala Paschał razem z jedną z trzech świec tkwiących na trzcinie).

*Co choć podzielon jest na części wiele,
pożyczonego jednakże płomienia
nie tracąc, wokół świetlany blask ścięle,
i nie zna mocy uszczerbku, ni cienia.*

*Żywi się bowiem stopnionemi strugi
płynnego wosku, który w pocie czoła
na drogą lampę tę, pełną zastugi,
z ziół wonnych matka dobyła nam pszczoła.*

(Tu zapalają się lampy).

*O iście szczęśna noc, co Egipcjany
łupi, łogącąc naród Izraela;
noc, w której ziemia się łączy z niebiany,
ludzkości — Boża się wszechmoc udziela.*

*Prosim Cię tedy, Panie, z całej mocy,
by Świeca, twojej poświęcona chwale
na rozproszenie pomroków tej nocy
płomieniem pełnym gorzała wytrwale.*

*Niechaj na wonność przyjęta słodyczy
dróg gwiazdnych smugą, której cień nie plami,
w niebiosów przestwór płynąc tajemniczy,
z górnemi wespół się zmiesza światłami.*

*Płomienie onej niech zorza przedwschodnia
zastanie, kiedy niebiosa zrumieni:
tej zorzy, mówię, płomienna pochodnia,
co już zachodu mrocznych nie zna cieni.*

*To słońce, które wróciwszy w potędzie
z pełnego grozy podziemi siedliska,
dziś, wyniesione nad ziemskich zmian nędzę,
przed rodem ludzkim pogodnie rozbłyśka.*

*Prosim więc, Panie, byś nas, twoje sługi,
kler i lud wszystek, oddany twej stawie,
z papieżem, oraz biskupem, czas długi
od złej przygody zastaniał łaskawie.*

*Po wszystkie czasy pokoju nam zdroje
wśród tych paschalnych zesyłaj radości,
w opiece ciągłej dziedzictwo miej swoje,
rządź i zachowuj ludu twego włości.*

*Niech się to stanie przez Chrystusa Pana,
który wraz z Tobą żyje i świat cały
owłada mocą, co z niebios Mu dana,
w jedności Ducha świętego, Król chwały! Amen.*

Ks. TADEUSZ KARYŁOWSKI.

Nacjonalizm, jego uprawnienia i etyczne granice.

Dokończenie.

Mimo całego uniwersalizmu, leżącego na dnie olbrzymiej koncepcji *civitatis Dei*, gdy święty twórca tej myśli stawia sobie pytanie, co z dwojga daje ludzkości lepsze rękojmie szczęścia i rozwoju, mnogość państw narodowych, czy wielkie, światowe imperja, sympatje jego i nadzieje stają raczej po stronie małych, a jednolitych organizmów politycznych, niż ogromnych, a wewnętrznie nie spójnych kolosów państwowych ¹⁾.

Jeżeli jednak św. Augustyn dla niniejszej, doczesnej ludzkości łatwo rezygnuje z jednej, ziemskiej monarchji, to nie rezygnuje dla niej bynajmniej ze wspólnoty tego duchowego królestwa, które utrzymując wszystkie społeczności ludzkie we właściwych granicach, poddaje je pod panowanie jednego Bożego pokoju. Wierzy on bowiem niezachwianie, jak wierzy z nim cała katolicka filozofja, że celem świata nie jest rozterka, lecz harmonja, a harmonja wśród wielu rzeczy o rozbieżnych tendencjach nie osiąga się inaczey, jak tylko przez jeden plan, który poszczególnym częstkom wielkiej całości drogi wytyka i sfery działania zakreśla.

Że w tym idealnym, lecz ściśle obiektywnym planie Bożego ładu narodom jako takim przysługują daleko idące uprawnienia, to wykazaliśmy już w poprzednim artykule. Żeby poglądom w tej pierwszej części pracy naszej rozwi-

¹⁾ „*Felicio ribus rebus humanis omnia regna parva essent, concordii vicinitate laetantia, et ita essent in mundo regna plurima gentium, ut sunt in urbe domus plurimae civium*“. *Civ. Dei*. IV. 15.

niętym nadać bliższe określenia i wyraźniejsze kontury, wypada nam z kolei omówić etyczne tych uprawnień granice, czyli rozstrząsnąć pytanie, jak daleko w dążeniach swoich i doktrynach nacjonalizm posuwać się może bez obrażenia prawa i prawdy.

Chcąc to ważne i trudne zagadnienie postawić odrazu na właściwej platformie, musimy przede wszystkim zdać sobie sprawę, co to jest, co w ostatniej instancji o etycznych granicach nacjonalizmu rozstrzyga. Jakkolwiek bowiem z punktu widzenia nie tylko już katolickich zasad, ale zdrowej filozofii nie może być co do tego najmniejszej wątpliwości, niesłychana, w jakiej obecnie żyjemy, anarchja myśli sprawia, że nawet co do tych podstawowych pojęć pojawiają się gdzieniegdzie błędne teorie.

I tak jedna z tych teoryj bądź to otwarcie głosi, bądź w formie cichego założenia suponuje, że o moralnej wartości wszystkich czynów, które w imię nacjonalizmu przedsiębrać można, decyduje ostatecznie sam tylko wzgląd na naród. „Naród — powiadają — jest najwyższym dobrem człowieka, a więc podstawą wszelkiej etyki i najwznioślejszym wskaźnikiem moralnym; co narodowi przynosi korzyść, to jest przez to samo etycznie dobre, co narodowi szkodzi, to jest bezwzględnie złe i potępienia godne“¹⁾.

Otóż przeciwko takiemu postawieniu sprawy protestować musi najenergiczniej, tak katolickie sumienie, jak sam

¹⁾ Z przykrością zaznaczyć nam wypada, że nawet ta najsłabsza forma fałszywego nacjonalizmu, jak kaziła niegdyś zapastrywania głównych teoretyków myśli wszechpolskiej, tak, mimo kilkakrotnej rewizji programu, pojawia się jeszcze dzisiaj, zwłaszcza u młodszych zwolenników obozu narodowej demokracji. Tak np. wszechpolska grupa młodzieży akademickiej uniwersytetu lwowskiego wydała w roku ubiegłym deklarację, której naczelną zasadą brzmi, że „naród jest najwyższym dobrem, jakie mamy, że więc wszelkie fakty i zagadnienia z dziedziny etyki i polityki muszą być rozpatrywane i sądzone wyłącznie z punktu widzenia narodowego“. Zasada ta została później rozszerzona i najniebezpieczliwiej zaostrożona w referacie akademika Derynga, mianym na zebraniu wspomnianej młodzieży, w którym obok zupełnego agnostycyzmu co do istnienia Boga i przy zupełnem lekceważeniu chrześcijaństwa, podniesiono nieomal do rzędu dogmatu, że „naród jest z pośród wszystkich realnych dóbr dobrem najwyższem, że jest zjawiskiem najpełniej etycznym i podstawą wszelkiej etyki“. Por. „Prąd“ 1922 str. 250 i nn.

zdrowy rozsądek. Naród nie jest i nie może być najwyższym dobrem człowieka, bo jest zjawiskiem skończonym i doczesnym, a najwyższe dobro może być tylko nieskończone i wieczne; naród nie jest ostatnią normą moralnej wartości czynów, bo musiałoby być tyle etyk sobie przeciwnych, ile jest na świecie narodów i sprzecznych narodowych interesów. Zanim się jest Polakiem, czy Francuzem, czy Niemcem, jest się przedewszystkiem i z samych głębin swej istoty człowiekiem, a najwyższym dobrem człowieka jako takiego jest tylko Bóg i żywot wieczny u Boga. Nie można więc jednostki ludzkiej tak dalece „unaradawiać“, żeby ją przez to „odczłowieczać“; nie można bez zaprzeczenia tego, co w naturze ludzkiej jest istotne i najwyższe, doczesnych i zewnętrznych względów wysuwać ponad wartości duchowe i wieczne.

Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że pogląd, który upatruje w narodzie najwyższe dobro, w żaden sposób utrzymać się nie da, bo stoi w nieprzejednanej sprzeczności nie tylko już z wiarą katolicką, ale z najgłębszymi podstawami chrześcijańskiego na świat poglądu. Ale jeżeli tak jest, to wypływa stąd oczywisty i nieodbitý wniosek, że o wartości etycznej czynów i dążeń, które naród mają za bezpośredni przedmiot, nie rozstrzyga ostatecznie dobro narodu, ale ta ogólna norma moralności, którą jest dla wszystkich rzeczy skończonych, a więc wyższemu dobru podległych, przyrodzone lub pozytywne prawo Boże. Niema więc żadnej odrębnej etyki narodowej, tylko jest jeden wielki etyczny porządek, w którym najwyższy Prawodawca tak jednostkom, jak różnym społecznościom ludzkim, zakreśla swoje sfery praw i obowiązków, a stąd etycznych granic nacjonalizmu nie gdzieindziej szukać wypada, tylko w tym planie ogólnej harmonji, który mądrość Boża poczęła, a woła Boża nakłada bądź to przez głos przyrodzonego sumienia, bądź przez pozytywne objawienie. W mierze, w jakiej ten plan Boży urzeczywistniają, dążenia nacjonalistyczne są etycznie dobre; w mierze, w jakiej z tym planem Bożym są sprzeczne, są też przez to samo złe i naganne, choćby zdawały się napozór służyć narodowemu dobru. Żeby zaś przekonać się szczegółowo, gdzie zaczyna

się ta sprzeczność z planem Bożym, wystarczy zdać sobie sprawę, jakie są sfery przez najwyższego Prawodawcę z pod wpływu narodowościowych czynników wyjęte, a granice tych sfer będą zarazem stanowić to, czego szukamy, t. j. linje etyczne, poza które nacjonalizm przechodzić nigdy nie powinien.

Stojąc tedy na tym jasnym i bezwzględnie pewnym punkcie widzenia, znajdujemy przede wszystkim jedną dziedzinę, która tak wznosi się ponad wszystkie narodowościowe względy i stosunki, jak potężny szczyt górski, wierzchołkiem swoim kąpiący się w słońcu, wystercza ponad lasy, co wieńczy jego podnóża. Dziedziną tą jest religja, czy to subiektywna, polegająca na wewnętrznym stosunku duszy do Boga, czy to obiektywna, złożona z tych wszystkich środków i instytucyj, które Bóg ludzkości podał, by jej dojście do siebie ułatwić. Religja bowiem wiąże człowieka bezpośrednio z najwyższym dobrem i prowadzi go wprost do tego celu, któremu cały świat i ludzkość zawdzięczają swe istnienie; religja składa się z czysto duchowych i bezwzględnych wartości, które nie mogą być podległe czynnikom, warunkowanym przez czas i miejsce i zależnym od materialnych przyczyn. Naród jest zjawiskiem, które kończy się na ziemi i zamyka się w obrębie doczesnych jej dziejów, religja prowadzi do form bytu, które nie kończą się nigdy; naród dotyka człowieka z zewnętrznej strony, pochodzenia, języka, geograficznych i historycznych warunków, religja wchodzi w to, co w nim jest najwnętrzniesze i najbardziej istotne; naród może dać to tylko, z czego się składa i czem rozporządza, t. j. dobra względne i częściowe, zaspokajające te popędy, które ma człowiek, jako Polak, czy Niemiec, czy Francuz, religja nie tylko może dać, ale zawsze daje dobra absolutne i nieskończone, których ponad czas i przestrzeń dno duszy ludzkiej jako takiej najpotężniej pragnie, t. j. bezpośrednie obcowanie ze Stwórcą wszechświata, najwyższym, nieogarnionym Bogiem.

Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że wszystkie nacjonalistyczne dążenia i popędy powinny zatrzymywać się u progu tego „przybytku Boga z ludźmi“, jakim jest religja, czy to tkwiąca w głębi poszczególnych dusz, jako subiek-

tywne ich życie, czy to obiektywnie wcielona w instytucję katolickiego Kościoła. Narodowy język i inne narodowe siły mogą i powinny w pewnej mierze pełnić niejako zewnętrzna około tego sanctuarium posługę, dopomagając do tego, by religijne wpływy Boże łatwiej wniknęły do serc i zdobyły w nich panowanie, ale nigdy nie powinny wchodzić do wnętrza, a tem mniej stawać na ołtarzu, do którego tylko sam Bóg ma prawo. Naród więc nigdy nie powinien, ani tak absorbować wszystkich myśli i uczuć, żeby ich już dla Boga i zbawienia duszy nie starczyło, ani też stawać w poprzek czy to tej ścieżki duchowej, po której człowiek postępuje ku swemu Stwórcy, czy to miłosiernych dróg zbawienia, po których Bóg przybliża się do ludzkości. A zatem błędem jest sądzić, że religja może kiedykolwiek być środkiem do narodowego dobra¹⁾, błędem jest mniemać, że

¹⁾ I na tym punkcie niestety snują się po głowach nowszych przedstawicieli myśli wszechpolskiej te same zgubne nieporozumienia, które zamąciły ideologję pierwszych pionierów tego kierunku. Tak np., żeby dalej nie sięgać, w styczniowym zeszytzie „Przeglądu wszechpolskiego“, przedstawiając doktrynę nacjonalizmu, jako „suwerenność idei narodowej“, uważa pan Ignacy Oksza Grabowski religję najwyraźniej za środek do podtrzymania rodziny, a przez nią narodu. „Hestja, Westa, Znicz, wreszcie lampka Madonny lub (!) Przenajświętszej Panny musi się palić w rodzinie. Jakiś Bóg w ognisku mieszkać musi, aby rodzina nie stała się fikcją... Nacjonalizm polski musi iść ręką w rękę z religją, a po nie w a ż dziewięć dziesiątych Polaków wyznaje katolicyzm — z katolicyzmem“. Wyraźniejszy komentarz do tych poglądów można znaleźć we wspomnianym wyżej odczycie, mianym w kole wszechpolskiej młodzieży akademickiej lwowskiej. „Dla nacjonalisty, który uważa, że dobrem najwyższym jest naród, Kościół istnieje jako czynnik i jako organizacja społeczno-prawna, która mając wpływy i siłę, może się przyczynić do wzmożenia lub osłabienia siły narodu. Stosownie też do stosunków faktycznych nacjonalista będzie się starał stosunek ten ułożyć jak najkorzystniej dla narodu. Kościół jako organizacja społeczna, o ile działa dla dobra narodu, powinien być popierany, o ile zaś polityka jego koliduje z interesem narodowym, powinien być bezwzględnie zwalczany. Katolik może być dobrym nacjonalistą, o ile będzie się czuł przedewszystkiem członkiem narodu, a nie członkiem międzynarodowej społeczności kościelnej. Nacjonalista może być wierzącym lub nie, ale nie może nim być ten, komu byłby bliższym Rzym, niż ojczyzna“. Por. „Prąd“, jak wyż.

Jakkolwiek autor tego fatalnego ustępu zdaje się patrzeć na Ko-

wzgląd na naród może uniewinniać jakikolwiek nieetyczny lub niereligijny postęp, błędem wreszcie jest myśleć, że powszechny katolicki Kościół, lub jakiekolwiek istotne jego składniki można przerobić na narodową modłę i wtłoczyć w ciasny zakres narodowego życia. Kto w ten lub ów sposób podporządkowuje religję narodowi i uważa ją za jakiś pożyteczny, lub czysto estetyczny „dodatek“ do nacjonalistycznych ideałów czy haseł, ten absolutnie nie wie, czym jest religja i, obiektywnie rzecz biorąc, same jej podstawy obala. Religja bowiem albo jest najwyższym dobrem i bezwzględną prawdą, która przed żadną rzeczą skończoną ugiąć się nie może, albo nie jest niczem, tylko czczą konwencją, z którą nikt rozumny liczyć się na serjo nie będzie. Nie można więc wracać do tego poziomu kultury, na którym każdy naród miał swego „boga“, zamkniętego w granicach kraju i obowiązane go służyć doczesnym interesom mieszkańców, ale trzeba pojąć, że ta tylko religja dźwiga i uszczęśliwia tak jednostki, jak narody, która ponad wszystkim, co ziemskie, stawia nieskończonego Stwórcę i wieczny żywot w jego niebieskiej ojczyźnie.

To, co powiedzieliśmy dotychczas, wytycza granice nacjonalizmu od góry, t. j. wskazuje sferę wyższą, której żadne narodowe względy, ani rzeczywiście przeciąć nie mogą, ani próbować przeciąć nie powinny. Inna podobna linja, również palcem Bożym przeciągnięta, zakreśla granice nacjonalistycznych dążeń od dołu, t. j. odgranicza dziedzinę, której, choć jest pod pewnym względem niższa, naród pochłonać nie może, żeby nie wejść w kolizję z obiektywnym, niezależnym od siebie prawem.

Chcąc z natury tej drugiej granicy nacjonalizmu lepiej zdać sobie sprawę, musimy sięgnąć wstecz do chwili, w której ona pod wpływem światła objawienia pojawiła się w świadomości ludzkiej.

Zanim Chrystus ogłosił światu tę wielką nowinę, któ-

ściół tylko, jako na „organizację społeczno-prawną, a nie jako na instytucję „relligijną“, z całego wątku odczytu jest widoczne, że zarówno przyrodzone, jak nadprzyrodzone siły Kościoła zupełnie podporządkowuje narodowemu dobru.

rej ducha streszcza św. Paweł w słowach: „Wy do wolności powołani jesteście, bracia” — jednostka ludzka, a z nią rodzina, była zupełnie zaabsorbowana przez tę społeczność państwową, która zresztą wnet próbowała pożreć i narody. Poszczególne człowiek z duszą, ciałem i mieniem należał cały do państwa, czy ono wcielało się w jednym, wszechwładnym cesarzu, czy realizowało się w rzeczypospolitej, wzorowanej na Platońskich lub Arystotelesowskich abstrakcjach. Dom rodzinny miał wprowadzić swoich penatów, ale i ich rola kończyła się na tem, by pomóc do wychowania jednostek, których osobiste prawa miały niejako utonąć w tem zlewisku publicznych interesów, dla których *suprema lex* zamykała się w dobrobycie całości.

Z nastaniem chrześcijaństwa te stosunki uległy zasadniczej zmianie. Jakkolwiek bowiem Chrystus bezpośrednio wyrwał z pod władzy państwa tylko sumienie i religijny związek dusz z Bogiem, blask nadanej ludziom wolności dzieci Bożych rzucił tak potężny refleks na wartość i godność człowieka, jako takiego, że nawet w dziedzinie zewnętrznych i doczesnych spraw tej ziemi, inaczej musiał się ukształtować wzajemny stosunek jednostki i wszelkich form społecznego bytowania. Zrozumiano mianowicie, że społeczność, o ile jest czemś realnem, a nie oderwaną, bezcielesną ideą, nie ma innego bytu, jak w ludziach, z których się składa, że więc ostatnim jej celem nie może być jakieś dobro ogólne, które byłoby odrębne od dobra jednostek, ale, że samo to indywidualne dobro członków musi przyświecać wszystkim jej dążeniom. Zrozumiano też konsekwentnie, że *suprema lex* pospolitego dobra może wprowadzić wymagać od obywateli doraźnych ofiar z mienia i życia, ale musi jednak zatrzymać się tam, gdzie wyższe, bo od Boga nadane, prawa osobiste i rodzinne zasadniczo warują godność ludzką, a tem samem strzegą godności społeczeństwa.

Z tych ważnych i głębokich zrozumień zrodziła się ta chrześcijańska koncepcja politycznego ustroju ludzkości, w myśl której państwo ani nie ma celu swego samo w sobie, ani nie jest źródłem wszystkich praw swych członków, ani nie ma względem nich nieograniczonych uprawnień, ale owszem z przeznaczenia swego ma służyć indywidual-

nemu i rodzinnemu ich dobru i tyle tylko ofiar żądać od nich może, ile ich rzeczywiście potrzebuje, by to dobro wszystkich w najpełniejszej mierze osiągnąć i zabezpieczyć.

Niestety jednak te zdrowe pojęcia o celu i prawach państwa miały z biegiem czasu ulec groźnemu spaceniu. Odkąd pod wpływem odrodzenia i reformacji zaczęły przysiągać światła chrześcijańskich ideałów, na różnych drogach i w różnych postaciach, ale zawsze z tą samą wrodzoną sobie bezwzględnością, zaczęła pojawiać się napowrót owa zmora wszechwładzy państwowej, która na rzecz abstrakcyjnej całości poświęca dobro realnych części. Spoganiały humanizm Machiavela i brutalny materializm Hobbesa wskrzeszał tę zmorę na korzyść absolutyzmu panujących; utopje Russa i indywidualistyczne spekulacje Kanta i Fichtego przystrajały to samo widmo w demokratyczne barwy; panteizm wreszcie Schellinga i Hegla zamieniał je wprost na bóstwo, które siedząc, jak olbrzymi pajak, w nadczłowieczej sferze absolutu, całą wolność ludzką sieciami swemi krępuje i wszystkie żywotne siły z poddanych sobie jednostek wysysa.

W chwili, kiedy rodził się nacjonalizm i kiedy silną ręką rozpoczynał dzieło przebudowy państwa wedle narodowych zasad, fałszywe pojęcia o wszechwładzy państwowej tak dalece przesyciły duchową atmosferę świata, że zdawały się wprost należeć do kodeksu politycznego społeczeństwa. Kiedy więc naród powiedział: ja będę państwem, stanął, sam o tem nie wiedząc, wobec groźnego niebezpieczeństwa, że przybierając kształty państwowego ustroju, wchłonie zarazem tego ducha, który państwo ożywia, czy raczej zatruwa, t. j. ducha bezwzględnego podporządkowania jednostki i rodziny pod abstrakcyjnie pojete ogólne dobro.

To niebezpieczeństwo było i nacjonalizm niezupełnie zdołał mu się oprzeć. Bóstwo zmieniło nazwę, bo zamiast nazywać się „państwem“, zaczęło nazywać się „narodem“, lub „ojczyzną“; zmieniły się też hasła, głoszące suwerenność tego bóstwa, bo zamiast czysto intelektualnych, odezwało się w nich dużo uczuciowych tonów, ale rzecz została, przynajmniej w skrajnych formach nacjonalizmu, ta

sama: absolut społeczny, w imię *suprema lex*, żądający zupełnego poddania jednostki.

Otóż nie! W chrześcijańskich pojęciach o człowieku i celu jego uspołecznienia tak być nie może. Ojczyzna i naród są wprawdzie dobrem tak wielkiem i w pewnym sensie świętem, że mogą żądać od swych synów i potu czoła i ostatniej kropli krwi serdecznej, ale mogą tego żądać z jednej strony tylko dla realnego, t. j. indywidualnego dobra swych członków, nie dla jakiejś nieosobowej abstrakcji, z drugiej strony tylko w granicach godności ludzkiej i świętości rodziny.

A więc nie jest dobrze, kiedy się przemienia oderwaną ideę narodu w jakieś bożyszcze, przed którym mają się zginać wszystkie kolana i ustępować wszystkie względy; nie jest dobrze, kiedy wobec tej idei tak dalece ginie indywidualność ludzka, że już w sam kodeks „narodowego” wychowania wstawia się postulat urabiania jednostki wyłącznie dla narodowych celów; nie jest dobrze, kiedy głosi się otwarcie, że „suwerenna idea narodu reguluje *wszystko*”, albo, że „wszystkie środki, wiodące do dobra narodu, są święte”. Nie jest to dobrze, bo chociażby te i tym podobne przesłanki nie wyłoniły ze siebie odrazu wszystkich praktycznych konsekwencji, jakimi są brzemiennie, nie wolno stawiać zasad, z których logicznie płynie, lub płynąć może rozstrój najgłębszych składników społeczeństwa.

Ma nacjonalizm etyczne granice od góry i od dołu, ma je i obok siebie, bo on występuje zawsze w imię własnego narodu, a każdy naród ma koło siebie na tym samym etycznym poziomie inne narodowe jednostki, tworzące razem tę wielką rodzinę ludów, której imię jest ludzkość.

Żeby zacząć od określenia stosunku nacjonalizmu do ludzkości jako takiej, musimy przedewszystkiem usunąć na bok pewne teorie, które zdają się nam niesłusznie i niewłaściwie uszczuplać prawa narodów na rzecz ogólnie wziętej ludzkiej rodziny. Są mianowicie ludzie, którzy w imię solidarności klasowej, albo w imię oderwanego jakiegoś humanitaryzmu i pacyfizmu, albo wreszcie pod wpływem jednostronnie pojętych ideałów chrześcijańskich i źle zasto-

sowanej zasady, że dobro im ogólniejsze, tem wyższe, żądają od narodów jakiejś pozytywnej rezygnacji z dążeń, wyrabiających i utrzymujących polityczną, kulturalną, językową, obyczajową odrębność. Przyświeca tym ludziom jako ideał przyszłości świata, albo jakaś powszechna republika, obejmująca cały glob ziemski, albo przynajmniej ogólna federacja wszystkich ludów, wiążąca państwa w jeden wielośrodkowy ustrój polityczny i stąd uważają za obowiązek narodów do tego ideału powoli się przybliżać, z mniejszem lub większem wyrzeczeniem tego, co nazywają narodowym egoizmem.

Jeżeli nie jest zbyt śmiałością przesądzać o kwestji, o której zapewne ostatecznie rozstrzygnie dalsza ewolucja ludzkiego rodzaju, zdaje nam się, że tego rodzaju teorie i związane z niemi nadzieje są zupełnie bezpodstawne i chybione. O ile obecny stan rozwoju ludzkości pozwala sądzić o najlepszych formach jej bytowania, uważamy państwa narodowe za bezwzględnie najdoskonalsze rodzaje politycznego uspołecznienia i sądzimy, że burzyć narody, żeby je roztopić w jakimś morzu kosmopolityzmu, jest prawie takim samym nierozumem, jak rozkładać rodzinę, by silniej ściągnąć spojenia państwowego organizmu. Popęd nacjonalistyczny, idący w kierunku odrębności narodowej, jest, zdaniem naszym, naturalny i stąd w swoich granicach zupełnie uprawniony, a jeśli jest w naturze ludzkiej pewna, intelektualna raczej, niż moralna, tendencja do powszechnej jedności, sądzimy, że całkowicie czyni jej zadość ta nadprzyrodzona forma uspołecznienia, która z czysto religijnej strony przerabia ludzkość w zespół tak ścisły, że „niemasz poganina i żyda, barbarzyńcy i fatarzyna, ale wszystko i we wszystkich Chrystus“.

Jeżeli więc chodzi o jakąkolwiek pozytywną rezygnację z pełnej indywidualności narodowej w kierunku politycznego ogólnoludzkiego zjednoczenia, mamy głębokie przekonanie, że żaden naród obowiązany do niej nie jest i że owszem tem lepiej się przysłuży sprawie ludzkości jako takiej, im bardziej wykształci i wszechstronnie udoskonali swój odrębny typ narodowy, który przez zdrową rywalizację

z innemi typami wniesie w ogólnoswiatowe życie więcej ruchu, różności i bogactwa.

Że jednak i w tej mierze nacjonalizm ma przed sobą pewne etyczne granice, to wynika z samej tej rdzennej wspólności jednej ludzkiej natury, która wiąże potomstwo Adama w jedną fizyczną rodzinę i z tej potężniejszej solidarności nadprzyrodzonej, którą te naturalne węzły wzmocniło chrześcijaństwo. A granice te biegną po linii, oddzielającej zakres dóbr przyrodzonych, lecz czysto duchowych, od sfery interesów, w którą wchodzi materjalne i fizyczne wartości. Nie powinny więc wdzierać się narodowościowe względy i rozdziewki w spokojną dziedzinę wiedzy i sztuki, która jest i musi pozostać wspólnym skarbem kulturalnej ludzkości, ani tem mniej w świątynię filozoficznej myśli, która z natury swojej buduje się na bezwzględnych prawdach; nie powinny kazić i ścieśniać ani tej etyki przyrodzonej, która na naturze ludzkiej jako takiej się opiera i wewnątrznie ją uszlachetnia, ani tej powszechnej miłości, która w każdym bez wyjątku człowieku widzi bliźniego i w miarę możliwości podaje mu pomocną rękę. Sfera tych dóbr i ideałów powinna być platformą, na której mogłyby się zawsze spotkać i porozumieć wszystkie ludy i wszyscy ludzie, jakiegokolwiek byłyby między nimi różnice, a może i przepaście; kto tę platformę burzy, lub cichą jej atmosferę zaraża tchnieniem narodowego szowinizmu, ten robi czyn nieetyczny, tak własnemu narodowi szkodliwy, jak dla całej ludzkości krzywdzący.

Jeżeli teraz zwrócimy się z kolei do wzajemnych między narodem a narodem stosunków, żeby i na tym trudnym terenie wskazać linje etyczne, które nacjonalizm uszanować powinien, musimy starannie odróżnić trzy rzeczy, najpierw narody postronne, tworzące już własne organizmy polityczne, potem narody mniej lub więcej sąsiednie, które są dopiero w drodze do samoistności państwowej, wreszcie te części obcych narodowości, które z tych lub owych przyczyn — niżej wypadnie nam i te przyczyny bliżej omówić — przemieszczają w obrębie innego narodowego państwa. Chociaż bowiem względem wszystkich tych trzech grup zasadnicza norma obowiązków jest jedna, to jest spra-

wiedliwość, połączona z miłością chrześcijańską, różność warunków, w jakich te grupy istnieją, wymaga dla nich odrębnego zastosowania ogólnych prawideł.

W stosunku do narodów ściśle postronnych zarówno etyka chrześcijańska, jak sam zdrowy rozsądek zabraniają przedewszystkiem jakiegokolwiek wynoszenia własnego narodu ponad inne. Że swój naród trzeba więcej od innych kochać, to jest jasne i to najzupełniej wchodzi w plany Boże; żeby pod wpływem tej miłości swój naród ponad inne obiektywnie wywyższać, to jest nierozumne i niewłaściwe, bo one wszystkie, jakiekolwiek mają przymioty i wady, są równouprawnionemi członkami wielkiej rodziny ludów. A więc nigdy i nikomu nie wolno uważać się za jakąś rasę wyższą, do panowania nad innymi przeznaczoną; nigdy i nikomu nie wolno mówić, że jego ojczyzna jest *über alles*, albo, że „boski i szlachetny żywot“ jest jednego tylko narodu udziałem¹⁾.

Jeżeli zaś nie wolno nawet teoretycznie tak czuć i mówić, to daleko mniej jeszcze wolno w praktyce publicznego życia uważać interes własnego narodu za jedynie miarodajną normę w kształtowaniu międzynarodowych stosunków i granic. Interes bowiem jako taki nie jest jeszcze prawem, a światem musi władać prawo, nie siła, jeśli narody nie mają się zamienić na gromadę dzikich zwierząt, które tak długo będą szarpać się wzajem, dopóki wszystko, co słabsze, nie ulegnie pod zębem potężniejszych sąsiadów. Jeżeli więc nacjonalizm ma istotnie otworzyć wrota do doby wyższej kultury, jeżeli nie chce cofnąć ludzkości napowrót w te

¹⁾ Nie ulega wątpliwości, że pewne w tej mierze przesady dadzą się wytłumaczyć, jako jakaś *licentia poetica* wieszczów narodowych. Strzec się jednak trzeba tak w tej, jak w niejednej innej dziedzinie, żeby zdań, dopuszczalnych w ustach poety, nie przenosić żywcem i bez żadnego korektywu w te zagadnienia, w których tylko ścisła myśl uprawniona jest do głosu. Sądzimy, że specjalnie polski nacjonalizm dużo na tem ucierpiał, że nie dość krytycznie posługiwał się w swych hasłach słowami swych narodowych poetów. Zwłaszcza te przesadne pochwały Polski, które natchnął, zrozumiały na swój czas, ale z gruntu błędny, messyjanizm, nie powinnyby już być używane do rozdmuchiwania próżności narodowej w takich pismach, od których miałyby się prawo żądać pomocy do trzeźwego i obiektywnego samopoznania narodu.

czasy, w których przemoc państw deptała krwawo własne jego prawa, jeżeli chce zostać sobą, a nie wchłaniać w siebie tej złowrogiej choroby, na którą, wśród straszliwych konwulsyj całego świata, państwa dawnego typu pomarły — nie może on nigdy mówić, że jest siłą, która prawa nie bierze w rachubę¹⁾, ale musi koniecznie głosić, że jest prawem i prawo uważać za normę tak świętą, że sam nawet narodowy interes przeciwstawiać się jej słusznie nie może.

A to zasadnicze stawianie prawa ponad siłą i wynoszenie słuszności nad interes jest w międzynarodowych stosunkach tem donioślejsze, że w wielu wypadkach samo prawo nie jest jeszcze zupełnie jasne i że konkretne jego zastosowanie niezmiernie utrudniają zawikłane narodowościowe warunki, które zwłaszcza na terytorjach pogranicznych wytworzyła dawna polityka państwowa i dawna bez troska ludów o utrzymanie narodowościowych granic. Konsekwentny więc i szczerzy nacjonalizm, taki nacjonalizm, który szlachetnych narodowych haseł nie używa tylko za pokrywkę dla barbarzyńskich imperjalistycznych tendencji, powinien przede wszystkim usilnie dążyć najpierw do wyświecenia samych zasad międzynarodowego prawa ludów, a potem do takiego ich zastosowania w praktyce, by wedle możliwości naprawić dawne historyczne błędy i oddać każdemu *sum cuique*. Wymiar tej międzynarodowej sprawiedliwości, jak jest niewątpliwie szczytnem nacjonalizmu powołaniem, tak wchodzi też najzupełniej w sferę jego możliwości, bo on rozporządza zasadą, która, byleby nie była fałszowana i dowolnie interpretowana wedle „prawa mocniejszego“, może istotnie wyprowadzić świat z tego stanu, w któ-

¹⁾ „Nacjonalizm, *lex suprema*, to znaczy siła będąca ponad prawem... nacjonalizm integralny, zbywszy się koszulki międzynarodowego humanizmu, którego zresztą w tych czasach żaden naród nie praktykuje u siebie na miejscu — może uprzedzić dla Polski katastrofę pójścia na dno historyczne“. Przegląd wszechpolski. 1923, str. 41. Sądzimy, że nacjonalizm pozbawiony tej „koszulki“ okazałby światu nagie kształty nie ludzkie, lecz zwierzęce i że nie zachowałby od katastrofy dziejowej ani Polski, ani żadnego innego kraju, który buduje swe nadzieje na słuszności i prawie.

rym nienasycona chciwość z jednej strony, obawa lub uczucie krzywdy z drugiej strony, utrzymywały ludzkość w nastroju wzajemnej nieufności i krwawych zatargów.

A więc nigdy w świecie „right or wrong, my country“, ale jasna, zupełna sprawiedliwość przedewszystkiem, a w drodze do jej osiągnięcia ta rozważa i to umiarkowanie, które dyktuje miłość chrześcijańska.

Względem narodów, które jeszcze nie wyrobiły swej własnej samoistności państwowej, sprawa komplikuje się o tyle, że nie zawsze jasno wiadomo, z czym się ma do czynienia. W tej plazmie, która jeszcze nie wytworzyła jednej macierzystej komórki, w tym wirze atomów, który jeszcze nie zaczął się skupiać koło jednego głównego jądra, abstrakcyjnie rzecz biorąc, możliwe są różne wyniki. Czasem, pomimo odrębności językowej, zrośnie się plemię z obcym narodem, jak Baskowie i Normandowie z Francją, albo Katalończycy z Hiszpanją; czasem wystarczy dla zaspokojenia budzących się narodowych instynktów system federatywny, albo nadana w pewnych granicach w łonie obcego państwa autonomja; czasem wreszcie popęd narodowy jest tak zdecydowany i silny, że nie zatrzyma się w swym rozwoju, aż wywalczy sobie całkowitą polityczną odrębność.

Jak długo nie wiadomo, na czym proces uświadczenia narodowego się skończy — przesądzać o tem jest nieraz bardzo njebezpiecznie — narodowe państwa sąsiednie, zwłaszcza te, na których terytorjum cały ten proces, lub częśćka jego się odbywa, nie powinny wprowadzić budzącego się nacjonalizmu przemocą tłumić, ale też nie są obowiązane przychodzić mu z pozytywną pomocą. Najwłaściwsze jest to wyczekujące stanowisko Gamaliela w „Dziejach Apostolskich“: „Jeśli jest z ludzi ta rada albo sprawa, rozchwieje się, lecz jeśli jest z Boga, nie będziecie mogli jej zepsować“, a jak długo trwa to uzasadnione wyczekiwanie, wolno jest zapomocą różnych prób, przedewszystkiem zapomocą szczerej życzliwości i uszanowania przyciągać niezdecydowane narodowo żywioły do już istniejącej całości narodowo-politycznej.

Jedno tylko, czego nie wolno i co zresztą jest zupełnie sprzeczne z dobrze zrozumianym interesem narodowym, to

siac nienawiść i rozwijać na niejasnych narodowościowo kresach tę zawziętą walkę, która stara się zyskiwać narodowych prozelitów, przykładając im nóż do gardła. Tego rodzaju postępowanie, jak jest niechrześcijańskie i nieetyczne, tak też wyrządza największe szkody narodowi, który je praktykuje, bo siłą reakcji budzi te narodowe instynkty, które chciałoby tłumić i przymnaża własnemu państwu nieprzejednanych wrogów, tem niebezpieczniejszych, że o mie-dzę żyjących.

Inaczej przedstawia się stosunek zdrowego nacjonalizmu do tych części narodowości obcych, które rozsiane są po terytorjum jednego narodowego państwa. Ta sama zasada sprawiedliwości, która wymaga, żeby się stało *suum cui-que*, żąda też stanowczo, żeby było i nie przestawało być *suum sibi*. Ma więc naród, posiadający własne państwo, niezaprzeczone prawo, żeby być gospodarzem u siebie i nie jest obowiązany żadnym „mniejszościom narodowym” dawać narodowego równouprawnienia ze sobą. Czy grupy obce chcą się asymilować, czy nie, to jest ich rzecz, ale prawem i obowiązkiem narodu, który szanuje swą jednolitość i chce być sobą, jest energicznie i konsekwentnie czuwać, żeby w jego kraju albo wogóle się nie tworzyły ogniska obcego nacjonalizmu, albo przynajmniej nie wnosily rozstroju w jedność polityki narodowej. Odwoływanie się do idei państwa jako takiego, t. j. do jego abstrakcyjnej tolerancji względem narodów jest nie na miejscu, bo całym celem i słusznym celem nacjonalistycznego prądu jest oparcie państw na nowych, t. j. na wyłącznie narodowych zasadach. Nie na to prowadziły się olbrzymie walki, nie na to rozplątywały się z trudem węzły dziejowych zawikłań, nie na to naprawiały się wiekowe krzywdy, żeby znów powstawały owe nienaturalne aglomeraty, w których ustrój państwowy jest tylko obręczą, ściskającą do czasu rozbieżne narodowościowe tendencje, a polityka państwowa jest tańcem wśród mieczów sprzecznych, a drażliwych interesów. Jakie mają być granice państw ściśle narodowych, to musi być przedmiotem długich badań, a może i rezultatem niejednej walki, ale z chwilą, gdy jakiś naród znajdzie się bezsprzecznie u siebie, musi też

i wewnętrznie być całkowicie sobą, jakiegokolwiek miałby wśród siebie naleciałości obce.

A jeżeli ta zasada, odnosi się do wszystkich drobnych grup narodowych, posianych przez dziejowe wichry na ojczystej glebie, to odnosi się ona przede wszystkim do tych obcych pierwiastków, których osadnictwo było od wieków przednią strażą wojującego nacjonalizmu zewnętrznego, albo złowrogiem źródłem wewnętrznej gangreny. Względem pierwszych wskazane są daleko idące ograniczenia, względem drugich energiczna samoobrona, która chociażby drogą ekonomicznego bojkotu uwolniła ojczyznę od tego żywiołu, który, jak grzyb mieszkaniowy, zarazem niszczy wiązania domu i w próchno je obraca, zarazem oplata je siecią własnych, pasorzytnych włókien. Gdyby jakiś naród nie zdobył się w tych dwóch kierunkach, a zwłaszcza w drugim, na zdecydowaną postawę i energiczne środki działania, podpisałby na siebie wyrok śmierci.

Ale jeszcze i w tej ostatniej sferze swych stosunków powinien zdrowy nacjonalizm trzymać się pewnych granic, które, wyższa nad doraźne dobro narodu, sprawiedliwość i miłość nakłada. Nie wolno więc nigdy krzywdzić jednostek obcych, nie wolno im odmawiać niczego, czego na mocy zasadniczych praw obywatelskich żądać mogą, nie wolno brać ich za przedmiot nienawiści i wzdardy, nie wolno posługiwać się w walce z nimi żadnym nieetycznym czynem. Ale też żadne tego rodzaju środki nie są potrzebne, bo wystarczy zupełnie broń inna. Specjalnie o walce z żydostwem powiedział niepodejrzany świadek, żyd Cheskel Zwi Klötzel: „Żydostwo pokonać można tylko duchem: bądźcie mocniejsi w nieżydostwie, niż my w żydostwie, a będziecie zwycięzcami“¹⁾. Jeżeli nacjonalizm nie będzie trzymać się wiary w siłę, ale w prawo, jeżeli na pierwszy plan swych dążeń będzie wysuwał nie materialne, ale duchowe wartości, jeżeli swe metody wyzwoli od sekciarskiego nastroju zacietrzewień partyjnych, jeżeli wreszcie w ideał narodowy, nie z oportunistu, ale z głębokiego przekonania wciągnie całkowite chrześcijaństwo, to i on będzie zwycięzcą. Na krótko

¹⁾ Przegląd Wszechpolski 1923, str. 55.

bowiem może zwyciężać siła fizyczna, na długo tylko duch, prawo i prawda.

I z tem dobiegliśmy do końca najpobieżniejszego zarysu tych granic etycznych, poza które popęd narodowościowy posuwać się nie powinien. Jeśli w tych granicach się utrzyma, będzie czynnikiem wprost błogosławionym; w tej mierze, w jakiej je przekroczy, będzie narzędziem dziejowego rozstroju. Kościół czeka i społeczeństwo katolickie czeka, którą drogę nacjonalizm obierze, by ustalić swoje na jego dążenia poglądy i zająć względem niego określone stanowisko. Wszyscy jednak, którym dobro narodu i ludzkości leży na sercu, pragną z głębi duszy, by obrał tę drogę, na której mógłby być potężnym sprzymierzeńcem w walce o Królestwo Boże, a sobie samemu zabezpieczyć prawdziwe i stałe triumfy. Bo to Królestwo Boże, jak pięknie mówi św. Augustyn, ta *civitas Dei*, pielgrzymująca przez ziemię, nie tylko nie burzy odrębności narodowych i nie wyrywa z duszy narodowych umiłowań, ale je krzewi i praw ich strzeże, pod warunkiem wszakże, że węzły doczesne i ziemskie z tych umiłowań płynące nie będą przeszkodą, ale pomocą do zdobycia wiekuistego pokoju ¹⁾).

¹⁾ „Haec ergo caelestis civitas dum peregrinatur in terra, ex omnibus gentibus cives evocat atque in omnibus linguis peregrinam colligit societatem, non curans quidquid in moribus, legibus institutisque diversum est, quibus pax terrena vel conquiritur vel tenetur, nihil eorum rescindens nec destruens, immo etiam servans ac sequens... de rebus ad mortalem hominum naturam pertinentibus humanarum voluntatum compositionem, quantum salva pietate ac religione conceditur, tuetur atque appetit, eamque terrenam pacem refert ad caelestem pacem, quae vera pax est”. *Civ. Dei* XIX. 17.

KS. JAN ROSTWOROWSKI.

Św. Kazimierz w dziejach.

(Dokończenie).

III. NASTĘPSTWA WYPRAWY, ZEMSTA KORWINA I OBRONA.

Czynne było życie na dworze królewskim. I królewicze, jeśli nawet towarzyszyli dworowi ojca, uczyli się i pod kierunkiem ochmistrzów postępowali w rozmaitych naukach, odbywali ćwiczenia w językach obcych i rycerskich igrzyskach i zawodach, a nadto przyjmowali kolejno mowami obcych posłów, legatów papieskich, zarówno jak pozostając w Krakowie witali królewskiego ojca, gdy z dalekiej podróży po Litwie i kresach wschodnich przybywał na jakiś czas do stolicy. Uczyli się cnót potrzebnych do dobrych rządów i w tym celu wtajemniczano ich we wszystkie arkana polityki, w owych czasach fluktującej na wzburzonych falach, gdyż nawa ojczysta znajdowała się częstokroć w niebezpieczeństwie. Młodsze rodzeństwo otrzymywało często niewesołe wieści od Władysława, czeskiego króla, o zasadzkach i trudnościach, jakich w Czechach musiał doświadczać; jeszcze poważniejsze niebezpieczeństwa groziły ojcu od Macieja i jego sprzymierzeńców i opiekunów, do których i kurja rzymska należała, i o tych mówiono młodym Jagiellończykom, zaprawiając ich do przyszłych rządów i na żywych przykładach pouczając o tajemnicach dobrego rządzenia.

Warunki zaś do takich rządów były trudne. Najpierw Czechy utrakwistyczne pozostawały pod cenzurami kurji a przeto i Władysław, który przyjął kompaktaty, lubo sam wzorowy katolik, był bardzo pilnowany przez papieży, obsypujących łaskami króla węgierskiego Macieja i jego tylko uznawających królem Czech. Niemieccy książęta również trzymali się polityki kurjalnej i podejrzewając Jagiellończyków o podzielenie nauk kacerskich, nie szczędzili im z tego powodu zarzutów i czynili trudności posłom polskim, prze-

jeżdżającym za zachód lub południe przez ich terytorja. Zachowano się wobec nich jak wobec heretyków, a nawet niedopuszczano na noclegi po miastach niemieckich. Tak nieprzyjazne stanowisko odbija się także na Śląsku, a zwłaszcza na zniemczonym Wrocławiu, który silnie wraz z Morawami i siedmiu miastami łużyckimi stoi po stronie Macieja przeciw Jagiellonom. Jeszcze bardziej zawistnie zachowują się wobec nich wielcy mistrzowie krzyżacy, a także mianowany przez papieża, Mikołaj Tungen, biskup warmiński, którego prowizji papieskiej król Kazimierz nie uznał. Werbuja oni wojska, przygotowują się do zbrojnego oporu, a z tego wszystkiego korzysta zwycięski nad młodym Kazimierzem król węgierski Maciej i zaciąga malkontentów do swego obozu.

Pod wpływem dzielnej Elżbiety habsburżanki pozostająca dyplomacja Jagiellonów pracuje nad osłabieniem tych groźnych dla nich stosunków, o ile że i cesarz Fryderyk, lubo ich krewny, dość dwuznaczne wobec nich zajmuje stanowisko. Gdy bowiem Władysława po zgonie Jerzyka obrano królem Czech, a legat Rovarella w Ihlawie ukoronował Macieja na króla czeskiego, zobowiązuje się Fryderyk tylko Macieja uznawać tak królem Czech jak i elektorem Rzeszy z tegoż królestwa, a gdy Władysława koronowano w katedrze św. Wita, przesyła cesarz i tutaj swych posłów; zaś Stanom Rzeszy oświadcza, że tylko Niemiec powinien zasiadać na czeskim tronie. Była to jakby przestroga dla stanów niemieckich, że Polak na tronie czeskim a przeto elektor Rzeszy mógłby się stać dla niej niebezpiecznym. Toż królowa polska w obronie swych synów nakłania męża do nawiązania stosunków tak z dworem Hohenzollernów jak i z bawarskim, ofiarowując rękę córki swej Jadwigi Bawarczykowi, księciu Jerzemu, synowi Ludwika Bogatego, a rękę Zofji młodszej córki Fryderykowi, synowi elektora brandenburskiego, Albrechta. W taki sposób starano się pozyskać sprzymierzeńców w Rzeszy przeciwko królowi węgierskiemu, który nadaremnie starał się o rękę wspomnianej Jadwigi, a popierany w tem był przez episkopat i panów katolickich czeskich. Najważniejszego sprzymierzeńca pozyskano w samym cesarzu, który zawarł przymierze z Kazimierzem, zwró-

cone ostrzem przeciwko Maciejowi, a Czechom obiecywał przysłać swego hetmana, gdyby sam nie mógł wojska swego powieść do wojny.

Maciej uprzedził wojnę napadem na Polskę. Wprawdzie obowiązywało zawieszenie broni roczne, on jednak postanowił zająć zamki na Podgórzu Karpackiem przez Polaków dzierżone, jak Modrągórę i Bukowiec. Potem pod koniec 1473 r. wysłał potajemnie Tarczego, który przeszedłszy Karpaty zajął Żmigrod, skąd łupił i palił miasta i wsie Jasło, Brzostek, Kołaczyce, Frysztat, Dębowiec, Duklę, wreszcie i Muszynę przez inny oddział zajął i złupił. Był to srogi odwet za wyprawę Kazimierza na Węgry. Najgorliwшему stronnikowi królewicza, Piotrowi Komorowskiemu odebrał też siedm zamków, które tenże na Podgórzu węgierskiem dzierżył i skąd zaopatrywał i posiłkował wojska polskie, wreszcie zajął i Orawski zamek, zapłaciwszy zań Komorowskiemu.

Wprawdzie panowie polscy i węgierscy 21 lutego 1474 r. zawarli rozejm na trzy lata pomiędzy Maciejem a królem Kazimierzem i Władysławem czeskim, za którego to ręczyli Polacy, że dotrzyma rozejmu, atoli układ ten, chociaż obejmował trzy królestwa Polskę, Czechy i Węgry, właściwie ustanawiał pokój tylko na granicy polsko-węgierskiej. Kładziono nim zaporę przeciwko staraniom Kazimierza Jagiellończyka o węgierską koronę, zwłaszcza gdy Szeklerzy Siedmiogrodzcy teraz jeszcze gotowi byli przyjąć jego poddaństwo i walczyć zań przeciwko swemu ciemiezcy, królowi Maciejowi. Rozejm przeto był w interesie Węgier i Macieja zawarty, zabezpieczał go od strony Małopolski i Rusi, podczas gdy on w obronie swego czeskiego królestwa odpierał ogromny nacisk od przeszło sześćdziesiątysięcznej armji polskiej na Śląsku.

Olbrzymia wyprawa Kazimierza na Śląsk, gdzie to pod Wrocławiem, zamknął się Maciej obozem, skończyła się zupełnem niepowodzeniem, tem większem, że Maciej w rozejm, który król Kazimierz musiał z nim zawrzeć, włączył nieprzyjaciela Polski, biskupa warmińskiego Tungęna. Ten bowiem podniósł wojnę z królem i starał się wciągnąć w nią i Mistrza Zakonu a tak wojna zawisła znowu nad Kazimierzem,

który tem samem nie mógł dopomagać synowi Władysławowi, jakby tego sobie życzył.

Kłeska na Śląsku i rozejm wrocławski były jakby dal-
szym ciągiem niepowodzeń, zaczętych nieszczęsną wyprawą
Kazimierza na Węgry. Królewicz nie bolał jednak tak bar-
dzo nad zawiedzionemi nadziejami, nad nieosiągniętą koroną,
jak nad klęskami brata i ojca, jak nad zniszczeniem Polski,
otoczeniem jej przez nieprzyjaciół, zewsząd jej za przyczyną
Macieja grożących. On, który tak kochał i ojca i brata
starszego, doczekał się, że współzawodnik jego, król Maciej
triumfował nad nimi, o triumfie swym rozgłaszał po całej
Europie; a słyszał z ust wielu i czytał w orędziach, że le-
gaci papiescy wynosili go pod niebiosą, podczas gdy ojcu
jego nie szczędzili wyrzutów, iż wojnami prześladowuje Macieja,
przeszkadzając mu w obronie Europy od najazdów tureckich;
co gorsza, iż stosunkami swemi z czeskimi zwolennikami
syna Władysława, umacnia heretyków w oporze. Mniejsza
o własne niepowodzenie dotkliwie dające się odczuć, i ciągle
przypominane, gdyż ani na zjeździe pełnomocników w Nisie
ani na takimże w Opawie, ani w układach w Nowej wsi,
ani w akcie rozejmu wrocławskiego nie było mowy o jego
pretensjach węgierskich, ale te bolesne zawody ojca i brata,
którzy na wezwanie swe co do złożenia przysięgi posłuszeń-
stwa otrzymywali, jak Władysław, odpowiedź od Morawian,
że mamy już swego pana Macieja, lub jak Kazimierz ojciec,
który chcąc skarcić Jelonję Tüngena otrzymał przestrożę od
Macieja, iż biskupa, jako włączonego w rozejm wrocławski,
nie opuści — te i inne bolesne dla rodziny jagiellońskiej
upokorzenia, nie`szczędzone przez Macieja, były dla kró-
lewicza ciosami daleko bardziej raniącemi serce jego, ani-
żeli własne niepowodzenie i zawody.

A szereg przez Macieja spowodowanych utrapień, nie
tylko że nie kończył się, ale coraz bardziej się zwiększał.
Sąsiad Polski, Stefan mołdawski, który jako hołdownik ko-
ronny na wyprawę Władysława czeską wysłał dobrze uzbro-
jony oddział tysiąca ludzi, który potem zadał niemałą klęskę
Maciejowi, teraz po klęskach Jagiellonów składa hołd Ma-
ciejowi, obiecuje nieść mu pomoc przeciwko wszystkim tegoż
nieprzyjaciołom z wyjątkiem króla Polski, słowem usuwa

się z pod hołdownictwa Polski i Jagiellonów a stałe się wasalem ich współzawodnika. Co bardziej, Maciej pracuje ustawicznie w kurji nad podkopywaniem powagi polskiej a pod koniec 1475 r. postarał się, że kurja, wysyłając Balthazara de Piscia do Węgier i Polski, zaopatrzyła go w bulle skierowane przeciwko Czechom jako kacerzom i przeciwko Polakom, jako adherentom kacerzy, a także na korzyść i zachętę Krzyżaków do oporu przeciwko Polsce wydane. Legat wspomniany zapewniał Tüngena, że posiada „strzały“, wystarczające do obrony Węgier i króla Macieja. Także i drugi legat Gabrjel Rangoni, biskup jagierski, obietnicą silnego poparcia dodawał bodźca biskupowi warmińskiemu do targania węzłów feudalnych, wiążących go z królem Kazimierzem. Ponieważ na skutek tych zapewnień biskup warmiński nieustawał w oporze i mistrza krzyżackiego do nieposłuszeństwa nakłaniał, gdy nadto i w Niemczech i wogóle na Zachodzie miano króla i jego synów za fautorów kacerzy, sława współzawodnika Jagiellonów rosła jako jedynego obrońcy chrześcijaństwa, który jednak i z sułtanem Mechmetem wchodził w przyjazne stosunki i bardzo podejrzane i dwóznaczne czynił mu prozyceje pokoju. Nie bez pomocy legatów wciągnął Maciej i mistrza Krzyżaków Richtenberga w związek, biorąc protekcję nad Zakonem. Toż gdy na wiosnę 1476 r. zapytał król Kazimierz mistrza, coby oznaczały jego stosunki z Maciejem, a także z Litwinami, których podburzał do nieposłuszeństwa, odpowiedział zaparciem się i wskazaniem na swój charakter członka rady królewskiej, a przytem składał pozdrowienia dla młodych królewiczów. Dla obytego z dyplomacją królewicza Kazimierza hołd ten rzekomej dobrej pamięci był sygnałem wielkich niebezpieczeństw, zawisłych nad domem jagiellońskim.

W rok później rozsyłał legat Balthazar pisma do episkopatu Niemiec, Czech, Węgier i Polski, wzywając do upomnienia Jagiellonów i to pod cenzurami najcięższymi, gdyż pod ekskomuniką, by nieprzyjaźnią swą nie odciągali Macieja od wojny tureckiej i zasłaniania Europy od dalszych ciosów sułtana. Krzyżacy natomiast po nagłej śmierci mistrza Richtenberga stanęli gotowi do zerwania z Polską, podczas gdy Tüngen zarządzał modły w diecezji z powodu,

że cesarz Fryderyk pojednał się z Maciejem, którego za-
twierdził na tronie czeskim, odwołując inwestyturę daną
Władysławowi. Równocześnie biskupi polscy i sąsiedni
otrzymali od legata Balthazara zawiadomienie, że Kazimierz
ojciec i Władysław syn Jagiellonowie ulegli ekskomunice, że
zaś Krzyżaków uwolniono od poddaństwa polskiego króla,
na skutek klątwy, zawieszanej nad Kazimierzem. Mistrz
Krzyżaków otrzymał od biskupa wileńskiego zapewnienie,
że Litwini na wypadek wojny Polski z Zakonem pomocy
królowi nie udzielą.

Szereg klęsk zachęcał wrogów Jagiellonów, tak wewnątrz
w państwie jakoteż wschodnich do knozań i ataków bar-
dzo niebezpiecznych dla królewskiej rodziny i dla państw
króla. W samej Litwie szerzyło się niezadowolenie ku ro-
dzimej dynastji; niechętnem okiem patrzano na jej wzrost
i szerzenie się na zachodzie, żądano osobnego Wielkiego
Księcia, chociażby jednego z synów jak Kazimierza lub Ol-
brachta, atoli ojciec nie godził się na żądania i władzy z rąk
nie wypuszczał. Z powodu poparcia przez kurję małżeństwa
Iwana Wasilewicza z Paleologówną Zoe, która wniosła w dom
moskiewski i herb dwugłowego orła i pretensje do Caro-
grodzkiego cesarstwa, poczyną się w Moskwie na dużą ska-
łę polityka zbierania Rusi pod skrzydła bizantyjskiego orła.
Wielki Nowogród i Twer ulegają przewadze Iwana, księżęta
uciekają do Litwy, ale i litewscy szukają chleba gościnnego
w Moskwie. Stało się bowiem, że trzech księżęta ruscy, kre-
wni królewscy: Michał Olelkowicz, uważający się za pokrzy-
wdzonego przez usunięcie go z Kijowa do Słucka, Iwan
olszański i Fedor bielski, na którego wesele miano zaprosić
całą królewską rodzinę, uknuli spisek na jej życie. Tylko
ten ostatni ucieczką do Moskwy ratował życie; dwaj inni
przeplacili głową zbrodnię wcześniej odkrytą.

Łatwo zrozumieć, że tak spisek ów jak i zapowiedź
Iwana co do przynależności wszystkiej Rusi do Moskwy,
zrobił na rodzinie Jagiellońskiej piorunujące wrażenie. Iwan
dawał schronienie spiskowcom, on w układach swych czy
to z Mendligirejem krymskim, którego podburzył do zni-
szczenia Kijowa, lub też z księżętami Rusi zwracał ostrze
sprzymierzeńczej broni zawsze przeciwko Jagiellonom, on

też szukał drogi do porozumienia się z Maciejem Korwinem przeciwko Polsce i Litwie. Słowem wojna, którą mściwy Maciej przygotowywał na zachodzie, zawiśła też od wschodu od Moskwy.

I w tym czasie królewicz Kazimierz, który już i urząd, koronny podkanclerzego sprawował w zastępstwie i króla zastępował w zwierzchniczym zarządzie, wyjednał od króla zarządzenie co do niestawiania nowych cerkwi i do nienaprawiania starych na Litwie. Nieznany jest tekst tego zarządzenia, niezawodnie jednak nie obejmowało ono całego państwa litewskiego, a nawet na Litwie właściwej ograniczało się li do dóbr królewskich. W każdym razie było surowem wystąpieniem przeciwko cerkwi i to w czasie, w którym kniaziowie malkontenci litewscy zaczęli ulegać wpływowi Moskwy i uciekać tamże, a sam wielki jej książę szukał sposobności, by z bronią w ręku napaść na Litwę. Co bardziej, Litwa pozostawała jakiś czas pod wpływem unji florenckiej za sprawą metropolity kijowskiego, kardynała Izydora, tem bardziej przeto uderza zarządzenie nieprzychylnie cerkwi za sprawą królewicza Kazimierza. Jakież były do tego kroku powody?

Unję florencką przyjęto tak w Polsce jako i na Litwie przychylnie. Izydor Grek, metropolita kijowski i całej Rusi, powrócił z soboru unijałą i kardynałem i po roku pracy w Polsce i na Litwie, na wiosnę 1441 r. jedzie do Moskwy, by i tam ustalić nowo postanowioną unję, atoli wobec niebezpieczeństw, trudności, wobec spisku nań uknutego ucieka stamtąd, ratując życie, a i na Litwie nie znajduje spokoju, widocznie bowiem wpływ moskiewski i tu sięgał, zwłaszcza pod względem religij; dlatego też pozostawiwszy rządy swemu zastępcy, odjechał do Rzymu i tutaj zajął wybitne miejsce wśród kardynałów. Wprawdzie Izydor, w nadziei powrotu do Kijowa, nie złożył godności metropolity, zawsze za prawego mając się pasterza, nikomu rządów nie odstąpił; ale powrót nie nastąpił. Następstwa były smutne dla osieroconej diecezji; zastępca widocznie nie był zdolny do rządów nad wielką archidiecezją, sześć biskupstw w samej Litwie obejmującą. Książęta litewscy nastawiali na usunięcie Izydora, grozili subtrakcją i oddali posłuszeństwo patryjarsze

carogrodzkiemu nieunicie, który też złożył Izydora z godności i ordynował na stolicę Jonę. Było to 1451 r., gdy i król Kazimierz, licząc się ze stosunkami ówczesnymi z Moskwą, zatwierdził Jonę na metropolji. W taki sposób było na stolicy metropolicej dwóch pasterzy: unjata Izydor, rezydujący w Rzymie i rządzący z Moskwy Jonasz.

Izydor jeździł wprawdzie do Carogrodu, gdzie wyświęcił biskupa na diecezję wołyńską, miał też stąd wyjeżdżać na Ruś, ale widząc potrzebę osobistego pasterzowania, złożył w ręce papieża Kaliksta III swą godność metropolicią. Papież zezwolił, a w obecności jego i patriarchy Konstantynopola, Grzegorza Mamasa, odbyty w Lateranie 1458 r. sobór uniackich biskupów Aten, Kosu, Tocydy, Sugdaju, Kartaginy i Galipoli odbył elekcję następcy. Wybór padł na opata monasteru Św. Dymitrego w Carogrodzie (paleologowym monasterem zwanego) Grzegorza, który to niegdyś towarzyszył metropolicie Izydorowi w jego podróży do Moskwy, a o którym patriarcha Mamas pisał do króla Kazimierza, że do rządów kijowskich metropolją najbardziej był uzdolniony. Było to 21 lipca 1458 r. (List z 20 lutego 1458 r.), gdy papież Kalikst nie tylko że nadał prowincję nowemu metropolicie, ale zezwolił nadto na oddzielenie Rusi litewskiej i polskiej z sufraganjami: Brańskiem, Smoleńskiem, Połockiem, Turowem, Łuckiem, Włodzimierzem, Przemyślem, Chełmem i Haliczem, pozostającymi pod panowaniem króla Kazimierza, z oddaleniem stąd Jonasza, lub każdego innego intruza, przez carogrodzkiego patriarchę z ramienia Turka na stolicę posadzonego; tych bowiem jako wrogów Kościoła i siewców nienawiści należy ścigać prawem i wypędzić. Kalikst III nie zdołał już wysłać zawiadomienia królowi o tych zarządzeniach, przesłał je jego następcą, Pius II, przez swego rycerza Zagupitis, polecając wzbraniać nawet przechodu przez Polskę i Litwę do Moskwy takim i podobnym jak Jonasz wilkom, owczarnię Chrystusa prześladowającym.

Polecony przez papieża królowi nowy metropolita Grzegorz dla jakichś ważnych przeszkód dopiero w rok później mógł podjąć podróż z Rzymu do swej diecezji od dawna osieroconej i będącej w zamieszaniu i niezgodzie. Na wspomnianym soborze załatwiono też sprawę należącego do

metropolji kijowskiej kościoła halickiego, mającego swego arcybiskupa, nad którym jednak Izydor sprawował rządy, mając sobie powierzony nad nim od papieża zarząd. Otóż Kalikst III, odwołując ów zarząd, wyniósł cerkiew halicką na katedralną i nadał prowizję Makaremu, kapłanowi reguły Św. Bazylego przy monasterze Św. Cyprjana carogrodzkim, rodem Serbowi. Nowomianowany przybył rychlej aniżeli nowy metropolita do swej diecezji, którą zastał w nieporządku i nieładzie. Toż zaraz wniósł skargę do papieża, że nieznani mu z imienia nawet niegodziwcy, zabrali mu dzieściny, czynsze, dochody, ziemie, domy, folwarki, wsie, lasy, dalej kielichy, krzyże, ornaty, szaty i skarbcze kościelne, wreszcie księgi, pisma i archiwum kościoła halickiego, a wreszcie inwentarz żywy, jak woły, konie, owce zajęli i chytrze ukrywają, nie oddając go na zgubę duszy swej, a na szkodę stołu biskupiego nowo mianowanemu. Biskup ucieka się do Stolicy Apostolskiej i prosi o pomoc, której mu Pius II nie odmówił i natychmiast wezwał arcybiskupa lwowskiego i biskupa przemyskiego, by po kościołach upominano tych szkodników, a gdyby do oznaczonego terminu nie zwrócili zagrabionych rzeczy i nie uczynili zadość obowiązкови zwrotu, należy ich obciążyć ekskomuniką.

Jeżeli tedy na Rusi Czerwonej wdarły się w stosunki cerkiewne także nadużycia i nierząd, cóż dopiero działo się na Rusi litewskiej w obszernej metropolji kijowskiej, skąd Kazimierz miał wypędzić Jonasza, jak Pius II podnosił, przez niewiernych Turków naznaczonego, a miał zatrzymać na tronie metropolim Grzegorza, którego patriarcha unia Mamas, jako godnego infuły królowi zalecał i obronę jego polecał. Trwała tam jakby jaka wojna duchowna, skoro ostatecznie przy Jonaszu dwa tylko biskupstwa, czernihowsko-brzańskie i smoleńskie pozostały. Ale uznawali jego obediencję także i niektórzy książęta litewscy, jak np. ojciec owego Iwana ks. Olszańskiego, Juryj, spokrewniony i to blisko z wielkoksiążecą rodziną moskiewską. Juryj, widocznie oglądając się na w. księcia Wasylego Wasylewicza, imieniem całej swej rodziny uważał Jonę za ojca swego duchownego; prawego metropolitę wszystkiej Rusi (Rus. Istor. bibl. VI 658, 665), nie zważając, że patriarcha Grzegorz Mamas uważał

go za intruza, odłączonego od Kościoła, podległego wraz z swymi adherentami ekskomunice.

Wprawdzie Jonasz rozpowszechniał na litewskim pograniczu od Moskwy listy obediencyjne Jerzego olszańskiego, ale sprawę swą uważał za przegraną na Litwie, gdy bowiem władca brański donosił mu o wielkiem zamieszaniu, burzy i upadku moralnym, o wielkich ciężarach przez metropolitę Grzegorza nakładanych, oświadczył mu zarazem, że chce za poradą Jony uciec do Moskwy. Słusznie przypuszczają historycy Rusi, że tę burzę musiał uspokoić Grzegorz metropolita jakąś deklaracją i w ten sposób zyskał przewagę nad Jonaszem, bo jeśliby mu się udało bez takiej deklaracji pozyskać Ruś koronną i litewską, nie byłby później (po śmierci Jony 1461) starał się o potwierdzenie patriarsze (podówczas już schizmatyka?), co jako uczniowi i następcy Izydorowemu było dlań rzeczą przykrą.

W taki sposób w oczach unitów był metropolita Grzegorz uważany jako prawy następca Izydora, ale i nie uważający się, za unitów, ze względu na uzyskane przezeń potwierdzenie patriarsze, nie mogli mu mieć nic do zarzucenia; a jego następcą, obrany przez synod litewskich biskupów Mizaël, już wcale nie jeździł do Carogrodu, lecz wprost wystosował pismo do Sykstusa IV, żądając uporządkowania stosunków cerkwi na litewskiej Rusi.

Z powyższego wypływa, że jakkolwiek kurja i episkopat grecki starali się energicznymi środkami, organizacją nadaną 1458 ruskiej cerkwi, obsadą wakujących katedr zaradzić złemu, ono jednak trwało wciąż, powodując zamieszanie, które się na stosunkach politycznych odbijało, albowiem wyższe stany, niezadowolone z unji, ciągnęły do Moskwy, z wyteżeniem podkupującej Litwę. Kazimierz widząc u granic swych za rozkazem Iwana Wasylewicza gotowych do uderzenia nań Nowogrodzian razem z Moskwicinami, zarządzając ze swej strony pospolitą obronę, a chwiejnym w wierze książętom pogranicznym Nowosielskim, Odojewskim, Worotyńskim każe ponowić przysięgę wierności; inni zaś książęta jak Wiaziemscy, Mściśławscy, Trubeccy, Drucy, Szeniaticy wreszcie Kozielscy, stawiają swych bojarów do litewskiego pospolitego ruszenia. Wśród tego zbrojenia się rozpowsze-

chnia się na Litwie pogłoska, że wielki książę Moskwy wysłał do Sykstusa IV posła z prośbą o koronę nad wszystkimi ruskimi narodami. Upewnia papież w początkach lutego 1483 roku, że dotychczas nie wiadomo w Rzymie o posłach moskiewskich. Oczywiście nie było Kazimierzowi królowi tajemem, że w późnej jesieni tegoż roku bawiło w Moskwie poselstwo króla Macieja, i że poseł wołoskiego Stefana, nie uzyskawszy pozwolenia na przejście do Moskwy przez terytorja królewskie, starał się o przejście przez Krym do Iwana Wasylewicza.

Zaiste chwila była bardzo poważną. Wrogie siły kupiły się obok Moskwy, której wielki książę stanowił siłę przyciągającą, wszystkie pierwiastki ruskie tak w polskich jakoteż i litewskich prowincjach szeroko rozsiadłe.

Okazało się, że unja nie zdoła uspokoić zamętu na Litwie, naprzód że była za słabą w sobie samej, aby móc skupić licznych i szczepowo i kulturalnie różniących się wyznawców ruskiej cerkwi, powtórze że duchowieństwo o niskim poziomie nauk cerkiewnych i wogóle cywilizacji nie umiało unieść sztandaru obrony unji przeciwko silnym na nią uderzeniom, wreszcie, że zamiast dać się powodować lub co najmniej naśladować gorliwość duchowieństwa rzymskiego w rugowaniu nauk i fanatyzmu schizmatyków, ono wiodło gorszące swary z łacińskimi duchownymi. Wspomniane pismo Mizaela do Sykstusa IV podpisali w 1476 r. i Michał Olelkowicz, ks. słucki, późniejszy spiskowiec (ścięty 1481 r.), tudzież Fedor Iwanowicz, ks. bielski, który ucieczką do Moskwy ocalił życie, a było to pismo pełne narzekañ i nieprzyjaznego ducha Kościołowi i duchowieństwu rzymskiemu. Współczesny Sakranus mówi o tych, jak o Sołtanach, którzy podpisali wspomniany akt Mizaela, że uzyskali w Rzymie od papieża pozwolenie pozostania przy ob rządku unickim, ale powróciwszy do Litwy stali się bardziej zawistni Kościołowi rzymskiemu aniżeli nimi przedtem byli.

Olbrzymie znaczenie w owe czasy wywierali w Polsce i wogóle na zachodzie Bernardyni, zakon św. Franciszka, odnowiony przez św. Kapistrana z zadaniem misyj wśród niewiernych i odszczepieńców. W czasach, o których mowa, objęli oni działalnością swą już nie tylko całą Polskę, gdzie

podźwignęli ojczyzną literaturę, ale Ruś tak polską jak i litewską. Od duchowieństwa rzymskiego różnili się tem, że wcale nie obserwowali zwyczaju ponownego chrzczenia schizmatyków, że nie uważali na różnice dogmatyczne, których po największej części lud nie rozumiał, że nie uwzględniali drobnych różnic rytuału, lecz wprost każdego chętnego osobnika ruskiej wiary przyjmowali do Kościoła, a działali tak, na podstawie przywilejów w krajach bośniackich, tatarskich, wołoskich i w Ziemi Świętej im służących. Działanie ich było w skutkach cudowne; nawrócenia bardzo liczne i to od czasu św. Kapistrana, który miał kapelana bernardyna, służącego mu za tłumacza w jego misji, w Krakowie odbytej. Kapelan ten był później notariuszem Macieja biskupa wileńskiego, który, również jak wiele innych prałatów, sprzyjał tendencjom Bernardynów przyjmowania schizmatyków nie za pośrednictwem unji, ale wprost na łono rzymskiego Kościoła. Bracia mniejsi, którzy słowem i pismem rozszerzali naukę wiary i działalnością swą — jakto w naszych czasach udowodnił prof. Brückner — zwrot w literaturze polskiej zaznaczyli, mieli wielu przeciwników swych nauk, jak mieli i wielu opiekunów i łaskawych popieraczy. Dwór królewski liczył się do największych patronów Braci mniejszych, wspierał ich, a sam król był obrońcą ich tak wobec duchowieństwa jak i stanów świeckich, otaczając ich miłością i polecając swym dzieciom ¹⁾).

Atoli Bracia mniejsi uderzali na biskupów i prałatów, że ci nie działają w sprawie przywiedzenia Rusi na łono rzymskiego Kościoła i nie tylko że wskazywali na osoby, lecz mieli nadto ze swej strony dowody, że dzięki własnym wysiłkom i pracom wiele Rusinów w samym Kijowie, gdzie nawet klasztoru nie posiadali, przyjęło wiarę rzymską i naukę i dobrymi obyczajami świeciło wpośród swych ziomków. Tak Rusini jak i Litwini, uważali wikariusza prowincji polskiej, Michała Bala, z sanockiej pochodzącego ziemi, za swego apostoła ²⁾). Królowa zawsze jest po stronie Braci mniejszych, a król każe nawet skonfiskować na granicy pieniądze po-

¹⁾ Komorowski 264—5 w Mon. Pol. V.

²⁾ H. p. 259.

słowi prałatów, do kurji wysłanemu, celem uzyskania nakazu dla Braci mniejszych, by ci uznawali nad sobą władzę duchowieństwa świeckiego. Oczywiście nie zarządziłby tak skrajnego środka król, gdyby nie sprzyjał naukom Braci mniejszych, zwłaszcza co do sposobu nawracania Rusi do rzymskiego Kościoła. Przykład ten wskazuje nie tylko, że król popierał Braci mniejszych przeciwko świeckiemu duchowieństwu, ale nadto, że kurja rzymska nieprzychylnie do działalności bernardyńskiej się odnosiła i że co do sposobu nawracania Rusi była za unją florencką, nie zaś za przyjmowaniem jej wprost do obrządku rzymskiego. Jeżeli przypomnimy sobie, że królewicz Kazimierz w owych właśnie czasach wyjednał u ojca zakaz co do stawiania cerkwi, zrozumiemy łatwo, że i co do tej ważnej sprawy różnił się w swych zapatrywaniach od poglądów papieża, stając po stronie Braci obserwantów, a przeciwko Sykstusowi IV. Co prawda i znany nam już legat jego, Gabrijel z Werony, a zapewne i wielu innych prałatów trzymało stronę Braci mniejszych przeciwko papieżowi i święty młodzieniec nie był odosobniony w swych przekonaniach, w każdym jednak razie i tutaj, jako stojący przeciwko poglądom kurji wraz z całym dworem królewskim, nie mógł się cieszyć jej łaską. Pozbawiony tej łaski już przed laty dziesięcioma, właśnie z tego powodu nie uzyskał upragnionej węgierskiej korony, a i teraz nie posiadając jej pod sam koniec gasnącego żywota, pewno bolał w duszy, że ani ojciec, ani brat starszy, ani dwór królewski z nim razem nie odzyskali łaskawych względów Ojca św. A mimo to wszystko ten, który nie osiągnął korony ziemskiej z powodu niełaski papieża, nie odzyskawszy jej, posiadał koronę niebieską. Nie został królem, został jednak świętym.

IV. CHARAKTER.

Rola historyczna Kazimierza świętego przypadła na czasy bardzo trudne dla rodziny Jagiellońskiej, roszczącej prawa na legitymizmie oparte do sąsiednich koron czeskiej i węgierskiej. Przymierze króla z wyklętym przez Kościół Jerzykiem, z utrakwistami znienawidzonymi przez cały zachód, w szczególności przez Niemcy, gorszyło kurję apostoł-

ską, nawołującą świat do walki z kacerzami. Wojnę rozpoczął zdolny wojownik Maciej Korwin, król węgierski, którego czescy katolicy obrali swym królem; przymierze przeto z Czechami, a w następstwie tegoż obiór Władysława królem czeskim, pociągało za sobą wojnę z katolikami czeskimi, z głową ich, królem Maciejem, a co najniebezpieczniejsza dla Polski, nieprzyjaźń z papieżem. Z tego zaś źródła ostatniego płynęły cenzury, interdykta a z niemi niełaska papieska, co się odbiło na stosunkach Polski z sąsiadami, spowodowało felonję biskupa warmińskiego i mistrza Zakonu, przeto zachwianie pokoju toruńskiego, dotąd jeszcze przez papieży nie potwierdzonego, co wszystko zachwiało stosunkami Polski na północy i na wschodzie europejskim zagrożonym przez koczownicze hordy i przez potęgę turecką.

Historyk Długosz przypisywał swemu uczniowi Kazimierzowi niezwykłą roztropność; a i panowie z senatu, gdy król przeznaczył syna na tron węgierski, odradzali mu jego rychłą zgodę na zaproszenie Węgrów, radząc, by raczej zachował syna dla własnego królestwa. Dodajmy do tego zawody młodzieńcze w Węgrzech, doświadczenia odniesione na sobie, na rodzinie, na ojczyźnie skutkiem tych zawodów, a więc mściwości Macieja, otoczenie ojczyzny przez cały krąg wrogów, a łatwo zrozumiemy, że święty młodzieniec smutne te a w każdym razie ciężko się dające we znaki ojczyźnie wypadki mógł uważać jako doświadczenie a nawet karę Opatrzności.

Przed młodzianem świętym, naczelnikiem kancelarii królewskiej i pilnym pracownikiem, gdyż nawet rachunki dworskie sam załatwiał, wszystkie arkana polityki królewskiej stały otworem. Bystry umysłem a wielki miłośnik ojca, pragnący jak najgoręcej poprzeć kierunek polityki rodzicielskiej, ilekroć zaglądał do aktów i pergaminów archiwalnych celem zaczerpnięcia podstawy do załatwienia bieżącej sprawy, spotykał breve i bulle papieskie, nakłaniające do udziału w wojnie przeciwko kacerzom, przeciwko Turkom, zachęcające do popierania króla Macieja, do zgody z nim i do wspólnej akcji przeciwko husytom. W świetle tych licznych reskryptów i bul papieskich akcja ojca przeciwko intencjom papieskim, przeciwko ich dążnościom uniwersal-

nym ratowania chrześcijaństwa, musiała wywołać krytykę i nie zasługiwać na bezwarunkowe pochwały. Czyż te wszystkie usiłowania papieży nie zmierzały do czystości wiary, do ratunku Europy od rozpierającego się w wielkiej jej części Turczyna? Wszakże z potężną myślą takich Kaliksta III, Piusa II, Pawła II, Sykstusa IV liczył się świat cały, Zachód, Włochy, Wenecja i Genua, wreszcie Rzesza niemiecka, a nawet wschód: Persja, Multany, nawet Moskwa wciągane były w politykę wycisnienia barbarzyńców z Europy, ratunku chrześcijaństwa. Papieże zaś wyrzucają ojcu, że on to paraliżuje dobre ich chęci, że zwichnął te ich szlachetne dążenia. Cóż za znaczenie wobec tych obejmujących świat cały idei przedstawiały interesa jednej rodziny królewskiej, jej dążenia do objęcia sąsiednich tronów i to na zasadzie legitymizmu, za którą nie oświadczała się jednomyślnie nawet Polska! I czyż jego kandydatura węgierska nie była epizodem antypapieskiej a egoizmem rodowym napiętnowanej polityki? A może chęć utrzymania Władysława, brata starszego na kacerskim tronie Czechów wymagała zasłonięcia ich od strony węgierskiej, tak że wyprawa jego węgierska była tylko dywersją, celem zmuszenia króla Macieja do szukania zgody z Jagiellonami, kosztem danej mu przez kurję czeskiej korony? Nie, przecież ojciec, którego tak bardzo kochał i czcił jako męża charakteru i dążności wyższych, nie dopuściłby, aby dla dobra starszego poświęcić los młodszego syna. A jednak i ojciec nie był bez wady, jak o tem wiedział z przygód swego mistrza Długosza w czasach wojny duchownej o biskupstwo krakowskie. Długosz i teraz wszakże bezwzględnie trzymał stronę papieży, a chociaż dawał się użyć królowi i do wyprawy czeskiej i do łagodzenia zaostrzonych stosunków z Maciejem Korwinem, wszędzie bronił katolicyzmu i Rzymu. I wśród tej walki wewnętrznej i wątplień chorowity młodzian królewski gdzież miał znaleźć pomoc, prawdę, osłodę i ochłodę wśród nawału sprecznych myśli, mąjących mu i spokój serca i pogodę ducha i spokój sumienia? Szukał przeto porady i pomocy tam, gdzie święte stateczne dusze zawsze ją znajdować zwykły, u stóp ołtarzy. Miał szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej i każdego dnia je powtarzał; w modlitwie do Niej szukał prześlągania

za przeszłość, za winy własne i bliskich swych, wstawiał się do Niej za bratem, wystawionym na niebezpieczeństwa zatracenia duszy, modlił się za ojca, by nie zszedł z drogi i utrzymał się na wysokości katolickiego króla, godnego sławy tak ojca Jagiełły, który zaprowadził chrześcijaństwo na Litwie, jakoteż i ojcowskiego brata a swego stryja Władysława, który poległ w obronie chrześcijaństwa pod Warną.

Posilony na duchu modlitwą, nie mógł potępić antypapieskiej polityki króla-ojca. Wszakże i ojciec popierał w Czechach katolicyzm, syna starszego przestrzegał i pouczał zachowania we wszystkim ściśle katolickich obrządków, wystrzegania się nawet pozorów sprzyjania uznanym za kacerskie błędom Czechów. Wprawdzie brat Władysław uznał kompaktaty, ale czyż ów Maciej, ulubieniec papieży, nie szukał zgody z kacerzami, obiecując im wyjednać w kurji potwierdzenie kompaktatów! Wszakże i Bawaria wchodziła w układy z Jerzykiem, mając na celu i przyjaźń i związki rodzinne, a Albert, książę saski, córkę swą Katarzynę wydał za najmłodszego syna Jerzykowego. A i cesarz Fryderyk i ten również chwiał się w wyborze stosunków przyjaznych pomiędzy Jerzykiem, Maciejem a Kazimierzem i jego synami, a wobec tych faktów oportunistu zachodnich książąt w swej względem Czechów odstępów polityce, czyż zasługiwał ojciec na potępienie, skoro właśnie syn jego na tronie praskim i godził stronnictwa wrogie sobie i usiłował je przywieść do zgody z kurją i sprawił, że skrajne stronnictwa, tak dawniej silne, wygasły lub zmieniły niebezpieczne dla cywilizacji i państwa dążenia i zasady? Czuła to dobrze kurja, sądził królewicz, że tylko polski książę mógł uspokoić zameęt bratniego mu narodu czeskiego, że ani Maciej ani żaden niemiecki książę w swych czasach takiemu zadaniu sprostać nie zdołają, a przecież użyła przeciwko królowi ojcu, przeciwko braciom ostrych cenzur a nawet ekskomuniki! Święty młodzian uważał, że legat papieski przekroczył polecenia kurji i apelował przeciwko ekskomunice, nie tylko broniąc ojca-króla, ale będąc przekonany, że wspieranie Macieja i jego sojuszników, którym się jak Tüngenowi i Krzyżakom narzucił na patrona, nie było drogą wskazaną do celu pacyfikacji europejskich książąt, celem zespolenia ich sił przeciwko Turkom.

Nie potępiając polityki ojcowskiej, mógł święty młodzian uważać owe surowe pisma papieskie i surowsze nad nie cenzury jego legatów, za środek ostry celem zapobieżenia niebezpieczeństwu, grożącym Europie, gdyby walki wewnętrzne rozpętały namiętności książąt i ludów i to w czasie, kiedy wszystkim im groził rozwieleniony we wschodniej Europie Muzułmanin. O Rzymie zawsze podzielał sądy Długosza, że tam i powszechny Kościół i prawy rząd i nauka i w rzeczach wiary najwyższa powaga rezydują. A jeśli Rzym tak surowo przestrzegał czystości wiary i dobrych obyczajów, że obciążał cenzurami i starszego brata i ojca, książąt katolików, których przodek miliony wiernych przysporzył Kościołowi, jakże gorliwym należało być katolikiem, by zasłużyć na synostwo Rzymu, na jego pochwały? Należy przeto być surowym obrońcą katolicyzmu, jakimi byli dziadowie jego Jagiełło i Witold, działać z intencją chwały Boskiej i jedności Kościoła. Ciało ujarzmiac należało, aby ducha sposobić do wysokich zadań jedności, zgody i posłuszeństwa nie tylko Polski, ale wschodu europejskiego Rzymowi. Nocą i dniem przemyślał i pracował w tym kierunku, a w wolnych chwilach modlił się i strażę nocne spotykały go nieraz leżącego krzyżem w przedśionkach świątyń wileńskich, zatopionego w modlitwie, chwalcę Marji: *Omni die dñc Mariae!* Miłosierny dla ubogich i chorych, obsypywał ich jałmużną i świecił przykładem pobożnych dzieł, któremi zarówno jak zdumiewającą cnotą, mądrością i naukami podbijał serca wielu narodów i przyciągał ku sobie ¹⁾).

Kłęska węgierska zwróciła go do zastanawiań nad własną duszą, nad jej brakami, nad wadami serca; poskromieniem siebie samego dochodził do coraz wyższej doskonałości. Kłęski zaś ojca i brata, rodziny całej i ojczyzny skierowały go do czynu, do pracy, do potrzeby współdziałania z ojcem, którego charakter wysoko cenił, a hart duszy i silną wolę jego starał się naśladować. Kłęski zaś na wschodzie otworzyły mu oczy na groźne niebezpieczeństwa dla całej cywilizacji, od stu lat przez przodków z takim nakładem szerzonej i na konieczność ratunku. Osamotniony w swej

¹⁾ M. Pol. II 237. Jan z Targowiska. Ibidem III 87, 231, 115.

walce król, otaczany na rodzimej Litwie niebezpieczeństwami, otwarcie stawiał przeciwko wrogom, śmiało patrzył niebezpieczeństwu w oczy, a im bardziej był zagrożony, tem pilniej strzegł i siebie i swoich i ojczyzny. Toż młody Kazimierz tak bardzo przywiązany do ojca i mocno go kochający, przemyślał nad sposobami pomocy pracom ojca i nie znajdował innych, jak tylko zacieśnić węzły, wiążące Litwę z Polską z Zachodem, i to przez spójnię najsilniejszą, jaką stanowi rzymski Kościół. Niepodobna historykowi nie uznać tych dążeń świętego młodziana, ani też odmówić pokroju na miarę Jagiełły i Witolda, którzy to wsparci oświatą i siłami Polski, i ocalili wschód od miecza Krzyżaków i otworzyli zaparte bramy jego oświacie cywilizacji zachodniej tak dalece, że i po dziś dzień prace ich w tym kierunku widoczne są po wschodnich krajach i ludach Europy. Czcili one ich pamięć, a w szczególności pamięć świętego młodziana, tak że wojska Zyguntów i Batorych, czy to nad Dźwiną, czy pod Połockiem, wzywały i doświadczały jego niebiańskiej pomocy, a bohaterowie, jak Karol Chodkiewicz, szablę swą składali na grobie tego, który wojskom Rzplitej stale na kresach błogosławił, a nie popierany przez Rzym za życia, życiem swem dał przykładną wskazówkę, że prawdziwa cywilizacja i szczęście narodów tylko na najściślejszym z Rzymem związku polega. I ten, który w swem sercu żywił żale w epoce przełomowej, kiedy to większa część Europy już przechylała się do tak zwanej Reformacji, który widział i czuł, że myśli i dążenia Kalimachów i Ostrogów wstrząsają powagami, dotychczas przodującemi w cywilizacji, jakby na przestrożę Polsce i Litwie i ludom jej i narodom pozostawia swem życiem testament o wiecznem mieście i jego prawdziwej, świat cały obejmującej cywilizacji.

Dr. ANTONI PROCHASKA.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.



Pismo święte Starego Zakonu w nowym tłumaczeniu z komentarzem. Amos. Wstęp, nowy przekład, komentarz. Opracował ks. Wilhelm Michalski C. M. Lwów. Nakład Tow. „Biblioteka religijna”. 1922, str. X + 96.

Gdy bibliści innych narodów energicznie starali się w ostatnich latach przed wojną krzewić znajomość Pisma św. przez liczne wydania i nowe przekłady, opatrzone komentarzami, w Polsce ograniczano się do przedruków Pisma św. ks. J. Wujka z króciutkimi uwagami lub niedostatecznymi komentarzami Menochiusza, „od 400 lat nie mieliśmy większego opracowania Biblii Starego Zakonu!” Jakże przeto cieszyć się trzeba, że w odrodzonej Polsce ruch na polu biblijnym pierwszy zrywa się ze snu długiego i daje dobrą zachętę innym gałęziom teologicznym!

Niedawno ks. prof. Szczepański wydał nowy przekład Ewangelij i Dziejów Apost. Dzięki zaś inicjatywie i zabiegliwości Przeglądu Teologicznego we Lwowie w niedługim czasie będziemy mieli wydane Pismo św. Starego Zakonu w nowym tłumaczeniu i z komentarzami.

Pierwszą pracą jest księga proroka Amosa, pierwszego co do czasu z proroków pisarzy, przełożona i opracowana przez ks. prof. W. Michalskiego.

We wstępie do niej ks. M. zaznacza, że pragnie uprzystępnić czytanie Pisma św. nie tylko księżom, którzy mają fachowe wykształcenie teologiczne, ale także szerokim kołom naszej inteligencji katolickiej. Rzecz znakomita, — bo naprawdę karygodna nieznajomość Pisma świętego u nas może być w wielu wypadkach wy tłumaczona brakiem odpowiednich objaśnień tekstu biblijnego. Czy jednak cel będzie osiągnięty? Wątpię. Wielu bowiem świeckich, nie znających filologii semickiej, zrazi się do często stosowanych wyjaśnień z tej dziedziny i nie wielką korzyść odnieść z czytania komentarza, upstrzonego przytem niejasną i niezwykle transkrypcją wyrazów hebrajskich. Nie tylko świeckich, ale przypuszczam, że i wielu księży taki sam zawód spotka.

Praca ks. prof. Michalskiego składa się z trzech części: wstępu, nowego przekładu tekstu i komentarza. We wstępie, który jest krótki, ale

najzupełniej wystarczający, autor zapoznaje czytelnika z osobą proroka, epoką powstania jego księgi, stosunkami religijno-społecznymi, co w znacznym stopniu ułatwia rozumienie tekstu, następnie mówi o działalności proroka i jej skutkach, wreszcie zastanawia się nad autentycznością i tekstem księgi Amosa. Uwagi tu podane są zwięzłe, ale jasne i wielką będą pomocą przy czytaniu księgi proroka. Wstęp zakończony jest podaniem obszernej bibliografii.

Druga część pracy — to tłumaczenie tekstu. Autor sam powiada, że tłumaczenie to jest nowe i ściśle dosłowne. Tak jest w rzeczywistości. Porównałem przekład z kilku innymi polskimi i obcymi: oprócz kilku ustępów, wszystko jest w nim nowe, nie mogłem się dopatrzeć podobieństwa. „Wyrażeń starych, powiada Autor, używanych przez ks. Wujka, unikałem”. Unikanie to było tak staranne, że tylko w trzech wierszach mogłem stwierdzić użycie tych samych wyrazów. Czy tłumaczyć to „wujkობją”? Nie wiem. Jeśli tak, to lęk taki jest nieuzasadniony. Są bowiem wyrażenia w przekładzie ks. Wujka bardzo dobre i mocne, a w nowym przekładzie wypadły słabiej. Ale z drugiej strony, trzeba powiedzieć, że tłumaczenie ks. Michalskiego pod względem jasności, a bardziej jeszcze dokładności tekstu jest o wiele lepsze od wujkowego. Dla przykładu: I, 2. Wuj. „Płakały ozdoby (?) pasterzów, a uszedł (?) wierch Karmela”, tymczasem ks. Mich. „zasmuca się więc łaki pasterzy, a wierchołek Karmelu uschnie”; I, 5. Wuj. „i wytracę obywatela z pola bałwańskiego i trzymającego berło w domu rozkoszy”, — ks. Mich. „i wytepię mieszkańców Bikat Awenu i tego, co dzierży berło w Bet Edenie”; I, 15. Wuj. „i pójdzie Melchom w niewolę” — ks. Mich. „a król ich pójdzie na wygnanie”; II, 7. Wuj. „którzy trą bardziej niżli proch ziemski głowy ubogich, a drogę poniżonych mijają”, — ks. Mich. „oni depcą po głowie maluczkich i prostaczków zwracają z drogi”; II, 14. Wuj. „i zginie ucieczka od prędkiego” — Mich. „wtedy nie będzie ucieczki dla szybkiego”. Przykładów można by podać więcej, przytoczone całkowicie wystarczają, aby się przekonać, ile to tekst proroka Amosa w przekładzie ks. Michalskiego zyskał na jasności i dokładności.

Przekład został dokonany z tekstu hebrajskiego. Ściśle dosłownym on nie jest, bo tłumacz nie trzymał się ślepo tekstu masoreckiego. Wprawdzie tekst hebrajski księgi Amosa przechował się względnie dobrze, jednak w niektórych ustępach uległ on poważnemu skażeniu. Z tego powodu tłumacz w tych wypadkach odtwarzał przypuszczalny tekst autentyczny przy pomocy LXX, Vulg. i innych starych przekładów, i takowy później przekładał. Sam też oświadcza, że dał tłumaczenie, oparte na dokładnem zestawieniu tekstów hebrajskiego, greckiego i Wulgaty. Ile w to trzeba pracy włożyć, może mieć pojęcie i ocenić tylko ten, kto choćby cokolwiek zajmował się tekstem hebrajskim Star. Test. Pod tym względem pracowitość, sumienność, a z drugiej strony krytyczna intuicja ks. Michalskiego jest nadzwyczajna.

Pozwolę sobie uczynić kilka uwag, nie dla krytyki, ale raczej w formie propozycji, która może się przydać przy innym przekładzie.

III, 11 tłum. „ściśniętą „wkoło“ będzie ziemia i zdjętą będzie twoja

potęga". Wyraz „wkoło” jest w cudzysłowie, oznacza, że tłumacz odstąpił od hebr. (usbib), a poszedł za LXX (kiklothen). W komentarzu wyjaśnia, że ziemia izraelska zostanie ściśniona, gdyż obetną ją wrogowie. O tem obcięciu ziemi izraelskiej niema mowy. Nie o przyszłości bowiem tu prorok mówi, ale, jak sądzić można z III, 9 d, o teraźniejszości, i dlatego w 11 b mówi o stanie wojennym w kraju, skutkiem czego będzie (11 c. d.) zniszczenie potęgi i zrabowanie pałaców. W. 11 c. zam. usbib czytać s o b e b i przełożyć: nieprzyjaciół (car — tu rzeczownik) otacza wkoło (zewsząd) ziemię i odebrana będzie (zam. wehorid czyt. wehurad, o czem Tłumacz nie mówi, choć przekłada w st. biernym) twoja potęga.

III, 12 Tłumacz rozbija na dwie części i przekłada: „... ile ratuje pasterz z lwiej paszczęki: dwie łydki i koniuszek (?) ucha, tyle uratuje się synów Izraela. Wy, którzy mieszkacie w Samarii na krawędzi łoża i w Damaszku na pościeli, posłuchajcie i świadczcie o domu Jakóbowym”. Sens zdań w tym przekładzie ww. 12, 13 nie ma żadnego logicznego związku z poprzedniem i następnem zdaniem; wygląda, jakby był wtrącony. Nie wiadomo, dlaczego Amos zwraca się do mieszkańców Samarii na krawędzi łoża i w Damaszku na pościeli. Dlaczego mieszkańcy Samarii mają świadczyć o domu Jakóbowym tj. o sobie? Hoonacker, za którym ks. Mich. poszedł w tym przekładzie, zamiast wyrazu „Samaria” wprowadza „Askalon”, bezpodstawnie wprowadzie, ale z większą logiką. Zdaniem mojem tekst hebr. LXX, V. jest w zupełnym porządku, w. 12 stanowi jedno zdanie — porównanie: jak pasterz ratuje z lwiej paszczęki tylko kawałki, tak synowie Izraela uratują tylko małą część ze zgromadzonych skarbów w pałacach. Odmiana bierna czasownika nie stoi na przeszkodzie takiego rozumienia, albowiem w słowie samem jest zawarte pojęcie ruchu, i dlatego w Nif'al może stać połączenie z przedmiotem za pomocą be. „Krawędź łoża” należy rozumieć „kawałek, (koniec) dywanu”, na którym gości przyjmowano; „w Damaszku na pościeli”, należy rozumieć o pościeli (materji) adamszkowej. Przekład taki:

Tak powiedział Jahwe:

Jak pasterz ratuje z lwiej paszczęki
Dwie golenie lub kawałek ucha,
Tak uratują synowie Izraela, mieszkańcy Samarii
Koniec dywanu i adamszkowej pościeli.

„Mieszkańcy Samarii” może nawet jest głosem wyjaśniającą. To, co następuje „posłuchajcie i świadczcie...” jest dalszym ciągiem w. 9.

IV, 9 „raziłem was spiekotą i spaleniem, spustoszyłem wasze ogrody... a figi wasze... zjada szarańcza...” Wyraz „spustoszyłem” w cudzysłowie oznacza poprawkę tekstu za LXX niezbyt szczęśliwą. Lepiej wyraz hebr. czytać t a r b u t h zam. h a r b o t h i przełożyć: raziłem was spiekotą i spaleniem, owoce ogrodów waszych... pożarła szarańcza...

IV, 10 b. c. „pozabijałem mieczem waszą młodzież wraz z końmi (wziętymi) (dod. dla wyjaśnienia) w niewolę, i poszła wam w nos woń waszych obozów”. Według słusznej uwagi Ehrlicha (Randglossen) wyraz s u s e k h e m oznacza nie tylko „konie wasze” ale też „jeźdźcy wasi.”;

następnie zam. s z e b i ten sam autor czyta t o b e, i dlatego lepszy jest przekład: „wraz z waszymi dobrymi jeźdźcami. I zniszczyłem ogniem obozy wasze w gniewie moim“ (l. poj.)

V, 8. 9 nie są na swoim miejscu, przerywają tok myśli, należy je przenieść po IV, 13.

VI, 3 lepszy jest przekład Hoonacker'a: „odsuwacie dzień nieszczęścia, a zbliżacie spokój niebezpieczny“ tj. gdy sądzicie, że dzień waszego nieszczęścia jest daleki, teraz oddajecie się spokojowi niebezpiecznemu.

VI, 10 również jest lepszy przekład Hoonacker'a: „i zostanie mała liczba tych, co ujdą, aby wynieść...“

VI, 12 Tłumacz poszedł za Hoonacker'em, ale tekst jest bardzo skąpy, trudno się domyśleć, jaki był autentyczny. Poprawki nie zadowalają.

VII, 4 „a oto (Pan) Jahve dla ukarania wezwał ogień i spalił“ — zam. l a r i b czyt. lerob, a b w wyrazie b a'e s z powstał z dittografji. Tłum. „a oto Pan Jahve wzywał ogień wielki...“ tj. żar słońca, suszę.

VII, 15 „idź prorokuj w d o m u moim w Izraelu“, w tekście hebr. jest „idź prorokuj, d o l u d u mego izraelskiego“.

VIII, 14 „którzy się przysięgają na grzech Samarii, i mówią: niech żyje Bóg twój, o Dan, — oraz niech żyje Bóg twój, o Berseba“. Zdania te należy rozdzielić, pierwszą połowę odnieść do 13 w. — „omdlewać będą... którzy przysięgają się“; 14 b. „i mówić będą“ odnieść do „omdlewać będą“. Zamiast c h e czytać 'e = gdzie. Tłumaczę: w dzień ten omdlewać będą... którzy się przysięgają na grzech Samarii, i mówić będą: gdzie jest Bóg twój, o Dan, — i gdzie jest twa studnia, o Berszeba (gra słów), albo według poprawki Hoonacker'a „gdzie jest twój patron“.

Ponadto, zwracam uwagę na następujące wyrażenia w przekładzie: I, 6 „zagarniali do b e z w z g l ę d n e j niewoli“; II, 9 „wytepił z p o w o d u n i c h Amorytów“; III, 1 „mianowicie“ zam. zwykłego i częstego „mówiąc“. III, 4 „lew w zagajniku“ — w tekście jest „w lesie“; „wyje zwierz w swej jamie“ w tekście „wyje młode lwiątko w legowisku“; VI, 7 „dżdżem podlałem“; V, 5 „a Betel stanie się złudą“; V, 15 „prawo w bramie ustawcie“; V, 22 „tłuste wasze ucztę“; VI, 7 „bractwo rozkoszników“; VII, 1 „stwarzał rój“; VII, 2 „w s c h o d z i ł potraw“; VII, 10 „w sercu państwa“; VII, 14 „wziął mnie z pośród trzody mojej“ etc.

Trzecia część pracy — to komentarz, w którym autor podał objaśnienia filologiczne i rzeczowe tekstu. Nie jest on zbyt obszerny, ale całkowicie wystarczający. Nie jest popularny, filologiczne uwagi są przystępne tylko dla znawców jęz. hebrajskiego, ale nie czynię z tego powodu zarzutu, gdyż zadaniem komentarza stać na odpowiedniej wyżynie naukowej. Komentarz świadczy o dobrym wnikięciu, zrozumieniu myśli proroka i jasnym jej przedstawieniu. Sprawa ustępów, których autentyczności krytycy radykalni odmawiają, dobrze jest postawiona i obroniona.

Życzę sz. Autorowi, by w tym samym duchu prowadził swe dalsze prace i jak najprędzej wydał następne zapowiadziane już tomy. Uwagę w końcu chcę dorzucić, by transkrypcję wyrazów hebrajskich i greckich dał inną, podana bowiem sprawa znaczne trudności i estetycznie nieładnie wygląda.

Ks. Józ. Archutowski

Stefan Żeromski: *Snobizm i postęp*. Warszawa 1923.

Stefan Żeromski nieraz już pisał rzeczy publicystyczne, że tylko wspomnimy „Słowo o Bandosie“. Obok właściwości wielkiego artysty ma on wszystkie zapędy prawdziwego społecznika, w pierwszej linii dar przemawiania się aktualnością. Ta aktualność nieraz występowała w jego powieściach, wchodziła dość luźno do dialogów między osobami działającymi, nie rozsadzała wiązania utworu. Była to, wyrażał się sam Żeromski, glina, nie ukształtowana w posąg.

Podłoże społeczne przetrwało w twórczości Żeromskiego. Wyrażając się postaciami-symbolami z jego powieści Krystyna Siłaczki ani Tacjana nie zdołały doszczętnie wytracić, wypchnąć poza magiczny okrąg jego twórczości. Cierpiętnictwo izb-szkarłatynek, czarna dola bezdomnego robotnika i skurczonego w nędzy chłopca wciąż mu leży na sercu. Żeromski, prawy spadkobierca wieszczów naszych, nie wyparł się Mickiewiczowskiego wskazania, które nazywa „najświętszym z wyrazów“:

— Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy.

Wszystko to jest w ostatniej jego książce „Snobizm i postęp“. Jest tu rozważanie najmłodszych prądów literatury polskiej i wyrok na nią wydany

Wydał go ktoś, kto miał do tego prawo. Wydał autor „Mogiły“, „Popiołów“, „Dumy o Hetmanie“, który całe pokolenia polskie wydarł.pozytywizmowi i internacjonalizmowi, nauczył czuć ojczyźnianie, stworzył organa do przyjęcia nieśmiertelnej rewolucji polskiej — wyjarzmienia politycznego i odnowy społecznej. Żeromski powołał zastępy legionów polskich powieścią o żołnierzu — tułacz, Żeromski wypiastował dumny sen o Ojczyźnie od morza do morza... Ta część jego twórczości jest niezniszczalnie wmurowana, jak drogocenna tablica, w skarbiec duchowy narodu.

I oto Żeromski wyraził swój sąd o futurystach. Zarzucił im brak oryginalności, snobizm i naśladownictwo Rosji.

Dla Żeromskiego, jak i dla paru innych krytyków, bolesnym jest fakt przesadzania na grunt polski Majakowskich i Jesieninów. Jest to dalszy ciąg niewoli narodowej. Po zerwaniu więzów politycznych pozostała dziwna zależność kulturalna, na szczęście, tylko w jawnej niewielkiej grupie literackiej. Zależność oparta na świadomem chceniu, nawet nie na warunkach zewnętrznych, bo łatwiej było przez okres ostatni otrzymywać książki z zachodu, niż przez front najeżony bagnietami. Zależność, dyktowana czasami przez wyraźne sympatie radykalno-społeczne.

Zajmującym jest fakt, że Żeromskiemu przed wojną zarzucano również zależność od Rosji. Ale tamte zarzuty były zgola bezpodstawne. Wytykano Żeromskiemu, że jego społecznictwo i litość nad człowiekiem cierpiącym mają źródła w literaturze rosyjskiej. A kto w takim razie wpłynął na Wiktora Hugo lub Dickens'a?

Inna grupa polska — ekspresjonści — poznawszy — czerpali z literatury najbliższej, najdostępniejszej, ale także z literatury wrogów. Atoli oparli oni swoją twórczość na wieszczach i dlatego mniej w niej arlekinady międzynarodowej i międzyzwrotnikowej, jest w niej ciągłość polskiej tradycji poetyckiej. Tymczasem nasi futuryści chcieli być nowymi, jak

w pierwszy dzień stworzenia. Że zaś w społeczeństwie posuniętem w cywilizacji trudno jest zaczynać od początku, zatem ten, kto nie chce nawiązywać do tradycji swego narodu, musi nawiązywać do obcych wzorów. Bo do czegoś nawiązywać musi, o ile nie ma być dadaistycznym bełkotem.

Ostatnio futuryści nasi, oddalający się już od tego kierunku chcieli dowieść na wieczorze publicznym, że zależność ich od Rosji jest mitem. Niektórzy twierdzą, że im się to nie udało. Jeżeli nawet tak jest, społeczeństwo powinno przyjąć życzliwie ich chęć zaprzeczenia swej łączności z Rosją. Ulegali wpływom — być może. Jeżeli obecnie odwracają się od nich i chcą twórczość swą oprzeć na oryginalnych, narodowych podstawach — wyrażmy im aprobatę.

Żeromski ze swym nieomylnym instynktem ojczyźnianym wskazuje oryginalnej twórczości polskiej dwa źródła: sztukę ludową i prastare dzieje Polski. On, najpierwszy stylista polski, który posiadał cały nieobebrany obszar mowy polskiej, który haftuje swe kunsztowne językowe desenie perłami staropolszczyzny, różnokolorowym bisiorem narzeczy ludowych, artystycznymi świecidłami nowotworów językowych, przypominających kwiaty, samorodnie z ziemi wystrzelające — uczy młodszych zbierać, wchłaniać, przyswajając sobie bogactwa językowe, „aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa“.

Sam Żeromski, rzecz dziwna, pomimo swej silnej ideowości społecznej, nie wchłonał i nie wcielił do swej twórczości pierwiastków ludowych. Jako dobry obserwator realistyczny, podał niektóre postaci z ludu, trafnie podpatrzone, (ale zawsze tylko epizodyczne) i niektóre zwroty ludowe. Wypiański tylko w polskiej literaturze potrafił istotnie stopić twórczość ludową z inteligencją i dać ze stopu tych dwóch pierwiastków rzecz całkiem nową, która nie jest ani jednym, ani drugim, tylko czemś trzeciem.

Żeromski malując czy to robotnika polskiego na tle kultury szwajcarskiej, czy to biednego chłopca od szewca, czy wyrobnika, tłukącego kamienie na szosie, czy rodzinę włościańską, która czyta zakazane przez rząd carski książeczki, patrzy na lud okiem społecznika, patrzyoty. Widzi go przez szkiełka działacza, budującego plany odnowy Ojczyzny, albo w podziemiach wykuwającego niepodległość. Ale od wewnątrz, z ośrodka własnej duszy ludu nie widzi go wcale. Nie znaczy to, że nie potrafi zobaczyć. Ciekawem byłoby, gdyby Żeromski pokazał młodym, jak to się robi i stworzył utwór z materiału ludowego.

Bo przeszłość naszą zarówno zamierzcha, jak najbliższą potrafi Żeromski oddać, jak nikt. Zwiększone niepospolitą miłością dalekowidztwo odsłania mu tajniki dziejów, genialne wczucie się uobecnia mu je, jakby się dopiero rodziły w tej chwili.

„Snobizm i Postęp“, jak wogóle wszystkie utwory Żeromskiego, pełno ma dygresji i nie snuje równo pasma myślenia. Ale w tem jest swoistość tego pisarza i bynajmniej nie bierzemy mu tego za złe. Wszystkie wrażenia, jakie odebrał z książek i świata żyjącego, tak indywidualnego nabierają zabarwienia, przepuszczone przez jego umysłowość, że zainteresowanie nasze nie słabnie. Snobizmowi, zbyt pochopnemu naśla-

dowaniu nowości i uganianiu się za tem co modne, przeciwstawia Żeromski prawdziwy postęp. A postępem, podług niego, jest „praca pospólna w jasności dnia“. Postęp prawdziwy, jak pisze Żeromski, „nie może się zmieścić w szrankach żadnej politycznej czy społecznej partji, gdyż zadanie jego polega na przekształceniu człowieka, skrępowanego powrozami doczesności, na ducha wolnego, syna bożego i brata synów bożych“.

Hanna Zahorska

Otto Willman: *Pythagoreische Erziehungsweisheit*. Aus dem Literar. Nachlass herausg. v. Dr. W. Pohl. Herder, Freiburg in Br. 1922, str. VII+109.

Nie łatwo dziś napisać pracę o Pytagorasie, która wobec braku spuścizny piśmiennej po nim i ogromu odnośnej literatury, mogłaby dać nam co nowego lub wogóle przedstawiać jakkolwiek interes dla czytelnika. Podjąć się tego mógł tylko człowiek, który, jak autor „Historji idealizmu“, znał nawskróś dzieje owego okresu i wśród ludzi i zdarzeń potrafił się poruszać jak na terenie swojskim. Nie chodziło mu zresztą o głębsze dociekania historyczno-krytyczne, pragnął jedynie wskazać w dziele Pytagorasa na te składniki, które tenże wniósł dopiero lub rozwinął i pogłębił w życiu duchowym Greków, zwłaszcza w dziedzinie szkolnictwa, i jakie przekazał przyszłości. Na potomnych wywarł on bowiem wpływ potężny, zarówno przez podkreślenie czynnika etycznego i wzmocnienia religijnego, jak przez nauki i sposób, w jaki je w szkole swej wpał, oraz przez podniesienie wiedzy współczesnej zapomocą studiów matematycznych i filozoficznych. Człowiek, który tego dokazał „musiał być olbrzymem i genjuszem“ — kończy autor, rozprawiając uprzednio w sposób przejrzysty i zajmujący działalność naukową i pedagogiczną Pytagorasa, przy czem nie ogranicza się do samej jego osoby, ale wskazuje na echa jego pracy w późniejszej filozofji greckiej. Niewielka ta rozmiarami książeczka, wyjęta z pośmiertnej spuścizny niedawno zgasłego uczonego, znanego ze swych przekonań katolickich, jest cennym nabytkiem dla poznania czasów i człowieka, którego imię zna dziś każde dziecko szkolne.

St. Podoleński.

Th. Mainage: *La religion spirite*. Édition de la Revue des Jeunes, Paris, 1921, str. 189.

Szerzące się dziś coraz więcej, bądź pod własną firmą, bądź pod pokrywką teozofji, praktyki spirytystyczne, skłoniły znanego z prac na polu apologetycznym pisarza do wydania niniejszej książki, w której usiłuje wykazać, że myśl wejścia w styczność z światem duchów zapomocą spirytyzmu jest chybiona w sobie, a zasadniczo sprzeczna z chrześcijaństwem. W tym celu tłumaczy kolejno i przejrzysto teorię tej doktryny: o człowieku i jego losie po śmierci, o możliwości porozumiewania się z duszami zmarłych, a następnie przedstawia cały system religijny, jaki wyrósł na tle owych twierdzeń. Spirytyzm uważa się mianowicie za „objawienie“, za dalszy ciąg, owszem za wskrzeszenie właściwego chrześcijań-

stwa — co nie wyklucza bynajmniej, że osobę Chrystusa Pana odziera z bóstwa, przewraca całą eschatologię, znosi wszystkie cuda ewangeliczne i ogół prawd wiary; Kościół katolicki, jego zdaniem, musi upaść, katolikom pozostaje więc jedno: porzucić swą wiarę i przejść do spirytyzmu. Racje, jakie zwolennicy tegoż podają na poparcie swej nauki, są następujące: 1) jest ona podana przez „świadków“ z poza świata widzialnego, a zatem ma podstawy pozytywne; 1) tym zaś świadkom trzeba wierzyć, ponieważ dają dowody, iż znają nie tylko tajemnice świata pozagrobowego, ale i naszego, na co posiadamy dowody eksperymentalne, zarówno jak na istnienie ciała astralnego i reinkarnację.

Powyższe twierdzenia poddaje O. Mainage krytyce, którą możnaby streścić w dwóch punktach: 1) autentyczność zjawisk spirytystycznych jest wątpliwa i prawie niedostępna dla naukowego stwierdzenia; 2) gdyby nawet fakta te były prawdziwe, to spirytystyczna teoria nie zdoła ich wytłumaczyć. Autor jest przekonany, że ogół prawie tych zjawisk da się wyjaśnić w sposób naturalny, zapomocą sił, które działają w telepatji i hypnotyzmie; co do reszty zwraca uwagę na mnóstwo oszustw, na jakich schwytano najstawniejsze dotychczasowe medja.

Powyższe usiłowanie czysto naturalnego tłumaczenia zjawisk spirytystycznych przyczyniło się do nieprzychylnego ocenienia książki przez niektórych katolickich pisarzy włoskich, obawiających się w tem pewnego konfliktu z orzeczeniami kościelnymi. Zarzut ten jest jednak nieuzasadniony, autor bowiem wyraźnie uznaje możliwość wmieszania się złego ducha, a zasada, że należy wyczerpać napróżd wszystkie sposoby tłumaczenia środkami naturalnymi, zanim przejdzie się do nad- lub poza naturalnych, jest zupełnie słuszną. Inną natomiast rzecz mielibyśmy do zauważenia. O. Mainage nie wdaje się w objaśnienia wstępne spirytyzmu, suponuje więc czytelników, obznajomionych już dostatecznie z przedmiotem. Z drugiej jednak strony metoda jego, polegająca na tem, że po przedłożeniu jakiegoś osobliwszego zjawiska z dziedziny spirytyzmu, przeciwstawia mu inne podobne zdarzenia z zakresu telepatji lub hypnozy, poczem z tego wysnuwa wniosek pokrewieństwa sił, działających w obu wypadkach — jest, sądzimy, niewystarczająca. Po pierwsze, chcielibyśmy wiedzieć, z jakich źródeł wyjęte są te opowiadania, niezwykle i czasem bardzo dawnej daty; tymczasem autor ich nie podaje. Następnie, analogja zewnętrznych cech faktów nie upoważnia jeszcze do czynienia bliższych wniosków, lecz co najwyżej dalekich przypuszczeń.

Pomimo tego książkę zaliczyć należy jednak do wydawnictw prawdziwie cennych, zasługujących na najszerze rozpowszechnienie. Już sama ta okoliczność, że autor pozwala się zorjentować w materji tak trudnej i przysłanianej umyślnie przez spirytystów przesadną tajemniczością, jest olbrzymią jego zasługą; w świetle tem każdy może się przekonać, jak mało tu rzeczywistej prawdy, katolik zaś widzi jasno bezwzględna opozycję, jaka zachodzi pomiędzy wiarą a doktryną spirytyzmu.

St. Podoleński.

O. Gillet: „Conscience chrétienne et justice sociale“. Paris „Revue des Jeunes“ rue de Luynes 3, 1922.

Żadna odbudowa ekonomiczna czy polityczna nie da stałych wyników, jeżeli jej nie wzmocni głębokie odrodzenie moralne, bo kryzys społeczny, który przeżywamy, jest przede wszystkim kryzysem sumień. Wiele czynników złożyło się na to, aby go wywołać i spotęgować; w pierwszym rzędzie, obok prawie powszechnej nieświadomości religijnej, działa tu zgubny wpływ liberalizmu i socjalizmu. Te doktryny, wystawiając fałszywy dogmat o autonomii indywidualnej, zdołały sfałszować nawet chrześcijańskie sumienie, zamykając je w ciasnym i błędnym kole egoizmu jednostek, klas i stronnictw. Tem się tłumaczy, że w naszych czasach tylu katolików zdaje się nawet nie przypuszczać natury i rozciągłości swoich obowiązków w dziedzinie miłości bliźniego i sprawiedliwości społecznej. Odnosi się wrażenie, iż czują się zwolnieni od zajęcia się bliżnim, jeżeli dali jałmużnę, jeżeli nikogo nie zabili i nie okradli.

Tak indywidualistyczne pojęcie o życiu chrześcijańskim jest zwłaszcza niedopuszczalne w naszej dobie, kiedy w obec olbrzymich potrzeb społecznych, obowiązkiem jest każdego katolika pełnić sprawiedliwość przez miłość (charité). W tym celu należy budzić w sumieniach katolickich to poczucie społeczne, które indywidualizm w nich przytępił. Kryzys społeczny, przez który przechodzi obecnie cała Europa, nie zrodził się tylko z wojny, która go jedynie spotęgowała. Długo przed r. 1914 umysły poważne szukały rozwiązania kwestji społecznej, ale te wysiłki nie szły po jednej linii. Jedni chcieli tylko postawić tamę prądom rewolucyjnym, zagrożającym istniejącym instytucjom — inni pracowali nad rozpętnaniem tego ruchu. Jedni w imię niedosyć ugruntowanej socjologii wołali o poświęcenie interesów jednostki ogólnym interesom społeczeństwa. Drudzy głosili, jakoby dobro i szczęście narodów leżało w nieograniczonej swobodzie jednostek. Ale ogół, prócz warstwy robotniczej, której interesa wchodziły w grę, w innych warstwach, prócz szlachetnej, oświeconej elity, zachowywał się obojętnie wobec tych trosk i walk. Egoistyczny indywidualizm nie pozwalał na rozbudzenie się zmysłu społecznego. Potrzeba było wybuchu straszliwej wojny, aby objawić ogółowi, do jakiego stopnia interes jednostki łączy się z interesem ogólnym w dobrze zorganizowanym społeczeństwie. Lecz nazajutrz po zwycięstwie pomimo nauk, danych przez wojnę i wysiłków elity, chcącej utrzymać ogół na wyżynach rozumnego patriotyzmu, widzimy jednak duży upadek moralny i rozpanoszenie się jeszcze większe egoizmów przedwojennych.

Wynikiem pokoju nie może być zwolnienie obywateli od obowiązków społecznych i zacieśnienie ich działalności w granicach życia indywidualnego. Jesteśmy przeznaczeni na życie w społeczeństwie, bez względu na to, czy sroży się w niem wojna, czy panuje pokój, dlatego jesteśmy obowiązani do pracy dla równowagi społecznej i zdrowego postępu. Nikt nie jest wolnym od tej powinności. Czy Bóg nie jest Stwórcą społeczeństwa, jak i jednostek? Uczynił człowieka istotą społeczną; byłoby to zapoznawać Jego dobroć, gdyby człowiek chciał dążyć do Boga inną drogą,

drogą indywidualizmu. Nie możemy kochać Boga, jeżeli, gardząc cudowną harmonią, jaką włożył w całość swego dzieła, nie bylibyśmy sprawiedliwi względem bliźnich, których nam Bóg nakazał miłować. Prawa Boże, nie tylko nie przeciwia się prawom człowieka, ale tworzą dla nich niezachwianą podstawę. Członkowie danego społeczeństwa mają więc dlań obowiązki, ale nie wynika stąd, aby to społeczeństwo miało nad nimi wszelkie prawa, nawet przeszkadzania im w pełnieniu obowiązków względem Boga. Nie masz prawa społecznego, wyższego ponad prawa Boże, a tem samem ponad obowiązki jednostek względem Boga, bo społeczeństwo, tak jak i jednostki od Boga prawa swoje otrzymuje. Nigdy jeszcze przed Ewangelią żaden kodeks nie zakreślił z takim autorytetem sumieniu ludzkiemu pola jego powinności, jak i granic, zamykających pole jego praw. Niepodobna nie przyznać moralności Ewangelii jej wartości społecznej. Ten kto jej nie uznaje, albo ją zapoznaje zupełnie, albo też zarażony pojęciami nowoczesnej socjologii, oskarża niesłusznie dusze przejęte etyką ewangeliczną, iż zamykają się w sobie i w swoich skrupułach, zamiast umacniać się do czynu. Jest to zupełnie błędne, bo dobrze zrozumiana etyka Ewangelii, będąca przedewszystkiem nauką miłości, obowiązuje właśnie człowieka miłującego Boga, do wyjścia ze siebie, do miłowania bliźniego, jak siebie samego dla miłości Boga; do czerpania ze siebie w tem uczuciu braterstwa siły, potęgującej przyrodzoną sprawiedliwość. Bez wątpienia nie znajdzie się w Ewangelii gotowego programu organizacji ekonomicznej lub politycznej, ale na pewne znajdzie się w niej wszystkie pierwiastki, potrzebne do rozwiązania problemów socjalnych. A któryż socjolog mógłby twierdzić, że istnieje doktryna moralna, zarazem tak niewzruszona i tak giętka, aby nakreślić program działalności społecznej, odpowiadającej wszystkim wymogom i potrzebom socjalnym? Równałoby się to znalezieniu kwadratury koła. Natomiast moralność, zawarta w Ewangelii, sprawia, że znajduje się we wszystkich krajach ogromna liczba dusz, poddających się chętnie istniejącym prawom, ale i tak spragnionych miłości i sprawiedliwości, że pracują nad tworzeniem praw nowych, coraz lepiej dostosowanych do stosunków i potrzeb społeczeństwa. Dusze takie, bądź to pojedynczo, bądź zbiorowo, stwarzają powoli ponad sumieniami indywidualnymi rodzaj sumienia zbiorowego, powiedzmy „sumienie publiczne“, przejęte wyższością dobra ogółu nad dobrem jednostki. Jakaż doktryna, poza nauką Ewangelii, zdolna jest tak przeistoczyć sumienia i przygotować je do wielkiego dobroczynnego posłannictwa? Nie trzeba sobie jednak wyobrażać, że miłość chrześcijańska, braterstwo chrześcijańskie, polega na jałmużnie, danej ubogiemu, na rozdawnictwie potrzebującym środków do życia, na opiece, udzielonej słabym i cierpiącym. Jest tem wszystkiem, ale jest i znacznie więcej. Miłość nie zna granic, jak o tem wymownie mówi św. Paweł: nie zadowala się leczeniem ran; ona chce im zapobiegać. A jest tylko jeden sposób pełnienia tej zapobiegawczej roli: oto dawać rosnąć sprawiedliwości wśród ludzi, stwarzać sumienie zbiorowe na jej korzyść, budzić w duszach pragnienie większych praw dla nieszczęśliwych, przygotowując w taki sposób przyszłe, sprawiedliwsze ustawodawstwo. Powołując je do życia, miłość staje się

narzędziem postępu, uwydatniając jej stosunek do sprawiedliwości: „Dzisiejsza sprawiedliwość jest wczorajszym miłosierdziem, a miłosierdzie dzisiejsze jest jutrzejszą sprawiedliwością”.

Oto są myśli przewodnie pięknej, wysoce pożytecznej książki O. Gillet.

Helena Skolimowska.

Edward Grabowski: Ubezpieczenia społeczne w państwach współczesnych. Wyd. 2gie przerobione i uzupełnione. Warszawa, E. Wende i Ska (Tow. wydawnicze Ignis) 8^o str. 285.

Jak bardzo na czasie i doniosłą jest sprawa ubezpieczeń społecznych dowodzi tego choćby i ta okoliczność, że w tej materji w sąsiednich Niemczech w okresie od r. 1913 do początków 1921 wydano przeszło 100 ustaw i rozporządzeń. Podobnie żywy ruch prawodawczy w tej dziedzinie daje się zauważyć i w państwach zwycięskiej koalicji i w najdalszych nawet krajach neutralnych jak w Hiszpanji, Szwajcarii i w państwach Skandynawskich; w Polsce zaś powojennej sprawa ta jest właściwie przedmiotem przedwstępnych dopiero przygotowań w ministerstwie pracy.

Toteż zupełnie na czasie jest wydana po raz drugi praca Edwarda Grabowskiego o Ubezpieczeniach społecznych. Autor, gorący apostoł idei przymusowych ubezpieczeń społecznych, poprzedza szczegółowe przedstawienie poszczególnych rodzajów ubezpieczeń w pojedynczych państwach dość obszernym wstępem (pt. „część ogólna”) wyjaśniając głównie genezę i podając zarys dziejowy ubezpieczeń społecznych; zaznacza tu też i podkreśla, jak ta instytucja społeczna wyszedłszy pierwotnie z ideologii i pojęć prywatno-prawnych, w naszych czasach rozwija się w instytucję prawa publicznego. Część szczegółowa zajmuje się po kolei w osobnych rozdziałach ubezpieczeniami od nieszczęśliwych wypadków przy pracy, od chorób, od niezdolności do pracy i starości, ubezpieczeń rodzin (powiedziałbym poprostu „wdów i sierot”), zabezpieczeniem urzędników prywatnych, wreszcie ubezpieczeniem od bezrobocia. Przedstawia tu autor dotyczące ustawodawstwo w poszczególnych państwach, nie pomijając nigdzie przy pozytywnym wykładzie i rzeczowej krytyki, w której jednak zbyt zdradza swoje sympatje lub antypatje partyjne (str. 170, 179, 214). Pożyteczne uzupełnienie wykładu stanowią pomieszczone w dwóch oddzielnych paragrafach statystyka niebezpiecznych wypadków i ubezpieczeń prywatnych, jakoteż przedstawienie ruchu międzynarodowego (tj. traktatów państwowych) w dziedzinie ubezpieczeń społecznych. Wartościowa praca, przede wszystkim kiedy idzie o historję i pozytywny wykład obecnego ustawodawstwa, ma swoje „ale” w tych zwłaszcza miejscach, gdzie autor schodzi na pole filozofji praw: zbyt ryzykowne są twierdzenia, przynajmniej tak jak są wyrażone, że: „dobroczynność publiczna to zło konieczne i za takie ją tylko uważać należy” — „że korzystanie z dobroczynności publicznej jest poniżającym”, „że idea prawa do życia opanicznie komentowana

wydała w średniowieczu dobroczynność" publiczną (str. 11) „że prawo nabywa się przez potrzebę" (str. 29).

Także cokolwiek niemile odczuwa się brak jakiejkolwiek przedmowy od autora, brak indeksu rzeczowego, obejmującego chociażby tylko najważniejsze rzeczy; pożądanem też byłoby podanie literatury przedmiotu, jak to autor uczynił w swem „Zarysie statystyki pracy" (Warszawa 1919).

Mimo tych zastrzeżeń i usterek, książka autora zasługuje na szczere uznanie i polecenie, a to nie tylko dlatego, że jest prawie jedyną polską publikacją w jej materji, ale i ze względu na jej wartość wewnętrzną. Napisana jest przystępnie stylem lekkim i potoczystym, tak że czyta się ją z zainteresowaniem i bez znużenia.

Dr. Ch.

Ks. Dr. Ignacy Dubowski, biskup łucki i żytomierski: *Listy pasterskie* Łuck, 1923. str. 86 in 8-o.

Listy te, wydane w szóstą rocznicę konsekracji biskupiej, są właściwie dokumentem, z którego dowiadujemy się po jakich cierniach stąpać musi biskup na polskich kresach. Biskup Dubowski zastał w swojej diecezji stosunki bardzo rozprzężone. Dlatego też odrazu bierze się Biskup do uporządkowania kościelnych stosunków, opłat, seminarjum, organizuje po parafjach pracę społeczną i oświatową, przy wydatnej pomocy dworów i wogóle inteligencji polskiej. W każdej parafji powstaje po kilkanaście szkół: przeprowadza nowy kalendarz, zakłada pismo religijne dla inteligencji. Gdy z nadchodzącemi przewrotami poczynają się piętrzyć trudności, poleca swe trzy diecezje (ponieważ był równocześnie administratorem kamienieckiej diecezji) Sercu P. Jezusa i Matce Bożej cudownej w berdyczowskim obrazie, tej „Królowej i Ozdobie stepów ukraińskich, wzgórz Podola i wołyńskich lasów".

Ale spadają krzyże na barki Pasterza: uniwersał Ukrainy odbiera Polakom ziemię, i w jednej chwili całe polskie szkolnictwo i ochrony są pozbawione utrzymania, jakie im dawały dwory, a miljon prawie polskich pracowników na roli pozbawiono kawałka chleba. Biskup protestuje przeciwko temu, ale poleca poddać się woli Bożej po chrześcijańsku. Wzywa dzieci, by za te mordy i zniszczenia, jakich się dopuścił lud zbałamucony, — tu i ówdzie nawet katolicki, polski chłop, — ażeby one same chyba tylko zdolne przebłagać Boga, uczyniły to w adoracji publicznej w czerwcu 1919 roku. Tembardziej, że nie tylko na Ukrainie pławi się bolszewizm we krwi, ale i z nad Wisły nie wesołe wieści... Wreszcie w imieniu ludu mordowanego na kresach błagalną skargą, wołaniem odzywa się Biskup (28. X. 1920) do episkopatu polskiego, „by Polska szła zabezpieczyć życie Polaków mieszkających na kresach. Wyciągają oni ręce do Polski z prośbą o ratunek: ona nie ma prawa pozostać głuchą na to wołanie, by snadź nie zamieniło się ono na przekleństwo dla Polski, że go zostawiła na pastwę bolszewickich mordów, gdy mogła go ocalić. by snadź, ten mord w czas nie pohamowany nie dosięgnął tych, co nań obojętnie teraz patrzą okiem!"

Po fatalnym pokoju ryskim, znów podnosi się głos Biskupa „w imie-

niu prawie miliona wiernych Polaków, rozproszonych po kresach, a których niemłosierna dyplomacja odepchnęła: Polska nie ma prawa zostać głuchą na to wołanie polskiego ludu...”

Cześć oddaje też Biskup i tym kapłanom, wliczbie 70, którzy pozostali w bolszewji, by nie opuszczać swego ludu, i tym, młodym kapłanom, co po wyświęceniu tam spieszą tak licznie, (75% z wyświęconych idzie do bolszewji), ze seminarjum, które tułało się po Polsce, wreszcie na stałe w Łucku osiadło.

Czytając te listy, дума szlachetna napełnia nasze serca, że polski Kościół ma takich kapłanów i takich biskupów, co nigdy nie upadają na duchu, wśród najcięższych prześladowań, co z narażeniem życia idą do swych wiernych. Sam Biskup też zapowiada, że wybiera się obecnie do bolszewji, odwiedzić tam swe owieczki i swych kapłanów-męczenników, których chlubnie nazywa słowami Apostoła „Gaudium meum et corona mea”.

Ks. K. Konopka.

Z wydawnictw dla „Najmłodszej Polski”.

Przynajmniej raz w roku, w okresie tak zw. gwiazdkowym, musi i recenzent, zapomniawszy o tem, że należy do „starszego społeczeństwa”, powrócić choćby na kilka godzin w świat myśli i uczuć, które dawno, może już bardzo dawno przeżył. Ta wycieczka w okres młodości będzie dlań naprawdę miłą, jeśli przewodnicy onej wycieczki: książki, o których trzeba mu sąd wydać, stoją pod względem zalet na poziomie wydawnictw gebethnerowskich. Mamy ich sporą paczkę przed sobą. Dla najmłodszych z młodych Gwiazdka tegoroczna przyniosła 6 miłych, naprawdę pięknych i barwnych obrazków na temat, „Jak się dzieci bawiły”, wykonanych przez M. Werten. Każdy obrazek objaśnia krótki, dwuzwrotkowy wierszyk J. Mańkowskiej. — Zbiór powiastek St. Okołowiczówny p. t. „Robinsonek” oprócz szlachetnej prostoty stylu, przy jego zupełnej poprawności i prostoty obieranych tematów, oprócz ładnych rycin, ma przede wszystkim ten przymiot, że łączy pożytek i dobrą tendencję z przyjemnością. Zwłaszcza opowiadania osnute na tle zjawisk przyrody zasługują na uznanie. — Wspaniała tak pod względem treści, jak i zewnętrznej szaty musimy nazwać książkę J. Grabowskiego: „Jak Tomek Kowalczyk do nieba się dostał”, ozdobioną rysunkami Wł. Szyndlera. Przynosi ona rzeczywiście zaszczyt naszej sztuce graficznej. Treścią jej są przygody ziemskie, podziemne i niebieskie Tomka dzielnego, który całe piekło w pole wyprowadził, a nawet na niebieskich pokojach fantazji nie stracił. Pewna epizodyczność akcji i jej niejednorodność, którąby można poczytać za wadę kompozycji, w ujęciu autora staje się zaletą. Bujna wyobraźnia p. G., jak wezbrana rzeka, nie tylko sama tworzy, ale porywa różne, nawet znane bajki i spleta je w jedną całość, aby szczeropolską fantazją, animuszem, szlachetnością i humorem porywać młode serca. Jedna uwaga: w kilku miejscach styl, ogólnie poprawny, nieco kuleje, n. p. w takim wyrażeniu: „dusza Tomka dotykała się do przedmiotów”; należałoby zatem i te braki w nowem wydaniu pousuwać. — 28 lat temu na-

pisana powieść C. Niewiadomskiej: „Odrodzona“, wyszła teraz w drugim wydaniu. Treścią jej powolne odradzanie się duchowe młodego dziewczęcia, które będąc królową i ulubienicą całego otoczenia, przez nieszczerliwy upadek z huśtawki zostaje garbusem. Wypadek ten przemienia miłe i ukochane przez wszystkich stworzenie na złoźnicę, udręczającą siebie i innych. Ale błogosławione cierpienie i wpływ starszej przyjaciółki powoli dokonują zmiany; upośledzona cieleśnie, odradza się duchowo a nawet staje się w krytycznym położeniu podporą dla całej rodziny. Proces ten, przeprowadzony wcale głęboko i psychologicznie, z końcem powieści, przez niepotrzebne jej przedłużanie i powtarzanie epizodu choroby bohaterki, trochę traci na zwartości i prawdziwości psychologicznej. Kilka epizodów nie związanych ściśle z akcją, co trzeba by uznać za wadę w budowie, usprawiedliwiają najzupełniej tendencje wychowawcze, a zwłaszcza za rozdział, poświęcony niebezpiecznej zabawie w eksperymenty hypnotyczno-spirytystyczne i za akcentowanie pierwiastków religijnych, należy się autorce uznanie. — Miłym będzie podarkiem dla młodzieży, a dobrą przyniesie przysługę sprawie wychowania jubileuszowe wydanie powieści Umińskiego. Można się spierać o wartości pedagogiczne sensacyjno-fantastycznych powieści podróźniczych, spór ten jednak nie nawiele się zda, bo dziś nie potrafimy już młodzieży odebrać książki tego rodzaju; dlatego im więcej będziemy mieli Umińskich, tem i niebezpieczeństwo ujemnych wpływów takiej lektury będzie mniejsze. Niema bowiem w jego powieściach (przynajmniej w tych, jakie nam nadesłano; „Synowie Puszczy“, „W podobłocznych krainach“, „Zwycięzcy Oceanu“) ani idyotycznych w sensacji przygód, ani indeferentyzmu religijnego, ani panteistycznych opisów przyrody, rzekomo naukowych przykładów na ewolucjonizm, ani jaskrawego lekceważenia etyki, jakto bywa często w opowieściach općych pisarzy np. u Maeterlincka. Owszem książki Umińskiego mają zawsze szlachetne tendencje, a przytem uczą dużo. Czasem tylko, i to w drobnych zresztą szczegółach, czyny bohaterów, właśnie z powodu zbytnej pogoni za sensacją, nie bardzo są w zgodzie z przepisami etyki, przynajmniej surowszej. Co do zewnętrznej strony omawianych książek, to niestety pozostają one bardzo na szarym końcu i dużo pozostawiają do życzenia, a zwłaszcza rysunki, tu i ówdzie nawet w nieswojem miejscu i z nieodpowiednimi napisami poumieszczane, są lichy a w „Dzieciach puszczy“ wprost niemożliwe w swej karykaturalności; lepiej żeby ich nie było, bo do rozwinięcia zmysłu estetycznego u młodzieży nie mogą się żadną miarą przyczynić.

S. B.

„Wielka Biblioteka“. Arcydzieła literatury polskiej i obcej. — Instytut wydawniczy: Biblioteka Polska.

Bardzo dodatnim dowodem żywotności naszych instytucyj wydawniczych jest kilka nowych, w ostatnim czasie powstałych t. zw. Bibliotek. Pomijamy niektóre z nich, jak obliczone na zaspokojenie głodu książek u szerokich mas, a może nawet jako dobry interes, a zatem nie przebiegające w doborze wydawanych utworów. O „Bibliotece Narodowej“ nieraz

już była mowa w naszym piśmie. „Dilecta” poznańskie, choć pod względem krytycznego i naukowego opracowania nie mają wcale pretensji do równywania „Biblijotece Narodowej”, pod względem doboru i zewnętrznej szaty przedstawiają się bardzo dodatnio. Oprócz tego mamy nieco starszą „Bibliotekę Laureatów Nobla”, świeżą „Bibliotekę Ignisa”, i wreszcie „Bibliotekę Wielką”, wydawaną przez ruchliwy, a poważny instytut „Biblioteka Polska”. Już *Przegląd Warszawski*, stojący na wysokim poziomie kulturalnym i naukowym, przynosi niemałą chlubę tej instytucji. „Biblioteka Wielka” sąd ten tylko potwierdza. Mamy przed sobą 17 tomików (na 30) wydanych w bardzo krótkim czasie. Na pośpiechu dobór utworów i ich wydanie wcale nie ucierpiało. Teksty są krytyczne, opracowane wedle najstarszych i najlepszych wydań przez prof. Bruchnalskiego (dzieła Mickiewicza) i Dr. St. Vrtel-Wierczyńskiego (Krasicki, Brodziński, Słowacki, Syrokomla). Arcydzieła literatury obcej podane w najlepszych, jakie posiadamy tłumaczeniach. („Boska Komedja” i „Don Juan” Byrona w tłum. Porębowicza). Z nowszych pisarzy, Wyspiańskiego reprezentuje „Wesele”, Kasprówicza „Hymny”. Z powieści wydano dotąd tylko Kraszewskiego: „Dziecię Starego miasta” i „Pamiętki Soplicy” Rzewuskiego. Utwory trudniejsze do zrozumienia poprzedzają krótkie wstępy, a tekst wyjaśniają przypisy, umieszczone na końcu książki. Widać z tego, że zamiarem wydawców było uprzystępnienie dzieł wielkiej sztuki szerszym warstwom czytającym, a nie cele ściśle naukowe. I pod względem zewnętrznym wydanie jest bardzo staranne; niewielkie, zgrabne, a poważne i dalekie od sensacyjnej krzykliwości okładek „Biblijoteki Laureatów Nobla” tomiki najzupełniej harmonizują z wewnętrzną wartością książki.

S. B.

Bened. Baur. O. S. B.: *Beseligende Beicht. Belehrungen, Betrachtungen u. Gebete für den öfteren Empfang des hl. Buss sakramentes.* 12^o str. 299. Herder, Freiburg 1922.

Co się w życiu często a stale powtarza, choćby to była rzecz bardzo święta, może się łatwo wyrodzić w szablon, który mechanicznie spełniany ducha oświecać nie może. Takie niebezpieczeństwo grozi częstej spowiedzi. Istotnie nawet ludzie o dobrej woli nieraz popadają w ten szablon, nie umieją z niego wybrnąć, nie wiedzą, jak z częstej spowiedzi uczynić środek oczyszczenia się ale i wielkiego postępu.

Z miłą pomocą przychodzi tu O. Baur. W swej *Beseligende Beicht* daje naprzód krótkie, a trafne pouczenie, jak odbywać częstą spowiedź i na co w niej przedewszystkiem uważać. — Bardzo ważną rolę przy spowiedzi odgrywa dalsze, a zwłaszcza bezpośrednie przygotowanie bo od niego zależy stopień łaski sakramentalnej. Jak je w sobie rozbudzić? Przez odmawianie specjalnych, gotowych modlitw? Dobrze to, ale jeśli się pewne modlitwy kilkadziesiąt razy odmówi, tracą one siłę pobudzenia i rozgrzania serca. By temu zaradzić, podaje O. Baur prócz modlitw 31 rozmyślań na tematy, wchodzące w samą istotę pokuty: żal, rozgrzeszenie, spowiedź... lub z nią blisko związane grzech powszedni, oziębienie, unikanie codziennych błędów, życie modlitwy...

Można śmiało powiedzieć, że dusza, która urządzi swe spowiedzi według wskazówek tu podanych, nie będzie w swem życiu dochownem obracać się w kółko, ale prawdziwie postępować. Książce O. Baura trzeba dać to świadectwo, że w swoim zakresie podaje naukę ascetyczną, gruntowną nie czułościową, ale prowadzącą do rzetelnej pobożności.

J. Andrasz.

Prócz tego nadesłano do Redakcji:

- Dr. Jan Sas Zubrzycki: *Mir-Sława-Znak krzyżo'wy*, Rozbiór najdawniejszego pierwiastka architektonicznego. Lwów 1922. Tłocznia Szykowskiego. 8° str. 120.
- J. Kochanowski: *Szachy*, wydał i objaśnił Kazim. Nitsch. Lublin 1923, Księgarnia M. Arct i Ska. 8° str. 32.
- H. Fouquerey S. J. *Histoire de la Compagnie de Jèsus en France des origines à la suppression*. Tom III. *Epoque de progrès (1604-1623)*. Paris 1922, Bureaux des Etudes. 8° str. XIII i 648.
- X. dr. Kaz. Wais: *Dziwy hipnotyzmu*, wyd. 2, przerobione. Lwów 1923, Nakład „Biblioteki Religijnej”. 8° str. 350.
- X. dr. Około-Kuśak: *Bolszewizm a religja*, odbitka z „Przeglądu Katolickiego”. 12° str. 16.
- Maurice Barrès: *La Politique Rhénane*. Paris 1922. Bloud et Gay éditeurs. 12° str. 144.
- *Almanach catolique français pour 1923*. Paris Bloud et Gay éditeurs. 12° str. 544.
- Tad. Lehr-Splawiński: *Zarys języka staro-cerkiewno-słowiańskiego*. Poznań 1923, Fiszer i Majewski. 8° str. 102.
- Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.: *Polski Kościół Narodowy*. Księgarnia ś. Wojciecha w Poznaniu, 1923, 12° str. 40.
- Ludw. Madelin: *Francja dyrektorjatu 1795 — 1799*. Nakł. Twa Przyjaciół Francji w Krakowie. 8° str. 134 i XIII.

Z wydawnictw „Biblioteki polskiej”:

- Kaz. Morawski: *Czasy Zygmunto'wskie na tle Odrodzenia*. 8 str. 164.
- Wład. Tarnawski: *Krzysztof Marlowe jego życie, dzieła i znaczenie w literaturze angielskiej*. 8° str. 256.
- Tom. G. Massaryk: *O bolszewizmie*, z czeskiego tłumaczył A. B. Dostał, wstęp napisał Ad. Czerny. 12° str. 71.

Z Księgarni Gebethnera i Wolfa, Warszawa 1923:

- Jarosław Janowski: *Siejba tęcz, poezje*. 12° str. 70.
- *Nabożeństwo Żałobne zawierające nieszpory, egzekwie, mszę św., absolicję, kondukt, procesję*. Tekst łaciński i polski. 12° str. 162.

Z Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

- Ks. Wład. Chotkowski: *Kazania Eucharystyczne o Najśw. Sercu P. Jezusa*. Wyd. 2. 8^o str. 186.
- X. Dr. M. Sieniatycki: *Problem istnienia Boga*. 8^o str. 218.
- Hanna Krzemieniecka: *Lecą Wichry!* powieść. 12^o str. 348.
- St. Węgner: *Skarby rozumu i serca, myśli i zdania wyjęte z nasych pisarzy*. Wyd. 3 powiększone. 12^o str. 252.
- S. Włoszczewski: *Umowy zbiorowe w zakładach pracy*. 12^o str. 64.
- C. Kropiwnicka: *Giewontowy hufiec*, opowiadanie z r. 1863 w 1 akcie. 12^o str. 81.
- J. Ciembroniewicz: *Mistrz Twardowski*, wyd. 2. 12^o str. 110.
- W. Dalecka: *W starym dworze*, obraz sceniczny z r. 1863 w 1 akcie. 12^o str. 46.

Z Książnicy polskiej Twa Naucz.

Szkół Wyższych, Warszawa:

- Witold Góra: *Zwięzły podręcznik księgowości dla niższych szkół i kursów handlowych oraz przemysłowych*. 8^o str. 176.
- Dr. E. Łoziński i Z. Stankiewicz: *Ustawy i najważniejsze rozporządzenia dotyczące organizacji oświaty i szkolnictwa w Rzplitej Polskiej. T. I. r. 1917—1920 (cz. II)*. 8^o str. 894.
- Ant. Pawłowski: *Tablice matematyczne do użytku przy nauce arytmetyki politycznej w akadem. handlow.* 8^o str. 40.
- Jan Zamorski: *Z krainy ruin, tyfusu i niedoli*. 12^o str. 132.
- Przyroda i technika*, miesięcznik, 1923 styczeń.
- Przegląd wydawnictw Książnicy Polskiej*, miesięcznik poświęcony krytyce i bibliografii wydawnictw własnych. R. III. listop.-grudz.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nowe gwałty dokonane na Kościele przez bolszewików rosyjskich. —
Ku Klux Klan i katolicyzm.

Jeżeliśmy od kilku miesięcy nie notowali na tem miejscu wiadomości, dotyczących Kościoła katolickiego w Rosji, to nie dlatego, by nie było nic nowego do zanotowania. Poproście położenie katolicyzmu w republice czerwonej jest tak jednostajnie beznadziejne, że się nie chce wciąż o niem pisać, by czytelników polskich nie oswoić z widokiem prześladowań, jako z czemś zupełnie normalnem. Ostatnie wszakże czasy przynoszą nam takie wieści, że przewyższają swoją okropnością wszelkie najczarniejsze nawet przewidywania i obawy.

Rząd sowietów postanowił sobie za wszelką cenę zmusić Kościół katolicki do uznania, że nie tylko majątek kościelny, ale nawet same świątynie Boże i wszystko, co się w nich znajduje, nie jest własnością Kościoła katolickiego, jaką jest w rzeczywistości, ale własnością „roboczego ludu“, jak chce konstytucja sowiecka. Ponowiono więc kategorycznie żądanie, aby grupy katolickie, parafje, udały się do władz odnośnych z prośbą o wydzierżawienie im gmachów świątyń na cele kultu. Podpisanie podobnych kontraktów dzierżawy czy to przez duchowieństwo, czy przez przedstawicieli, ludności katolickiej równałoby się uznaniu, że Kościół zrzekł się prawa własności do swoich świątyń. Łatwo przewidzieć, że rząd bolszewicki, nie cofający się przed niczem, byleby sparaliżować działalność Kościoła i kult religijny, ławnoby wyciągnął z takiego uznania pożądane dla siebie konsekwencje: po upływie terminu dzierżawy mógłby świątyniom, jako swojej własności, nadać inne przeznaczenie, obracając je na przykład na miejsce meetingów robotniczych, lub zabaw ludowych. A Kościół w takim razie nie posiadałby już formalnej podstawy do protestu, skoro zrzekł się uprzednio prawa własności tych gmachów.

Wychodząc z tego stanowiska i ściśle trzymając się kodeksu prawa kanonicznego, katolicy stale odmawiali podpisania wymaganych kontraktów. Przy zaborze, a raczej grabieży kosztowności kościelnych, jakiej przed rokiem niespełna dopuścił się rząd bolszewicki rzekomo w celu niesienia pomocy głodnym, kapłani katolicy w przeważnej ilości wypadków zachowali się biernie, nie występując do walki z fizyczną przemocą, ale odmawiając też swego uczestnictwa w ograbianiu kościołów. Stojąc na straży kościelnego mienia, zwłaszcza samych świątyń Bożych, kapłani polscy — bo pojęcia katolicyzmu i polskości niemal się pokrywają w Rosji — odwoływali się także do Traktatu ryskiego, który katolikom gwarantował wolność religijną i posiadanie własności kościelnej. Wiemy o jednym wypadku — może takich wypadków było parę — że lokalne władze sowieckie — było to w jednym z miast prowincjonalnych w Rosji — uznały słuszność takiego powołania się na Traktat ryski i kościelne mienie wyłączyły z masy dóbr znacjonalizowanych. Taka wszakże decyzja zaszła widocznie dzięki temu, że władze lokalne niedość weszły w myśl centralnych władz sowieckich. Tam, gdzie rządzą bardziej uświadomieni co do swoich celów komuniści, sam fakt odwołania się kleru katolickiego do Traktatu ryskiego uznano za zbrodnię, równającą się zdradzie stanu. Władze sowieckie więc nie tylko nie odstąpiły od swoich żądań, ale jakby dla zadokumentowania, że się uważają za prawnych posiadaczy świątyń katolickich, opieczętowały w Piotrogradzie wszystkie kościoły i kaplice. Z innych miast nie mamy pewnych wiadomości, ale czy nie zaszło coś podobnego i gdzieindziej?

Choćby ta weksacja była tylko lokalną, trzeba uprzytomnić sobie, co za straszną krzywdę uczyniła ona katolickiej ludności, której w samym Piotrogradzie i w podmiejskich osiedlach jest około 80.000 dusz. Całą tę masę wierzącego ludu pozbawiono możliwości spełniania jakichkolwiek obrządków religijnych. Ten stan rzeczy od listopada roku ubiegłego trwa aż dotąd. We wigilię Bożego Narodzenia, kiedy zawsze pasterka o północy w kościele św. Katarzyny odprawiała się z wielką uroczystością, w tym roku tłumy ludności, znalazłszy drzwi zamknięte, urządziły pasterkę — oczywiście bez kapłana — na ulicy, na przemiany śpiewając kolendy i zanosząc się od płaczu nad prześladowaniem swojej wiary. Przed kilku dniami przyniosła poczta nową wieść hiobową: oto administrator archidiecezji, ks. arcybiskup Cieplak, wraz ze wszystkimi pracującymi w Piotrogradzie kapłanami w liczbie 15 (według innej wersji 17) został przymusowo wywieziony do Moskwy, by stanąć przed rewolucyjnym sądem. W parę dni potem wszyscy przewiezieni zo-

stali wtrąceni do więzienia. W chwili, gdy piszemy te słowa, może się już odbywa nad nimi sąd. Czego zaś można się spodziewać po sprawiedliwości sowieckiej, czytelnicy nasi łatwo się domyślą z artykułu, jaki w poprzednim zeszycie umieściliśmy o bolszewickim kodeksie karnym. Grozi oskarżonym ni mniej ni więcej, tylko rozstrzelanie.

Jeżeli sekciarska zaciekłość moskiewskich ateuszów nie opamięta się, to wkrótce można się obawiać zupełnego ustania w Rosji służby Bożej w katolickim obrządku. Jest to zatem prześladowanie religijne o takich rozmiarach, jakich świat nie był świadkiem od czasów wielkiej rewolucji francuskiej. Sytuacja jest tem bardziej beznadziejna, że dzisiaj na żaden z europejskich rządów ani narodów nie można liczyć, by chciał albo mógł zmusić prześladowców do uszanowania najprymitywniejszej zasady nowoczesnej — wolności sumienia i czci Bożej. Licząc tylko na Boga, winniśmy przynajmniej my, katolicy Polacy, których bracia rodzeni, często w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, cierpią prześladowanie za wiarę, okazać im nasze żywe współczucie i dodać cierpiącym otuchy do wytrwania. Dlatego rzucamy myśl: czy nie dobrzeby było, by nasi arcybiskupi wyznaczili jedną niedzielę w całej Polsce na błagalne nabożeństwa, połączone z odpowiedniem pouczającym kazaniem do ludu, o opiekę Bożą i ratunek dla prześladowanego srode Kościoła w Rosji?

Z kraju, gdzie panuje wojujący ateizm, przenieśmy się myślą do kraju, który uważano za ojczyznę wszelkich wolności, a zwłaszcza wolności religijnej. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej katolicyzm, który liczy tam przeszło 20 milionów wyznawców i wewnątrznie zorganizowany jest wyśmienicie, zyskał niespodziewanie nowego wroga. W dziennikach naszych często pojawiają się notatki o organizacji o groteskowej nazwie Ku Klux Klan, i dziwna rzecz, że w niektórych dziennikach, jak w *Gazecie Warszawskiej*, organizacja ta przedstawiona została z sympatycznej strony, jako jeden z objawów dość powszechnego po wojnie obudzenia się uczuć narodowych. Niestety, organizacja rzeczona przedstawia tylko skrajne zwyrodnienie nacjonalizmu, a czyni jej są takie, że nie zasługują na sympatię żadnego uczciwego człowieka.

Organizacja tajna Ku Klux Klan powstała już w r. 1865 jako wcielenie krańcowego nacjonalizmu i nienawiści rasowej. Było to świeżo po urzędowem zniesieniu niewolnictwa w północnej Ameryce, wskutek czego miliony murzynów w Stanach Zjednoczonych otrzymały pełnię praw obywatelskich. Gdy wczorajsi niewolnicy w niektórych południowych

Stanach okazali się w większości i osiągnęli udział w rządach krajowych, zawiązało się to dziwne stowarzyszenie, które postawiło sobie za cel użyciem wszelkich środków nie dopuścić murzynów do korzystania z uzyskanych praw. Użyto więc względem nich teroru, urządzając zorganizowane napady na ich osiedla, bijąc i zabijając czarnych, puszczając z dymem ich wsie. Kiedy nie dało się odjąć czarnym obywatelom ich praw drogą gwałtu, pozbawiono ich tych praw, kując nową ustawę, według której głos wyborczy był przyznany tylko tym obywatelom, których już dziadowie z takiego prawa korzystali. Po paru latach bezprawia Ku Klux Klanu został on urzędowo rozwiązany i nie dając znaku życia, tkwił tylko w pamięci i wyobraźni całego pokolenia, jako temat do fantastycznych opowiadań o zbójach, porwaniach i t. p. strasznych rzeczach.

W r. 1915 Ku Klux Klan odżył na nowo. Wskrzesił go niejaki William J. Simmons, który zebrawszy kilkadziesiąt zapalonych głów, ogłosił istnienie tego związku, nazywając go „królestwem niewidzialnem“ i wskrzeszając dawne jego tradycje i praktyki. Organizacja jest tajną, ale nie w tem znaczeniu, by tylko spiskowała w ukryciu, nie występując na zewnątrz; owszem, członkowie jej na dany sygnał zlatują się ze wszystkich stron do jakiegoś miasta i poubierani w dziwaczne kostjумы (długą białą koszulę), zakapturzeni, przebiegają ulice, wpadają do świątyń i urzędów, stawiając im pod groźbą teroru swoje postulaty. A te postulaty idą bardzo daleko. „Ameryka dla Amerykanów!“ — krzyczą dziwaczni rycerze, lecz Amerykaninem według nich jest tylko ten, kto posiada sto procent krwi amerykańskiej. A zatem nie są Amerykanami w ich rozumieniu ani murzyni, nie należąc do rasy białej, ani żydzi, bo nie są chrześcijanami, ani katolicy, bo przeważnie są emigrantami świeżej daty i uznają duchowną władzę znajdującą się poza Ameryką. Tym wszystkim grupom wypowiadają Ku Klux Klaniści walkę na śmierć. W tym celu usiłują opanować, a w niektórych Stanach, jak na południu w Stanie Oregon i Alabana faktycznie już opanowali kierownicze stanowiska rządowe. W tymże Stanie Oregon w listopadzie 1922 r. przeforsowali prawo, zmuszające dzieci od lat 8 do 16 do uczęszczania do szkół rządowych, pozbawionych wszelkiego nauczania religijnego. Grozi to zamknięciem 250 szkół prywatnych katolickich, w których uczę się około 8 tysięcy katolickich dzieci. Na szczęście ustawa ta ma wejść w życie dopiero w jesieni 1926 r. W celu sterylizowania katolików dopuszcza się Klan najohydniejszych gwałtów. Ulubioną jego zabawą, wypróbowaną niegdyś na murzynach a obecnie stosowaną i do innych proskrybowanych, jest wyprowadzenie upatrzonej ofiary na odludne miejsce,

gdzie obdarłszy ją z ubrania, smarują smołą, tarzają w pie-rzu i w takiej futurystycznej toalecie puszczają z powrotem pomiędzy ludzi. Religję katolicką starają się zohydzić, roz-rzucając piśmidła z obelgami na Kościół i papieństwo, w roz-dzaju zatytułowanych: „Zabijmy Papieża!” i t. p. Bezwzględ-ność ich nie cofa się przed zbrodnią podpalania świątyń i naliczono już cały szereg kościołów katolickich, puszczo-nych przez nich z dymem lub wysadzonych dynamitem w powietrze. Doszło do tego, że władze w takich nawet miastach, jak New York, poczęły stawiać przy naszych ko-ściołach strażę, by przeszkodzić zbrodniarzom zbliżyć się do nich. Ruch ten szowinistyczny przerzucił się nawet po za granice Stanów Zjednoczonych, do katolickiej Kanady, gdzie już kilka nawet znakomitych świątyń stało się pastwą pło-mieni, podłożonych ręką klanistów.

Jak reaguje społeczeństwo amerykańskie na te występy Ku Klux Klanu? W Chicago zawiązała się Liga Jedności amerykańskiej, która postawiła sobie za cel zwalczanie tej anarchicznej, a osłaniającej się nacjonalnemi hasłami or-ganizacji. Niektóre dzienniki poczęły ogłaszać wykazy człon-ków Ku Klux Klanu. Organizacja ta bowiem przez kilka lat zdołała rozrósć się do niebywałych rozmiarów, rekrutując swych członków po wszystkich niemal Stanach i z pomiędzy przedstawicieli wszystkich zawodów. Amerykanów, którzy przy całej swej praktyczności kupieckiej są jednak roman-tykami, ulegającymi urokowi wszystkiego, co ma wielki roz-mach i niezwykle formy, pociąga do tej organizacji nie tylko samo hasło nacjonalizmu, ale także urok tajemniczości, fan-tastyczność stroju i tytułów (głowa organizacji nazywa się — Wielki Czarownik, podrzędni dowódcy — Wielki Smok, Olbrzym, Cyklop i t. p.), wreszcie szeroki gest ich wystąpień, obok zbrodni także i w dobrych rzeczach, jak n. p. w boj-kocie alkoholu, kina, w wspieraniu pewnych dzieł filantro-pijnych. Boją się jednak Ku Klux Klaniści, występujący zaw-sze tylko w maskach, ujawnienia swoich nazwisk, i oto okazało się, że skoro wiele nazwisk często wybitnych kup-ców, urzędników, ujawniono na szpaltach dzienników, tracili oni momentalnie swoją dotychczasową klientelę i swoich przyjaciół. Sfery rządowe, zaniepokojone anarchją, wnoszoną przez Ku Klux Klan do życia publicznego, obmyślały już również prawne środki zaradcze. Niewyraźne jest stanowi-sko masonerii względem Ku Klux Klanu: z jednej strony były enuncjacje paru kierowników łóż wolnomularskich, wy-pierające się wszelkiej z Ku Klux Klanem solidarności; z drugiej strony ujawniono, że do Ku Klux Klanu należą i notoryczni masoŃi i że tu i ówdzie, jak n. p. w Saint-Louis masoneria udzielała swych lokali na miejsce zebrań klani-

stów. Kto jednak wyraźnie sympatyzuje z tym ruchem, to służy kościoła protestanckiego, zwłaszcza pastory sekty metodystów. W Ku Klux Klanie odkrywają oni prawowiernych potomków owych purytanów, którzy dali początek angielskiej kolonizacji w Ameryce północnej i wytworzyli typ prawdziwego yankes'a. Dziennik El Paso Herald, po przeprowadzeniu wśród pastorów protestanckich Texasu ankiety o stosunku ich do Ku Klux Klanu, doszedł do przekonania, że większość ministrów protestanckich sympatyzuje z tym związkiem, a wielu, jak można wnioskować z ich odpowiedzi wykretnych, są nawet jego członkami (Nr. z 11 października 1922).

Z przedstawienia tak położenia Kościoła katolickiego w Rosji, jak i gwałtów względem niego ze strony Ku Klux Klanu w Ameryce północnej przekonujemy się jeszcze raz, że większość, jeżeli nie wszystkie, tak rewolucyj z lewa, jak i nacjonalistycznych reakcyj z prawa łatwo przechodzi w przesładowanie Chrystusowego Kościoła, tego Kościoła, który wskazuje ludzkości drogę stopniowego rozwoju, w poczuciu powszechnej sprawiedliwości i braterstwa wszystkich ludzi i narodów.

KS. JAN URBAN.

Z kościelnych stosunków amerykańskiej Polonii.

O Polonii amerykańskiej jeśli myślimy, to przeważnie pod kątem widzenia politycznym, grupując ją wedle różnych stronnictw, albo też pod kątem jej zasobów materialnych... snując marzenia na temat bajecznych dolarów.

Dość mało zwraca się uwagi na jej kościelne stosunki. Wciskająca się dziś z Ameryki sekta hodurowców, uzurpującą sobie pretensjonalnie nazwę „kościół narodowy“, zwraca nasze oczy na religijne życie naszego Wychodźstwa w Stanach Zjednoczonych. Sporo ciekawych o niem informacji daje amerykański „Przegląd Kościelny“, będący organem Zjednoczenia Kapłanów Polskich w Ameryce Północnej. Ubiegłego roku 1922 ogłosił ankietę na temat: „Jakie są potrzeby religijne wychodźstwa naszego“? Wyjmujemy z niej kilka momentów, ilustrujących rozwój i potrzeby amerykańskiej Polonii pod względem życia katolickiego. Z tym rozwojem i warto i miło się zaznajomić, bo jest dowodem szczerej religijności i ofiarności naszej emigracji, świadczy również o dużej energii duchowieństwa polskiego.

Społeczną komórką życia katolickiego, pominąwszy rodzinę, jest parafia. Otóż rozrost polskich parafii wykazuje szybkie tempo.

W r. 1870 było 17 parafii

1880 — 75 „

1890 — 170 „

W r. 1900 było 390 parafii

1910 — 512 „

1920 — 760 „

Czyli w przeciągu 50 lat wychodźstwo polskie zdołało zorganizować własnymi siłami 760 parafij. Ile to energii, poświęcenia, ofiarności wymagało i od kleru i od wiernych — to się wtenczas dopiero oceni, jeśli się zważy, że rząd Stanów nie daje ni grosza na cele religijne. A więc i gmach kościelny i zabudowania parafjalne i szkoła przy każdym niemal kościele — wszystko to własnym kosztem.

Jeśli zwrócimy uwagę na statystykę z ostatnich 4 lat, od 1917 — 1921, zobaczymy, że na nie przypada najsilniejszy przyrost parafij: w 1917 było ich 547, a w 1921 jest ich 762. To znaczy że przeciętnie co roku przybywało 53 parafje. Te 762 parafje obsługiwało w 1921 roku 1084 księży polskich, ogólna zaś wartość polskich majątków parafjalnych wynosiła 68,649,900 dolarów.

Takiego rozmachu nie wykazuje, prócz Irlandczyków, żadna z innych narodowości. Na 762 parafje polskie, Niemcy posiadają około 400. Włosi 282, Francuzi 175, Słowacy 154, Litwini 99, Również jeśli chodzi o procentową ilość katolików w Stanach Zjednoczonych, Polonia amerykańska zajmuje wcale znaczną pozycję. Na ogólną liczbę 20 milionów katolików, Polacy stanowią prawie $\frac{1}{4}$, bo liczą około 2 700 000.

Szkół polskich parafjalnych w 1921 roku było 511, sił nauczycielskich 3,568, dzieci polskich uczęszczających do tych szkół 219,711. Prócz tego 9 szkół średnich, które należą do zakładów katolickich.

Jak się przedstawia rozmieszczenie polskich parafij na olbrzymiem bądź co bądź terytorjum Stanów Zjednoczonych? Bardzo niejednolicie: w 5 stanach jest zaledwie po 1 parafji, w 9 nie przekraczają liczby 10. Najliczniejsze są w następujących stanach:

Parafje		Ilość księży	Parafje		Ilość księży
Pennsylvania	.. 154	.. 196	Michigan	... 57	.. 92
Wisconsin	.. 90	.. 112	Massachusetts	.. 48	.. 62
New York	.. 88	.. 133	Minnesota	... 42	.. 46
Illinois	.. 70	.. 154			

W 7 stanach przypada parafij polskich od 13—36.

Rozmieszczenie parafij polskich, czyli ich skupienie względnie rozrzuconie, jest rzeczą ważną, by należycie ocenić kwestję tzw. „równouprawnienia kleru polskiego w Ameryce”. Jest to kwestja mocno i żywo odczuwana przez Polonję amerykańską, a zwłaszcza przez jej duchowieństwo. Na czem polega to „równouprawnienie”? Na uzyskaniu polskiej reprezentacji w wyższej hierarchji kościelnej w Ameryce. Już w r. 1895, kiedy się w Buffalo zebrał pierwszy kongres polsko-katolicki przy udziale 70 księży, 113 delegatów świeckich, reprezentujących 36 parafij, oraz 102 delegatów wysłanych przez 102 towarzystwa, postanowiono prosić Ojca św. o polskiego księdza sekretarza przy nuncjaturze w Waszyngtonie, któryby przedstawiał religijne sprawy ludu polskiego we właściwym świetle. Drugi kongres w 1901 poszedł dalej i przedłożył arcybiskupom amerykańskim oraz delegatowi apolskiemu żądanie dopuszczenia księży polskich do godności biskupiej. Wysłano następnie księdza Kruszkę jako delegata z memorjałem do Leona XIII. Sprawa jednak szła oporem. Dopiero w 1903, kiedy arcybiskup chicagoski, James Quigley, poparł w Wa-

tykanie żądanie Polaków amerykańskich, otrzymał ks. Paweł Rhode nominację na sufragana w Chicago, w 1915 został ordynariuszem diecezji w Green-Bay, Wis. Drugim biskupem-sufraganem był ks. Edward Kozłowski, dziś już nie żyjący. Po wojnie rozpoczęto starania o biskupów polskich u Benedykta XV, sprawa weszła ponoś na dobre tory: spodziewano się dwóch lub trzech nowych biskupów-sufraganów narodowości polskiej. Śmierć papieża opóźniła conajmniej spełnienie tych oczekiwań.

Nie osłabiła jednak, jak się daje wyczuwać z ankiety, energii, z jaką kler polski w Ameryce chce się starać u Piusa XI o polskich biskupów, którzy o wiele pełniej mogą zrozumieć i wczuć się w potrzeby ludu polskiego, bronić jego słusznych praw w kościele i szkole, niż biskupi obcej narodowości. Na tem tle zachodziły już sporadycznie tu i ówdzie pewne nieporozumienia, między episkopatem amerykańskim a parafjami polskimi, które skwapliwie wyzyskują różni sekciarze do swojej propagandy. Wyzyskał je i Hodur, by się pod płaszczykiem obrony interesów narodowych oderwać od Kościoła katolickiego. Schyzma hodurowców bezprawnie nazywająca się „narodowym kościołem“, liczyła w 1921 roku 45 parafij, 20,145 parafjan i 49 księży. Liczba schyzmatyków hodurowcowych maleje, bo w r. 1916 posiadali oni 28,245 parafjan, wykazuje więc za lat cztery 8 tysięcy ubytku; nic dziwnego że Hodur próbuje szczęścia ze swą cerkiewką w Polsce. Sekta polskich baptystów posiadała w 1921 około 20 parafij, 5,716 wyznawców i 13 pryczerów. Jest trochę badaczy pisma itp.

W uzyskaniu polskich biskupów bruździć może rozwijający się dziś silnie nacjonalizm amerykański, który chce tę dość pstrokatą mieszaninę różnych narodowości, jaką przedstawiają Stany Zjednoczone, przetopić w jednorodną masę yankesów, mówiących po angielsku. Zależy mu na tem, by tłumić odrębne ruchy narodowościowe, a więc i na tem, by na wpływowych posterunkach mieć ludzi podobnie myślących.

Z pomocą wydatną mógłby w tym kierunku pospieszyć Polonji amerykańskiej rząd polski, mając ten atut w ręce, że do tej sprawy z życzliwością odnosił się Pius X i Benedykt XV i ten drugi, również ważki, że Niemcy mają 14 biskupów swej narodowości oraz trzech arcybiskupów, choć tworzą w Ameryce tylko 400 parafij, a Polacy mają 762 parafij a biskupa polskiej narodowości zaledwie jednego.

O wspomaganie bibliotek młodzieży i związków oświatowych.

Do redakcji naszej, a przypuszczamy, że również do innych redakcyj często nadchodzą listy od różnych stowarzyszeń i związków społeczno-oświatowych, zakładów naukowych i t. p. instytucyj z prośbą o bezpłatne zaopatrywanie bibliotek w czasopismo i książki. Każda z takich propozycji kończy się stereotypowo: „mamy nadzieję, że Redakcja nie odmówi poparcia tak sympatycznego przedsięwzięcia, jak nasze“ itd.

Rzeczywiście każda z proszących instytucyj zasługiwałaby na uwzględnienie, gdyby nie okoliczność, że czasopisma, zamykające swe rachunki wskutek walutowej anarchji prawie ustawicznie niedoborami, nie mogą, niestety, wkładać na siebie tego humanitarnego podatku w postaci gratisowych egzemplarzy, których liczba wzrastałaby niepomniernie w stosunku do liczby abonentów płatnych. Dlatego przeważnie redakcje zmuszone są odmawiać tego rodzaju prośbom.

Z drugiej strony w istocie są organizacje, zakładane w najlepszych celach, a rozporządzające tak szczupłemi funduszami, że o prenumerowaniu czasopism dla swoich biblioteczek ledwie mogą marzyć.

Czy nie należy wymyśleć jakiegoś sposobu przyjsia im z pomocą, zwłaszcza, kiedy chodzi o stowarzyszenia młodzieży i mniej zamożnych kół społecznych? Czy społeczeństwo, obok troski o pomoc materialną dla uczącej się młodzieży, nie powinno dbać również o zaopatrzenie jej w strawę dla umysłów i serc w postaci książek, czasopism i pomocniczych środków naukowych? Czy katolicy, którzy rozporządzają środkami po temu, nie powinni dostarczyć tejże młodzieży literatury katolickiej, która przecież okaże się najdzielniejszym środkiem do wytworzenia ineligencji katolickiej i katolickich rzesz ludowych i robotniczych?

Temi względami powodowani, zwracamy się do naszych Sz. Czytelników, aby zechcieli przyjść nam z pomocą w zaopatrywaniu bibliotek uczącej się młodzieży i towarzystw kulturalno-oświatowych w bezpłatne lub ulgowe czasopisma, książki i broszury katolickie, i rozszerzyć tę myśl wśród swoich znajomych. Redakcja „Przeglądu Powszechnego” będzie przyjmowała na ten cel pieniężne datki, ogłaszając nazwiska hojnych ofiarodawców. Jako pierwszą kwotę zapisuje 100.000 mp. nadesłane przez p. E. Uznańskiego z Rokietnicy do uznania naszego redaktora. W miarę wysokości funduszu będziemy zaopatrywali biblioteki, jakie na uwzględnienie zasługują, w czasopisma tak naszego wydawnictwa (Przegląd Powszechny, Misje katolickie, Wiara i Życie, Głosy katolickie), jak i obcych wydawnictw szczerze katolickich.

Mamy nadzieję, że datki na ten cel przyplyną hojnie; Ofiarodawcom w imieniu tych, którym się ułatwi czytanie pism katolickich, składamy zgóry szczerze „Bóg zapłać!”

REDAKCJA PRZEGŁADU POWSZECHNEGO.

REDAKTOR I WYDAWCA: KS. JAN URBAN T. J.

Druk ukończono 16 marca 1923 r.

Spis rzeczy tomu 157.

Artykuły.

	Str.
Ks. Jan Urban: O odkażenie naszej atmosfery politycznej	5
Tadeusz Sinko: Improwizacja Konrada jako oda filozof.	17
Ks. Tadeusz Karyłowski: Dzieje „Tantum ergo“ w Polsce	32
Dr. A. Prochaska: Święty Kazimierz w dziejach	30, 152, 258
Ks. St. Bednarski: Czy naprawdę wartości twórcze?	59
Ks. Jan Rostworowski: Nacjonalizm, jego uprawnienia i etyczne granice	98, 241
Dr. A. Około-Kułak: Bolszewicki kodeks karny	117
Dr. Ludomir Lewandowski: Zagadka walutowa	125
Ks. Stanisław Podoleński: Nasza przyszłość	136
St. Ptaszycki: Wywożenie do Rosji polskiego mienia kulturalnego i jego zwrot obecny	193
Ks. T. Karyłowski: „Exultet“, jego pochodzenie i dzieje	221

Przegląd piśmiennictwa.

Ignacy Chrzanowski: Wśród zagadnień, książek i ludzi. (Ks. J. Urban)	76
Marjan Gumowski: Biskupstwo kruszwickie w XI wieku. (Dr. K. Krotowski)	77
Józef Tretiak: Finis Poloniae! Historia legendy maciejowickiej i jej rozwiązanie. (J. Sk.)	81
H. Mościcki: Pozgonna cześć dla księcia Józefa. (Ks. T. Karyłowski)	82
Pierre Barbet: La préparation du jeune homme au mariage par la chasteté. (St. Podoleński)	82
Z. A. Borowska: Książka Marty, myśli o małżeństwie. (St. Podoleński)	83
Ks. Józef Adamski T. J.: Godność i posłannictwo chrześcijańskiej niewiasty. (M.)	84
Jahrbuch der angewandtem Naturwissenschaften 1920-1921 (S.)	84

Ekonomista. Kwartalnik poświęcony nauce i potrzebom życia.

Powieści:

Jan Wiktor: Przez ły. — Marjan Sey: Handzia. — Piotr Chojnowski: Kij w mrowisku. — Ignacy Dąbrowski: Matki. — René Marann: Batuala. Prawdziwa miłość murzyńska. — Jack London: Na szlaku. — Józef Conrad (Korzeniowski): Frantazja Almayera. (J. K.) 160

Poezje:

Józef Aleksander Gałuszka: Dusza miasta. (J. K.) 164
L. M. Staff: Zgrzebna kantyczka. — J. Lechoń: Karmazynowy poemat. — Jerzy Braun: Oceanjada. — W. Perzyński: Poezje. — Roman Eminowicz: Basileus. — A. Oppman (Ort-Ot): Kronika mieszczańska: Imćpanów Barwinków, kupców krakowskich, peregrynacja do Ziemi Świętej roku od przyjścia Zbawiciela na świat 1541. — O Malchrze Gąsce, rajcy warszawskim — o pięknej Zofce, córce Gąskowej i o Piórkosie z Francyej historia wielce żałosna, Lata Pańskiego 1574. — A. Górski: O Zmartwychwstanie — dramat w czterech częściach. (St. Bednarski) 165

Witold Bunikiewicz: Historia sztuk plastycznych. Stanisław Lentz. (J. K.) 170

Józef Wasowski: Człowiek w Polsce. (J. Andrasz) 170

E. Romer — J. Jurczyński: Atlas krajoznawczy województwa Łódzkiego. (St. Korbel) 171

Dokumenty historyczne: Magna charta libertatum. Capitulare de villis. Wieś polska przed kolonizacją na prawie niemieckiem. Dr. Roman Gródecki) 172

(H. Fouqueray S. J.: Histoire de la Compagnie de Jésus en France des origines à la suppression. (E.) 173

Franz Xaver Lutz: Zwischen Adventsnacht und Gerichtstag. Neue Folge von Gedanken für Sonn- u. Feiertage. (J. Andrasz) 173

Ks. Wilhelm Michalski C. M.: Pismo Św. Starego zakonu, w nowem tłumaczeniu z komentarzem. Amos. (Ks. Józef Archutowski) 276

Stefan Żeromski: Snobizm i postęp. (Hanna Zahorska) 280

Otto Willman: Pitagoreische Erziehungsweisheit. (St. Podoleński) 282

Th. Mainage: La religion spirite. (St. Podoleński) 282

O. Gillet: Conscience chrétienne et justice sociale. (Helena Skolimowska) 284

Edward Grabowski: Ubezpieczenia społeczne w państwach współczesnych. (Dr. Ch.) 286

Ks. Biskup Dr. Ignacy Dubowski: Listy pasterskie. (Ks. K. Konopka) 287

Z wydawnictw dla najmłodszej Polski. (S. B.) 288

„Wielka Biblioteka“. Arcydzieła literatury polskiej i obcej. (S. B.) 289

Bened. Baur O. S. B.: Beseligende Beicht. (J. Andrasz) 290

Nadesłane do Redakcji 86, 174, 291

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła. (K s. Jan Urban T. J.).

Styczeń: Encyklika Piusa XI. — Konferencja w Lozannie a sprawy kościelne	88
Luty: Encyklika o św. Franciszku Salezym. — Nienawiści partyjne a Kościół. — Zamordowanie metropolity Jerzego i stanowisko prawosławia w Polsce	176
Marzec: Nowe gwałty dokonane na Kościele przez bolszewików rosyjskich. — Ku Klux Klan i katolicyzm	293
Szkolnictwo w Polsce w cyfrach. (K s. St. Podoleński)	93
Z najnowszego ruchu naukowego: Sensacyjne odkrycie w rolnictwie. Rozwój telefonu bez drutu. Z nad granicy dwóch światów. (K s. Feliks Hortyński)	183
W sprawie Uniwersytetu Lubelskiego	190
Z kościelnych stosunków amerykańskiej Polonji	299
O wspomaganie bibliotek młodzieży i związków oświatowych	300